



**ALEV LYTLE CROUTIER**

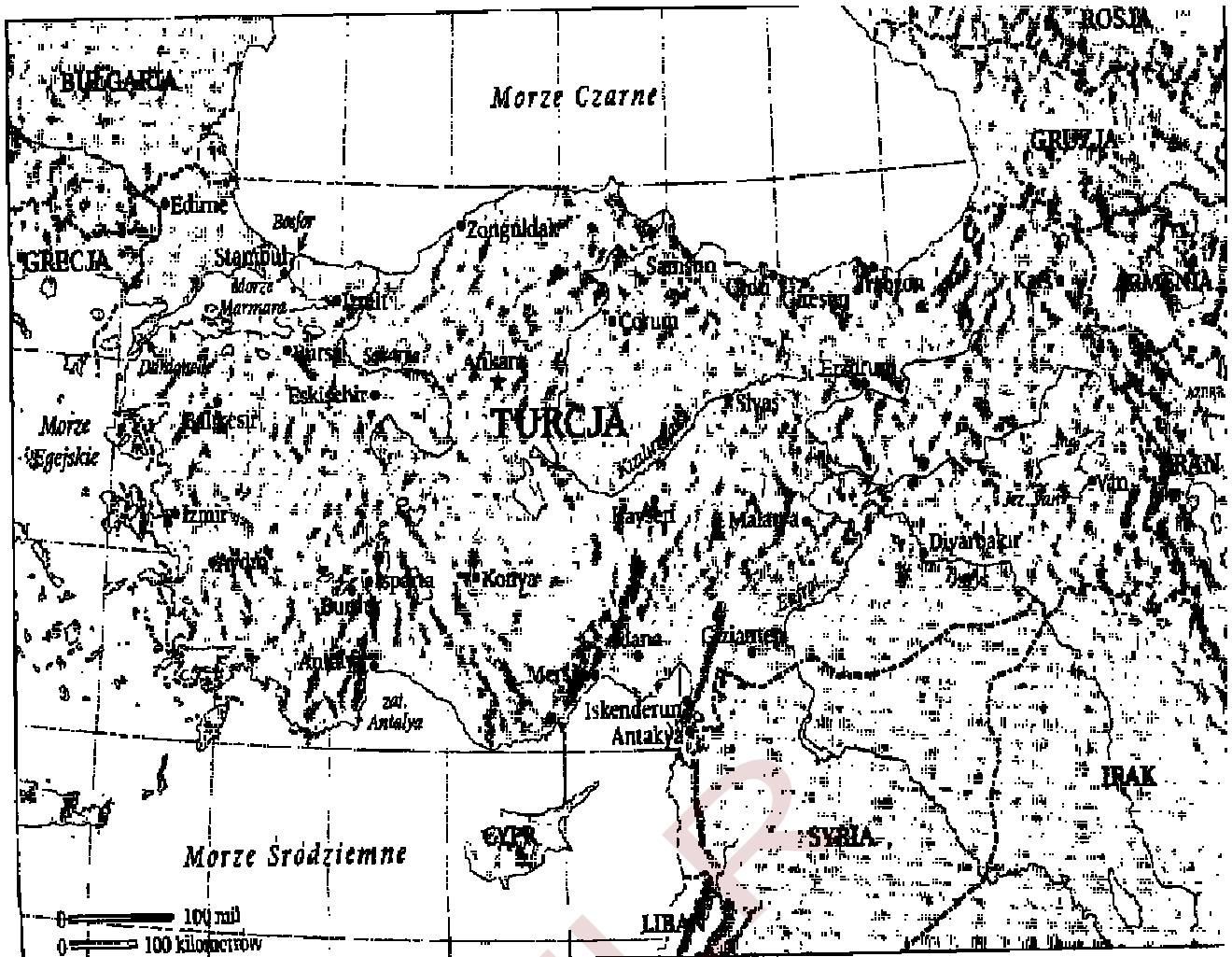
**SIEDEM DOMÓW**

Tutut oryginału SEVEN HOUSES



*Moim Rodzicom, Sadriemu i Yümniye*

TLR



## *Nota transkrypcyjna*

### *(od Tłumacza)*

Tureckie nazwy: osobowe, geograficzne i inne, podano we współczesnej pisowni tureckiej. Imiona znane w piśmiennictwie polskim (np. Sulejman) oraz tytuły (bej, pasza) pozostawiono w pisowni polskiej.

Aby ułatwić odczytanie występujących w tekście słów w pisowni tureckiej, podajemy odpowiedniki polskie trudniejszych głosek tureckich:

- c = dż, np. *cam* wymawia się *dżam*,
- ç = cz, np. *çay* wym. *czaj*,
- ğ = j (w otoczeniu e, i), np. *Eregli* wym. *Erejli*,
- ğ = h (w otoczeniu a, i i na końcu zgłoski), np. *dag*  
wym. *dah* (słabo artykułowane),
- ğ = wydłużenie samogłoski poprzedzającej, np. *dagi*  
wym. *da'y*,
- ı (bez kropki) = y, np. *yah* wym. *jaly*,
- j = ż, np. *jambon* wym. *żambon*,
- l = l (w otoczeniu e, i, ó, ii), np. *elh* wym. *elli*,
- l = ł (w otoczeniu a, i, o, u), np. *ahn* wym. *alyn*,
- ö = francuskie eu, niemieckie ö,
- ş = sz, np. *Ayşe* wym. *ajsze*,
- ü = francuskie u, niemieckie ü,
- v = w, np. *vah* wym. *wah*,
- y = j, np. *yok* wym. *jok*.

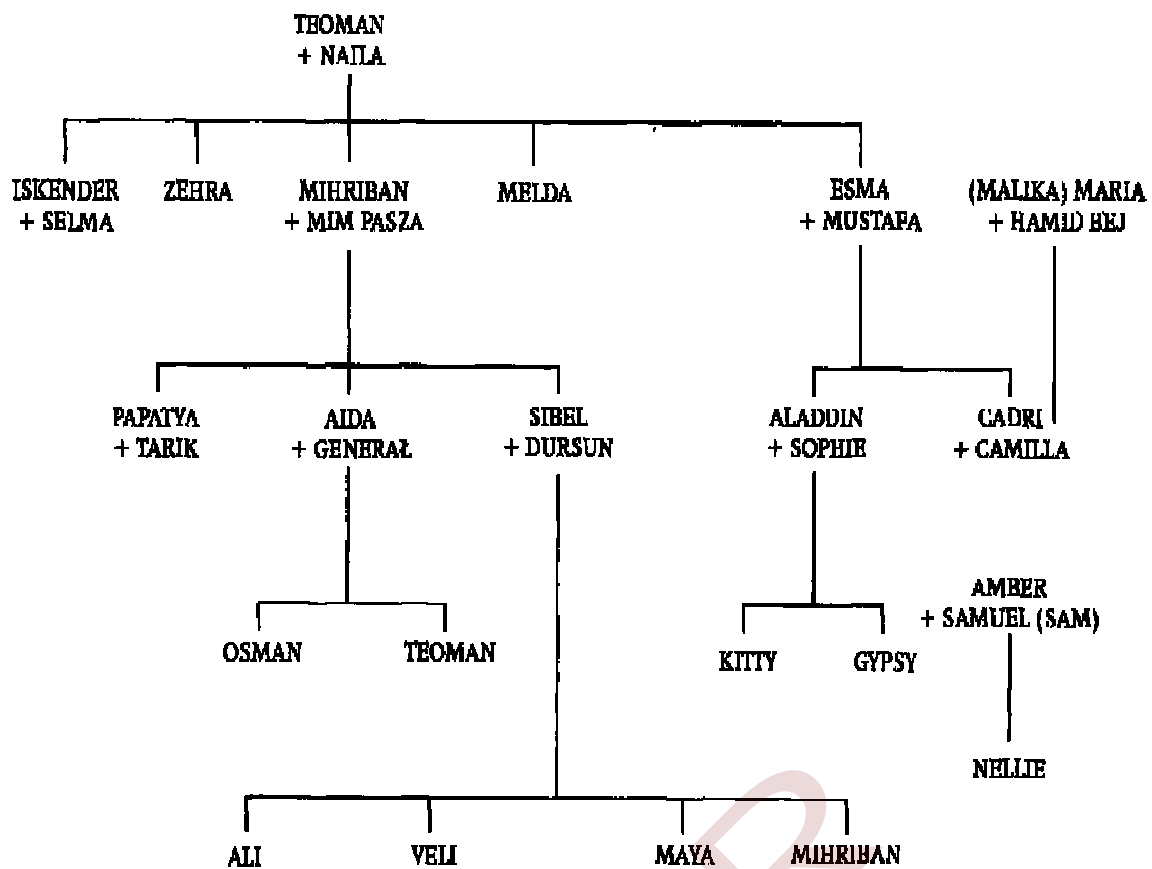
# I

## **Ulotne Królestwo Jedwabiu**

I trzeba wam wiedzieć, że nie będzie w tej książce strasznych przygód, niezwykłych polowań, odkryć czy niebezpieczeństw; nic poza wrażeniem powolnej przejażdżki na grzbiecie płynącego poprzez bezkresny błogostan różowej pustyni wielbłąda.

**Pierre Loti, *Pustynia***

# I



Drzewo genealogiczne rodziny Ipekich

## Dom w Smyrnie



*(1918-1952)*

Niejedna się odsłania tajemnica Gdy welon już nie kryje lica.

**Attar Farriduddin, *Język ptaków***

Dawno, dawno temu w Smyrnie, mieście tak starym i osławionym jak mieszkańcy Olimpu, bogowie zamienili córkę króla w krzew mirtu, aby ukarać ją za kazirodztwo. Adonis, dziecko grzechu i miłości, narodził się z jej rozszczepionego pnia. Był tak przystojny, że Afrodyta, bogini piękności, zapragnęła go i wybrała na swego kochanka. Stał się jej jedyną prawdziwą miłością. Adonis -owoc krzewu.

Od tego czasu rozplotkowane uliczki miasta pobrzmiwają głębokim, ledwie słyszalnym brzęczeniem. A może było ono tam już wcześniej? Tak, na pewno. Wystarczy się wsłuchać, a można usłyszeć tak wiele - pierwszy krzyk dziecka, które zostanie potem świętym Pawłem, skrzypienie pióra świętego Jana, trudzącego się zapisywaniem Ewangelii. Poprzez mgłę dostrzeżecie Antoniusza i Kleopatę, pogrążonych w straszliwej ekstazie, płynących na złotej barce. A może nawiedzi was wizja medytującej Marii, oplakującej zmarłego syna. Wszystko to zdarzyło się właśnie tutaj. Wszyscy ci ludzie zamieszkiwali tę samą krainę, położoną nad brzegami tego samego morza. Oto Egea. Zwierciadło zwierciadeł.

Nad Zatoką Smyrneńską zawsze unosi się woń gnijącego planktonu i soli. Góry odpadków zalegają brzeg, tworząc rzeźby ze skórek melona, kartonu i wodorostów. Nietrudno też wyobrazić sobie, jak po przeciwnej stronie zatoki, z radosnym wyczekiwaniem obserwując ślizgający się po falach statek Odyseusza, Homer układa strofy *Odysei*. W cztery tysiące lat później, w odwecie, pokonana grecka armia wypala ogniem wszelkie wspomnienia - tak przynajmniej mówią -



wszystkie w tym życiu. Lecz swąd starożytnych popiołów nigdy nie opada. Żar od niepamiętnych czasów tli się pod zatoką (niektórzy powiedzieliby, że jest to lawa, oddech Hadesu), rozpalony na długo przed tym, nim wielki ogień pochłoniął niemal wszystko. Tu jest to nieuniknione. Cofnąć się w czasie. Żyć tym, co minęło. Być kimś innym. Niektóre miejsca przechowują pamięć. I to jest właśnie jedno z nich.

Zostałem zbudowany w Smyrnie w roku 1890, kiedy to urodziła się Esmá. Ja, czyli drewniany, wielopokojowy wiktoriański dom mieszkalny, skromny, przytulony do nagiej, mrocznej skały - obsydianu, o którym mawiano, że spadł z nieba. Właśnie od tego kamienia wzięła nazwę dzielnica: Karataş, czyli Czarny Kamień.

Mój balkon i okna osłaniają kraty, broniące dostępu do haremu. Jaśmin i pędy granatu porastają fasadę, a lipa i kasztan zapewniają cień, chroniąc przed gorącym egejskim słońcem, odbijającym się w mocno zasolonej, turkusowej wodzie. *Kayık* uderza monotonnie o wyszczerbiony marmurowy dok, pozostałość starożytnej lidyjskiej świątyni. (Skrzydła zostały dobudowane dużo później jako kwatery dla służby. Poza tym mieściła się tam też kuchnia oraz pralnie). Kopuła ze zbrojonego szkła, wieńcząca *hamam*, za-parowana od gorącej wody używanej do kąpieli, wznosi się ku niebu niczym sylweta opuszczonej mogolskiej willi. Inna niż reszta.

Niektórzy sądzili, że krzak mirtu w ogrodzie jest tym samym, z którego narodził się Adonis. Wierzyli, że to krzew święty, i zostawiali na jego rozdwojonym ołtarzu wota oraz skromne ofiary. Inni uważali, że jest to zwykły krzew, który padł ofiarą sił natury. Przez lata jego konary uparcie sięgały ku oknom pokoju Esmy, a potem Amber, stając się ośrodkiem tajemniczych wydarzeń. Jak wtedy,

gdy czyjaś dłoń, trzymająca bursztynowe jajko z zatopioną w riim ćmą, wysunęła się gwałtownie przez okno lub kiedy krzew, trafiony potrójnym piorunem, spłonął do samej ziemi, aby odrodzić się następnej nocy.

Przez pierwsze dwadzieścia osiem lat mojego życia mieszkał tu pasza ze swym harem - trzema żonami, służbą oraz licznym potomstwem. Sam pasza przebywał najczęściej w przybudówce, mieszczącej przystań dla łodzi, gdzie spędzał długie godziny w oderwaniu od spraw tego świata - bezduszny, samolubny bogacz, skupiony wyłącznie na zaspokajaniu swoich zachcianek, uprawiający mak na opium i lekceważący wszystkich dookoła. Po wypędzeniu sułtana młodoturcy, którzy przejęli wówczas rządy, uznali go za winnego niewypowiedzianych zbrodni i zesłali do czyścica lodowych pustkowi Karsu, gdzie popełnił ponoć jeszcze gorsze czyny. Jak powiadają, stary kurz nie opada. Ale to już zupełnie inna historia.

Tymczasem kobiety z jego haremu, które nagle znalazły się bez środków do życia i miejsca, gdzie mogłyby się udać, nie mając pieniędzy, by mnie utrzymać, musiały uciekać w popłochu, porzucając wspaniałe stroje, piękną porcelanę i bezcenne meble. I właśnie ten moment wybrała sobie Esma, aby pojawić się na scenie niczym postać ze sztuki.

Mgliste zimowe popołudnie. Esma, okutana od stóp do głów, z twarzą zakrytą czarną zasłoną, przybywa w towarzystwie pośredniczki, postępując o trzy kroki za swym starszym bratem Iskenderem. Synowie Esmy, identyczni bliźniacy Cadri i Aladdin, czepiają się spódnicy matki. (Od razu widać, że to sieroty). Trzy kroki za panią podążają chyłkiem, ze spuszczonej nisko głowami, służące Gonca i Ayşe.

Esma krąży po domu niczym widmo, przechodząc z pokoju do pokoju, rozmawiając z niewidzialnymi twarzami na ścianach, dotykając i wachając wszystko, co tylko wpadnie jej w oko, i zawodząc modły. Otwiera drzwi do pokoiów,

pełnych zakurzonych wspomnień, do piwnicy, rozbrzmiewającej dźwiękiem sączącej się nieustannie z *hamam* wody. Kap, kap, kap. Wypełnić pustkę, ożywić to, co opuszczone. O, tak.

Wygląda z okna drugiego piętra i widzi czarną skałę, rozszczepione drzewo. Czuje drżenie, wywołane uderzaniem fal o pale nabrzeża. Oczy Esmy wilgotnieją. Znalazła wreszcie dom. Miłość od pierwszego wejrzenia.

-Dom może być wasz za póldarmo - szepcze pośredniczka, która podążyła za nią na poddasze, zarzucone bawidełkami kobiet z odległej epoki: szarawarami, satynowymi pantofelkami, przejrzystymi zasłonami. - Pierwsza Żona rozpaczliwie chce pozbyć się tego wszystkiego. Nie mają dokąd pójść, a muszą opuścić dom przed świtem.

Esmą ignoruje pośredniczkę i wraca do haremu, gdzie kobiety częstują ją kawą i słodyczami. Przyglądają się szeroko otwartymi oczami, jak zdejmuje giemzowe rękawiczki, ściąga z palca pierścionek z szafirem wielkości laskowego orzecha - ostatnią sztukę biżuterii, jaka jej pozostała - i wsuwa go na palec Pierwszej Żony.

Pierścionek pasuje doskonale.

-Zapłata za dom - mówi Esmą.

Starsza kobieta zaczyna płakać, próbuje z wdzięczności ucałować dłoń Esmą. Ona jednak na to nie pozwala. Obejmuje płaczącą i tuli ją, dopóki szloch nie milknie.

Od tej chwili jesteśmy nierozłączni. Nawet po śmierci.

Za każdym razem, gdy tylko słyszała tę opowieść, mała Amber pytała nieodmiennie:

-Co stało się z paniami z haremu?

- To smutna historia. Eunuchowie wozili je od wioski do wioski w dalekiej Europie i pokazywali na jarmarkach. Jako osobliwości, takie jak tańczący niedźwiedź.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie wiedziały, jak się nazywają, i nie miały dokąd pójść. Nikt ich nie szukał. Zostały wykradzione z rodzinnych domów tak dawno temu, że nikt już o nich nie pamiętał.

- Nie mogę pozwolić, żebyś mieszkała w obcym mieście całkiem sama! W takim dużym domu! Kto miałby się tobą opiekować?! Co ludzie pomyślą?! - wykrzykiwał brat Esmy, Iskender, przemierzając nerwowo pokój. - Przestań się upierać i przyjedź do mnie na plantację. Chłopcy muszą mieć koło siebie mężczyzn! Kobieta nie powinna żyć z dala od rodziny.

- To mój dom - stwierdziła Esmę stanowczo. - Muszę zostać w Smyrnie. Tu, gdzie mąż przywiózł mnie jako pannę młodą. Dziewczęta mi pomogą. Jakoś sobie poradzimy Bóg jest po naszej stronie.

„Dziewczęta”, czyli dwie kurdyjskie odaliski, służące Gonca i Ayşe, stanowiły prezent od szwagra Esmy, Mim Paszy o dobrym sercu. Wiele razy zdarzyło mi się słyszeć, jak opo. wladano ich historię. Cztery małe dziewczynki, siostry leżały półżywe wśród szczątków zmasakrowanej wioski w okolicy góry Ararat. Mim Pasza, wykazując się godną podziwu odwagą, uratował im życie i przywiózł je jako podarek dla swojej żony Mihriban i Esmy. Teraz należały do rodziny

- Kiedy patrzę na ciebie, boli mnie serce. Lecz zawsze byłaś uparta, od urodzenia. Pamiętaj jednak, że nikt nie wie, co los mu przeznaczył. Jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, zawsze masz u mnie kąć - powiedział na pożegnanie

Iskender, nim wrócił na plantację jedwabiu w Bursie. - W dobrych czasach czy w złych. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętać.

Czy żegnając się wtedy w Smyrnie, mogli przypuszczać, że los wkrótce ich rozdzieli? Czy mogli o tym wiedzieć?

Zdjęcie mężczyzny o srogiej twarzy, w białym turbanie wystarczająco starego, aby uchodzić za ojca Esmy, było w rzeczywistości podobizną jej niedawno zmarłego męża. Esma została wdową bez środków do życia i dlatego musiała wyprzedać niemal całą biżuterię. Zostały jej już tylko jeden czy dwa cenne kamienie i kilka metrów wspaniałego *crépe d'amour*, krey miłości. Prawdziwego jedwabiu. Najlepiej ze wszystkich nadającego się na ślubną suknię. Lecz nie dla Esmy. Ani nie dla jej córki - przynajmniej nie na ślub.

Skąd o tym wiem? Jak dowiedziałem się o tych niezwracających uwagi sprawach, wypełniających przestrzeń pomiędzy ścianami? Cóż, słucham. Przysłuchuję się wszystkiemu: współbrzmiającym oddechom domowników w nocy, szeptom, syczącym niczym węże na podłogach, odgłosom, które towarzyszą snom, miękkim pacnięciom kocich łap na chłodnych płytkach piwnicy, skąd tak łatwo dostać się do katakumb pod miastem. Przysłuchuję się dziecięcym głosom, odbijającym się od ścian tunelu poniżej; jakby Minotaur z jaskini ział ogniem z nozdrzy. A także brzęczeniu tramwajowych dzwonek, zawodzących niczym kapryśne syreny podczas popołudniowej sjesty. O północy rozlega się stukot laski nocnego strażnika na kocich łbach ulicy. Tap, tap, tap. Rap, slap, kłap.

Co noc, gdy miasto pogrąża się w głębokim śnie, słychać odległy kobiecy śpiew, który zdaje się dobiegać z morskiej głębiny. ***Dandini, dandini, danah bebek. Elleri kollan, fanali bebek.*** Moje maleństwo o rączkach i dłoniach pomalo-

wanych henną, moje ty maleństwo. Śpiewała tę kołysankę dzieciątku, spoczywającemu w ukryciu gdzieś w pobliżu. Kiedy jej dziecko umarło, oszalała z żalu. Pochowała je w złotej kołysce, a sama rzuciła się w fale.

Każdego wieczoru Esmā leżała, przysłuchując się tłumionej przez odległość i mgłę kołysance, która sama w sobie mogłaby się wydawać nie z tego świata. Kołysanka zakradała się cicho do jej pokoju, spowijając ją ciepłem, szepcząc: *Dandini, dandini, danah bebek.*

Gdy chłopcy pytali, czy to syreny śpiewają, mówiła:

- Nie ma czegoś takiego. Raz, kiedy byłam dzieckiem, zdawało mi się, że słyszę śpiew syren, lecz potem one zniknęły. W końcu zawsze znikają. Nie zwracajcie na nie uwagi, są tylko plwociną na czubku diabelskiego języka. Ich pieśni powodują morskie katastrofy, a ci, których uda im się zwabić, giną straszną śmiercią. Pewnego razu człowiek imieniem Odyseusz przywiązał swych ludzi do masztu, by syreni śpiew ich nie skusił. To był jedyny sposób.

Słucham i przyglądam się ich życiu - nawet w tych najbardziej intymnych momentach, gdy zamykają za sobą drzwi i uciekają w świat marzeń i snów. Widzę te marzenia. Czytam w ich myślach. Oceniam. Nawet prowokuję sytuacje, jeśli nadarza się sposobność. Cóż, ja także mam swoje słabostki.

Spoglądam na chłopców, śpiących we wspólnym pokoju. Na zewnątrz Gonca, odaliska bez wieku, z wąsikami i zrosniętymi na czole brwiami, ta, która suszy skrzydła nietoperza na szczęście i rozciera na proch koniki morskie, śpi na gołej podłodze - gdyż tylko tak potrafi - oddychając w równym rytmie z dziećmi. Po chwili wydychane przez nich powietrze nabiera barw, bez końca rozplływając się w coraz to nowe kształty, unosząc się spiralą ku krainie marzeń i opadając, opadając, lecąc, lecąc i płynąc bez końca.

Nim uda się na spoczynek, Gonca zawsze zamyka swą siostrę Ayşe. Księżyc sprawia, że młoda dziewczyna staje się pobudzona i krnąbrna. Wierci się w go-

rażące niczym wąż boa, podniecona niespokojnymi ruchami swego ciała. Jej łóżko jest wilgotne, przesiąknięte wonią jaśminu.

Na drugim piętrze Esma rozplata długie do pasa włosy. Jej zapadnięte oczy błyszczą w ciemności niczym klejnoty, jej serce trzepoce, a zmysły budzą się do życia. Rozsuwa zasłony, wygląda, ale nie widzi nikogo. Nagle głos rozpoczynającego nocną modlitwę muezina wznosi się niczym śpiew upajającego się własną pieśnią ptaka. Esma zakrywa włosy, rozwija dywanik modlitewny z Uszaku. Staje zwrócona twarzą na wschód, łączy koniuszki palców i zaczyna mamrotać niezrozumiale modlitwy. Pociera z wolna twarz dłońmi, jej smukła sylwetka gnie się, a czoło dotyka podłogi.

Nagle wiatr wydyma zasłony, drzwi na balkon otwierają się i niczym szejk Rudolfa Valentino do pokoju wkracza Su-lejman, odziany w pelerynę i fez. Jastrzębi nos wskazuje, że mężczyzna pochodzi od dzikich nomadów, którzy przebyli niegdyś Ural i Ałtaj. Z odkrytą piersią, serdecznym uśmiechem, białymi niczym perły zębami i niespokojnym spojrzeniem, przypomina smukłą górską gazelę.

Esma zwija pośpiesznie dywanik i chowa go pod łóżko. Poprawia włosy. Su-lejman jest jedynym mężczyzną spoza rodziny, który ogląda ją bez zasłony. Zdejmuje fez i kłania się. Siadają na odziedziczonej w spadku sofie w stylu Ludwika XV, aby przyglądać się księżycowi, jeśli akurat jest na niebie. Albo gwiazdom, gdy nieba nie zasnuwają chmury. Rytm ich serc dopasowuje się, podobnie jak oddech.

Od czasu do czasu, oszołomieni, spoglądają na siebie zamiast na niebo. Pożerają się płonącymi oczami, lecz ich dłonie nigdy się nie spotykają. Przysięgli sobie, że się nie dotkną, i ta przysięga pozwala im spotykać się każdej nocy. Od lat. By kochać się w ten sposób. Bez skazy.

On pyta:



- Esmo, Esmo, dlaczego nie zostaniesz moją żoną? Esmo spuszcza wzrok. Nadal odziana jest we wdowią czerń.

- Było, nie było - zaczyna tak, jak zaczynają się wszystkie baśnie. - Pewnego razu słowik zakochał się w róży. A róża, poruszona jego pieśnią, obudziła się, drżąc na łądźce. Była biała, jak wszystkie róże w tamtych czasach. Lecz potrafiła płakać rosą.

- Słowik zbliżył się do róży i szepnął: „Kocham cię, różo”. - Sulejman podejmuje opowieść w miejscu, gdzie skończyła ją Esmo. - Róża zawstydzona i okryta różowym kwieciem. Potem słowik zbliżył się jeszcze bardziej. Wołał Allaha, by róża nigdy nie zaznała ziemskiej miłości, mimo to rozchyliła płatki i słowik wykradł nektar. Rankiem róża, zawstydzona, oblała się szkarłatem i stąd wzięły się czerwone róże.

- Od tego czasu słowik odwiedza ją co noc, by śpiewać o boskiej miłości, lecz róża odmawia mu względów, gdyż nie było wołał Allaha, by kwiat mógł połączyć się z ptakiem. Więc chociaż drży, słuchając pieśni słowika, jej płatki pozostają stulone - kończy Esmo. Chwila ciszy.

- Trzy jabłka spadły z nieba - zaczynają unisono. - Jedno dla opowiadającego, jedno dla ciebie i jedno dla mnie.

I jedno dla ścian, które słyszą i widzą wszystko.

Śmieją się. Tak właśnie kończą się opowieści. Aż do porannej modlitwy oboje recytują wiersze i opowiadają historie, by wynagrodzić sobie to, czego dostać nie mogą. Nikt nie ma prawa dowiedzieć się o ich sekretnym świecie, gdzie czysta miłość niesie radość, połączoną z cierpieniem.

Za każdym razem, gdy się rozstają, Esmo daje Sulejmanowi chusteczkę pełną czegoś. Może to być na przykład wyborne rachatlukum od Hadżiego Bekira. Sulejman kłania się, wkłada fez i znika w mroku. Esmo rozwija dywanik modlitew-



ny, łączy czubki palców i kładzie się na nim z tajemniczym uśmiechem, w tej pozycji pozostaje, zwinięta niczym fasolka na swym modlitewnym strączku.

I tak jest co noc. Cóż, prawie...

Rankiem Gonca wchodzi do pokoju pani, przykrywa ją jedwabną kołdrą, utknaną z milionów kokonów. Kołdra stanowi podarunek od brata Esmy, Iskendera, jak powiadają, najlepszego wytwórcy jedwabiu w Bursie. Tego, który przybędzie tu dzisiaj i odmieni ich los.

Gonca wyczuwa unoszący się w sypialni zapach mężczyzny. Ona wie. Podobnie jak ja, wie, lecz nie zamierza mówić. Zdaje sobie sprawę, że gdyby dowiedzieli się o tym inni, mogliby ukamienować jej panią. Lub zadać niewypowiedziane cierpienia innego rodzaju. Esmą mogłaby zostać okaleczona, a mężczyzna wygnany. Goncę nadal prześladowuje wspomnienie kobiety, którą zobaczyła na pustyni, zakopaną po szyję w piasku, obok, zakopany po pas, tkwił jej kochanek, pozostawiony na łaskę sępów i przeznaczenia.

Kiedy słońce wygania nocne drapieżniki, nadchodzi pora, gdy przede mną na ulicy pojawiają się inni goście: sprzedawca jogurtu, szmaciarz, uliczne handlarki. Patrząc na nich i wiem, iż wyobrażają sobie procesję duchów, wyglądających tak, jakby na ich ponadczasowe twarze naciągnięto welon. Dom snów, szepczą między sobą.

W świetle dnia pojawia się, tym razem oficjalnie, Sulejman, wiosłując na swojej *kayık*. şükrü, chłopak na posyłki, pozdrawia go na nabrzeżu i prowadzi do Pokoju do Nauki, pełnego spiętrzonych w stosy starych map, dziwacznych instrumentów medycznych, które należały kiedyś do ojca chłopców - wielkiego uczonego, każdy to powie - oraz stojących w zwartym szeregu zakurzonych woluminów, niemal szepczących od nadmiaru nagromadzonej wiedzy.

Jednak największe zainteresowanie chłopców budzi bez wątpienia szkielet, jakże pomocny podczas lekcji anatomii. Jest to szkielet bardzo niskiego mężczy-

zny, nazywanego przez nich pieśczośliwie Yusufem. Opowiadają sobie historie o tym, kim był i co robił, zanim stał się szkieletem.

Odziani w czerń, podchodzą do Sulejmana i całują go w rękę, on zaś pociąga ich żartobliwie za uszy, po czym z właściwą mężczyznom powagą zasiadają całą trójką za niskim stołem. Sulejman wie, jak przyciągnąć uwagę chłopców.

Czekają w ciszy, podczas gdy nauczyciel miesza z wolna herbatę. Brzęk, brzęk, brzęk. Siorb. Cadri jak zawsze rozmarzony, Aladdin obracający niespokojnym ruchem ołówkę w dłoni.

Recytują słowo w słowo lekcję historii z poprzedniego dnia. Zdobyć Konstantynopola. I to, jak ich wielki sułtan, Mehmed Zdobywca, przeciągnął statki na naoliwionych saniach przez Galatę aż do Złotego Rogu i podbił starożytną stolicę imperium bizantyjskiego.

- A kiedy to się stało? - pyta Sulejman.

-W tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim - natychmiast odpowiada płynnie Cadri. - Wtedy gdy półksiężyc zatriumfował nad krzyżem.

- Czy coś jeszcze czyni tę datę szczególną?

-Tak, właśnie wtedy skończyło się średniowiecze. Muzułmanie zwyciężyli chrześcijan. Zmienili kościoły w meczety.

Mogliby też wyrecytować, jak to wielki admirał Barbarossa tracił swoją flotę, dopóki na niebie nie ukazały się pół księżyc i jasna gwiazda, bez wątpienia Wenus. Ten boski omen odmienił bieg historii. Potrzeba boskiej interwencji, aby odmienić los. Czyjkolwiek los. Gdziekolwiek.

Jest jeszcze opowieść o rogaliku. Kiedy tureccy najeźdźcy zbliżali się do bram Wiednia, mając na sztandarach gwiazdę i półksiężyc, piekarze w mieście zaczęli wypiekać bułki w kształcie półksiężyca, by ostrzec mieszkańców i zmobilizować ich do obrony. Czyż to nie dziwne, że zwyczajne śniadaniowe pieczywo urato-

wało Europę przed synami Allaha? Gdyby Turkom udało się zdobyć Wiedeń, pomyślcie tylko, co mogłoby się stać z cywilizacją Zachodu!

Sulejman każe im powtarzać: *Kaligrafia to nic innego, jak duchowa geometria, manifestująca się za pomocą fizycznego przyrzędu lub urządzenia, doskonałona dzięki ćwiczeniom, a podupadająca z powodu zaniedbania.*

Cadri kopiuje z wolna słowa ozdobnym, kaligraficznym pismem - od końca zeszytu do początku, od prawej strony do lewej. W ten sposób pracuje umysł chłopca: od prawej do lewej. Pozostanie tak przez resztę jego życia, choć wszystko wokół ulegnie zmianie. Od prawej do lewej - nigdy inaczej.

Jednak spojrzenie Aladdina sięga daleko. Malec liczy statki, wypływające z portu. Czterdzieści siedem. Czterdzieści osiem. Czterdzieści dziewięć. Słowa nie interesują chłopca. Pociąga go magia zmieniających się liczb. Już zatopił się w rachunkach, sięgając wzrokiem poza kontynenty, poza konstelacje.

- Dokąd tak wędrujesz spojrzeniem, synu? - pyta Sulejman.
- Co jest za Morzem Egejskim?
- Morze Śródziemne.
- A jeszcze dalej?
- Ocean Atlantycki.
- A za nim?
- Ameryka. Nieznany kontynent, odkryty przez Krzysztofa Kolumba.
- A czerwonoskórzy?
- Oni już tam byli.
- Więc jak Kolumb mógł odkryć miejsce, w którym już żyli ludzie? To była ich ziemia.
- Dostrzegasz prawdę, chłopcze.

Na zewnątrz coś się dzieje. Kobiety o zasłoniętych twarzach przybywają w swoich łódkach z eunuchami przy wiosłach lub w małych powozach, faetonach. Ich głosy docierają do pokoju szkolnego.

- *Yo-ho.*

- *Yo-ho, yo-ho*, Esmā. Jesteś w domu?

Dziewczęta zanoszą tobołki gości do *hamam*, a jedzenie, które przywiozły, do kuchni. Kobiety zdejmują zasłony. Esmā całuje każdą z nich w oba policzki, po czym, zasiadłszy na skraju krzesła, częstuje je świeżo zaparzoną turecką kawą w filiżankach o pojemności naparstka.

- Jak się masz?

- Dobrze. A ty?

- *Maşallah*. Chwała Bogu, nie ma powodu się skarżyć.

- A chłopcy?

- U nich też wszystko dobrze. Co tam w domu?

- Nie najlepiej. Ta rozpieszczona nowa żona miewa ataki zazdrości.

- Opowiedz, błagam.

- Och, to jeszcze zupełna młódka. Nie lubi, kiedy mężczyzna włóczy się po nocy. Będzie musiała się z tym pogodzić, i to szybko.

Starsza kobieta zaczyna płakać.

- Moi synowie zaciągnęli się do wojska.

- *Vah, vah!* Ach, ach!

- Przecież wojna się skończyła.

- Powiedzieli, że będzie następna. I tak dalej, bez końca.

Wchodzą pośpiesznie po schodach do tepidarium, sali ciepłych kąpiel, gdzie zdejmują wszystko, co mają na sobie, układają rzeczy na wysokich drewnianych kłodach, owijają się w miękkie ręczniki z Bursy i wkraczają do pełnego pary sanktuarium. Pozostają tam przez cały dzień, przesłonięte srebrną mgłą - nic, tyl-

ko piersi i biodra - wylewając wodę z marmurowych basenów, podczas gdy potoki henny spływają do wąskich rur, a zapach bzu i konwalii miesza się z nieprzyjemną wonią depilatorów z glinki. Ich głucho brzmiące głosy odbijają się od ścian, tłumione przez parę, unosząc się ku świetlikowi różowemu niczym rachatlukum. Myją i szorują się nawzajem, trąc skórę pumeksem i luffą, gąbką zrobioną z owocu tropikalnej rośliny, a wałeczki brudu spływają wraz z wodą o barwie tęczy aż do ich stóp jak świeżo wylęgłe kijanki.

W odosobnionym kącie stare kobiety wsypują niebieski proszek do miedzianych naczyń i płuczą siwe włosy w indy-go, by pięknie błyszcząły i mieniły się błękitem. Potem piorą bieliznę małymi kostkami indygo w marmurowych zlewach.

Przyglądają się sobie nawzajem. Starsze kobiety popatrują na ciała młodych dziewcząt, gdyż sprawia im to przyjemność. Tak, zazdroszczą im świetlistej skóry, niezniszczonych karmieniem piersi, ciasnych wagin. Dziewczęta noszą na kostkach stóp i na nadgarstkach amulety, które mają ochronić je przed złym okiem. Dzieci, porażone widokiem zwałów cellulitis, niekończącej się różnorodności form piersi i trójkątów w miejscu, gdzie spotykają się uda, gapią się na stare i młode bez różnicy.

Kobiety, istne mistrzyni depilacji i czarodziejki cytrynowej papki, przyklejają energicznie plastry na swoje wzgórki, ramiona, nogi, nawet nozdrza i uszy. Wyrwują włosy, popiskując z bólu. Bóg stworzył kobietę bez włosów. Popełniła jednak wielki grzech i odtąd włosy rosną jej jak wszystkim innym zwierzętom. By przypominać o wstydzie. Dlatego wszelki ślad po nich musi zostać usunięty.

Tak zatem wygląda tu codzienne życie. Mniej więcej, dzień po dniu. Dzisiejszy różni się jednak nieco od innych, ponieważ z Bursy przybył w odwiedziny

Iskender. Chce namówić siostrę, aby zabrała chłopców i przyjechała z nimi na plantację. Wierzy, iż będą tam bezpieczniejsi, ponieważ rozeszły się plotki, że siły sprzymierzonych zamierzają okupować Smyrnę.

Na razie zajmuje się trochę interesami. Znajomy, zwany z racji wyglądu Fretką, przychodzi go odwiedzić, po czym zakrada się do łazienki w drodze na piętro i zagląda do *hamam* przez dziurę w ścianie, którą sam wywiercił. Jego arterie o mało nie pękają, jakby wypełnił je szkodliwy gaz. Przygląda się nagim kobietom, oddychając ciężko, a potem wsuwa ręce w spodnie i groteskowo nimi potrząsa.

Od miesięcy śledzi zapach Esmy w korytarzach, węsząc w pomieszczeniach, które dopiero co opuściła, liżąc ściany, pieszcząc draperie. Taki już z niego człowiek o lubieżnych, podejrzanie zalatujących intencjach.

Okolo południa parujące ciała zalegają rozciągnięte na chłodnych kafelkach. Piękny głos muezina rozbrzmiewa na zewnątrz - zawsze na zewnątrz, w nieprzyjaznym dla kobiet świecie. Wznosi się do nieba, jakby upojony boską pieśnią. Kobiety ustawiają się w krąg, wznoszą dłonie i mamroczą unisono tajemnicze modlitwy.

Tymczasem w olbrzymiej piwnicy dziewczęta trują się, zanurzwszy ręce po łokcie w mące i jajkach. Rozwałkują olbrzymie kręgi ciasta, aż staną się cienkie niczym papier, a potem rozkładają je na dużych tacach i napełniają farszem z oberżyny pistacji i fig. Posłaniec, şukrii, śpieszy do ceglanego pieca na końcu ulicy, niosąc w uniesionych nad głową dłoniach tace. Wygląda przy tym jak koryncka kariatyda. Biegnie, zachowując doskonałą równowagę, a jego muskularne, złociste ramiona i blond wąsik wywierają na dziewczętach takie wrażenie, że te oblewają się rumieńcem i zaczynają chichotać.

Gonca także oblewa się rumieńcem, lecz nie wie, że chłopak zapalał namiętnością do jej siostry o bujnych kobiecych kształtach, Ayşe. Codziennie przed świtem, gdy zmierza do piekarni, zakrada się do okna jej pokoju, korzystając z dróż-

ki przeznaczonej dla stróża. Kraty oddzielają ich od siebie, lecz tylko na odległość ramion. Ayşe obnaża dla niego piersi, po jednej za każdym razem. Od czasu do czasu chłopak przynosi jej melasę z winogron, a wtedy dziewczyna pozwala mu dotknąć swoich sutek i szczytać je. Czasami podarkiem jest *tahini*, pasta o konsystencji oleju z roztartych ziaren sezamowych, nadająca potrawom orzechowy smak. Zakochani gruchają i zawodzą w niewyobrażalnej ekstazie, budząc śpiące na grzędach gołębie.

Iskender zaprosił Fretkę na *mezes*, przekąski oraz *raki*, anyżówkę - przejrzysty napój, który derwisze nazywają białym pismem lub niewidzialnym atramentem. Fretka wyciska grubymi paluchami pestki z oliwek i spogląda za okno, gdzie chłopcy machają na pożegnanie odpływającemu łódką Sulejmanowi.

- Chłopcy potrzebują lepszego kształcenia - mówi do Iskendera. - Dlaczego nie pošlesz ich do liceum?

- Siostra woli prywatnego nauczyciela. Sulejman to mądry chłopak. Wykształcony. Twórczy. Chłopcy go lubią.

- Ale kieszenie ma puste - mówi Fretka. - I pełne dziur. Nosi długie do ramion włosy i ubiera się jak ci zdegenerowani Francuzi. Wolnomyślicielskie idee, zapożyczone od młodoturków. Zły przykład dla chłopców, których ojcem mam nadzieję kiedyś zostać.

- Ach!

Iskender pociąga długi łyk *raki*, udając, że nie zrozumiał aluzji. Nie zdradzi temu zuchwalcowi, że planuje zabrać siostrę z powrotem na plantację.

- Sulejman to porządny facet. Szczery. Uczciwy. Dobrze wychowany. Miły.

- Tylko, jeśli ktoś jest ślepy na występek.

- To znaczy?

- Cóż, ludzie gadają...

Paskudny uśmieszek. Fretka szepcze coś Iskenderowi do ucha.



Iskender marszczy gniewnie brwi. Prosi Fretkę, by wyszedł.

Tej nocy Iskender, rozciągnięty wygodnie przed płonącym piecykiem, pali, poddając się skrywanemu nałogowi. Obserwuje procesję duchów, paradujących w nieskończoność po niewidzialnej scenie. Ból zanika, kontury świata zacierają się, rozpływają. Szepty w mieście, ciągnące się niczym toffi. Dźwięki muzyki w odległych pokojach, oderwane zdania. Głęboki, basowy ton rogów mgłowych. Lament dawno zmarłej kobiety, poruszającej złotą kołyską. Niewidzialne ręce, wyciągające się ze ścian, aby go pieścić. Wszystko, czego dotyka, staje się przedłużeniem jego własnych kończyn.

Przez całą długą noc unosi się w korytarzu z jedwabiu, podczas gdy dziewczęta i dzieci śpią. O zwykłej porze przybywa do pokoju Esmę Sulejman. Siedzą naprzeciw siebie, szepcząc, gdyż zdają sobie sprawę, jak wrażliwe zmysły ma Iskender. Wiedzą, że potrafi wyczuć, co dzieje się w innych pomieszczeniach.

Iskender rzeczywiście ich słyszy, choć nie potrafi rozróżnić słów. Poezja brzmi dla niego jak brzęczenie siedemnastoletniej szarańczy, która, jak słyszał, spadła z nieba gdzieś na Dalekim Wschodzie. Podróżował swego czasu do Isfahanu, gdzie dołączył do karawany wielbłądów, zdążającej do odległych krain i miast Jedwabnego Szlaku: Samarkandy, Taszkentu i Buchary, dzierżąc pod pachą *Podróż Marco Polo*, poszukując źródeł tureckiej cywilizacji. Odważył się nawet przejść Takla Makan, śmiertelnie niebezpieczną pustynię, której bali się wszyscy podróżujący do ziem Ujgurów - przebył ją dzięki wielbłądom, a także sekretnej wiedzy o tym, gdzie znajdują się źródła życiodajnej wody. Dotarł w końcu aż do Chińskiego Muru. Tutaj dopadła go choroba, wywołująca majaki. Miejscowi leczyli go, nakłuwając dziwnymi igłami, a także podając opium, które miało towarzyszyć Iskenderowi już do końca życia.



O świcie, nadal nie śpiąc, podnosi się na wpół przytomny na dźwięk wyśpiewywanej przez muezina modlitwy i wygląda przez okno. Pośród chłodnej ciemności obsydianu dostrzega sylwetkę mężczyzny wchodzącego ostrożnie po niewidocznych stopniach. Cóż za poetyczna wizja, myśli. Jednak, jako patriarcha, ma wobec swego rodu zobowiązania. Nie może pozwolić, by jego rodzina straciła twarz.

Esmę klęczała pochylona w modlitwie, gdy usłyszała strzały. Jeden, potem drugi i trzeci. Wybiegła na balkon. Woń, przesycająca powietrze, była jej znajoma. Rozpoznała zapach spalonego prochu. Zapach fabryk ojca. Zapach dzieciństwa. Saletra i siarka.

Kto? Kto? Kto? - zahuczała złotopióra sowa, totem jej ukochanego. Ledwie widoczna postać, uzbrojona w strzelbę, stała powyżej, odcinając się na tle obsydianu. Nie, Boże, nie! Zobaczyła, że Iskender schodzi. Ból wypełnił jej pierś. Wszystkie drzwi prowadzące na zewnątrz zatrzasnęły się. Uczucia i słowa pozostały w sercu i umyśle Esmę, zamknięte tam na głucho. Zemdląca.

Gdy nastał nowy dzień, na pozór wszystko zdawało się przebiegać normalnie. Domokrażcy pokrzykiwali, dziewczęta budziły się, chłopak na posyłki wrzucał węgiel do pieca, Iskender zasiadł do śniadania, złożonego z fety i oliwek. Przybyła też *kayık*. Lecz zamiast Sulejmana przyplłynął nią młody Doktor Eliksir, którego Iskender zaprowadził do pokoju Esmę. Mrocznego jak on sam.

Na łóżku rozpostarto prześcieradło, by lekarz nie widział twarzy pacjentki. Przez otwór w prześcieradle wsunął podobne do ostrza kosi palce, szukając po omacku intymnych części ciała. Badanie miednicy przez dotyk. Gonca poprowadziła jego rękę, aby złagodzić ból, i wreszcie doktor wsunął w Esmę palce, szukając dowodu.

Esma płakała, a po drugiej stronie zasłony płakała też Gonca.

Doktor potrząsnął głową.

- Został pan źle poinformowany - powiedział, podchodząc do drzwi. - Nie ma dowodu, że miał tu miejsce występki. Pańska siostra jest kobietą cnotliwą. Zawsze była.

Chłopcy chcieli wiedzieć, dlaczego ich nauczyciel nie przybył. I dlaczego matka została w swoim pokoju, a im nie wolno nawet się z nią zobaczyć. I choć Esma tłumiła płacz poduszką, starając się chronić synów, oni i tak wiedzieli, że stało się coś okropnie smutnego.

Gonca nakarmiła malców do syta rachatlukum, by nieco złagodzić ich osamotnienie. Ostrzygła im włosy. Pokazała, jak robić łódki z papieru, puszczając je na wodę, a potem podpalać. Aladdin rysował mapy. Cadri pisał wiersze, kaligrafując je starannie. Każde z nich odeszło ku własnej pustyni.

Iskender schronił się w swoim pokoju, gdzie zaciągnąwszy zasłony, podsycał ogień, dopóki główne nie zaczęły szeptać poprzez mieniący się różnymi barwami czerwieni żar. Próbował przeproszać, lecz Esma zanurzyła twarz w poduszki. Wiedział, że odmówi powrotu na plantację. Być może nigdy jej już nie zobaczy. Wcisnął do bursztynowej fajki czarną pastę, cuchnącą jak nawóz. Przełknął dym i pogрузił się głęboko w aksamitnym zapomnieniu. W dłoni ścisnął chusteczkę, którą upuścił Sulejman. W środku znajdowała się bryłka bursztynu w kształcie jajka. Przytrzymał ją nad płomieniem świecy i zobaczył ćmę, wydostającą się z kokonu. Oczy owada były otwarte, choć nie rozpostarł jeszcze skrzydeł. Jakie to niewiarygodne, zobaczyć coś, co istniało tak dawno temu, pochwycone i utrwalone w chwili metamorfozy!

Wkrótce zapadł w sen, którego nie mógł zakłócić nawet cichy szloch, dobiegający ze znajdującej się dokładnie powyżej sypialni siostry. Skomlenie i płacz Esmy brzmiały niczym pieśń jeszcze jednej syreny. Jakby letni wiatr, *imbat*,

przynosił głosy lamentujących Trojanek z Dardaneli. Kobiet, które utraciły swoich mężczyzn. Nie ma pieśni piękniejszej niż ta, którą dyktuje rozpacz.

O świecie Iskender wyjechał. Od tego czasu ani razu się nie uśmiechnął. Uczynił to dopiero, gdy był już bardzo starym człowiekiem.

Esmę opłakiwała Sulejmana miesiącami, zamknięta w swojej sypialni. Chciała umrzeć, ale nie mogła znieść myśli o tym, że miałaby opuścić synów. Każda dusza musi stawić kiedyś czoło rozpacz, spowodowanej stratą, i opłakać ją. Życie to nic innego, jak piekło niespełnionych pragnień.

Gonca odczytywała przyszłość z pajęczych sieci; czytała z kamieni i kawowych fusów.

- W twoim sercu mieszka ciemność - mówiła do Esmy, zaglądając w głąb jej filizanki. - Azrael, anioł śmierci, przysiadł na twym ramieniu niczym sęp. Próbujesz dosięgnąć kogoś po drugiej stronie, lecz nie jest to możliwe, ponieważ ten ktoś jeszcze się tam nie znalazł. Widzę, jak idzie po moście. Widzę niespodziewane spotkanie. Lecz przed tym widzę gorsze rzeczy. Ciemne chmury na płonącym niebie. Och, pani, módl się, by ten wiatr ustał. Módl się.

Imperium otomańskie i Niemcy zostali pobici pod koniec wielkiej wojny i wkrótce po ogłoszeniu zawieszenia broni, w Mudros w roku 1918, wojska sprzymierzonych zaczęły okupować Anatolie. Alianci podzielili wspaniałe imperium - olbrzymią połączyli ziemi, rozciągającą się od Kaukazu po Zatokę Perską i od Dunaju po Egipt. Najechali Sambuł. Brytyjczycy zajęli Urfe, Antep i wschód. Francuzi prowincję Adana oraz południe. Włoskie oddziały stacjonowały w środkowej Konyi i wzdłuż drogi do Antalii. Jedynie wewnątrz kraju pozostało wolne od najeźdźców.

Pewnego mrocznego majowego dnia w 1919 roku Grecy zajęli Smyrnę. Na niebie pojawił się cyklon, odmieniając los miasta.

W tej jakże krytycznej chwili parlament turecki rozwiązał się, a sułtan poddał się woli sprzymierzonych, ulegając głosowi, rozbrzmiewającemu w całym narodzie, który walczył wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego. Głos ów wołał: „Niepodległość lub śmierć!” Hasło to wkrótce stało się chwytliwym sloganem. Ludzie pokładali wszystkie nadzieje w nowym bohaterze, dowódcy armii Błyskawica, bohaterze spod Gallipoli. Ów bohater nazywał się Mustafa Kemal.

Tak rozpoczęła się wojna o niepodległość. Wzięli w niej udział wszyscy, nawet dzieci i babcie. Ludzie, którzy żyli obok siebie przez setki lat, którzy wymieszali się ze sobą tak, że nie sposób byłoby ich rozdzielić, nagle jakby stracili rozum, poddając się wojennemu amokowi. Turcy, Ormianie, Grecy, Albańczycy, Kurdowie, Żydzi, Rumowie, czyli Grecy zamieszkali w imperium otomańskim - wszyscy oszaleli. Wiele starych, bogatych lewantyńskich rodzin, przewidując, co może się wydarzyć, opuściło kraj, wywożąc swoje bogactwa. Całe armie oszalały, zarażając się ziarnem zła. Rodziny poszły w rozsypkę, brat mordował brata (jak to możliwe!), przyjaciele zdradzali się nawzajem, podczas gdy greccy żołnierze przemierzali ulice, ogłuchli od zawodzenia duchów.

Mężczyźni odeszli ze Smyrny. Nawet chłopak na posyłki, şükrü, nie czuwał już nad rodziną. Pewnego dnia ogolił głowę, zarzucił worek na szerokie ramiona, pożegnał się i ruszył na front. Gonca i Ayşe opłakiwały go po cichu. Jedna płakała z miłości, druga z pożądania.

Kobiety, pozbawione męskiej opieki, zabarykadowały się w moim wnętrzu. Dziewczęta czuwały za szczelnie zamkniętymi kratami, kupując chleb i jogurt od

handlarzy z czarnego rynku. Oportuniści krążyli po mieście niczym głodne szczury, tucząc się na cudzym nieszczęściu.

Kiedy służąca sąsiadów zginęła, zastrzelona podczas wieszania upranej bielizny, Esmę zabroniła chłopcom wychodzić na taras na dachu. Oczywiście, i tak to robili. Zakradali się tam, by obserwować statki różnych bander w porcie -jak chłopiec mógłby oprzeć się czemuś takiemu? Orgia kolorów na niebie, karmazyn i czerń, zupełnie jak łódki Goncy, które składali, by potem je podpalić. Powietrze przesyciła woń prochu, snująca się leniwie, odurzająca niczym smród skunksa. Z oddali dobiegał huk dział. Szrapnele. Martwe konie. Krzyki.

Pewnego razu, gdy Gonca wciągnęła koszyk, który spuściła, by kupić nieco jedzenia od ulicznego handlarza, ze zdumieniem przekonała się, że w środku znajduje się kurczak. Podekscytowana, natychmiast pokazała ten rzadki przysmak pani.

Nie wiedziały, kto go przysłał, ale ponieważ wypadały akurat urodziny chłopców, Esmę postanowiła, że dla ich uczczenia przyrządzą kurczaka po czerkiesku. W głębokiej piwnicy przechowało się jeszcze trochę włoskich orzechów z ostatniego lata. Kiedy sięgnęła w głąb drobnej tuszki, aby wydobyć wnętrzności, namacała coś twardego i metalicznego. Był to klucz. Co za absurd! Dlaczego ktoś miałby wkładać klucz do wychudzonego kurczaka?

Umyła klucz i wypolerowała. Był bardzo starannie wykonany.

- Co zamierzasz z nim zrobić, pani? - spytała Ayşe.

- Nie wiem.

Instykt podpowiadał Esmie, że powinna zatrzymać klucz, choć nie wiedziała po co. Schowała go do stojącego na toalecie pudełka z macicy perłowej, w którym przechowywała spinki do włosów.

Dzieci były niespokojne. Nabrały zwyczaju bawienia się pod ziemią, gdzie tunele, wykute, gdy greccy piraci najeżdżali miasta na wybrzeżu Morza Egejskie-

go, tworzyły istną plątaninę podziemnych korytarzy. Ta przesycona wilgocią ciemność należała teraz do dzieci ze Smyrny. Ukrywały się w olbrzymich cysterbach, w których ginęli nieraz ludzie, a które za czasów rzymskich służyły jako dodatkowe kanały ściekowe. Pogłoski o ukrytych w nich skarbach wabiły malców, choć z drugiej strony plotki o tym, iż w oleistych wodach podziemia żyją oślizgłe prehistoryczne stwory, powstrzymywały ich, by nie zapuszczali się zbyt daleko.

Tam, w dole, było co prawda ciemno, wilgotno i dosyć przerażająco, ale nikt ich nie widział i chłopcy mogli ściągać spodnie, pokazywać sobie nawzajem swoje „narządy”, a czasami nawet ich dotykać, gdyż przyjemnie było dotykać rzeczy w ciemności.

Czekali, aż przejeżdżający górą tramwaj sprawi, że ściany zaczną drżeć, jakby zaraz miało nastąpić trzęsienie ziemi. Z kolei odgłos jadącego ulicą ciągnika lub czołgu brzmiał tu, na dole, niczym ryk uwięzionego w labiryncie Minotaura.

Dzieciaki, przekonane, że ściga je bestia, podsycaly nawzajem swój strach, aż w końcu, gnane histerią i adrenaliną, zmykały na górę, by znaleźć schronienie w gładkich jak jedwab ramionach matki.

Wkrótce po tym, jak Esmą otrzymała kurczaka, zjawili się dwaj mężczyźni, dźwigający piękną orzechową szafę, która jakimś cudem przetrwała wojenną zawieruchę.

- Ale kto mi ją przysłał?

Powiedzieli Esmie, że szafę przysłał jej brat, Iskender. Znalazł ją w mieście Saffron, słynącym z kunsztu swych rzemieślników. Esmą z początku nie chciała im uwierzyć; wydawało się absurdalne, by w czas wojny, głodu i wszelkich braków brat zawracał sobie głowę przysyłaniem jej takiego prezentu, nawet po to, by prosić ją o wybaczenie. Ludzie nie mieli dość chleba i węgla.

Lecz Gonca zajrzała w głąb filizanki i nakłoniła Esmę, by przyjęła tajemniczy mebel. Nie godzi się odrzucać podarku. Mężczyźni ledwo dali radę wnieść szafę po schodach, musiała więc być ciężka. Esma poprosiła, by ją otwarli, lecz powiedzieli, że jest zamknięta na klucz.

-Go za pożytek z zamkniętej szafy? - skarżyła się Ayşe. -Przyda się chyba tylko na opał.

- I gdzie ja teraz znajdę ślusarza?

Okazało się to niepotrzebne. Tej nocy, gdy Esma uklękła na swym dywaniku, modląc się za zmarłego kochanka, mogła myśleć tylko o jednym. Czuła go tak blisko siebie, jakby znajdował się w tym samym pomieszczeniu. Wyczuwała jego obecność. Niemal słyszała, jak szepce jej imię.

- Esma, Esma.

Przepęniał ją lęk, a zarazem trwożne oczekiwanie. Niepewność i euforia.

-Esma, Esma - powtórzył głos, wypierając z myśli wszelką wątpliwość co do osoby mówiącego. Nie widziała dotąd ducha, lecz posiadała otwarty umysł. Nie miała nic przeciwko temu, by go zobaczyć.

- Sulejman!

Z początku wydawało się, że odgłos dochodzi z wnętrza ścian albo jest to tylko szelest liści. Lecz kiedy wyteżyła słuch, usłyszała dobiegające z wnętrza szafy stukanie.

- Klucz! - szepnął głos. - Proszę, pośpiesz się!

- Klucz!

Esma, cała drżąca, sięgnęła do szkatułki. Klucz. Jest.

Pasował doskonale. Otworzyła szafę.

Z niej zaś, miast emanacji ektoplazmy, wyłonił się Sulejman, żywy, z krwi i kości, odziany w mundur w kolorze khaki, z mosiężnymi guzikami połyskującymi w mroku. Zaczerpnął raptownie powietrza.



- Wydaje mi się, że spędziłem tam wiele dni, ale straciłem rachubę czasu. Moje zmysły nie pracują jak należy.

Pomimo podkrążonych ze zmęczenia oczu, wychudzenia i opuchniętych od wilgoci stawów promieniował nieziemskim blaskiem. Coś sprawiło, że zarys jego szczęki był teraz wyraźniejszy, w oczach malował się smutek, a głos brzmiał bardziej szorstko, lecz Sulejman nie był duchem. Wyciągnął rękę i dotknął twarzy Esmy.

- Myślałam, że mój brat...

- Strzelił tylko po to, żeby mnie ostrzec, pokazać mi, co zrobi, jeśli pokażę ci się na oczy.

- Uznałam cię już za męczennika - powiedziała z płaczem. - Dzięki Bogu, pojawiłeś się przede mną niczym jeden z siedmiu śpiących z Efezu.

Sulejman zdjął tunikę z wysokim kołnierzykiem i czapkę z karakułów. Włosy miał ostrzyżone po wojskowemu, jak *mehmetcik*, turecki żołnierz. Gorzki los dla pacyfisty. Prawdę mówiąc, dla każdego. Zwłaszcza dla Sulejmana.

- Złożę w ofierze najtłustszego barana w całej Anatolii - powiedziała Esma. - Ochronię cię.

- W Anatolii nie ma już tłustych baranów. - Sulejman zaśmiał się z ironią. - Nie wiesz nawet, jaki to cud, że udało mi się znaleźć kurczaka. Lecz, błagam, serce, daj mi coś do jedzenia. Czuję, że zaraz dusza opuści moje ciało.

W piwnicy pachniało ciepłym mlekiem i cynamonem. Gonca mieszała *salep*, ciepły napój z mleka, doprawionego korzeniem storczyka *Orchis mascula*. Gdy zobaczyła, jak Esma wpada do kuchni, uświadomiła sobie, że coś uzdrowiło jej panią. Milczała jednak, bojąc się, że słowa mogą odczynić zaklęcie. Przyglądała się więc tylko, jak Esma pośpiesznie układa jedzenie na tacy i biegnie na górę.



Sulejman żarłocznie przełknął sfermentowany napój, pożarł ciemny chleb. Potem Esma nalala wody z miedzianego dzbanka i przystąpiła do ablucji. Poczynając od prawej strony, umyła mu ręce, stopy. On zaś ocierał jej łzy.

Niebiosom niech będą dzięki. O, tak. Tej nocy Sulejman promieniował żarem, widocznym jedynie na malowidłach, przedstawiających to co boskie. Płomienie dobywały się z jego ciała, ożywiając wszystko dokoła. W powietrzu słychać było dzwonięcie, pieśń ciszy, na swój sposób bardziej nieodparte niż śpiew syren. Esma poddała się mu, pozwalając, by obmywało ze wszystkich stron jej ciało. Sulejman wyciągnął do Esmy rękę, pozerając ukochaną spojrzeniem.

Zmusili się, by usiąść razem na sofie w stylu Ludwika XV -jak dawniej, z dala od siebie. Patrzyli na niebo, aby się uspokoić. W nagrodę pozwolono im doświadczyć cudu. Tej nocy dostrzegli coś, czego nie zobaczył nikt inny. Zamiast jednego zobaczyli na niebie dwa księżyce. Tak to przynajmniej wyglądało. Zbliżały się do siebie, przezierając przez mknące szybko po niebie chmury. I oni także zaczęli zbliżać się do siebie. Tak jak księżyce. Bijący od nich blask z każdą chwilą przybierał na sile, aż wreszcie pochłonęła ich konstelacja niezaspokojonych namiętności.

W swoim pokoju Gonca także zobaczyła dwa księżyce. Wiedziała, że to zamięnienie - dla niej złowróżbny znak. Okadziła sypialnię chłopców tłącymi się gałązkami jałowca. Aby ochronić ich przed złym okiem, zapaliła wrzosową świecę dla Eskulapa, boga uzdrowiciela, i pozwoliła jej wypalić się do końca.

Tymczasem tu, w dole, na ziemi, Esma rozwinęła swój dywanik modlitewny, zdjęła ubranie tak, jak robiła to w łaźni, i okryła nagość szalem, nim położyła się na dywanie i rozsunała nogi. Z dala od obsydianowej skały.

Sulejman ukląkł i dotknął czołem czoła Esmy. Zaczęli poruszać się w ciemności, migotliwi jak zmieniające się barwy nieba, jak deseń i kolor szala, jak dywan i zlewające się ze sobą, pozbawione konturów płytki podłogi.

*Godzina za godziną,  
Nie doświadczywszy nigdy większej rozkoszy  
Ani gorętszej modlitwy Niż ta, ostatnia.*

Nim nastał świt, Sulejman zniknął.

Od tego dnia Esmā pogrąża się w modlitwie. Zachowuje się, jakby straciła rozum. Jak inne kobiety, które wojna przywiodła do szaleństwa. Przez cały dzień pochyla kruche ciało, bijąc nieustanne pokłony, aż niemal przypomina szkielet, a potem zaczyna puchnąć jak głodujące dziecko. Rankami wymiotuje. Nocami pada z wyczerpania.

O świcie, gdy Gonca przychodzi, by ją okryć, dotyka czoła pani, sprawdzając, czy jest rozpalone, bada jej puls i pyta siebie w myśli: „Och, bogini. Co teraz zrobimy?” Wie, że Esmā spodziewa się dziecka. Jest tego pewna. Ma doświadczenie, gdyż pomagała przy porodach córki imama, a przedtem innych dziewcząt. I, wiem o tym dobrze, zachowuje pozory spokoju, podczas gdy wojna niszczy moją skórę. Próbuję ocalić tych, którzy we mnie mieszkają. Jestem solidny, dobrze zbudowany.

W nocy Fretka, obleśny staruch, który przyczynił Esmie tyle cierpienia, skrada się wokół domu, mętne oczka błyszczą w obrzmiałej twarzy niczym u drapieżnika okrążającego ofiarę. Wyteża słuch, aby podchwycić szmer rozmów, rozdymana nozdrza, a oczy niemal wychodzą mu z orbit, tak bardzo stara się dostrzec, co dzieje się we wnętrzu. Jest jak choroba, chromowozółty i mefityczny. Pewnego razu oddaje mocz na mur, znacząc swoje terytorium. Gdybym miał łzy, pewnie bym zapłakał. Gdybym miał głos, zakląłbym.

Gdybym miał ręce, poderżnąłbym mu gardło. Jednak Opatrzność widać czuwa nad nami, gdyż nocny stróż przyłapuje go na gorącym uczynku i wraz z pomocnikami kopniakiem odpędza od ściany. Spuszczają mu tęgie lanie. Łup, łup, trzask, prask. Tap, tap.

- Sukinsyn! Zmiataj stąd! Idź sikać na swoją matkę! Mniej więcej w tym samym czasie jakiś żołnierz przynosi list, nagryzmołony na smołowanym papierze, i podaje go przez otwór do wrzucania korespondencji.

-Przyrzeknij, że nikomu o tym nie powiesz, radości moich oczu - mówi Esma, podając list Cadriemu. - Przeczytaj mi to. Czytaj.

Chłopiec czyta płynnie:

*W górach, przenoszę rozkazy. Ziemia jest mi posłaniem. Dachem niebo. Ty i chłopcy moimi gwiazdami. Dlaczego musimy? Zadaję sobie to pytanie za każdym razem, gdy oddycham. Dlaczego? Lecz kiedy wrócę i przezwyciężymy to, co nas dzieli, wiem, wiem to na pewno: znajdziemy trochę szczęścia. Jesteś obecna w moich myślach, w moich marzeniach, ukochana. Jesteś moją duszą.*

Nie ma podpisu. Nie jest potrzebny. Chłopiec rozpoznaje pismo.

-Dlaczego musimy? - pyta, uświadamiając sobie wagę tego pytania, nieprzygotowany na jego konsekwencje. - Co się stało z jajkiem z ćmą w środku?

Po raz pierwszy widzi, jak z oczu matki spadają łzy w kształcie diamentów i gromadzą się w stos na jej kolanach. Diamenty, które ocala rodzinę od nędzy w następnych latach, gdy sprawy przybiorą o wiele gorszy obrót.

Pomimo że wszystko wokół niej się rozpada, a w brzuchu porusza się dziecko, Esma wie, że musi się zmobilizować i znaleźć spokojne miejsce, gdzie plotki tego zniszczonego miasta nie zdołają wyrządzić jej krzywdy. Gdzie będzie mogła być blisko swej siostry Mihriban. Gdzie jej synowie i dziewczęta zaznają wreszcie wytchnienia. Gdzie urodzi w jedwabnym osamotnieniu.

Tak więc, pewnego dnia, rodzina mnie opuszcza.

Cóż za samotne chwile potem nastąpiły! Opuszczony. Zabity deskami, by zapobiec plądrowaniu, zmuszony przysłuchiwać się cichemu lamentowi płonących wokół mnie domów. Tak, domy cierpią, gdy trawi je pożar, zalewa powódź czy dręczy mróz. Wdzięczny jestem za to, iż zostałem oszczędzony. Ciemność na zewnątrz, martwa pustka wewnątrz. Dużo wtedy spałem, aby odizolować się od żywiołów.

Wszystkie pożądamy miłego usytuowania. Dobrego projektu. Solidnej konstrukcji. Harmonii z otoczeniem. Miłych mieszkańców. Stałej opieki. Długiego życia. Czulej miłości i troski. Dzięki temu żyjemy. I, ze swej strony, czynimy to samo. Określamy wewnętrzny krajobraz tych, którzy w nas mieszkają.

Musiałem spać miesiącami, niepewny mego losu, gromadząc kurz, nie wiedząc, czy nie zostanę porzucony na łaskę losu lub zdany na pastwę czyichś kaprysów, zwłaszcza osoby, która miałaby na względzie jedynie zysk. Jakże szybko zacząłem się rozpadać! Straciłem wolę i chęć życia.

A gdy już niemal wyzbyłem się nadziei, że mogę ich jeszcze kiedyś zobaczyć, pewnego dnia wrócili. Esmā z pustym łonem, lecz bez dziecka w ramionach. Z przygasłym spojrzeniem i zaciśniętymi w grymasie ustami. Chłopcy wyżsi. Dziewczęta starsze i bardziej powykrzywiane. Przejrzały owoc.

Tymczasem sprawy miały się ku gorszemu. Pewnego ponurego wrześnieowego dnia wojska tureckie weszły do Smyrny. Zmusiły Greków, by wycofali się, a flotę - by odpłynęła, zabierając rzesze emigrantów. Straszny gniew rozpostarł się na niebie niczym czarny dym. A kiedy zaczął wiać *imbat*, języki płomieni rozprzestrzeniły się gwałtownie, podczas gdy syreny wyły złowróźnie, by ostrzec mieszkańców miasta. Ogień szybko przeniósł się z dzielnicy ormiańskiej do Al-sancak, a potem do Konak, skąd okrężną drogą przedostał się na obrzeża Karantiny i Güzel Yah.

Gdy hordy przewalały się przez miasto, plądrując, co się da, nienawiść podążała ich śladem, rozprzestrzeniając się niczym zaraza. Niewielkie pożary pochłonęły domy i sklepy między kościołem Świętego Stefana a bazarem owocowym. Płomienie ogarnęły szczyty palm. Spłonęły domy o rzeźbionych kratkach, które nadały nazwę dzielnicom. A także rajskie ogrody. Świątynie, marmurowe posągi wielkich bóstw, gimnazjony, miejsca wysnione. Gmachy, kopuły, minarety. Świadectwa czterech tysięcy lat ludzkiej obecności zniknęły z powierzchni ziemi w ciągu jednego zaledwie dnia. Tak po prostu. Czyż można wybaczyć podobne szaleństwo? Strażacy miotali się wokół na ciężkich koniach, zrywając zabezpieczenia, wierząc dziury w cysternach w poszukiwaniu resztek wody. Pompy przestały działać. Wężę się paliły. Mężczyźni biegali, dźwigając wiadra słonej wody z zatoki. Esmę i chłopcy obserwowali, jak ogień pochłania znajomy krajobraz. Z przyciśniętymi do szyb nosami wyglądali, jakby wpatrywali się w drugą stronę rzeczywistości, skąd nie ma już powrotu. Patrzyli, dopóki szyby nie popękały od gorąca, powielając odbicia ich twarzy w każdym odłamku szkła i na zawsze łamiąc im serca.

Wiatr zdawał się uspokajać, a potem zmienił nieoczekiwanie kierunek i powiał w naszą stronę. Okiennice były już zamknięte. Służba wybiegła do ogrodu, gdzie zaczęła gorączkowo pompować wodę ze studni i nalewać ją do garnków i sagarów, które następnie ustawiała wzdłuż ogrodzenia.

Z morza płomieni wyłonił się nagle Fretka, czerwony na twarzy i wielce podniecony.

- Zostaw to i chodź ze mną - błagał Esmę.

- Jak mogłeś przypuszczać, że zostawiłabym swój dom w takiej chwili? - powiedziała, trzymając przy ustach skraj szala. - Jeśli jego przeznaczeniem jest spłonąć, spłonę razem z nim.

Modliła się o lód, gdyż nie wiedziała, o co jeszcze mogłaby się modlić.

Płomienie pożerały teraz sklepiki w dole ulicy: mleczarnię, rzeźnika, sklep spożywczy. Kule ognia pęczniały, a potem rozpadały się i zamieniały w kłęby wirującego dymu. Niektórzy spośród sąsiadów, obawiając się plądrującej hołoty, pozamykali się w domach, pozwalając, by pochłonęły ich płomienie. Niektórzy skakali z okien i w ten sposób znajdowali śmierć. Jeszcze inni biegali po ulicach, dźwigając meble, litografie, świeczniki - co tylko udało się im ocalić. Popioły i żużel pokryły wszystkich wokoło, jakby w pobliżu wybuchł wulkan. Przesłonięty dymem tłum postaci doszedł do linii wody i rzucił się w morze. Inni, zahipnotyzowani ogniem, wchodzili w płomienie, wyobrażając sobie, że są na nie odporniczym salamandry.

Burza płomieni miała w sobie jakieś nieprzyzwoite piękno. Stałem tam, nieruchomy, przykuty do miejsca, bezradny wobec intensywności żaru, godząc się z przeznaczeniem. Nie ma wyjścia, przyjdzie mi cierpieć straszliwą śmierć od płomieni. I właśnie w tej chwili uświadomiłem sobie, że ja także mam duszę. Moje ciało zginie w ogniu, lecz przecież coś pozostanie. Nie żyjemy jedynie w przestrzeni, ale i w czasie.

Esmą patrzyła, jak drzewko Adonisa staje w płomieniach. Czowała, że zbliża się koniec. Przytuliła chłopców do piersi i dalej się modliła. Uniosła w górę ręce i płakała przed obliczem wielkiego, męskiego Boga.

Twarz Fretki błyskała od czasu do czasu pośród ognia niczym oblicze Szatana. Dziewczęta też odmówiły ucieczki, być może z poczucia lojalności, a może dlatego, że nie miały dokąd pójść. Kto by się nimi zajął?

Gonca wypowiedziała zaklęcie, które miało uchronić je przed wrogami, diabłami, złodziejami, jaszczurkami, skorpionami, magią i strachem. Zbiegła do piwnicy i poświęciła ostatniego pozostałego im koguta Yadaji, bogini deszczu. Ostrożnie wyjęła z wnętrza ptaka kamień bezoar, potarła nim twarz i pomodliła się o wodę.

- Ześlij nam deszcz, Yadaji. Niech niebiosa wyleją swe wielkie łzy. Niech uda bogini zatrząsą się z radości. Ześlij nam boskie wody, by zmyły tę piekielną klątwę, Yadaji. Sprowadź deszcz. Sprowadź deszcz. Sprowadź deszcz.

Cadri, zwinięty w kłębek, płakał cicho. Zsiusiał się w spodnie. Aladdin wpatrywał się w płomienie, zahipnotyzowany.

-Dlaczego szkło pęka od gorąca? - zapytał, przyglądając się, jak eksplodują kolejne szyby.

Domy sąsiadów po obu stronach ulicy stały w ogniu. Farba na ścianach marszczyła się, a szyby pękały, pokrywając ziemię cząsteczkami kryształu.

-Ponieważ jest rozgniewane - odparła Esmá, trzymając chłopca na kolanach.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał, mimo to objął matkę za szyję i pocałował w policzek.

- Czy my umrzemy? - zapytał. - Powiedz, umrzemy?

A potem to się stało. Głośny grzmot zagłuszył ryk ognia.

Potężna gradowa ulewa uderzyła w ziemię. Lodowe bicze spadały z nieba z rozmyślną gwałtownością, ostre i zdeterminowane, topiąc się jak maść na płonącym ciele. Plując na ogień, ze skwierczeniem zamieniając się w parę, sycząc, dopóki płomienie nie osłabły i nie zaczęły przygasać.

Nie minęła godzina, a było po wszystkim: pożar wygasł, pozostawiając nas, mieszkańców Smyrny, pogrążonych w czarnym błocie i żałobie. Białe miasto zginęło, przysłonięte kirem czarnej mgły. Jak jego kobiety. Całe miasto płakało nad ludzką głupotą. A świat płakał nad miastem.



Esma sądziła, że to jej modły spowodowały cud, sprowadziły lód z nieba. Nie bała się już przyszłości. Tak. Wierzyła, że jej kochanek niedługo powróci. Ożeni się z nią i razem stworzą rodzinę. Tak, w końcu zgodzi się za niego wyjść. By sobie to zapewnić, złożyła ofiarę.

Gonca zaś przypisywała pojawienie się lodowych czarów sile kamienia. Widziała na niebie błyszczące, ciemne oczy Yadaji. Widziała jej łzy. Jej tajemniczy uśmiech.

Następnego ranka, choć w mieście nadal panował chaos, Iskenderowi udało się przedrzeć przez tłum.

-Zostaw tę jałową ziemię i jedź ze mną na plantację - błagał. Esma nie odpowiedziała. Nadal nie rozmawiała z bratem. Jak mogłaby po tej okropnej nocy - choć jej kochanek przecież żył! Iskender ją zhańbił, odebrał jej bursztynowe jajko. Odmówiła mu więc i pozostała w Smyrnie.

Pewnego łagodnego wiosennego dnia zagrzmiały wreszcie działa, obwieszczając koniec wojny o niepodległość. W ciągu jednej nocy Smyrna stała się Izmir, symbolem tureckiego zwycięstwa i roszczeń. Niektórzy mężczyźni wrócili do domu. A niektórzy nie.

Zawarty w Lozannie traktat zawierał klauzulę o wymianie ludności. Rumowie, tureccy Grecy, podobnie jak inni chrześcijanie, zostali deportowani do nieznanego im Grecji, pomiędzy obcych. W odwecie Grecy wysiedlili Turków z Lesbos i Krety. Mieli osiąść w centralnej Turcji - ludzie, którzy nie znali innej ziemi.

Zanim Rumowie odeszli, ofiarowali swe domy za kilka piastrów przyjaciółom - niewiele przyjaźni przetrwało wojnę - nie wiedząc, czy kiedykolwiek uda im się wrócić. Pojawienie się na wrogiej ziemi z kilkoma monetami było i tak lepsze niżli wylądowanie tam z pustymi kieszeniami.



Nim wyjechali, gorączkowo ukrywali cenne przedmioty w ogrodach, pomiędzy krokwiemi, wszędzie, gdzie tylko się dało, żywiąc nadzieję, że pewnego dnia uda im się wrócić i odzyskać przeszłość. (Niektórym rzeczywiście udało się powrócić - po latach, gdy zapanował pokój. Odkryli wówczas, że ich cenne niegdyś skarby stały się bezwartościowe, z wyjątkiem, oczywiście, złota).

Był to czas niedostatku i chciwości. Wszystko było racjonowane. Poszukiwacze skarbów wbijali w ziemię pręty i przeróżne wichajstry własnego pomysłu, nieustannie poszukując metalu. Snuli się niczym ślepcy albo powstałi z grobów zmarli, unosząc się pośród mgieł rozświetlonego blaskiem płomieni zewnętrznego świata.

Inni przekopywali groby. Miejscowi nazywali ich krukami, ponieważ przypominali szybkodziobych czyścicieli, poszukujących w świeżo zaoranej ziemi robaków. Po każdym deszczu, wyposażeni w oskardy i łopaty, podróżowali do opuszczonych wykopalisk, szukając nieodkrytych skarbów. Nie dla kaprysu. Nie dla umiłowania sztuki. Ci miejscowi ignoranci mieli na temat wartości zabytków większą wiedzę niż eksperci. Niektórym starczyło nawet śmiałości, aby rozwinąć sieć powiązań, sięgającą od Stambułu po Frankfurt, od British Museum po Metropolitan. Świat szybko się rozrastał.

W końcu Esmą uznała, iż może bezpiecznie usunąć chroniące mnie deski. Doznałem jednak wielu ran.

-Ten biedny dom - powiedziała. - Musimy na powrót tchnąć w niego życie.

-Ale od czego zacząć?

-Dotknijcie ścian. Dotknijcie ścian. Dajcie im swój oddech. Niech duchy znowu powrócą.

Pootwierali wszystkie drzwi i okna, aby wywietrzyć pozostałości ognia i wojny. Gonca przekradała się z pokoju do pokoju, okadzając pomieszczenia jałowcem i zawodząc pogańskie modły. **Hoş, Hoş! Hoş! Hoş!** Witajcie! Witajcie! Wi-

tajcie! I tak przez czterdzieści dni i nocy. W centrum zainteresowania. Obiekt pożądania. Myty i szorowany. Okadzany i obśpiewywany. Nowe zasłony. Nowe kilimy. Nowa farba. Nowa nadzieja.

W dniach, które nastąpiły potem, Esma dzień i noc wpatrywała się w ulicę, a serce podskakiwało jej w piersi na widok odzianych w mundur postaci. One jednak niezmiennie mnie mijały. Żadna z nich nie miała twarzy, którą Esma spodziewała się zobaczyć. Wsłuchiwała się w rozbrzmiewające w powietrzu szepty, próbując rozpoznawać głosy, wybiegając na balkon pod byle pretekstem, za najłżejszym powiewem wiatru, po to, by nieustannie doznawać rozczarowania.

Do chłopców sprowadzono nowego nauczyciela. Nazywali go Agop Cztery Palce, ponieważ nie miał kciuków.

- Co się stało z twoimi kciukami? - pytał Aladdin.

- Zabrała je wojna.

- Jak? - dopytywało się dziecko, wyobrażając sobie wojnę jako wściekłego szaleńca, obcinającego ludziom palce.

- Zostały amputowane.

- Ale jak?

Chłopców interesowali wariaci, strzały i utracone części ciała, nie etyka klęski. Ani też etos.

Trzymając pióro między palcami nóg, Agop Cztery Palce uczył ich pisać z lewa na prawo. Od przodu do tyłu. Alfabetem łacińskim. W nowy sposób. Nie arabskimi literami, których kiedyś się uczyli. Rzeczy zmieniały się gwałtownie. Europa brała odwet, zmuszając nas, byśmy stali się tacy jak ona. Kraj skłaniał się teraz ku Zachodowi.

Cadriemu niełatwo przyszło przewyciężyć raz wpojone zasady, lecz Aladdin przystosował się niemal natychmiast, zadziwiając Agopa łatwością pojmowania

symboli i abstrakcji. Jednak irytowało go, że chłopiec łaknie wciąż nowych wyzwań.

-Aladdin powinien zostać wysłany do szkół na Zachodzie - powiedział do Iskendera, kiedy siedzieli razem w tawernie na nabrzeżu.

Esma nie miała pojęcia, że w ogóle się znali. Tymczasem siedzieli tu sobie obaj, sącząc cienkie miejscowe piwo i posilając się potrawką z kalmarów i małży.

-Cyfry tu nie są dość duże dla umysłu chłopca. Może Niemcy. Lub nawet Ameryka. On kiedyś będzie kimś. Zapamiętaj moje słowa.

Cadri podsłuchiwał ich, ukryty za drzwiami do przeznaczonej dla mężczyzn części domu. Słyszał wszystko. Miał wrażliwe ucho. Ucho, które w następnych latach miało zrobić z niego poetę.

Nad portretem zmarłego męża Esma umieściła podobiznę innego mężczyzny - blondyna o stanowczej twarzy, mocno zarysowanej szczęce i przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu - oczu zdolnych zarówno do największej miłości, jak i nienawiści. Kim był? Ewentualnym kandydatem na męża? Czy będziemy mieli nowego pana? Co się stało z Sulejmanem?

Zdjęcie Sulejmana pozostało w cennej szafie Esmy, ukryte we wnętrzu medalionu. Codziennie przytykała je do ust.

Minęło czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Ani śladu po Sulejmanie. Nie przysłał nawet listu.

Na ulicach niemal co dzień odbywały się parady; dziewczęta, przystrojone wawrzynem i białymi kwiatami, potrząsały dumnie świeżo obciętymi włosami, prezentując powiększone wizerunki mężczyzny o niebieskich oczach. Tego samego, co na toalecie Esmy. Mężczyźni paradowali w kapeluszach borsalino zamiast w fezach; sam Wielki Przywódca pokazał się w takim w Kastamonu. Kobiety paliły zasłony, odkrywały twarze. Wreszcie mogły przebywać w towarzy-

stwie mężczyzn, prowadzić normalne życie towarzyskie. Slogany, promujące prawa dla kobiet, głosiły: „Czy połowa populacji może wznosić się do nieba, kiedy druga przykuta jest do ziemi?” i „Turcja nie może dłużej być areną religijnego fundamentalizmu i ostoją praw szariatu”. Ludzie wychylali się z balkonów wokół nabrzeża, wyśpiewując i pokrzykując:

*Gdzie nam szukać niebios i mórz?*

*A gdzie skalistych gór?*

*Gdzie są śpiewające ptaki i drzewa?*

*Dalej, towarzysze, maszerujcie ze mną.*

Limuzyna kabriolet marki „Daimler” przejechała przed frontem posiadłości w pobliżu Alsancak. Jego spojrzenie przeniknęło ludziom prosto do serc. Jego imię, wydrukowane łacińskim alfabetem, pojawiało się wszędzie, a portret rozmiarami przewyższał miasto: Mustafa Kemal Atatürk. Ojciec Turków. (*Ata* znaczy ojciec). Oswobodziciel od tyranii sułtana i chciwości aliantów. Bohater spod Gallipoli. Nowy Bóg. Jasnowłosy zbawca. Człowiek, który zapoczątkował wielkie reformy. Atatürk. Amen.

Esma przestała interesować się synami i choć trzymała ich blisko siebie, zdawali sobie sprawę, że przebywa z nimi jedynie ciałem, nie duchem. Nic nie mogło jej pocieszyć, aż do dnia, gdy przyszedł list od siostry, Mihriban. Esma przeczytała go i zakasała rękawy.

Przez czterdzieści dni i nocy dziewczęta harowały jak niewolnice, zagniatając tysiąc i jeden placków *filo*, marynując stosy oberżyny, ubijając sezamowe *tahini* z winogronową melasą na chałwę. Ze swego starego wyprawowego kufra Esma

wydobyła cenne tkaniny. Wykroiła z nich ubrania dla małej dziewczynki - fartuszki i haftowane, przejrzyste, rozkoszne sukieneczki, ozdobione koronkami, wstążkami, riuszkami. Dla kogo były przeznaczone? Co za dziecko tak ją poruszyło?

Ostatniego dnia ramadanu, o skandalicznej porze, przybyli tajemniczy goście - Mim Pasza i jego żona Mihriban, siostra Esmi, a także ich trzy córki i dwie służące. Mihriban miała takie same oczy jak Esmi, zielonobrazowe i cętkowane, ale jej rysom brakowało delikatności, która nadawała twarzy Esmi uduchowiony wyraz. Mihriban mocno stąpała po ziemi. Jednak z pewnej odległości wydawały się niemal identyczne. Pasza, śniady mężczyzna, urodzony w Indiach, solidny był niczym granit. Dwie starsze córki, Papatya i Sibel, odziedziczyły po nim ciemną jak skórka oberżyny cerę, kręcone włosy i pełne wargi. Jednak najmłodsza, z blond loczkami i cętkowanymi oczami, wyglądała zupełnie inaczej. Na imię miała Aida. Pani Księżycyca.

Aida była najpiękniejszym dzieckiem na świecie, o przejrzystej, jaśniejącej blaskiem cerze. Na jej widok ludziom chciało się śmiać i płakać jednocześnie. Czuli się tak, jakby doznali głębokiego objawienia.

Gdy Esmi zobaczyła małą, rozplakała się i uciekła do swego pokoju. Aida instynktownie poszła za nią, kołysząc z boku na bok pulchnym ciałkiem niczym pingwin. Esmi wzięła dziecko w objęcia i kołysała je w rytm fal, poddając się czarowi starej kołysanki. ***Dandini, dandini, danah bebek.***

Aida podążała za Esmą wszędzie, zakradając się do jej łóżka w nocy, odtwarzając wiernie gesty podczas modlitwy, siadając naprzeciw warsztatu tkackiego i naśladowując sposób mówienia. Chciała, aby to Esmi kąpała ją w ***hamam***. Drapała po plecach. Kręciła włosy. Chciała ubierać się w jej ubrania. Słuchać opowiadań przez nią historii. Jeść jej z ust.

- Co powinniśmy zrobić? - spytała Mihriban Paszę, kiedy mył stopy w *hamam*.

- Ona jest teraz nasza - odparł. - I na tym koniec. Nie wolno mącić dziecku w głowie. Musi wiedzieć, kto jest jego matką. Nie powinnaś jej zachęcać.

- Ale mała jest taką pociechą dla mojej biednej siostry. One do siebie należą. Uważam, że powinniśmy...

- Twoja biedna siostra powinna była pomyśleć dwa razy, nim zdecydowała się urodzić nieślubne dziecko. Powinna być nam wdzięczna, że ocaliliśmy ją przed hańbą. I przed tym, że wszyscy utracilibyśmy twarz. Poza tym ma dwóch chłopców, których musi wychować, i nie trzeba obarczać jej dodatkowym ciężarem. Tak jest dla niej najlepiej. I dla Aidy także.

To do Esmi dziecko pobiegło w tę noc, gdy rozszalała się burza śnieżna, a fatalny incydent zmienił życie Esmi, gdyż odwróciło się od niej szczęście. To, co wydarzyło się tamtego wieczoru, rozwiało jej marzenia, odebrało całą słodycz.

Zdarzyło się, że Fretka wpadł do Mim Paszy, przynosząc kociołek *boza* dla jego rodziny. Tego chłodnego wieczoru ciepły napój ze sfermentowanego prosa, przyprawionego cynamonem, byłby mile widziany w każdym domu. Gdy Fretka sięgał dłonią do kołatki, z cienia wyłoniła się mroczna postać.

*-Selam Alejkum* - powiedziała.

Słyszając to pozdrowienie, Fretka skurczył się, jakby zobaczył dzina, lecz szybko się pozbierał. Parodia jego zwykłej zuchowatości.

- Sulejman! Myśleliśmy, że nie żyjesz! Sulejman skinał głową.

- Bo tak było.

Skórę miał ogorzałą od wiatru. Oczy zamglone. Wydawał się niespokojny. Poza tym, idąc, kulał i powłóczył nogą.

Mężczyźni stali naprzeciw siebie, pocierając dłonie, aby je rozgrzać. Zamieć smagała im twarze, skłaniając do konfrontacji.

-Niosę dla nich *boza* - wyjaśnił Fretka, wskazując na mnie. - Chłopcy potrzebują ojca. Młoda kobieta nie może w nieskończoność żyć sama, wiesz o tym?

Sulejman widywał, jak takie rzeczy przydarzały się innym mężczyznom, którzy poszli na wojnę, mężczyznom, których kobiety nie potrafiły znieść samotności. Niepewność stanowiła część egzystencji. Ale Esma? Miłość jego życia. Ogień w jego lędźwiach. Ona by nigdy... O ile, oczywiście, pobłażliwy braciszek Iskender nie przymusił jej do wejścia w niepożądany związek.

- Nie wierzę w to - powiedział. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Więc sam się przekonaj - odrzekł Fretka, podkreślając słowa gestem. - Chodź zatem.

Przez szparę w zasłonie Sulejman zerknął do środka. Była tam Esma, miłość jego życia, taka chuda i wymizerowana. Nagle podbiegła do niej mała dziewczynka. Twarz Esmy rozjaśniła się. Zasypała dziecko pocałunkami. Tej chwili Sulejman nigdy nie zapomni.

-Nie możesz pozwolić, by zobaczyła cię takim. Wyglądasz jak kaleka - powiedział Fretka.

Chęć mordy narastała we krwi Sulejmana szybciej niż rtęć. Uniósł jednak tylko dłoń i spoliczkował przeciwnika. Uderzył go tak mocno, że Fretka stracił równowagę i upadł. A potem, bez słowa, Sulejman odszedł. Stopniowo jego krok zmieniał się w kłus. Galopował do końca ulicy, uniósłszy ku niebu ramiona. Raz obejrzał się za siebie. Zobaczył, że Fretka puka do drzwi. Zobaczył, jak jakaś kobieta mu otwiera. Dobiegł go płacz dziecka. Drzwi się zamknęły.

Pokuśtykał do obsydianowej skały, usiadł na stopniu, a z jego piersi zaczęły dobywać się dziwne odgłosy, które przeszły w smutną *gazel*, balladę w tonacji minorowej. Lecz było tak zimno, że nuty zamieniały się w płatki śniegu, nim zdążyły wzlecieć w powietrze.



Tej nocy po raz pierwszy w historii Izmiru padał śnieg -białe błogosławieństwo, zakrywające rany i zachowujące barwę krwi. Płatki opadały, grzebiąc Sulejmana i zamieniając go w bałwana. Gdyby nocny stróż nie wpadł na niego i nie rozmroził go swoim kijem, zamarzłby na śmierć. Slap, slap, slap, slap.

-Ocknij się, biedny łachmyto! Masz, napij się *raki*. No, rusz się.

Zadał w gwizdek i po chwili odpowiedzieli mu inni członkowie nocnej straży. Zawinęli Sulejmana w swoje płaszcze, zanieśli do araby i wywieźli z Karataş.

Tymczasem Mim Pasza i Fretka, nieświadomi tego, co działo się w pobliżu, grzali się przy piecyku, popijając *boza* w srogiej ciszy. Fretka był niespokojny. Co kilka chwil podchodził do okna i wyglądał, jakby czegoś oczekiwał.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał Mim Pasza.

- Tylko sprawdzam, ile napadało śniegu...

Dzieci spały, dziewczęta w jednym pokoju, chłopcy w drugim. Gonca, Ayşe i ich dwie siostry skuliły się wokół gorącego czajnika w kuchni. W dawnym haremie Esmā i jej siostra zasiadły naprzeciw siebie, przy warsztacie tkackim, który należał kiedyś do ich matki, a który Mihriban przywiozła z plantacji, aby zapewnić siostrze trochę rozrywki.

-Nie martw się - mówiła do Esmā, gdy wspólnie tkwały stary wzór. - Wiem, że Sulejman wkrótce wróci. To człowiek honoru.

Lecz w głębi duszy obawiała się czegoś wręcz przeciwnego.

Pomimo iż napięcie, spowodowane skomplikowaną sytuacją, rosło z każdym dniem, rodzina Mim Paszy pozostała w Izmirze przez pełny cykl księżyca. Dzieci chroniły się nawzajem, bawiąc się razem; Papatya, Sibel i Aida z chłopcami. Od tej chwili byli braćmi i siostrami.

Sulejman nie wrócił. Wszyscy uznali, że poległ na wojnie. Lecz nocny stróż, który kochał się z Ayşe przez kraty, opowiedział jej o wydarzeniach nocy, kiedy to znalazł biedaka pod śniegiem i wraz z innymi przywrócił go do życia.



Następnego dnia Sulejman powędrował do doków, bez żadnego bagażu, aby rozejrzeć się za statkiem, którym mógłby odpłynąć.

Ayşe obawiała się powiedzieć o tym pani, gdyż nie chciała zdradzić źródła swych informacji. Poza tym Sulejmana już i tak nie było. Nie chciała, by Esma straciła nadzieję, że kiedyś powróci. Nic poza nią jej nie pozostało.

Jednak gdzieś w głębi duszy Esma czuła, że Sulejman żyje. Każdego ranka, gdy tylko wstała, stuknęła w ściankę szafy, jakby posyłała komuś sygnał alfabetem Morse'a. A potem zamykała oczy i zapadała w trans, wspominając ostatnie godziny spędzone z Sulejmanem. Przemawiała do niego w nieskończoność i odpowiadała na pytania, których nikt inny nie słyszał. Opowiadała mu historie, recytowała poezje. Opowiadała o ich małej Aidzie. I tak toczyła dialog z samą sobą. Nawet w snach trzymała Sulejmana w niewoli niekończącej się rozmowy, jakby kontaktowali się na innym poziomie świadomości, należącym tylko do nich.

Wycofała się do nieistniejącego świata, którego nie postrzegali nikt inny. Jej oczy nie spoglądały na zewnątrz, dłonie zaś miała nieustannie zajęte błahostkami, by ukryć rezygnację. Wyzbyła się cennych kamieni i nie płakała już diamentowymi łzami. Zbyt dumna, aby poprosić o pomoc rodzinę, stanęła wobec konieczności utrzymania siebie i dzieci. Modły jakoś straciły moc podczas wojny.

Nagle ją olśniło. Siedziała właśnie na piętach, palcami przebierając struny warsztatu. Wyglądało to tak, jakby grała na harfie, a potem rzucała w powietrze puch. Układała muzykę z kolorów i roślinnych soków, barwiących wełnę w bogate odcienie jesieni. Jej dywaniki modlitewne miały ten sam wzór, jakiego nauczyła się od pochodzącej z Macedonii matki, ta zaś nauczyła się go od swojej matki. Stanowił dziedzictwo ich przodków - koczowników. Istna orgia kształtów i kolorów, ożywionych, wprawiających w hipnotyczny trans, otwierających drzwi do baśniowych, wyimaginowanych światów.

Dywaniki były tak niezwykle, że wszyscy chcieli je mieć. Miała więc dużo roboty. Ludzie, którzy kupowali od Esmy dywanik, śnili słodkie sny, pozwalające uciec do świata wolnego od nienawiści czy bólu.

Z czasem Esma osiągnęła wewnętrzny spokój, niedostępny dla niej wcześniej. Podobnie jak Penelopa, skupiła się na doprowadzaniu tkanych wzorów do perfekcji. Znała je tak dobrze, iż mogła tkać z zamkniętymi oczami, myśląc zupełnie o czymś innym. Odgłosy jej pracy, wątek i osnowa, wrywanie i wyciąganie, brzmiały dla wrażliwych uszu niczym muzyka. Tak dalece, że dziny i wróżki *peri* wypełzały ze swoich szczelin, by tańczyć.

Cadri, zachwycony muzyką warsztatu matki, tajemnicą symboli - szewronów, diamentów, drzew życia, rodzących bogiń - siedział po drugiej stronie warsztatu, przyglądając się Esmie przez krzyżujące się nitki przędzy jak przez kraty hare-mowego okna.

*Moja matka przędzie swój ból, Przeplatając nitki, By pozostały naprężone.  
Moja matka przędzie swą świętą jaźń.*

Mijały dni. Chłopcy dorastali, Cadri zatopiony w książkach, Aladdin zaś w gwiazdach. Cadri zamienił pusty pokój w swoje *pensatorio*, samotnię, gdzie mógł oddawać się rozmyślaniom. Albo przypinać motyle i recytować ich łacińskie nazwy. Lub praktykować kaligrafię i czytać stare teksty, podczas gdy Aladdin konstruował teleskopy i budował modele samolotów.

Jednak świątynia Cadriego znajdowała się gdzie indziej. Odkąd Iskender zabrał go do pierwszego kina za grosik, znajdującego się w alei naprzeciw wieży Zegarowej, chłopiec żył jak w transie. Opuszczał lekcje, co zupełnie do niego nie

pasowało, i wydawał pieniądze pod arkadami; przysiągł sobie, że zobaczy wszystko, co tylko mieści się w tej skrzynce z duchami. Zbudował ołtarz z fotografii ukochanych bogiń ekranu. Udało mu się nauczyć na tyle angielskiego, by mógł pisać do swoich ulubienic listy. Wszystkie identyczne. W odpowiedzi przysyłano mu wspaniałe, błyszczące fotografie z dedykacjami: „Drogiemu Cadriemu, z najlepszymi życzeniami, Theda Bara”. „Dla Cadriego, zawsze Twoja, Billie Dove”. „Dla Cadriego, szczerze oddana, Marion Davies”. Lilian i Dorothy Gish. Louise Brooks. Gloria Swanson. Gwiazdy kina niemego. Wampy, pierwsze naiwne, dziewczyna, która ma „coś” - Clara Bow. Podfruwajki. A potem te, które przemówiły z ekranu. I w końcu ostatnia, lecz nie najmniej ważna, królowa królowych, Dolores. Dolores del Rio.

Obaj chłopcy mieli tak bujną wyobraźnię, a ich duchowe światy zaludniało tyle postaci, że nie odczuwali potrzeby innego towarzystwa. Nadal łączyła ich niewidzialna pępowina, przypieczętowując samowystarczalność braci. Kiedy poczuli pierwszy zew natury, po prostu posiadli Ayşe w komórce na szczotki. Oczywiście Ayşe nie miała nic przeciwko temu, wręcz pochlebiał jej fakt, że zdołała zwabić swych ślicznych chłopców do ociekających wilgocią kątów piwnicy, by tam kierować ich niewprawne dłonie ku swym bujnym piersiom i soczystym szczelinom ciała. To, że chłopcy ledwie wiedzieli, do kogo należały piersi, wcale jej nie przeszkadzało. Ponieważ w piwnicy było tak ciemno, Cadri i Aladdin mieli to szczęście, że zostali wprowadzeni w świat zmysłowej miłości za pomocą dotyku, nie pobudzenia wzrokowego. Zwiększyło to ich wrażliwość, przyczyniając się do tego, że stali się tak dobrymi kochankami.

Ayşe nie protestowała, gdy dotykało jej młode, mocne, drżące ciało, a ciepły oddech owiewał twarz. Ach, niebios! Zagłuszana w porze modlitwy przez muzyna, wydawała odgłosy, świadczące o takiej przyjemności, że niebieska wisteria wrastała głęboko w zewnętrzny mur i okrywała się wielką obfitością zwisają-

cego kwiecica, które dźwięczało niczym dzwoneczki. Choć Ayşe posuwała się w latach, jej ciało nie zmieniało się, co wszyscy przypisywali nienasyconemu apetytowi na zmysłowe przyjemności.

Aida przyjeżdżała często z wizytą, podbijając rodzinę rozkwitającą urodą. Esmā folgowała sobie, bawiąc się włosami dziewczynki - zaplatając je, kręcąc, karbując i upinając. Na chwilę zapominała o bólu.

-Kim chciałabyś zostać, kiedy dorośniesz? - pytała Aidę, która w wieku jedenastu lat była już rozkosznie dojrzała.

-Chciałabym zostać królową piękności.

Esmā uśmiechnęła się, wiedząc z własnego doświadczenia, jak fantastyczne potrafią być marzenia dziewczynek.

Gdy chłopcy skończyli osiemnaście lat i zdali maturę, nastąpiło nieuchronne. Aladdin otrzymał stypendium z dalekiego Bostonu. Esmā chciała go zatrzymać, przeczuwając, że utraci syna nie tylko na czas potrzebny do ukończenia studiów.

-Chłopiec zawsze spoglądał daleko, niemal od chwili, gdy się urodził - przypomniała jej Mihriban. - Dałaś mu skrzydła, aby mógł latać. Nie możesz ich teraz podcinać.

Esmā płakała, gdy statek Aladdina wypływał z portu. Zdawała sobie sprawę, iż być może więcej go nie zobaczy. Chwyciła dłonie Cadriego i mocno je ścisnęła.

Aladdin przysyłał jej pocztówki, przedstawiające najslawniejsze budowle świata - wieżę Eiffla, most Londyński, Empire State Building, Golden Gate. Cadriemu wysyłał inne, bardziej prowokujące, z półnagimi kobietami, wychwalając zapach ich ciał i erotyczne noce w obcych domach, obcych miastach. Tajemne żądze. Nieznane języki. Nieopisane rozkosze.

Cadri pozostał w domu, wierny i oddany matce, do której odnosił się z nabożnym szacunkiem, przysięgając, że zawsze będzie całował jej stopy. Anemiczny

młodzieniec, kiedy już udało się wywabić go z biblioteki i zaciągnąć do oświetlonych sztucznym światłem pokoi, patrzył na świat przez grube szkła okularów, w których wyglądał trochę jak cyklop. Miał zwyczaj przypatrywać się wszystkiemu starannie, koncentrując całą swą uwagę. Słońce mu nie służyło, gdyż sprawiało, że jego przedwcześnie łysiejąca czaszka, osłonięta jedynie z tyłu półksiężycem włosów, pokrywała się piegami.

Nie widywano go inaczej, jak tylko w kapeluszu - zimą była to fedora, latem panama. Ukrywał pod nim łysinę, która, jak mawiał, czyniła jego głowę bardziej podatną na ataki umysłowych drapieżców. Nawet sypiał w szlafmocy.

Cadri stał się centrum świata trzech kobiet, panem haremu, wiecznym chłopcem. Wszystkie były przekonane, że tak już zostanie. Miało im to wynagrodzić utratę Aladdina, który nadal zajmował specjalne miejsce w sercu brata.

Gonca jeszcze głębiej pograżyła się we własnym, niepojętym i niedostępnym dla innych świecie. Cadri widywał, jak rzeczy poruszały się i kwitowały, gdy była w pobliżu. Kiedy przechodził przez pokoje, czuł, że obok niego coś oddycha, i często go to przerażało. Walcząc z własnymi myślami, próbował zrozumieć, co takiego widzi Gonca, i czyścił okulary, by samemu widzieć lepiej.

Ayşe, do której wreszcie dotarło, że nocny stróż nie zamierza porzucić żony i licznych dzieci, a tym bardziej awanturniczego trybu życia, przestała obnażać piersi. A wtedy z jej ciała jakby znikła wilgoć. Mocno przytyła i Gonca nie musiała już zamykać jej na noc.

Kiedy o północy intonował swą pieśń muezin, Cadri wykradał się z domu na nocne przechadzki, czekając na księżyc, by zakosztować balsamicznego powietrza, podczas gdy reszta miasta śpi. Kobiety wołały za nim lub stały na progu, dopóki nie znikł w ciemności pośród alei gazowych świateł, niczym somnambulik, szukający znajdujących się poza fizycznym zasięgiem światów.

Pewnej takiej nocy nadleciały cykady. Piekielne cykanie trwało całą noc, doprowadzając mieszkańców do szaleństwa i uniemożliwiając sen. Rankiem ogród Esmy wyglądał jak pobojuwisko. Krzak Adonisa, który po pożarze odrósł bujniejszy nawet niż przedtem, został zupełnie pozbawiony kory. Wisteria, jaśmin - wszystko, co po nich zostało, to stos bezładnie rozrzuconych, wiotkich brązowych gałązek.

- To zły znak - powiedziała Gonca. - Coś będzie musiało zastąpić pnącza. Samo w sobie nie byłoby to nawet takie złe, tyle że równowaga zostanie zakłócona.

Esmą zapadła w dziwną śpiączkę. Spała przez siedem dni i siedem nocy. W końcu Cadri, martwiąc się o matkę, poszedł sprowadzić Doktora Eliksira. Po drodze zatrzymał się, by kupić dla Esmy kwiaty. Tego dnia do drzwi ich domu znów zapukało przeznaczenie, tym razem pod postacią Ca-milli. Kolejny zysk. Kolejna strata.

Camilla. Cóż mogę powiedzieć o Camilli? Od dnia, kiedy przybyła, uparta niczym angorski kozioł, lecz nieskalana jak pączek gardenii. Żywe odbicie kobiety, której zdjęcia zdobiły ściany pokoju Cadriego: Dolores del Rio. Zupełnie jakby zeszła z portretu. Tylko w zarysie jej policzków było coś z Loretty Young. Kobieta o pistacjowej skórze i żywej twarzy w kształcie jabłka, orzechowych oczach, uważnych, zawsze szacujących i nigdy, przenigdy niespoglądających bez powodu, bez oceny. Nawet w łóżku.

Rankiem po nocy, kiedy cykady ogarnęło szaleństwo, Cadri zatrzymał się w kwiaciarni obok przystani promów, zwabiony słodkim zapachem pomarańczowego kwiecia. Powitała go młoda kobieta. Zęby jak perły. Uwodzicielskie spojrzenie. Wyjaśnił jej swoje położenie, opowiedział o chorobie matki i krzaku Ad-



onisa. Camilla ułożyła dla niego bukiet z czarnych tulipanów i niezapominajek. Dała mu też nieco kozłka.

- Proszę zaparzyć z tego herbatkę. Pańska matka z pewnością poczuje się lepiej, gdy ją wypije. A co do krzaka, proszę się nie martwić. Odżyje, jak zawsze dotąd. Jest nieśmiertelny. Nie ma się czym przejmować.

Gdy Cadri wrócił z lekarzem, Esmą siedziała na łóżku, popijając popołudniową herbatę. Gdy tylko spojrzała na bukiet, zaczęła nieopanowanie drżeć, jakby coś przyprawiło ją o szok.

- Spal je, spal te paskudne kwiaty, by żadna inna dusza nie musiała wąchać ich obrzydliwego zapachu - zawodziła. - Te kwiaty to zło.

- Nie czuję niczego szczególnego, matko - powiedział Cadri. - A już z pewnością zła. Kupiłem je od bardzo miłej młodej damy.

Namówił matkę, aby wypić napar z kozłka, a okrywając ją stosami kolorowych atlasowych pledów, bez przerwy wychwalał Camillę. Spędziła dzieciństwo w starożytnym rejonie Morza Egejskiego, gdzie archeolodzy i łowcy skarbów bez przerwy skradają się w poszukiwaniu zagubionych miast, złota i brakujących części posągów bogiń. Krwawe wspomnienia pradawnych snów, ofiar z ludzi, rytuałów płodności.

- Ale to wszystko jest jakby tuż pod powierzchnią. Prawdę mówiąc, wydaje się, że Camilla ma żelazną wolę.

Mówił, że jest inna niż oni, wychowana na specjalnej diecie, która dopuszcza spożywanie kwiatów - kapryfolium, gardenii, nasturcji, lawendy, nagietka. Być może o to właśnie chodzi. Być może oni także powinni rozważyć zmianę diety. Być może.

- Dowiedziałeś się wielu rzeczy w tak krótkim czasie - powiedziała Esmą. - Wiesz coś o jej rodzinie?

- Jej rodzina znajduje się w trudnej sytuacji. Ojciec jest bardzo chory, więc matka hoduje kwiaty, które sprzedają, by się utrzymać.

Esma, postawiona w obliczu zagrożenia ze strony potencjalnej rywalki, modliła się do swego Boga: „Proszę, oszczędź mi bólu utraty drugiego syna, mego ulubieńca, i to dla wysysającej nektar czarownicy. Spraw, by stał się ślepy na jej uroki”. Dziewczyna musiała wiedzieć sporo o rzucaniu uroków, nie było co do tego wątpliwości. Te związki ze światem roślin, i w ogóle. Studnia została już zatruta.

Lecz Bóg nie zwracał uwagi na modły Esmy. A diabeł na klątwy, rzucane przez jej ostry język. Listy od Aladdina przychodziły coraz rzadziej, a Cadri przestał całować jej stopy. Esma dalej pograżała się w rezygnacji i samotności. Po kilku tygodniach palec Camilli ozdobił bezcenny opał z diamentami. A wkrótce potem stała się ozdobą domu.

Od samego początku macedoński temperament Esmy, biernej i skłonnej do obwiniania innych, stał się zarzewiem nieustannej wojny między matroną a synową. Walcząc o pozycję w domu, Esma zaniechała nawet swego cennego tkania, zbyt zajęta rzucaniem na Camillę paskudnych uroków i oczekiwaniem na ich następstwa.

Camilla nie podejrzewała, że ciężkie miesiączki i częste upadki ze schodów spowodowane są przez klątwy. Była odporna i wojownicza; odbijała diabelskie spojrzenie z powrotem na teściową. Kobiety odzwierciedlały mroczną stronę swych dusz. Szklana cisza w jednej chwili zmieniała się w piekło zdezorientowanych duchów, uganiających się po domu w noc i w dzień.

Samotność zagościła w moich murach, zwłaszcza wieczorami, gdy każda z nich siedziała w swym pokoju niczym więźniarka w izolatce. Uparte, zamarłe



wyobrażenia, utrwalone niczym perfumy, niewidoczne, lecz wyczuwalne. Esma czesała powoli falujące, sięgające kolan białe włosy. Jej dłonie, sękate niczym gałęzie sykomoru, przesuwały nanizane na sznurek paciorki. Grzbiet miała stale przygięty w modlitwie. Modlitwie za tych, których utraciła, a po których pozostały jedynie fotografie - wszystkich, z wyjątkiem Sulej-mana. Jego wyobrażenie jako młodego mężczyzny trwało niezmienione w umyśle Esmy, podobnie jak wizerunek pięknej dziewczyny, którą była niegdyś. Odczuwała wręcz ulgę na myśl, że Sulejman nie widzi jej teraz i będzie pamiętał ją jedynie w rozkwicie młodości.

Camilla siadywała przy oknie i spoglądając przez zatokę w kierunku Cordelio, nuciła starą rumijską piosenkę:

*Żegnaj, najdroższy ojcze, żegnaj,*

*Żegnaj, droga matko.*

*Przenoszę się do obcego domu,*

*By usługiwać matce mego męża.*

Starając się zaskarbić sobie względy teściowej, gotowała całe góry pilawu, przypalając go za każdym razem, a utrzymujący się potem godzinami w pomieszczeniach zapach spalenizny odstręczał Esmę jeszcze bardziej. Wysiewała w ogrodzie mnóstwo kwiatów, które więdły, zanim zdążyły zakwitnąć. Kiedyś miała dobrą rękę do roślin, lecz zarówno to, jak i jej boska więź ze wszystkim, co rośnie, zanikła. Poczęła wiele dzieci, lecz nie donosiła ani jednego.

Za każdym razem, gdy była przy nadziei, śnił się jej ten sam sen: oto niewidzialna ręka sięga ku niej z rzekomego nieba, rozsuwa jej ciało i wyjmuje dziecko. Po siódmym poronieniu Gonca, nie czując się na siłach, by pogrzebać kolej-

ny embrion, opowiedziała Camilli o Czerwonej Kobiecie, mitycznej olbrzymce, atakującej ciężarne kobiety, lecz pominęła rolę Esmy, która przywoływała tę przerażającą postać. Cóż, była winna lojalność przede wszystkim swej pani.

Camilla, niezdolna odseparować się od niewidzialnej teściowej, przemierzającej nieustannie sypialnię tuż nad jej głową, szukała ucieczki w książkach, opowiadających o udreńczonych heroinach. *Przeminęło z wiatrem. Rebeka. Na zawsze Amber. Anna Karenina. Pani Bovary. Stracone złudzenia.* Pochłaniała słowa, aż w końcu nie była w stanie już ich przyswoić, nie mogła utrzymać oczu otwartych, uwięziona w pułapce fikcji.

Jedyna reakcja Cadriego na tę odwieczną haremową wojnę między matką a synową sprowadziła się do tego, że jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Spędzał coraz więcej czasu w *pensatorio*, układając ezoteryczne wiersze, które trzymał zamknięte w etażerze razem z dokumentami, rozetami i zbiorem motyli. W tym sanktuarium zbieracza zbudował miasto umysłu, odrzucając niszczące uczucia, unoszące się niczym spalony papier w każdym pokoju. Wstawał, wypijał wielką liczbę filiżanek kawy, które tajemniczo pojawiały się na jego biurku, stawiane tam przez niewidzialne dłonie, dobierał słowa, które w niewyjaśniony sposób ożywały. Po jakimś czasie jego rzadko zaludniona przestrzeń werbalna zajmowała już całe tomy. W końcu stał się prawdziwym poetą.

Kiedy ulice cichły, wyruszał w noc, pozostawiając Camille w łóżku, drżącą. Czasami chciała iść z nim, ale nie zgadzał się na to, zazdrosny o swe nocne wędrówki.

- Masz inną kobietę? - pytała.

Śmiał się. Wiedziała, że nie ma, gdyż kiedy wracał, nie wyczuwała kobiecego zapachu. Poza tym pozostał pełen zapachu, budząc ją, by zaspokoić swe potrzeby. Odbywało się to w ciemności i w sposób cokolwiek bezosobowy, a jednak powoli i zmysłowo. Dla niej była to jedynie część snu.

Pewnej nocy Iskender natknął się na Cadriego, dryfującego bez celu wzdłuż Cordone. Wyglądał jak lunatyk. Iskender zdał sobie sprawę, że milcząca wojna między kobietami musiała wywołać u siostrzeńca zaburzenia snu. Jako lekarstwo na tę magnetyczną przypadłość zaoferował mu posadę pracującego w terenie inspektora. I tak zaczęło się polityczne przebudzenie Cadriego. Kolejny punkt zwrotny.

Nastały wczesne poranki i jasne dni, kiedy to bywał wystawiany na niepożądane działanie promieni słonecznych. Camilla budziła go o świcie, potrząsając za ramię. Szeptali do siebie w pokoju śniadaniowym, starając się nie obudzić innych. Ubrany w nieskazitelny garnitur, wyposażony w skórzaną walizeczkę, pełną papierów i prawideł do butów - jego fetysz - całował żonę, jakby żegnali się na zawsze, po czym wskakiwał do zdezelowanego starego citroena TA, który tak dobrze trzymał się drogi - i wyruszał na prowincję, podczas gdy Camilla wracała do łóżka, gdzie spędzała jeszcze godzinę czy dwie, nim zaczęła dzień.

Cadri jechał tak daleko, jak mógł go zawieźć citroen, potem zaś podróżował na mule albo piechotą, odkrywając małe światy ukrytych pragnień. Za każdym razem posyłał swym kobietom fotografie, przedstawiające go w zmieniającym się krajobrazie. Zawsze w kapeluszu, zawsze z tym samym zwycięskim uśmiechem na twarzy, zarezerwowanym wyłącznie dla aparatu i pojawiającym się na jego twarzy, nawet gdy fotografowano go z nienacka.

Podczas nieobecności męża i syna kobiety rozmawiały ze sobą jedynie za pośrednictwem dziewcząt oraz odwiedzających je gości, także kobiet.

-Gonca, powiedz, proszę, mojej synowej, że nie dodajemy pistacji do faszerowanych liści winogron.

- Gonca, powiedz, proszę, swojej pani, że kota można obedrzeć ze skóry na więcej niż jeden sposób.

Czasami Cadri wyjeżdżał na całe miesiące. Kobiety snuły domysły na temat miejsc, w których przebywa, dopóki nie otrzymały listu. Listy nadchodziły tego samego dnia, ale w osobnych kopertach.

5 grudnia 1945

*Moja Camillo!*

*Przybyłem do Salihi na grzbiecie muła wczoraj o 13.00 podczas pochmurnej pogody i zatrzymałem się w „Sun Hotel” w pobliżu dworca. Po południu spacerowałem ulicami w deszczu, który tak kochasz. W drodze zaszedłem do Klubu Miejskiego, by odwiedzić burmistrza, którego poznałem kiedyś w Somie. Ucieszył się na mój widok i obiecał pomóc w skontaktowaniu się z miejscowymi pracodawcami.*

*W Salihi zaczęto właśnie racjonować chleb, więc otrzymałem tygodniowy przydział. Zachowam go do powrotu, byście, Ty i matka, mogły otrzymać więcej mąki i pszenicy. Tymczasem przepyszne borek, które upiekła matka, zaspokoją mój głód. Jutro dzień targowy i jeśli czereśnie nie zrobaczywiały po deszczu, przywiozę do domu spory koszyk.*

*W nocy nie działał hotelowy generator, nie było więc ogrzewania ani elektryczności. Marzłem i nie mogłem zasnąć. Na szczęście zabrałem z sobą latarkę, mogłem więc przynajmniej czytać. Musiałem w końcu zdrzemnąć się, myśląc o Tobie, gdyż pojawiłaś się w moim śnie. (Mam nadzieję, że to dobry znak). Byliśmy razem w zaczarowanym miejscu, pełnym młodych ludzi. Karmiliśmy się nawzajem owocami i ciastkami i śmialiśmy się. Nie jestem wyrocznią, więc nie mam pojęcia, jak odczytać ów sen, lecz muszę przyznać, że gdy się ocknąłem, bardzo brakowało mi Ciebie w moim łóżu w Salihi.*

*Obudziłem się o świcie, o 9.00 najechałem niespodziewanie tutejszą fabrykę tekstyliów, a zakończyłem inspekcję późno po południu. Warunki są tu o wiele gorsze, niż można sobie wyobrazić. Pracowników wykorzystuje się ponad wszelkie pojęcie. Nie wiedziałem, że taka niesprawiedliwość jest w ogóle możliwa.*

*Miasto wydało mi się niewiarygodnie brzydkie. Choć położone przy głównej Unii kolejowej do Smyrny, jest w najwyższym stopniu zaniedbane. Nic, tylko zadymki, błoto, mróz i pustka niczym w sercu ignoranta. Budynki w opłakanym stanie -nieprzyjemny widok, lecz moim obowiązkiem, moją powinnością jest szukać rozwiązań.*

*Jak tam Twój kaszel? Czy lepiej układa Ci się z matką? Wiesz, jakie to dla mnie ważne. Czy matka nie przejmuje się za bardzo tym, że mój brat Aladdin ożenił się z tą Amerykanką irlandzkiego pochodzenia? Spróbuj ją pocieszyć. Bądź jej przyjaciółką. Kiedy mnie nie ma, macie przecież tylko siebie nawzajem.*

*Jutro będę kontrolował kolejną fabrykę, lecz teraz ujawniły się moje gastronomiczne potrzeby. Całuję Twoje piękne oczy i... (resztę powiem Ci po powrocie). Kocham Cię bardziej, gdy jestem daleko.*

*A zatem...*

*Twój mąż, Cadri Ipekçi*

Gdy Cadri wracał teraz do domu, tak wiele czasu zajmowało mu porządkowanie myśli i pisanie raportów, że nie okupował już *pensatorio*. Zielone drzwi pozostawały zamknięte, to zaś, co znajdowało się w środku, pogrążone w niekończącym się śnie, pokrywał z wolna kurz. Myszy, wyczuwając zapach niszczonego papieru i zaniedbania, założyły tam sobie gniazda, pożerając cenne książki, frędzle nieocenionych dywanów i złoty pył rzadkich ciem i motyli. Na końcu pożarły jego wiersze.

Cadri wracał do domu wyczerpany. Znikali wtedy z Camillą w sypialni i starając się nie zakłócać spokoju Esmy, godzinami w milczeniu się kochali. Mimo to, choćby nie wiem jak starali się ukryć pożądanie, Esma i tak rozumiała, co się dzieje. Nietrudno wyczuć tego rodzaju rzeczy.

Doktor Eliksir po raz kolejny oznajmił Camilli, że zaszła w ciążę. I tak o tym wiedziała: znów dręczył ją głód, jakby w jej ciele siedział nienasycony pasożyt. Pewnej nocy Gonca zastała ją nad talerzem surowych kotletów jagnięcych. zaproponowała, że je usmaży. Camilla zgodziła się. Stała się mięsożerna.

Doktor Eliksir powiedział, że tym razem nie będą ryzykowali.

- Powinna pani pozostać w łóżku przez cały okres ciąży. Nie może pani sobie pozwolić, by stracić także to dziecko. Trzeba leżeć.

Camilla leżała zatem jak mumia w białym łóżku, w pokoju z widokiem na zatokę, czytając gotyckie powieści i obserwując przepływające statki, zbierające się burze, zachody słońca i księżyca. Liczyła stada migrujących pelikanów. I ciągle śniła, śniła o zdeformowanych dzieciach z brakującymi członkami, syjamskich bliźniętach, dzieciach chorych na słoniowaciznę, dzieciach z rogami na głowie i płetwiastymi nogami, owłosionych dzieciach z ogonami, zajęczymi wargami, o karłach, imbecylach, idiotach i chorych na zapalenie spojówek. Czuła, jak pływa w niej życie pozbawione płci i wszelkiej winy.

- Tym razem zatrzymam w sobie dziecko, choćby nie wiem co. Nie opuści przedwcześnie mego ciała - powtarzała jak mantrę, nieświadoma, że dziecko jest już w pełni ukształtowane, gotowe wyrwać się na świat w siódmym miesiącu. Powstrzymywało je jedynie to, iż nie znalazło jeszcze duszy. Na razie więc wola matki i dziecka zmagają się ze sobą.

Sen powrócił. Ręka wychynęła z nieba, sięgnęła bandaży, lecz były związane na diabelski węzeł i nikt, nawet Czerwona Kobieta, nie mógł go rozwiązać.



Czerwona Kobieta domyśliła się, że została wyprowadzona w pole, więc zaatakowała. Tymczasem Camilla nagle uświadomiła sobie, że przecież śni, a skoro śni, może się obudzić. Weszła do swego snu, odsunęła siłą rękę Czerwonej Kobiety, a potem obudziła się pośród bezgwiezdnej nocy, sama w łóżku, mokra od potu.

Sen powrócił następnej nocy, lecz nim ręka zdążyła choćby jej dotknąć, Camilla wrzasnęła tak przeraźliwie, że wszyscy w sąsiedztwie aż się wzdrygnęli. Lecz przebaczyli jej to pogwałcenie dobrych obyczajów, gdyż pochodziła z drugiego brzegu zatoki, gdzie wielu ludzi było potomkami Rumów, mówiło starożytnym językiem, podczas gdy inni zachowali wiarę starych niewolnic, wywodzącą się wprost z mroków Anatolii.

-Odejdź tam, skąd przybyłaś, twarzy ciemności, i nigdy, przenigdy tu nie przychodź. Wracaj na odległą ciemną gwiazdę, gdzie żyje twoje plemię. Wracaj. Wracaj.

Esma, zaskoczona takim przejawem odwagi i świadoma porażki, udała się na pielgrzymkę do świątyni Su Baby, wielkiego wodnego bóstwa, gdzie modliła się o wnuka, małego chłopczyka, który wypełniłby w jej sercu pustkę, jaka zagościła tam po wyjeździe Aladdina. Modliła się, by jej synowa wreszcie się opamiętała. A także o to, by Czerwona Kobieta pozostawiła ją w spokoju. Obiecała, że będzie kochała Camillę, jakby była to krew z jej krwi, jeśli tylko te modlitwy zostaną wysłuchane. Obiecała poświęcić w zamian swoją duszę.

Kiedy Camilli odeszły wody i rozpoczął się poród, Czerwona Kobieta znów się pojawiła. Tym razem nie we śnie, ale w pokoju rodzącej, pochylając się nad jej krzesłem porodowym.

- Usuńcie ją z pokoju - błagała Camilla Goncę.
- Tu nie ma nikogo, pani. Tylko my.
- Opiera się o łóżko! Usuńcie ją! Gonca odszukała Esmę.

-Pani Camilla dostała gorączki połogowej! - zawołała. -Czerwona Kobieta ją dopadła. Potrzebuję pomocy, inaczej stracimy dziecko.

Esma modliła się: „Wielki Boże, weź moje życie, lecz pozwól, by mój wnuk żył. Weź moją duszę. Weź, co tylko zechcesz”.

Ciało Camilli nie chciało się otworzyć, zupełnie jakby zdecydowało, że zatrzyma w sobie płód na zawsze. Jednak ból był tak straszny, że przeniósł ją wraz z dzieckiem w strefę otepiającego zmysły mroku. Byłaby zgubiona, gdyby Gonca nie wtrąciła się i nie przecięła jej brzucha - dokładnie tak jak we śnie - by wyjąć dziecko.

Dziecko nie płakało, kiedy wy dostała je z łona, okryte srebrzystą pajęczyną błony śluzowej. Było ciche. Nie wrzeszczało jak inne dzieci. Nie prężyło rączek ani stóp. Wydawało się martwe, lecz oczy miało szeroko otwarte.

Esma wzięła malutką dziewczynkę w swe kruche ramiona i spojrzała jej w oczy - puste, jakby należały do stworzenia pozbawionego duszy. Przecięła pępowinę. Zlizwała śluz. Dmuchała na buzię maleństwa. Nie minęły sekundy, a spojrzenie dziecka stało się czujne i dociekliwe niczym u morskiego ssaka. Mała wierciła się jak młody delfin, jeden z tych, które widywano swawolące wzdłuż morskiego wybrzeża. Zielone oczy nakrapiane brązem, takie jak oczy Esmy, Mihriban i Aidy. Esma dostrzegła we wnuczce odbicie samej siebie. Maleńkie stworzonko zdawało się uśmiechać, a nawet mrugać porozumiewawczo. Esma mrugnęła w odpowiedzi, jakby dzieliły wielki sekret, a potem szybko wypuściła powietrze z płuc.

Camilla leżała spokojnie, podczas gdy Gonca zajmowała się łóżyskiem. Patrzyła, jak teściowa uznaje dziecko za swoją wnuczkę. Łzy spływały po policzkach Esmy, lecz jednocześnie jej twarz rozświetlał pełen zadowolenia i spokoju uśmiech.

- Jak ją nazwiemy?



- Będzie miała na imię Amber - oświadczyła Camilla. Skóra dziecka rzeczywiście miała w sobie świetlistość bursztynu, lecz to namiętna miłość Camilli do ulubionej powieści - *Na zawsze Amber* - zdecydowała o wyborze imienia. Amber znaczy „bursztyn”. Camilla nauczyła się patrzeć na świat poprzez filtr w kolorze bursztynu. Musiała tak zrobić, jeśli miała przetrwać w domu teściowej.

Camilla wkrótce znów pogrzyła się w nieświadomości. Na dobre pozbyła się Czerwonej Kobiety, ale pozbyła się też macicy. Mimo to jej twarz promieniowała słabym blaskiem. Była teraz matką.

- Nazywasz się Sulejman - szepnęła Esma do dziecka, a potem wsunęła mu do ust kawałek rachatlukum, owinięty w chusteczkę, by miało słodkie życie.

Kiedy wróciła tego wieczoru do sypialni, spojrzała na fotografię Aladdina ze swą irlandzko-amerykańską żoną, ubranych w płaszcze z futrzanymi kołnierza-  
mi, stojących przed białym domem w stylu kolonialnym gdzieś pośród zaśnieżonego krajobrazu Nowej Anglii. Obok stało zdjęcie Cadriego i Aladdina jako chłopców, wystrojonych w kapelusze z białego atlasu, jakie nosili podczas ceremonii obrzezania. Jej stary mąż o stanowczym wyrazie twarzy - ta sama dawna fotografia. Aida jako królowa piękności. A do tego, ukryty w szafie, Sulejman w ciemnym fezie i pelerynie.

Zbyt słaba, aby utrzymać się na nogach, opadła na dywanik i zaczęła się modlić. Powiedziała Bogu, że jej życie się dopełniło. Nie bała się już oddechu Azra-  
ela. Wiedziała, że śmierć to nie koniec życia. Wiele dusz żyje wiecznie. W modlitwie zwracała się do bliskich, prosząc, aby nie lękali się o nią. Jej ciało być może ich opuści, lecz dusza będzie powracać.

Tej nocy odeszła we śnie. O świcie Gonca wbiegła na schody. Widok pani, zwiniętej na dywaniku jak w czasach, gdy targała nią namiętność, wycisnął łzy z oczu służącej. Okryła Esmę. I wtedy już wiedziała.

Nad martwym ciałem Esmy unosił się niebieski duch. Z początku bezkształtny, zaczął zmieniać się tak, jak zmieniają się chmury, dopóki jego fragment nie oderwał się i nie stał słowikiem. Ptak wyleciał przez okno i przysiadł na krzaku Adonisa. Muezin zaintonował poranną modlitwę. Słowik zaśpiewał. A dziecko zaczęło płakać.

TLR

## Plantacja jedwabiu



*(1930-1958)*

Widma piękności krążą nieustrudzone, Szukając miejsc, gdzie zmarł ich honor.

**Aleksander Pope**

## **Królowa piękności**

Gdy siostra Esmi, Mihriban, przyjechała, aby zamieszkać w Bursie, pchała przed sobą wózek inwalidzki swego męża. Ciemną twarz Mim Paszy wykrzywił grymas, spowodowany udarem. Jedna warga zwracała się ku niebu, druga ku ziemi. Trzy dorastające córki podążały w ślad za matką niczym wokalistki jakiegoś zespołu: Papatya, Sibel i Aida. Dwie starsze dziewczynki odziedziczyły powierzchowność po ojcu, człowieku uprzejmym, jak o nim mawiano, choć nieco popędliwym. Za to Aida, najmłodsza, miała jasną cerę, migdałowe oczy i usta jak wiśnie. Promieniowała wewnętrznym światłem, jakby zrodziła ją hurysa, nie zwyczajna kobieta.

Rodzina zapewniła Papatyi i Sibel wykształcenie - odkąd wprowadzono reformy Atatürka, w modzie było kształcić dziewczęta - lecz Aidę uczono jedynie, jak pielęgnować i wykorzystywać urodę. Wierzono, że ten, kto posiada urodę, łatwo zdobędzie też władzę. A Aida była wręcz stworzona na królową.

Wielką dumą napawał ich fakt, że mogą opiekować się pięknnością, którą zesłał im w darze Bóg, umieszczając dziecko w łonie Esmi. Wydawali fortunę na stroje dziewczynki: suknie w stylu chińskim, sari, sarongi, czarczafy i czadory, kaftany, kimona, kebaya, pallium, peplum i peplos. Nie wspominając o dodatkach, podkreślających charakter stroju: tiarach, szalach, etolach, płaszczach z kapturem i

pelerynach, szortach i bolerkach, halkach i fartuszkach, sięgających kolan majtkach i wachlarzach, jaszmakach i mantylkach, kapeluszach, sztylpach i rękawiczkach.

Siostry Aidy wykrały z bibliotek książki, przedstawiające stroje z różnych stron świata, a Sibel, utalentowana artystka, rysowała szkice, dopasowując wymiary do syrenich kształtów siostry.

Kobiety o zdolnych rękach, mieszkające na plantacji, wprawne w sztuce wytwarzania koronek, hafcie, robieniu na drutach, szyciu, robieniu koronek igłą, szydełkowaniu i aplikacjach, siadały w kręgu, wykonując nieskazitelnie piękne stroje dla Aidy. A ich służące, biegłe w wytwarzaniu jedwabiu, pielęgnowały dęby i hodowały jedwabniki. Mężczyźni budowali olbrzymie warsztaty i nie minęło wiele czasu, a rodzina wytwarzała tak dużo tkanin, i to doskonałego gatunku, że Iskender Bej, patriarcha rodu, musiał udać się w podróż do odległych prowincji, położonych przy Jedwabnym Szlaku, by wystawiać tam towary i poszukiwać sekretów wytwarzania jedwabiu jeszcze lepszej jakości.

Kiedy po latach wrócił, przywiózł nie tylko piżmo, piękne tkaniny, diamenty, rubiny, perfumy, rabarbar i inne obiekty pożądania, ale i *Bombyx mori*, okazy najcenniejszego gatunku jedwabnika, sekret, którego Chińczycy strzegli zazdrośnie przez wiele stuleci. Jego kradzież była największym przestępstwem, karanym okrutną śmiercią.

Jednak Iskender zaryzykował i przemycił jajeczka, a także nasiona morwy, w zwyczajnej laseczce z kości słoniowej. Nie był to podły podstęp, ale prawdziwy punkt zwrotny w historii handlu. Pomyślcie tylko: kilka owadzych jajeczek i parę nasion!

Morwy szybko zastąpiły wielkie dęby, które do tej pory karmiły jedwabniki, a *Bombyx mori*, jedwabniki morwowe, zastąpiły *Antherea harti*, jedwabniki dębowe, dające przędzę zdecydowanie gorszej jakości.

Tak zatem stałem się rozległą plantacją, położoną nad Bursą, na przedgórzu masywu, zwanego dawniej Olimpem, a dziś Uludağ, bulgocącego siarkowymi źródłami – morwa lubi glebę cieplicową. Drzew szybko przybywało i po jakimś czasie Iskender Bej oficjalnie zmienił nazwisko rodziny z Burutcu, co znaczyło „wytwórca prochu”, na Ipekçi, „producent jedwabiu”. Produkowanie na potrzeby armii, choć wzbogaciło rodzinę, nigdy szczególnie go nie pociągało. Iskender Bej wreszcie poszedł za swoim poetyckim powołaniem.

Trzynastoletnia Aida była już piękna niczym blady księżyc - jej imię oznacza w końcu: Pani Księżycyca - ponieważ rodzina trzymała ją w cieniu. Nawet przy tych rzadkich okazjach, gdy była wystawiona na działanie słońca, kazano jej nosić olbrzymie kapelusze z woalką lub parasolki, aby skóra zachowała ów cenny odcień kości słoniowej, z którym przyszła na świat. Błyszczących kasztanowych włosów dziewczynki nigdy nie podcinano, opadały więc falami aż do ziemi, podwinięte na końcach, by ich nie przydeptywała. Codziennie szczotkowała je tysiąc razy specjalną szczotką z włosia dzika, którą Iskender przywiózł aż z Azji.

Oczywiście nie pozwalano jej nawet zbliżyć się do miejsc, gdzie wykonywano jakąkolwiek pracę, gdyż nie chciano ryzykować, że uszkodzi sobie dłonie, tak gładkie i piękne jak marmurowa dłoń, którą Iskender Bej kupił od rozkopywacza grobów w pobliżu Knidos, przekonany ponad wszelką wątpliwość, że musiała należeć do Afrodyty Praksytelesa, najpiękniejszego posągu, jaki kiedykolwiek powstał, jednego z siedmiu cudów świata. (Zważcie, iż w Turcji znajdowały się wówczas aż cztery z nich: mauzoleum w Halikarnasie, Kolos z wyspy Rodos, świątynia Artemidy w Efezie i słynna Afrodyta). Iskender Bej przejawiał nadzwyczajny talent do wyszukiwania cennych obiektów.

Ciało Aidy promieniowało blaskiem od ciągłego przesiadywania w kąpielach mineralnych, szorowania, złuszczenia, namaszczenia, oczyszczania za pomocą siarkowych oparów. Jej mięśnie były omdlewające, lecz giętkie, a zawdzięczały

to codziennym masażom. Oczywiście, podobnie jak reszta kobiet, także Aida unikała wszelkich form wysiłku fizycznego, gdyż, no cóż, dżentelmeni ze Wschodu lubili kobiety, które mogły poszczycić się bujnymi kształtami (w końcu: po co ma się ciało?), nie tak jak tyczkowate cudzoziemskie dziewczyszyska. Co zatem mogły zrobić kobiety? Musiały wyglądać jak pulchne figi, rosnące nad brzegami szmaragdowego morza. (Wszystko było dobrze, dopóki były młode, ale w miarę upływu lat ich nogi zaczynały wyglądać tak, jakby obrzucono je puddingiem z tapioki - lecz nawet wtedy kobiety traktowały to po prostu jak swój kismet, wyrok losu, rezultat rzuconego na nie uroku, a najprawdopodobniej niechciany spadek po matkach i babkach, wiedziały bowiem, że to samo przytrafiło się innym kobietom, podlegającym zmianom losu).

Lecz Aida, zaledwie trzynastoletnia, nadal korzystała z darów Boga, który jeszcze ich nie odebrał, żeby dać jej w zamian dzieci i dłuższe życie. Przeciwnie, wydawała się wręcz niedożywiona. Rodzina próbowała więc nieco ją utuczyć, nakłaniając, by jadła olbrzymie ilości cukru i smalcu - paszteciki **borek**, **tatli**, słodczyce, bakławę, paluszki damy, ciastka z migdałem, zwane „pępek ślicznotki”, sałatkę z bakłażanów, pomidorów i cebuli, znaną jako „imam zemdlał”, **karni yarik**, „cięty brzuch”, czyli przekrojony na pół bakłażan, gołąbki w winogronowych liściach, flaczki i tłusty gulasz barani - sposób odżywiania się przejęty z Bałkanów, który na dobre zadomowił się w kuchni tureckiej. Wówczas nikomu się nie śniło, że taka dieta może być szkodliwa dla zdrowia, karmili więc Aidę obficie grzesznymi przysmakami, które dziewczynka zdawała się spalać bez najmniejszego trudu. I nadal była szczupłą.

Biedna Mihriban, zdesperowana, zabrała w końcu córkę do **evliya**, świętego jaśnowidza imieniem Kum Baba, Mistrz Piasku, o którym mawiano, że potrafi wyleczyć każdą chorobę.

*Evliya* owionął dziewczynkę modlitwą, dmuchnął jej w twarz, wymył usta wodą ze świętego źródła i spojrzął w oczy.

- Nie widziałem dotąd nikogo takiego jak ty, moja piękna - powiedział. - Masz u stóp cały świat, lecz twoim przekleństwem jest próżność. Schlebienie jej pewnego dnia może cię kosztować szczęście, a nawet życie. Poznają to po tym, co widzę w twoich oczach - plamki, zanieczyszczenia dają o sobie znać w tych brązowych cętkach (Aida miała oczy podobne do oczu Esmy - zielone z brązowymi cętkami w kształcie przecinka). Będziesz musiała je oczyścić, rozpuścić te plamki brudu, by twoje oczy mogły stać się błękitne - takie jakie powinny być, w kolorze twojej duszy.

Dał jej specjalne zioła i Aida obiecała, że będzie je zaparzać, lecz nie minęło wiele czasu, a była już tak zajęta sobą, że zupełnie o nich zapomniała. Jednak stopniowo zachodziła w niej pewna zmiana. Miękka warstewka dziecięcego tłuszczu pokryła z wolna smukłe kształty wróżki i choć Aida nadal była wiotka niczym wierzbowa gałązka, rodzina miała powód, by świętować: dziewczyna zaczęła bowiem wydzielać płyn, który pachniał jak esencja różana. Uczcili to, poświęcając całe stado owiec, których mięso rozdano następnie najuboższym spośród ubogich, podobnie jak pięć tysięcy miseczek kaszy *bulgur*.

W końcu ich Aida stała się kobietą. Zyskała moc i władzę.

Zapach Aidy unosił się nad ulicami całego miasta i *göruçu*, te obrzydliwe swatki, te harpie, zaczęły pielgrzymować stadami na plantację, pojawiając się o każdej godzinie, każdego dnia, by negocjować w imieniu swych synów, brataników i wujów. Lecz Aida nie zdradzała nawet śladu zainteresowania żadną z tych propozycji. Uznała je za tak odstręczające, że postanowiła się zbuntować.

Jako najmłodsza panna w rodzinie wiedziała, że to jej siostry powinny wyjść za mąż najpierw. Dlatego, ubrana w jeden ze swych bajecznych kostiumów, wchodziła, kręcąc biodrami, do salonu, niosąc tacę z kawą i uśmiechając się



uwodzicielsko, kiedy obsługiwała swatki, ale wychodziła z pokoju natychmiast potem, miast tkwić potulnie w rogu niczym zamknięty kwiat powoju. Nie zgadzała się na to, by siedzieć z opuszczoną głową, spoglądając skromnie na złożone na kolanach dłonie - jak wymagała tego etykieta - i zachowując tę pozycję przez niekończące się godziny, kiedy to swatki wyliczały jej wady i zalety, dając do zrozumienia, w jakich kwestiach skłonne byłyby negocjować, a w jakich nie. I tak dzień za dniem.

Muszę przyznać, że Aida nie ukrywała, iż robi to tylko po to, by nie przynosić wstydu rodzinie, lecz była nowoczesną dziewczyną, żywym przykładem ideału młodej kobiety, stworzonego przez Atatiirka. Nigdy, przenigdy nie zgodziłaby się na to, by swatka narzuciła jej męża.

Stanowiło to nie lada ulgę dla rodziny, gdyż pozostali jej członkowie musieli poświęcać wiele czasu, okazując gościnność tym pijawkom. Po jakimś czasie wywiesili więc na bramie napis, głoszący: „Nie przyjmujemy swatek”, który w końcu zniechęcił starających się, niestety również tych, którzy pojawiali się, mając na uwadze Sibel i Papatyę. Te dziewczęta wymagały więcej starań.

Lecz Aida nadal była niespokojna. Jej sercem zawładnęło pragnienie silniejsze niż chęć włożenia ślubnej obrączki. Lecz nie szepnęła na ten temat słowa nawet siostrze, nie miały więc pojęcia o jej sekretnym marzeniu. Zwierzyła się tylko ciotce Esmie. Esmie nigdy nie przyjeżdżała na plantację, lecz Aida od czasu do czasu odwiedzała ją w Smyrnie. Z ciotką łączyła ją bowiem szczególna więź, która martwiła niekiedy rodziców, choć byli ludźmi dobrymi, o szczodrym sercu.

Jednak pewnego dnia Iskender Bej zastał Aidę płaczącą w altance pod krzewem bzu.

- Powiedz mi, co cię trapi, moje dziecko - poprosił.

Żywił wielką słabość do dziewczynki, która miała tak silną *mana*, kobiecą moc. To dlatego podarował jej bursztynowe jajko z ćmą w środku, niegdyś własność prawdziwej matki dziewczynki, tej, która nigdy mu nie wybaczyła.

-Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, wiesz o tym, prawda?

Aida, niezdolna dłużej się wstrzymać, wyznała:

- Chcę zostać królową, drogi wujku.

-Jestem pewien, że mogłabyś, jeśli tego pragniesz. Z pewnością żyje gdzieś monarcha, który byłby zachwycony, mogąc pojąć cię za żonę.

- Chcę być królową piękności.

Zadbali o to, by Aida mogła konkurować co do urody z najpiękniejszymi kobietami imperium, godnymi stać się małżonką sułtana. Teraz miałyby stanąć w szranki z tymi, które nie dorównywały jej wychowaniem i urodą, i zatriumfować nad nimi jako królowa piękności. Co, oczywiście, ściągnęłoby na rodzinę publiczną uwagę. Dotąd, mimo iż fortuna była dla nich łaskawa i prowadzili wygodne życie, udawało im się zachować przynajmniej złudzenie prywatności.

Iskender Bej uważał, że takie rzeczy jak konkursy piękności dobre są dla społeczeństwa i biorąc udział w jednym z nich, Aida splami honor rodziny, jednak kobiety natychmiast go zakrzyczały. Czyż Aida nie była ich dziełem, mającym zrealizować marzenia, których one, mniej hojnie obdarowane przez naturę, nie śmiały nawet ujawnić? W głębi duszy wszystkie pragnęły tego samego: by ich uroda zatriumfowała. W końcu Iskender Bej, człowiek wrażliwy i doceniający mądrość kobiet, ustąpił, nie robiąc z tego wielkiej sprawy.

Był tylko jeden problem. Uczestniczki musiały mieć krótkie włosy, skoro ich zadaniem było stanowić przykład i wspomagać modernizację. Iskender Bej próbował wszystkiego, z przekupstwem i innymi niegodnymi metodami włącznie, lecz nie udało mu się nagiąć zasad. Prosił Aidę, by zmieniła zdanie, zaoferował jej i siostrze wyprawę do Paryża, lecz Aida była tak uparta, tak zdecydowana, że

nic, absolutnie nic, nie mogło stanąć jej na drodze, nawet to, że musiała poświęcić swe cenne, sięgające podłogi włosy, których nie ścinała przez całe życie.

Ponieważ w tamtych czasach nie było jeszcze publicznych zakładów fryzjerskich, siostry Aidy, jej ciotki i cioteczne babki towarzyszyły dziewczynie pewnego wilgotnego letniego dnia do lokalu, gdzie urzędował golibroda. Aida miała na głowie biały słomkowy kapelusz z olbrzymim rondem, chroniącym ją przed słońcem.

O tym, co zaszło, wiem tylko ze słyszenia. Oto czego zdołałem się domyślić, łącząc oderwane fragmenty i strzępki informacji.

Podobno gdy Aida usiadła w fotelu i zdjęła kapelusz, golibroda, wstrząśnięty widokiem takiego bogactwa pięknych włosów, odmówił ich ścięcia. Lecz Aida zaczęła go błagać.

- Jesteś pewna, że nie będziesz tego żałować? - zapytał żałośnie.

- Absolutnie - odparła Aida.

Tak więc golibroda odmówił krótką modlitwę, a potem chwycił nożyczki i uciął jej włosy jednym ruchem, by nie przedłużać męki - tuż poniżej uszu.

A potem to się zdarzyło. Choć bowiem zaryglował okiennice i wywiesił napis „Zamknięte”, aby zapewnić kobietom prywatność, drzwi otwarły się i do środka wszedł młody mężczyzna w mundurze wojskowego, ze złotymi epoletami i szamerunkiem. Kobiety wstrzymały oddech.

Golibroda stał pośrodku pokoju, trzymając w dłoni długą, piękną grzywę i mając łzy w oczach. Kiedy młody porucznik zobaczył siedzącą w fotelu piękność, nieporównywalną z kobietami, które widywał dotąd, w dodatku wyglądającą na tak bezbronną jak ofiary na obrazach, kierowany nieodpartym impulsem padł na klęczki i ucałował jej nadgarstek. A potem wycofał się z przeproszącą miną, ścigany krzykami fryzjera, który odgrażał się, że natrze mu uszu, i prosił damy, przede wszystkim zaś Aidę, by wybaczyły jego synowi porywcze zachowanie.

Jego synowi? Więc młodzieniec był synem golibrody? No cóż, to zakończyło sprawę, zanim się jeszcze zaczęła. Tak właśnie działa przeznaczenie.

Aida siedziała w fotelu, nadal czując na nadgarstku oddech młodzieńca, targana emocjami, jakich zazwyczaj doznawała, kiedy dotykał jej Azrael, anioł śmierci, który skradał się za nią, odkąd tylko przyszła na świat.

-Azrael lubi piękno - powiedziała jej pewnego razu Mih-riban - i kiedy nie jest zajęty wdychaniem ostatniego tchnienia starych ludzi, nawiedza ładne młode dziewczęta i flirtuje z nimi, sprawiając, że wstrząsają nimi tajemnicze dreszcze, zwłaszcza na sutkach i pomiędzy nogami. Jeśli piękność ulega, Azrael trzyma ją w uścisku, dopóki nie osłabną jej kolana i nie upadnie, cierpiąc z wyniszczenia. Wtedy porzuca dziewczynę i wraca po kilku miesiącach, aby uczynić ją kolejną ze swych żon.

Lecz później pewna staruszka, pracująca w przedzalni, powiedziała Aidzie, że jeśli poczuje dotyk Azraela, powinna odepchnąć go, mówiąc: „Odejdź teraz i wróć w jesieni mojego życia”. Potem należało połknąć trzy pestki granatu, a wtedy anioł śmierci na pewno zostawi cię w spokoju.

- Ale sądziłam, że to przez nasiona granatu Ewa została wypędzona z raj! - zawołała Aida.

- A co wolisz, źrenico mego oka, śmierć czy wygnanie z raj!?

Tak więc, gdy Aida poczuła oddech Azraela, przywołany pocałunkiem mężczyzny, zawołała:

- Odejdź teraz i wróć w jesieni mego życia!

A potem chwyciła stojącą w pobliżu wejścia misę z owocami, wydłubała trzy pestki z owocu granatu i szybko je połknęła.

Młody człowiek wrócił po chwili i powiedział:

-Nie mogę czekać tak długo. Jestem aniołem życia. - Po czym wypadł za drzwi, pozostawiając kobiety w stanie oszołomienia.

Był to przystojny młodzieniec, bardzo podobny do Roberta Taylora, a może nawet przystojniejszy w tym mundurze porucznika. Owszem, był synem golibrody, lecz walczył za kraj i należał do jego nowej elity. Z pewnością miał przed sobą przyszłość.

Golibroda przewiązał włosy Aidy jedwabną wstążką i zwrócił je dziewczynie, mówiąc:

-Weź, proszę, są bezcenne. Jeśli chcesz, mogę zrobić ci z nich treskę.

A potem, posługując się mniejszymi nożyczkami, wymodelował krótkie teraz włosy Aidy, zaczynając od karku. Z przodu pozostały dłuższe, sięgając tuż poniżej linii szczęki. Następnie szesał wszystkie do przodu, na twarz, wybrał kilka pasm i przystrzygł je w zgrabną grzywkę. Potem tańczył przez jakiś czas wokół fotela, wymachując nożyczkami, unosząc palcami włosy klientki i przycinając małe kosmyki. Wreszcie było po wszystkim.

-Zrobione - powiedział, podając Aidzie lusterko, by mogła przejrzeć się z tyłu.

Doskonała fryzura w stylu Clary Bow, dziewczyny, która miała w sobie „coś”. Mimo to pozostałe kobiety ocierały łzy, zdając sobie sprawę, że inne „coś” zostało bezpowrotnie stracone.

Mihriban, przekonana, że Aida stoi u progu wielkich zmian, zabrała ją znowu do świętego Kum Baby.

-Musisz powściągnąć swoją próżność - powiedział, wróżąc z fusów kawy. - Inaczej stanie się twoją zgubą.

Aida roześmiała się tylko, tak absurdalne wydały jej się przepowiednie starca. Nie wierzyła jeszcze, iż może być podatna na smutek i cierpienie.

W następnych tygodniach w życiu Aidy nastąpiły jeszcze dwa istotne wydarzenia: straciła niewinność i została królową.

Przędki wyjęły z najniższej szuflady komody najpiękniejszą sztukę troskliwie przechowywanej *crépe d'amour*, którą Esma przysłała swego czasu z przeznaczeniem na szczególną okazję, i przez kilka dni i nocy trudyły się nieprzerwanie, szyjąc dla Aidy suknię balową - taką, jaką widziały swego czasu w kinie. Była to najpiękniejsza suknia na świecie, choć o najprostszym z możliwych kroju.

Moment zwycięstwa Aidy trwa w pamięci każdego członka rodziny, rozciągliwy niczym guma przekazywana z ust do ust.

Aida, ubrana w kąpielowe spodenki w kolorze masła, sięgające do połowy ud, i jasnogrnatową atlasową pelerynkę, obszytą gronostajowym futrem, paradowała na scenie razem z innymi pięknościami, błyskając białymi niczym perły zębami i bujnym biustem.

Dokładnie w chwili, gdy jury miało oddać głosy, drzwi otworzyły się i do sali wszedł, ubrany we frak, cylinder i białą pelerynę - On. Wielki mag. Podobno jedno spojrzenie rzucone na Aidę wystarczyło, by przez resztę nocy nie dostrzegł poza nią nikogo. Uklękła przed wielkim Ataturkiem, a on nałożył jej na głowę złotą koronę.

-Pochodzę z Bałkanów, podobnie jak twoja rodzina, i widziałem tam wiele pięknych kobiet - powiedział. - Macedonki, Serbki, Wołoszki, Rumunki, Bułgarki, kobiety z Tesalii, Tracji, Albanii, Słowenii, Chorwacji, Transylwanii, Czarnogóry, Besarabii, Mołdawii i Bośni. Lecz żadna, absolutnie żadna z nich nie może równać się z tobą. Nie widziałem dotąd twarzy tak anielskiej i tak promieniejącej osobowości. Masz w sobie cząstkę każdej z tych kobiet - ich głosy, ich opowieści. Lecz w przeciwieństwie do nich nie należysz do przeszłości. Jesteś symbolem nowoczesnego świata, wzorem dla wszystkich żyjących na nim niewiast. Kobieta, jakiej szukałem przez wszystkie te lata. Wizją nowego narodu! I jako taką obwołuję cię Miss Turcji!

Utkwił spojrzenie między piersiami Aidy, w miejscu, gdzie od urodzenia miała znamie w kształcie gwiazdy i półksiężyca, takie jak na tureckiej fladze.

-Widzę, że są i inne znaki, potwierdzające mój osąd - powiedział, całując jej dłoń.

Aida błysnęła perłowym uśmiechem, zamrugała nieśmiało pod modnie przyściętą grzywką i nagle zalała się łzami. Ludzie westchnęli, zaskoczeni. Atatürk wyjął pięknie poskładaną chusteczkę z monogramem i podał ją Aidzie. Niezapomniany moment.

Po konkursie wszystkich gości zaproszono na ucztę na świeżym powietrzu. Mężczyźni i kobiety przybywali osobno, niczym oliwa i woda. Tak ich nauczono. Inaczej nie umieli.

Członkowie kwintetu, grającego muzykę turecką, złożonego z *ud* i *tambour*, strunowych instrumentów szarpanych, a także *sazu* (rodzaj gitary z długim gryfem), bębna *davul* i fletu *ney*, poruszyli się na swych miejscach. Adiutant Atatürka, turecki Grek, mający także włoskich przodków, akompaniował im na akordeonie. Uderzono w cymbały. *Ney* zaświstał melancholijnie, a muzycy zaczęli stroić instrumenty, by wreszcie rozbrzmiały *La Cumparșita*, królową wszystkich tang, odgrywaną w tonacji minorowej.

Muzyka, z początku leniwa niczym nagranie z puszczonej w niewłaściwym tempie płyty, przyśpieszyła i wkrótce wzniosła się na barokowe, pełne ozdobników wyżyny, brzmiąc niczym cyrkowa uwertura.

Atatürk podszedł do miejsca, gdzie stały kobiety, i skłonił się przed Aidą.

Ta zaś, choć biegła w tańcu brzucha, nie miała dotąd okazji zmierzyć się z walcem czy tangiem. Lecz była królową, a sam król zapraszał ją na parkiet. Błysnęła olśniewającym uśmiechem i pozwoliła, by otoczył ją w talii ramieniem - ach, ten dotyk *crépe d'amour* - i poprowadził na środek parkietu niczym w transie.



Sunęli po parkiecie jak para łabędzi, podczas gdy inni przypatrywali się im, wstrzymując oddech. Zachowywał się tak władczo wobec tej dojrzałej, nawykłej przeprowadzać swą wolę piękności! Uległa mu bez cienia oporu. Nikt by nie powiedział, że tańczą ze sobą po raz pierwszy. Kiedy akordeon łkał, robiła to i Aida, falując krągłymi biodrami i gibkimi ramionami, podczas gdy Atatürk, wystrojony w nieskazitelnie wykrochmaloną białą kamizelkę i białą muszkę, ze szczesnymi gładko z czoła, rozjaśnionymi słońcem włosami, prowadził partnerkę płynnie pomimo swego wieku. Wykonując skomplikowane, modne kroki, to odchyłał Aidę w talii, to znów wirował z nią po świeżo wypolerowanym parkiecie. Dla wszystkich, którzy na to patrzyli, stali się Ginger i Fredem.

Pamiętajcie, że Atatürk, w przeciwieństwie do innych prymitywnych polityków i dyktatorów, był człowiekiem nadzwyczaj eleganckim, wytwornym - narcyzem i ekshibicjonistą pierwszej wody. Mawiano, że kiedy jako młody człowiek przebywał w Paryżu, uczył się tanga u słynnego argentyńskiego tancerza, Carlosa Gardela, a potem długo czekał na odpowiedni moment, aby zabłysnąć umiejętnościami i olśnić poddanych.

Pozostali mężczyźni, przyzwyczajeni we wszystkim naśladować przywódcę, podchodzili kolejno do kobiet i zapraszali na parkiet żony, siostry i córki. Ach, cóż to był za wieczór! Tango rozbrzmiewało na skalę pentatoniczną, ciała zaś, upojone tańcem, zaczęły falować we własnym, kom-pulsywnym, zmysłowym rytmie. Tańczący poruszali biodrami i strzelali palcami, jakby tańczyli *zeybek*, rytmiczny taniec w takcie na dziewięć, nie tango na cztery. To muzyka tak na nich działała.

Członkowie zespołu, odcyfrowując z nut melodię akordeonisty, świeżo mianowanego głównym muzykiem grupy, rozszerzyli swój dopiero co wyuczony repertuar o *La Viole-tere*, *Vida mia*, *El Esquinazo* i wreszcie - *Jalousie*, podczas gdy starsze kobiety w chustkach na głowach przyglądały się tańczącym parom,

niepewne, czy mają się uśmiechać, czy spoglądać z potępieniem, szepcząc modlitwy i przesuając w dłoniach paciorki.

Gdy wieczór zbliżał się ku końcowi, Atatürk przekazał Aidę swemu adiutantowi, którym okazał się nie kto inny, tylko przystojny syn fryzjera. Wódz nie powinien był tego robić, lecz, z drugiej strony, któż zdoła przeszkodzić losowi? Powiadają, że człowiek rodzi się z przeznaczeniem wypisanym na czole. Przeznaczeniem Atatürka było nigdy nie założyć rodziny - być może dlatego adoptował w następnych latach aż dziewiętnaścioro dzieci. Talenty w dziedzinie strategii, ataku i odwrotu, a także cierpliwość, uczyniły zeń jednego z największych przywódców wojskowych swoich czasów, lecz nie docenił siły młodości. Co za błąd!

Po tej nocy Aida jakby uległa sile tajemniczego zaklęcia, które dało jej moc osiągania dosłownie wszystkiego. Ponieważ jednak nadal żyła w świecie cielesnych ograniczeń, nie zdawała sobie sprawy z daru, jaki otrzymała. I choć mogłaby osiągnąć tak wiele, tkwiła schwytna w pułapkę cielesności, rozpalona fizycznym pożądaniem i niezdolna oprzeć się przeznaczeniu.

Co zdarzyło się tej nocy po konkursie? Nikt nie wie tego na pewno, lecz najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń przedstawia się tak, że porucznik odwiózł po prostu Aidę do pałacu i przekazał wodzowi. A potem przesiedział całą noc w srebrzystym daimlerze, czekając.

Niektórzy przypuszczają jednak, że młodzi pomknęli bezszelestnie srebrzystym daimlerem Atatürka aż na szczyt wzgórza Carnika, skąd roztaczał się wspinały widok na Bosfor. Tam porucznik zatrzymał samochód, uniósł skraj sukienki Aidy i ucałował go.

Jest to jeden z sekretów, których nigdy nie poznamy -prawdę znają bowiem tylko Aida, Atatürk i młody porucznik.

Nikt nie zawracał sobie głowy zmywaniem różowej plamy z sukni Aidy, przyjmując ją jako honorową odznakę. Nikomu nie przyszło do głowy powątpiewać choć przez chwilę, że powstała za sprawą wielkiego człowieka. Jako taka zaś powinna zostać zachowana. Zwinęli suknię starannie i włożyli do kufra, a potem przechowywali, jakby była świętą relikwią. (Później odziedziczy ją kuzynka Aidy, Amber).

Porucznik przyjeżdżał każdego dnia, zabierał Aidę samochodem Atatürka, a potem odwoził ją późną nocą, w godzinie wilka. Wszyscy członkowie rodziny skwapliwie przyjęli, że Aida odwiedza wielkiego przywódcę, i choć umierali z ciekawości, pragnąc się dowiedzieć, dokąd też udaje się para, co robi, co mówi Atatürk, jak reaguje na to Aida - nikt nie ośmielił się o nic zapytać, a Aida milczała jak zaklęta.

Zaczęła sypiać do południa, a po zbudzeniu pozostawała w swoim pokoju, otoczona egzotycznymi roślinami i ptakami, zjadając pudła czekoladek, kasztanów w cukrze, rachatlukum i barwionego marcepanu w kształcie zwierzątek i owoców, który przysyłał jej kawaler.

Nie minęło wiele czasu, a ciało Aidy nabrało krągłości, co bardzo ucieszyło rodzinę. Choć bowiem wszelkie sposoby uczynienia jej pulchną zawiodły, najwidoczniej słodczyce, przysyłane przez wielkiego człowieka, dokonały cudu - tak przynajmniej sądzono, choć kobiety zauważyły nieobecne spojrzenie i dziwną obojętność, w jaką po konkursie popadła ich ulubienica. Nie interesowała się już strojami, nie cieszyły ją podarki w postaci bezcennych tkanin czy wzorów, przywożonych przez Iskendera z podróży.

Wszyscy w mieście doskonale wiedzieli, że samochód numer jeden przyjeżdża co wieczór na plantację i uwozi królową piękności. Do mojego progu zaczęli pielgrzymować dalecy krewni i dawno zapomniani pociotkowie. Wszyscy pragnęli choć zerknąć na boginię - obcy zwieszali się z wysokiego kamiennego muru, otaczającego dom niczym talizman chroniący przed złym okiem. Żeby zaspokoić ich ciekawość, Aida roztaczała uroki, przebierając się w swe legendarne stroje, lecz wszystko to przestało ją obchodzić. Czas mijał, jej sekretne wycieczki trwały, a ciało zaczęło się zaokrąglać. Jak córki powielają grzechy matek!

Zdarzyło się to pod koniec ramadanu i wyglądało tak: rodzina obudziła się wcześniej, by zjeść, nim się rozwidni. Zeszli do jadalni w nocnych strojach, po czym stłoczyli się wokół miedzianego piecyka. Choć chciało im się spać, żadne nie zrezygnowałyby z pysznego nocnego posiłku, *iftar*, i to dla paru głupich snów.

Służące wносиły kolejne tace przysmaków: czterdzieści rodzajów oliwek, *bo-rek*, gołąbki faszerowane wszelkimi orzechami oraz ziarnem, zielone, czerwone, fioletowe warzywa i owoce, kozie sery, kurczęta po czerkiesku, olbrzymie pieczone małże, niezliczone dania z oberżyny, zupę z dyni i flaczki doprawiane jogurtem i miętą, chlebki pita, bakławę, słodkie *aşure* z pszenicy i suszonych owoców, puddingi i chałwy. Trzeba było nieźle się natrudzić, by wszystkiego spróbować.

Aida jak zwykle się nie pojawiła. Papatya i Sibel co prawda nie pościły, lecz udawały, że to robią, by tylko ucztować z resztą rodziny - oto dlaczego te dziewczęta były zawsze tak pulchne.

W środku posiłku usłyszeli znajomy samochód i wkrótce pojawiła się Aida, z włosami w nieładzie i suknią zadartą na wydatnym brzuszku. W dłoni trzymała

miskę kokonów. Usiadła obok wuja Iskendera, po czym zaczęła wybierać poczwarki z osłonek i pożerać je, jakby to były pistacje.

Wszyscy zaniemówili. Czyżby ich piękność zbzikowała?

-Po południu przyjdzie tu swatka - powiedziała tymczasem Aida jak gdyby nigdy nic. - Proszę, usuńcie napis z bramy.

Kobiety zaczęły wzdychać i pokrzykiwać z zachwytu.

Iskender powiedział Aidzie, że jest z niej dumny, że zawsze wiedział, iż będzie z niej doskonała żona dla ważnego człowieka i da mu najlepsze dzieci. Jest prawdziwą królową.

-Obyście oboje, ty i twój mąż, zestarzelili się, kładąc głowy na tej samej poduszce - pobłogosławił ją w zastępstwie zmarłego Mim Paszy.

Aida udała się do swego pokoju i przepłakała tam całą noc. To normalne u przyszłej panny młodej, pomyśleli.

Następnego dnia przedsięwzięto wielkie przygotowania. Kobiety bardzo chciały poznać wysłanniczkę przywódcy. Jednakże zamiast niej ze swatką przybyła żona fryzjera, prosząc o rękę Aidy dla swego przystojnego syna, porucznika.

To właśnie wtedy Iskender Bej wszedł do pokoju Aidy i zabrał bursztynowe jajko z uwięzioną w środku ćmą.

Los obiera czasem najdziwniejsze ścieżki. Wkrótce po skromnym ślubie porucznik został wysłany do Niemiec jako attache wojskowy i zabrał z sobą żonę.

-Aida - mawiano potem - miała możliwości, by zmienić los rodziny, lecz zamiast tego wybrała zwykłe życie i poślubiła syna fryzjera.

I choć syn fryzjera został później ważnym generałem, dla nich nadał był nikim. A wszystko z powodu urody.

Po wyjeździe Aidy Iskender Bej nie uśmiechnął się ani razu, i to przez całe lata. Zaprzestał podróży w poszukiwaniu najlepszej przędzy i pozostał na plantacji, pośród krewnych, bezpowrotnie zatopiony w złudnym świecie jedwabnych marzeń i snów.

*Przędka, rzecz., kobieta, która przędzie, której zajęcie polega na przędzeniu nici.*

## **Iskender i Amber**

Iskender zobaczył Amber po raz pierwszy pod koniec sezonu na jedwabniki, pewnego parnego czerwcowego dnia u schyłku ramadanu. Po śmierci Esmy nie wrócił już do Smyrny, zwanej teraz Izmiem. Prawdę mówiąc, nie opuszczał plantacji od wieków, ukryty tam niczym w kokonie wraz ze swymi jedwabnikami i resztą licznej niegdyś rodziny.

Pamiętam, jak wóz piął się wzdłuż bitej drogi, klucząc pośród zawiłych szlaków, przecinających górę Olimp. Przyglądałem się, jak mija podnóże, gdzie sady brzoskwiniowe uginały się pod ciężarem owoców tak dorodnych, że aż łamały się gałęzie. W dolinie poniżej mgła wisiała niczym gigantyczny parasol, rozłożony nad wiejskimi domami, zbudowanymi z cegieł zrobionych z nawozu, a słupy dymu z palonego łąjna wznosiły się ponad równiną, gdzie pasły się stada owiec, szczęśliwie nieświadomych swego losu.

Wóz zaturkotał, wjeżdżając coraz wyżej drogą, prowadzącą na świętą górę, gdzie bulgocące gorące źródła tryskały z siarkowej ziemi w pobliżu miejsca, zwanego Konikiem Polnym. Ośnieżone szczyty oddalały się tu od siebie, przechodząc w dolinę pełną plantacji jedwabiu, gdzie dzika lawenda i różowe hiacynthy napępniały wonią powietrze, rzadsze tu i bardziej wilgotne. Doskonale dla morwy - i, oczywiście, dla jedwabiu. Najlepszego z najlepszych.

Przetoczywszy się pomiędzy żywopłotami z białych oleandrów, wóz skręcił w końcu na podwórze, przechylił się na bok i raptownie stanął. Wysiadł z niego Cadri. Wciągnąwszy do płuc łyk górskiego powietrza, spojrzał na kompleks pawilonów z wielkimi łukami i kolumnami, ocieniony przez libańskie cedry, odbijający się w lustrze rozlicznych sadzawek, małych wodospadów i fontann.

Wyczuwałem spojrzenia, rzucane zza żaluzji. Szelest lekkich stóp wzdłuż korytarzy. Szepty. Wrota otwarły się jakby za sprawą magii i tłumek kobiet - pomarszczonych starych dam, obowiązkowo zakutanych w chustki, matron o słoniowych nogach, a także hożych niewiast o złotych zębach, ze złotymi bransoletkami zdobiącymi ręce aż po łokcie - wytoczył się przez wielkie drewniane drzwi.

Cadri pomógł wsiąść młodej kobiecie, ubranej w miejski strój. Za nią wysiadła służąca, trzymając za rączkę małą dziewczynkę.

Kobiety zerknęły na żonę i natychmiast zaczęły między sobą szeptać. I, oczywiście, przyjrzały się też bacznie dziewczynce, najmłodszemu członkowi rodziny, podając ją sobie z ramion do ramion, przesadzając z jednych kolan na drugie, podszczypując, całując i ściskając, dopóki dziecko nie zbuntowało się i nie ukryło twarzy na ramieniu matki. Kto mógłby winić je za ten brak śmiałości?

Camilla opisała później Mihriban jako kobietę o skórze tak wysuszonej i napiętej, iż można byłoby obciągnąć nią bęben. Patrząc na dziecko, Mihriban miała łzy w oczach. Wyciągnęła upierścienioną dłoń i ochrzciła małą olejkiem różanym.



- Cóż za niesamowite podobieństwo...

-Dość, wystarczy! - zakrzyczało dziecko, pocierając piekące od olejku oczy. Lecz kiedy małej obiecano kwaśny sorbet z wiśni i górskiego śniegu, uśmiechnęła się, pokazując szparę po brakujących przednich zębach. Nie przejmowała się tym uszczerbkiem na urodzie, gdyż przeglądając się w oczach innych, widziała jedynie niedające się wytłumaczyć uwielbienie. Bo też była naprawdę godna uwielbienia.

- Co tam nowego?

- Och, Generał wrócił właśnie z Korei. Stracił tam oko -wyjaśniła Mihriban.

- Tak, tak, słyszeliśmy. To okropne.

- Aida wybrała się z nim odwiedzić jego matkę. Powinni wrócić jutro na Święto Ofiary.

- A ten ich chłopak?

- Nie jest z nim najlepiej - szepnęła Mihriban do Cadriego. -Zachowuje się, jakby połknął złe nasionko czy coś podobnego. Aida nie potrafi poradzić sobie z Osmanem. Być może teraz, kiedy wrócił Generał, wszystko się odmieni. Kto wie?

Cadri i Camilla wymienili spojrzenia, jakby skrywali jakiś sekret.

Mihriban nadal wpatrywała się w dziecko.

- ***Maşallah.*** Niech na jej anielską twarzyczkę nigdy nie padnie oko diabła. Ile masz lat, Amber?

- Sześć i dziesięć miesięcy.

- Niech chronią ją aniołowie, Cadri. Taka bystra dziewczuszka. Dobrze jej idzie w szkole?

- Bardzo. Umie już czytać, pisać i liczyć. Woli książki od lalek. Przez cały czas nic, tylko czyta. Lubi rysować. I jest wszystkiego ciekawa.

- *Maşallah*. Niech będzie błogosławiona twoja matka, Cadri. Gdyby mogła nas teraz zobaczyć!

Kolejne łzy spłynęły po policzkach Mihriban, a szelest przesuwanych paciorków przybrał na sile.

-Myślę, że ona nas widzi - wtrąciła niespodziewanie Amber.

Wszystkie głowy odwróciły się raptownie. Dziecko najwidoczniej potrafiło nawiązać kontakt z niewidzialnymi, lecz należało je skłonić, by o tym zapomniało. Odwrócić jego uwagę. Inaczej wyrośnie na wariatkę, jak Esma.

Nagle ponad głowami obecnych zawirowała telepatyczna siła, ta sama, która rozpoczyna i kończy pieśni żab lub skłania jedną z lecących w stadzie gęsi, by objęła przewodnictwo nad innymi. Szepty stopniowo ucichły i do pokoju wszedł starzec, ubrany w gruby płaszcz - wewnętrzny termostat Iskendera nie działał już, jak powinien. Latem było mu zimno, a zimą gorąco. Wsparty na lasce, kolebiąc się z boku na bok, parł do przodu jedwabście miękkimi ruchami jak szybujący w przestworzach orzeł. Nieobecny duchem i elegancki, sunął przez pokój, podając kobietom do ucałowania dłoni, dopóki nie przyszła kolej na Amber. Dziewczynka ucałowała rękę starca i przycisnęła do niej czoło, a potem, unosząc głowę, podchwyciła jego spojrzenie.

-Jak się nazywasz, dziecko? - zapytał z lekka łamiącym się głosem, najwidoczniej poruszony podobieństwem.

Dziewczynka ujęła jego dłoń i napisała na niej coś wskazującym palcem.

-A-M-B-E-R - odczytał. - Amber. Boska substancja o niebywalej czystości. Pasuje do ciebie.

A potem odwrócił się do niej i rozciągnął wargi w uśmiechu, wartym tysiąca innych.

Nikt nie przypuszczał, że Iskender jeszcze kiedykolwiek się uśmiechnie. Nie robił tego od tak dawna. Od ilu właściwie lat? Nikt już tego nie pamiętał. Być

może od konkursu piękności, w którym wzięła udział Aida. A może przestał uśmiechać się już wcześniej, gdy Esma oddaliła się od niego. Cóż za wzruszająca chwila!

- Masz krzywy ząb - powiedziało dziecko i stary człowiek przez chwilę wyglądał bardzo smutno. A potem, wsparty na laseczce, opuścił pokój, szukając innego zajęcia. A może szukając samotności, by zaznać nieco pociechy i uspokoić zdezorientowane serce.

- Nie powinnaś była tego mówić! Nie trzeba mówić takich rzeczy starszym krewnym - złązała Camilla córkę. -Przez ciebie sobie poszedł.

- Ale on naprawdę ma krzywy ząb.

Twarz Amber spochmurniała. Na głęboki smutek dzieci są bowiem odporne.

- Jest zmęczona. Potrzebuje sjesty - przeprosiła Camilla. -Zabiorę ją.

Młoda rodzina pozostała przez resztę popołudnia na werandzie, zamknięta w parującym szkle niczym orchidee. Spoczywali, rozciągnięci niedbale w wiklinowych fotelach o zapadniętych siedziskach i obluzowanych wiązaniach, przysłuchując się pluskowi fontann, dobiegającemu zza francuskich okien. Gonca wachlowała dziewczynkę, Cadri pisał coś w swym czarnym notesiku, a Camilla robiła na szydełku czepeczek dla dziecka kogoś z rodziny, dopóki nie ogarnęło ją takie znużenie, że nie mogła poruszać rękami ani ustami.

Amber próbowała nie zwracać uwagi na muchy, zajęta nową książeczką do kolorowania, zatytułowaną *Sławne kobiety w historii*, gdzie znajdowały się naszkicowane portrety Kleopatry, królowej Saby, Florence Nightingale - pięknych niczym gwiazdy filmowe. Lecz to Joanna d'Arc - ze związanymi rękami, twarzą wyrażającą cierpienie, trawiona płomieniami - skupiła na sobie uwagę dziewczynki. Amber zastanawiała się, jak to jest, płonąć żywcem niczym jagnię nadziane na rożen. Wyobraziła sobie całe to skwierczenie i syczenie, zupełnie jak

wtedy, gdy urzeczona pięknem płonących szczap, wsunęła dłoń do piecyka i dotknęła ich. Cóż, pożyteczna lekcja: kiedy igrasz z ogniem, nabawiasz się blizn.

Zachodzące słońce zabarwiło niebo, lecz nim znikło za górami, w dolinie rozległy się dobiegające z oddali dźwięki kotłów. Zabrzmiały sto razy, ogłaszając koniec ramadanu.

Natychmiast przerwali post, zjadając symboliczną oliwkę, pomarszczoną i tłustą, mamrocząc błogosławieństwa i popijając wodą różaną z prażonymi orzeszkami pinii. Zakończyło się trzydzieści dni postu. Teraz czekała ich wielka uczta.

Syn Aidy, Osman, wrócił późno, gdyż uczestniczył w polowaniu na przepiórki. Wybrał się na nie ze stróżem. Był szczupłym chłopakiem, któremu zaczynał sypać się wąs, a głos się załamywał, opadając w grzechoczący baryton. Gdy Osman usiadł, przy stole zapanowała ciężka cisza, jakby jedność zebranych tu osób została zakłócona, jakby bali się go zdenerwować, jakby chcieli uniknąć napadów złego humoru chłopaka.

-Znów flaki! - jęknął, wydając odgłos przypominający puszczenie bąka. - Tu nigdy nie ma nic przyzwoitego do jedzenia. Flaki albo pstrąg.

-Co to takiego flaki? - spytała Amber.

Osman spojrzał na nią mrozącym krew w żyłach, głodnym wzrokiem, a ja poczułem, że mój lęk potęguje się.

- Gównu wędruje tamtędy, nim wydostanie się na zewnątrz - powiedział. W jego twarzy pojawiło się coś obscenicznego, a wargi wyglądały jak wnętrze ślimaka.

- Nie słuchaj go - wtrącił Cadri. - Bezwstydne chłopaczysko. Flaczki robi się z żołądka, nie z tego, o czym on mówi.

- Nie będę jadła - zakwiliła Amber. Camilla zacisnęła usta.

- Gość musi jeść to, co mu podadzą.

Amber znów potrząsnęła głową. Camilla zanurzyła łyżkę w talerzu córki i spróbowała wetknąć jej do ust. Amber odepchnęła dłoń matki i zupa rozlała się na świeżo wykrochmalony obrus. Camilla uderzyła małą w policzek.

-Nie musi tego jeść - powiedziała Mihriban. - Wszystko w porządku. Dzieciaki nie przepadają za flaczkami. Już wszystko dobrze, widzisz?

- Lecz obrus...

- Nie martw się. Zejdzie w praniu.

Kiedy rodzina rozeszła się po obiedzie, Osman namówił Amber, by poszła z nim do biblioteki. Coś ostrzegało ją, by tego nie robiła, mimo to poszła. Sprawdziała granice swego strachu. Osman pokazał jej ilustrowaną wersję Koranu dla dzieci z wizerunkami różnych proroków i świętych. Mojżesza, Jezusa i Mahome-ta.

Wskazał mężczyznę o białej brodzie, ubranego w szatę podobną do burnusa i spoglądającego na opuszczającą się z nieba owcę.

-To Abraham. Bóg zażądał, by złożył w ofierze swego syna, chłopca imieniem Izmael, w dowód oddania. Abraham bardzo kochał Boga - bardziej niż swoich synów, bardziej niż własne życie - więc się zgodził. Zabrał chłopca - który był mniej więcej w twoim wieku, na szczyt góry takiej jak Olimp i już miał pode-rznąć mu gardło... - Tu Osman przeciągnął dłonią po szyi.

- Ale jak mógł zrobić coś takiego własnemu synowi?

- Rodzice są źli.

Amber chciała odejść, zniknąć, lecz korytarz był długi i ciemny. Osman z pewnością dogoni ją i schwyta. Był o tyle większy. Nagle usłyszeli kroki.

-Lecz Allah spuścił z nieba owcę, więc Abraham poświęcił ją zamiast syna, zaskarbiając sobie tym samym miłość Boga - wtrąciła Mihriban. -1 od tej pory składamy w ofierze owcę w każde Święto Ofiary, by podziękować za darowanie

życia chłopcu. Chodź ze mną, moja słodka. Pójdziemy do łaźni. Pomalujemy się henną i opowiem ci więcej historii.

Być może ona też posiadała szósty zmysł.

Łaźnia, *hamam*, wyłożona jest kafelkami z Kutahyi, przedstawiającymi ptaki, kwiaty i olbrzymie drzewo życia. Smukłe bizantyjskie kolumny podtrzymują zdobną witrażami kopułę, pozostałość legendarnej bazyliki Teodory. Poniżej tryska naturalne gorące źródło siarkowe. Wokół brzegów basenu para zabarwiła kafelki na kolor rdzy.

- Śmierdzi jak zepsute jajko - poskarżyła się Amber, zatykając nos.

Poprzez zasłone mgły widziała kobiety, owinięte szerokimi przepaskami, zwanymi *pestamal*, rozbierające się w tepidarium. Krótkie, grube nogi, obrośnięte tłuszczem biodra, kołyszące się z boku na bok. Tłuszcz nie wygląda najlepiej, gdy ma się już swoje lata.

Mihriban wyszorowała plecy Amber. Skąd tyle napięcia w tak małym ciele?

- Czy wiesz, że w tym basenie kąpały się królowa Saby i Kleopatra?

- Naprawdę?

- Och, każde miasto w Azji Mniejszej, gdzie tylko znajdują się ciepłe źródła, szczyli się tym samym - wtrąciła Camilla.

- Naprawdę - mówiła dalej Mihriban, ignorując Camillę. - Te wody są tak cenne, że kiedyś, na długo przed Kleopatrami i królową Saby, strzegł ich straszliwy smok o siedmiu głowach i nie pozwolił nikomu zbliżyć się do źródła. Każdej wiosny ludzie musieli poświęcać dziewicę, by smok dał im trochę wody. Bez wody nie ma życia. Wiesz o tym, prawda? Bez wody wszystko umiera. Nie mieli więc wyboru i poświęcali swoje córki, aż wreszcie kobiety przestały rodzić dzieci, przerażone, że na świat mogą przyjść dziewczynki i trzeba je będzie poświę-

cić. Tak się złożyło, że o niedoli miasteczka usłyszał pewien młodzieniec, przybyły w te strony zza Morza Egejskiego. Zjawił się przy fontannie akurat w chwili, gdy przywiązano do skały ostatnią dziewicę. Śmiały młodzieniec stanął na przeciw smoka, wyjął z pochwy miecz i ciach, ciach, jednym ciosem pozbawił bestię wszystkich siedmiu głów, ratując tym samym przerażoną dziewczynę.

Mihriban opowiadała tę historię tyle razy, że sama zaczęła już wierzyć, iż wszystko to wydarzyło się naprawdę. Amber otworzyła szeroko oczy.

- A co było potem?

Służąca puściła w obieg naczynie, wypełnione czymś do złudzenia przypominającym zielone błoto - wszystkie kobiety poza Camillą zanurzały w naczyniu dłonie i stopy. Amber też wyciągnęła dłonie.

- Będziesz miała ręce jaskrawopomarańczowe jak chłopska córka - powiedziała Camilla.

- Nie szkodzi. Chcę mieć pomalowane dłonie.

- Koleżanki będą się z ciebie śmiały, kiedy wrócimy.

- Nie obchodzi mnie to.

- Więc dobrze, pomaluj sobie ręce, jeśli chcesz, nie dbam o to, ale nie stopy. Nie chciałabym, byś pośliznęła się i upadła, gdy wstaniesz w nocy się wysiusiać. Skreśliłabyś sobie kark, mając nogi zabandażowane niczym mumia.

- I co się potem stało? - spytała Amber, zwracając się do Mihriban.

- Ludzie w mieście tak bardzo się ucieszyli, że obwołali młodzieńca swoim sultanem. Poślubił dziewczynę i odtąd żyli szczęśliwie, a ludzie nie musieli już martwić się o wodę. Płynęła swobodnie, uzdrawiając ich. I tak kończy się ta historia. Trzy jabłka spadły z drzewa - jedno dla ciebie, jedno dla mnie, a jedno dla opowiadającego.

Hipnotyzujący szum wody, głuche dźwięki wydawane przez mokre, drewniane chodaki, miękkie dłonie przesuwane się po gładkiej skórze wprawiły Amber w



swego rodzaju trans. Na wpół śpiąca przysłuchiwała się opowieściom, które późnym wieczorem zmieniły się w kobiece ploteczki.

Amber przewracała się i wierciła na łóżku, do którego nie przywykła - wszystko było tu z puchu. Przez całą noc w ciszę wplatało się tajemnicze i straszne beczenie owiec. Chłód wilgotnych rąk, ostra woń henny i płacz przeczuwających swój los zwierząt sprawiły, że Amber dręczyły tej nocy dziwne sny, z których przed świtem obudziła ją Gonca. Dziewczynka musiała wstać, aby zobaczyć, jak „to robią”.

-Dzieci powinny oswajać się z takimi rzeczami. To część procesu dorastania - powiedział Amber ojciec. - Kiedy zobaczysz to następnym razem, nie wyda ci się już takie przykre. Ból traci na sile, jeśli doświadczamy go często.

Gonca rozwinęła bandaż. Dziecko pisnęło z radości na widok jaskrawopomarańczowych dłoni. Spłukało hennę.

- Jak on mógł zrobić to swemu synowi?

- Kto taki?

- Abraham.

-Podobno nie ma miłości większej niż umiłowanie tego co boskie.

Gdy Gonca i Amber zeszły na łąkę, wokół czarno-białej owcy o przystrojonych czerwona wstążką rogach zebrała się już grupa osób. Owcy przesłonięto oczy, a nogi przywiązano do pniaka. Osman stał obok mężczyzny o oczach ośmiornicy i groźnym czarnym wąsie, ostrzącego nóż na osełce, podczas gdy inni przypatrywali się temu w milczeniu. Amber podchwyciła mroczne spojrzenie mężczyzny. Odwróciła wzrok.

-Ten człowiek, on mi się przyśnił - powiedziała do Goncy.

-Murat? To tylko stróż.

-Chodził w kółko z bułatem, ścinając na polu melony, które zmieniały się w ludzkie głowy, oddzielone od ciała. Chodźmy stąd, nianiu. Nie chcę patrzeć.

-Bądź cierpliwa.

Choć kilku robotników z plantacji powaliło owcę i przytrzymało ją ze wszystkich sił, zwierzę zaczęło beczeć, jakby przeczuwało, co mu grozi.

- Nie widzisz? Ona woła o pomoc - powiedziała Amber, ściskając dłoń Goncy.

- Proszę, zrób coś. Proszę.

- Wytrzymaj, dziecko. Już prawie po wszystkim. Musimy zostać do końca. Twoi rodzice życzyli sobie, byś to zobaczyła, pamiętasz?

Odsunęła włosy z twarzy dziewczynki, by ta mogła lepiej widzieć. Amber zakryła twarz rękami, lecz zerkała spomiędzy palców - nie mogła się powstrzymać.

Nóż opadł na żyłę szyjną zwierzęcia szybko jak błyskawica. Olbrzymia fontanna krwi trysnęła z gardła owcy, która wzdrygnęła się, zadrżała w konwulsjach i znów się wzdrygnęła. Opaska zsunęła się. Oczy zwierzęcia patrzyły teraz gdzieś w dal. Otworło pysk, lecz zamiast beczenia dobył się z gardła kolejny strumień krwi.

Nikt nie pamięta, co wydarzyło się potem, lecz nagle Amber klęczała już obok owcy. Położyła dłoń na gardle zwierzęcia, skąd tryskał strumień krwi. Choć Gonca chwyciła ją i odciągnęła, na pniaku pozostał krwawy odcisk dziecięcej dłoni, którego nie dało się usunąć.

Murat zdjął tymczasem z owcy skórę i przeciął jej brzuch; kłęby wnętrzości wylały się na zewnątrz, delikatne błony przejrzyście różowych jelit i naczyń, wielkie, obłe kształty nerek, wątroby, serca, oczu i mózgu. Po paru minutach owca była już podzielona na części, które miano rozdać najbiedniejszym, od świtu gromadzącym się za bramą.

Amber zerknęła ukradkiem. Po raz pierwszy widziała dzisiaj, jak umiera żywa istota. Zaczęła wymiotować. Gonca pośpiesznie zaprowadziła ją do sypialni i na-

poila rumiankową herbatką. Umyła małą, pomalowała jej paznokcie u nóg krwistoczerwonym lakierem, a potem ubrała w odświętną sukienkę w fioletowe stokrotki i wpięła we włosy kokardę z tego samego materiału. Gdy Amber przejrzała się w lustrze, zaczęła płakać.

-Nie wiem, dlaczego płaczesz - powiedziała Gonca. -Przestań, proszę. Nie powiem twoim rodzicom, co się stało. Nikt się nie dowie, przyrzekam. Biegnij teraz. Ucałuj starszym dłonie i zbierz swój łup. Pamiętaj, by nie liczyć pieniędzy, dopóki nie będziesz znów sama.

W oranżerii pobrzękiwała dyskretnie biżuteria, a kobiety, pławiące się w zapachu piżmowych perfum, wachlowały twarze, szukając ochłody. Amber obesła pokój, całując dłonie i zbierając chusteczki z zawiniętymi w nie monetami. Kobiety głośno podziwiała jej odświętną sukienkę.

-*Çok güzel, Çok yakışmış. Maşallah.* Bardzo ładna, świetnie dopasowana. Brawo!

Gdy było po wszystkim, Amber umknęła na werandę, gdzie mogła policzyć monety. Nie zauważyła, że nie jest sama.

Monety były w większości miedziane, z dziurką w środku. Trzydzieści dwie liiry. Całkiem nieźle! Na chwilę pogrążyła się w marzeniach o czekoladowych andrutach, które sprzedawano z podobiznami gwiazd ekranu - Esther, Liz, Marilyn, Giny, Elaine Stewart, Patricii Mediny. Pomyślała też o komplecie akwareli marki Faber, zawierającym czterdzieści osiem kolorów. I o mnóstwie papieru, na którym mogłaby rysować domy.

Nagle uświadomiła sobie czyjaś obecność. Był tu Iskender i obserwował ją.

- Ile zebrałaś? - zapytał.

- Około pięćdziesięciu - skłamała Amber, zaskoczona i trochę przestraszona.

- Mogłabyś lepiej się postarać. Może pocałować więcej rąk?

Amber ujęła pomarszczoną dłoń z pięknymi niebieskimi żyłami i przytknęła ją do ust, a potem do czoła. Iskender uszczypnął ją w nos.

- Zarnknij oczy. - Wsunął jej coś w dłoń. - A teraz otwórz. Unieś to do światła.

Żółty przejrzysty kamień wielkości śliwki. Wewnątrz znajdowała się ćma, zachowana tak doskonale, że widać było fasetki jej oczu, żyłki na skrzydłach, nawet czułki.

- Piękne. Co to takiego?

- Amber. Bursztyn, jak twoje imię.

- Skąd pochodzi?

- Nie wiadomo.

Wyjaśnił jej, że bursztyn utożsamiano kiedyś z ambrą, lecz potem, w wyniku jakichś językowych zawirowań, zaczęto nazywać tak tę przejrzystą archaiczną żywicę, która stała się grobem dla owadów.

- Po francusku bursztyn nazywa się szarą ambrą lub *ambre jaune*, żółtą ambrą. Grecy nazywają go elektronem - stąd pochodzi wyraz „elektryczność” - albo słoneczną materią. Gdy trzymasz bryłkę bursztynu pod słońce, przyciąga słoneczne promienie i eksploduje niebiańskim blaskiem. Pierwsi ludzie rozpalali ogień, pocierając o siebie kawałki bursztynu. Trzask, trzask. Bez bursztynu nie byłoby ognia. A bez ognia - cywilizacji.

- Ale skąd on naprawdę się wziął?

- Cóż, dawno, dawno temu nie było nic, tylko drzewa. Olbrzymie szerokolistne drzewa szpilkowe tworzyły wraz z drzewiastymi paprociami nieprzebyte lasy. Padało bez przerwy, po jakimś czasie utworzyły się więc jeziora, rzeki i oceany. Drzewa wiedziały, jaki los czeka świat (przez los rozumiał oczywiście kismet, przeznaczenie), i płakały nad nim żywicą. Kiedy stopniały lody, cała powierzchnia ziemi była pokryta bursztynem. Żółta substancja połyskiwała na powierzchni,

na skałach, nawet na czubkach starych drzew. Wyobrażasz sobie, jak to musiało wyglądać?

-Jak cytrynowy cukierek?

-Raczej płynne złoto. Jednakże wiele lat później fale rozmyły nabrzeżne osady, odkrywając pokłady bursztynu. Tak więc miliony grudek, uwięzione w algach, były wyrzucane na plaże, zwłaszcza po silnych sztormach - huraganach, monsunach, burzach, tajfunach, sirocco, falach tsunami.

Amber spojrzała znów, głęboko zafascynowana, na małą ćmę, wyłaniającą się z puszystego białego kokonu, schwytaną w bursztynową pułapkę tak szybko, że nie zdążyła uciec, nim bursztyn stwardniał.

-Czy to ćma jedwabnika? *Bombyx*?

Iskender pochylił się, wsparty mocno na lasce obiema rękami, i parsknął śmiechem.

- Skąd wiesz o *Bombyx*?

- Wszyscy wiedzą.

-Niezupełnie. Lecz skoro pytasz, to jego przodek, jestem tego pewny. Sprzed milionów lat. Masz, weź to. Jest teraz twoje, ale obiecaj, że nikomu go nie pokażesz ani nie zdradzisz swego przeznaczenia. Obiecujesz?

-Dlaczego?

-Ponieważ to bardzo pożądana rzecz i ktoś może ci ją odebrać. Dorośli nie lubią, gdy dzieci posiadają coś o tak silnym magicznym działaniu.

-Dlaczego?

Usłyszeli, że Camilla woła Amber. Weszła na werandę i zdumiona zobaczyła córkę i patriarchę rodu w tak bliskich stosunkach.

-Co tu robisz, Amber? Mam nadzieję, Iskender Beju, że nie przeszkadzała?

-Ani trochę. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Pośpiesznie wyprowadziła dziecko. Gdy Amber machała na pożegnanie, zwyczajny na pozór ruch nadgarstka

sprawił, że Iskender cofnął się w czasie. Zobaczył, jak fragmenty życia przesu-  
wiają mu się przed oczami w krótkich rozbłyskach. Skondensowane do jednej se-  
kundy i ruchome.

Goście napływali przez całe rano i siadali, niewiele mówiąc, podczas gdy ko-  
biety z rodziny krążyły wokół z talerzami pistacjowego marcepanu, rachatlukum  
i domowymi, niskoprocentowymi napitkami, których w święto Bajram po-  
zwalano kosztować nawet dzieciom. Amber z każdym gościem wznosiła toast  
bananowym napojem, który najbardziej jej smakował.

Na obiad podano pieczone jagnię, doprawiane miętą. Amber zrobiło się niedo-  
brze.

To przez ten napój bananowy, pomyślała Camilla. Gonca podejrzewała, że  
chodzi raczej o wspomnienie ofiary, której dziewczynka była świadkiem.

- To nie jest jagnię, które widziałas - powiedziała Amber. - Ludzie nie jedzą  
zwierząt, które składają w ofierze. To podarunek z innej plantacji. Sakrament,  
który trzeba zjeść.

Dziecko było ewidentnie zdenerwowane. Być może mała odczuwa pokrewień-  
stwo ze światem zwierząt, jakieś pozostałości animistycznych wierzeń, pomyśla-  
ła Gonca. W końcu zaniósła Amber do pokoju, który z nią dzieliła, przylega-  
jącego do apartamentu Cadriego i Camilli, a nazywanego „Samotność”. Położyła  
dziewczynkę, by się zdrzemnęła.

Ściany, zbudowane z kamienia i ozdobione sztukaterią, pozostawały chłodne i  
wilgotne nawet w największy upał. Pokój umeblowany był jak klasztorna cela:  
kapy z białej piki na prostych łózkach i nic poza tym, jeśli nie liczyć wazonu z  
hiacyntami. Z okna roztaczał się uspokajający widok na górę. A także na niezli-  
czone rzędy drzew morwowych.

Amber zasnęła niemal natychmiast.

Obudziła się po południu. W pokoju panowała taka wilgoć, że nawet pracujący pod sufitem wentylator nie był w stanie jej rozproszyć. Poprzez szczelinę w żaluzjach widziała stadko kóz angorskich, wspinających się na zbocze góry, słyszała muzykę ich dzwonek. Leżała na łóżku, przyglądając się ćmie zatopionej w bursztynie, i nagle uświadomiła sobie, że jest sama. Camilla i pozostałe kobiety pojechały z wizytą do krewnych, Gonca pomagała w kuchni. A Cadri? Zapewne schronił się w swoim pokoju, by pisać wiersze - luksus, na który od dawna nie mógł sobie pozwolić.

Amber wyskoczyła z łóżka, przebiegła korytarz i wpadła do *selam*, części domu przeznaczonej dla mężczyzn, wołając:

- **Baba, baba**, gdzie jesteś?!

Z jednego z pokoi dobiegała dziwna muzyka, a w korytarzu unosił się dym z wonnej żywicy, olibanum. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Zajrzała do środka i zobaczyła istną dżunglę aksamitnych draperii, głów Buddy, mięsożernych roślin, złotych piecyków, starych kamieni nagrobnych, nargili, map, instrumentów muzycznych i innych niezwykłych przedmiotów. Była tam też stara mapa Azji Mniejszej, zatytułowana z francuska „Mapa Turecczy-zny”, a na ścianach przypięto pliki brązowych fotografii. Jedna przedstawiała dwóch mężczyzn, ubranych w strój Beduinów i palących nargile przed kawiarnią, znajdującą się gdzieś na Jedwabnym Szlaku. Za nimi widać było tarczę do gry w tryktraka. Inne zdjęcie ukazywało Iskendera w przebraniu szejka, na grzbiecie wielbłąda.

W rogu pokoju, na podłodze, siedział po turecku Isken-der i wielce skupiony pisał coś złotym atramentem na koronkowym liściu tytoniu. Nie podnosząc wzroku, powiedział, by weszła. Amber podeszła do stołu i zerknęła na to, co pisał.



-Co cię sprowadza do męskiej części domu? - zapytał głośno.

- Obudziłam się i nikogo nie było. Szukam mojego tatusia.

-Rzeczy czasami znikają, gdy śpimy, prawda? Dlatego przestałem sypiać.

- Nie sypiasz?

-Sypiamy po to, by śnić. Lecz jeśli nauczysz się śnić, nie zapadając w sen, przestanie ci być potrzebny.

- Ale jak się tego nauczyć?

-Czasami udaje nam się odnaleźć przejście do świata snów.

Spojrzała z przejęciem na jego twarz. Prawe oko miał znacznie większe niż lewe. Nie zauważyła tego wcześniej. Poza tym jedno z nich było niebieskie, a drugie żółte.

-Zupełnie jak u angorskiego kota moich dziadków - powiedziała.

- Co takiego?

- Twoje oczy.

Iskender uśmiechnął się. Podniósł się z gracją niezwykłą u człowieka w tym wieku i spojrzał na dziewczynkę.

-Twój ojciec poszedł do wylęgarni jedwabników. Ale ja tu jestem. Nie musisz się niczego bać - zapewnił, potrząsając ręką dziewczynki, jakby była kimś jemu równym. Różnica wieku między nimi nie miała znaczenia. - Spójrz na moje ręce - mówił dalej. - Co widzisz? Są puste, prawda?

Wykonał w powietrzu kilka dziwnych ruchów i błysnął jej przed oczami przejrzystym fioletowym szalem. A potem indygo i niebieskim. Zielonym, żółtym, pomarańczowym, czerwonym. Siedem kolorów tęczy, siedem szali.

-Dotknij ich. Tylko dotknij. Przesuń nimi po policzku, poczuj ciepło i miękkość ich włókien. Mój najlepszy jedwab, wysnuty przez jedwabniki, które krzyżowałem od dziesięcioleci, by produkowały najbardziej świetlistą przędzę. Dotknij tego, Amber.

Stała naprzeciw niego, pocierając policzki jedwabiem tak delikatnie, jakby gładziła pisklę, które wypadło z gniazda.

-Nie dotkniesz w życiu niczego delikatniejszego, Amber -mówił dalej Iskender. - Nasz jedwab jest wyższej jakości niż chiński, uważany za najlepszy na świecie. Niewielu ma szansę dotykać królewskiego jedwabiu, wiesz, uwitego przez królewską cmentę. Lecz nad twoim życiem czuwa szczęśliwa gwiazda. To dobrze, gdyż będziesz jej potrzebowała, by pomogła ci zrównoważyć wpływ trudnego Przeznaczenia. Teraz lepiej już idź. Muszę narysować mapę, a potem oddać się kontemplacji. Jutro pokażę ci, jak wytwarza się jedwab. Dobrze? A teraz idź. Idź, popatrz w swój bursztyn. Pomoże ci śnić na jawie. Później opowiesz mi, co odkryłaś.

Amber zerknęła jeszcze na Iskendera, zamykając z trudem ciężkie drzwi. Starzec ulokował się, pólżąc, na otomanie. Z małego pudełeczka wyjął trochę czarnej pasty, utoczył z niej kulkę wielkości ziarna grochu i wetknął w dziwnie wyglądającą fajkę. A potem zapalił ją rozgrzanym w piecyku pogrzebaczem i zaciągnął się dymem.

-Co to takiego? - spytała Amber, nim do końca zamknęła drzwi.

- Och, biały mak. Smakuje jak nawóz.

- To czemu go palisz?

-Zamykam oczy i oglądam obrazy, przesuwane przed moimi oczami niczym karawany. Jest tyle innych światów poza tym, który znamy, Amber. Wystarczy znaleźć przejście. A niektóre sposoby są lepsze niż inne.

Iskender wsparł się na licznych poduszkach i utkwiał wzrok w paprotkę. Wydawał się zahipnotyzowany. Nagle Amber zobaczyła to, na co patrzył on. Czas zwolnił bieg do tego stopnia, że Iskender widział młode liście rozwijające się w zakończone ostro wachlarze. Widział rośliny, wzrastające jak na poklatkowym filmie. Ona zaś, patrząc jego oczami, widziała to samo.

Tej nocy padało - jak zawsze po dniu ofiary - zmywając krew zwierząt. Deszcz skrył najmniejsze ślady porannego rytuału - nawet odbicie małej dłoni, która wygrażała stróżowi, zostało zmyte przez nieustający przepływ wody.

Rankiem, kiedy kobiety plotkowały przy śniadaniu, Amber wymknęła się, a potem biegła od pawilonu do pawilonu, od pokoju do pokoju w poszukiwaniu sekretnych przejść - tajnego wjazdu, szafy, lustra. Otwierała jedne drzwi po drugich, chcąc odnaleźć ukryte za nimi światy.

Weszła do pokoju, kobiecego pokoju, pomalowanego na niebiesko, z gwiazdami na suficie. Jedwabne stroje, barwy księżyca. Bogato zdobiona, rzeźbiona, trójdzielna toaletka, inkrustowana klejnotami, która podobno należała kiedyś do Aimée de Rivery, wielkiej francuskiej sułtanki.

Aida znalazła dziecko przed lustrem; wysmarowane różem, z pomalowanymi kohlem brwiami, przypominało kukielkę z tureckiego teatru cieni - kłótliwego Karagóza, Czarne Oczy. Toaletka, podłoga, odświętna sukienka Amber - wszystko obsypane było różowym pyłem. Niebieskie flakoniki perfum stały otwarte i powietrze przesycił intensywny zapach bzu i fiołków. Gdyby Aida nie wróciła na czas do pokoju, Amber zemdlałaby od zaduchu perfum. Dziewczynka natychmiast poznała ciotkę. Wszędzie widywała jej fotografie. W kostiumie kąpielowym i sukni balowej, a nawet tańczącą z wielkim Atattirkiem. Wydęła usta i spuściła wzrok, spodziewając się reprimendy. Lecz Aida uśmiechnęła się i usiadła obok, tak że ich odbicia niemal zlewały się w lustrze. Wtedy po raz pierwszy Amber poznała, co to próżność.

- Twój zapach, mój kwiatuś. Nie wolno ci go zdradzić. Jeśli ktoś ukradnie ci zapach, może też ukraść twoją duszę, wiesz o tym? - wyjaśniła Aida.

Wzięła buteleczkę i potarła perfumami miejsce pomiędzy nosem a wargami dziewczynki.

- Powąchaj, Amber - powiedziała. - Wiesz, dlaczego zapach jest tak intensywny? To z powodu piżma. A wiesz, skąd pochodzi piżmo? Z wnętrzości kaszalo-  
ta - wielkiego, niezdarnego lewiatana, wydzielającego tak zmysłową substancję. Wyobraź sobie tylko! Zabijają wielkiego ssaka jedynie po to, by zdobyć tę cenną substancję! Co za tragedia! Ale powąchaj. Czyż nie warto za to umrzeć?

Amber nadal się dąsała. Spoglądała na piękną ciotkę spod długich, dziecięcych rzęs, odnotowując brzoskwińową cerę Aidy, głęboki dekolt sukni, ukazujący półkule lekko piegowatych piersi. Na lewej widniało znamię w kształcie półksię-  
życa i pięcioramiennej gwiazdy. Dotknęła go na wpół świadomie i zatoczyła pal-  
cami małe kółeczka.

- Skąd to masz?

- To dar - odparła Aida - od wielkiego dzina. Pamiętaj, zawsze zatykaj bute-  
leczki z perfumami, kiedy już ich użyjesz. Wiesz dlaczego? Ponieważ w bute-  
leczkach z perfumami mieszkają dziny. Kiedy otwierasz buteleczkę, oddech dzi-  
na z wolna się ulatnia. Tym właśnie pachniemy. Oddechem dzina. Lecz jeśli zo-  
stawisz buteleczkę otwartą zbyt długo, dzin traci oddech i musi uciekać, by zna-  
leźć sobie inne mieszkanie. A kiedy już raz odejdzie, nigdy nie wraca.

Aida objęła Amber i wytarła jej delikatnie policzki chusteczką, zmywając nadmiar różu. Na policzkach dziewczynki pojawiły się dwa blade kółka.

- Tak - powiedziała Aida. - Nie za dużo, nie za mało. Piękno nie powinno wy-  
dawać się sztuczne.

Splunęła na chusteczkę, a potem zmyła antymonowy proszek z brwi Amber. Musiała powtórzyć operację, lecz w końcu barwnik zszedł.

- Widzisz, jak pięknie teraz wyglądasz? Moja mała sultanka. Jeszcze tylko odrobina szminki. Podoba ci się?

- Tak.

-Oczywiście. Lecz nie powinnaś zaciskać ust, wyglądają wtedy jak pomarszczone figi. Podaruj nam uśmiech. No już, uśmiechnij się.

Amber rozciągnęła wargi w uśmiechu. Aida ujęła ją pod brodę i unosząc twarz małej ku wpadającemu przez szczeliny w jedwabnych zasłonach światłu, nałożyła jej na wargi odrobinę jaskrawoczerwonej szminki.

Gdy Amber spojrzała w lustro, uśmiechnęła się, bardzo z siebie zadowolona, nie przejmując się brakiem przednich zębów. Jej pierwsza lekcja próżności. Udzielona przez ciotkę, była królową piękności.

Aida zaprowadziła potem Amber nad staw, gdzie opowiedziała jej historię Narcyza, pięknego chłopca, który zakochał się we własnym odbiciu, kiedy zobaczył je w krystalicznie czystej wodzie.

-Lecz gdy próbował posiąść to odbicie, wpadł do strumienia i utonął. Obiecay mi, moja brzoskwinko, że nigdy nie będziesz zaglądać w nic tak głęboko, że mogłoby cię to wciągnąć i zatopić.

- Dobrze.

Następnego ranka Amber została wtajemniczona w misterium hodowli jedwabników. Iskender pokazał jej wszystko - zbieranie kokonów, usuwanie poczwerek, uwalnianie ciem, by mogły produkować więcej jajczek.

-Stopniowo liście morwy zmieniają się w najprzedniejszą tkaninę - wyjaśnił. - Gąsienice nie lubią jeść mokrych liści, dlatego nie powinno się ich karmić liśćmi, na których jest jeszcze rosa, jak również wtedy, gdy słońce zaczyna rozgrzewać ziemię, gdyż gąsienice nie lubią też gorących liści. Kiedy gąsienice się wylęgą, powinno się trzymać je z dala od kuchni, w miejscu, gdzie nie czuć zapachów, ponieważ nie lubią, kiedy w pobliżu znajduje się mięso lub ryba. A także z dala od miejsc, gdzie młóci się zboże. Nie lubią głośnych obiektów, takich jak bębny. Nie są też zbyt zadowolone, kiedy zajmuje się nimi kobieta, która niedawno urodziła dziecko; są o nie zazdrosne i wyczuwają mleko w piersiach. Nie lubią też,

kiedy liście morwy podaje im człowiek, który zajmuje się produkcją wina, nie lubią dymu i zapachu kawy. A także *raki* i siedmiu gorzkich ziół. Nie lubią zapachu zjełczałych potraw, pizma i seksu. Nie podoba im się, kiedy do wylegarni wchodzi ktoś brudny. Ani kiedy w dzień otwiera się okna i wpada przez nie wiatr. Nie lubią światła zachodzącego słońca. Kiedy jest gorąco, nie lubią silnego wiatru ani ostrego zimna. Kiedy jest zimno, nie lubią nagłego, gwałtownego ocieplenia. Lubią ciszę.

Gdy stary człowiek i dziewczynka spacerowali po morwowych zagajnikach, zapytała, dlaczego na drzewach nie ma owoców.

-Drzewo, które rośnie w naszym ogrodzie, wydaje słodkie fioletowe jagody - powiedziała. - Gdy dojrzewają, układamy pod drzewem płachty, a potem trzęsiemy gałęziami, dopóki jagody nie opadną. Uwielbiam smak owoców morwy.

Wyjaśnił jej, że te drzewa są inne - to biała morwa, *Morus alba*, która nie kwitnie ani nie wydaje owoców. Kiedyś było inaczej, lecz zabierało to zbyt wiele energii potrzebnej do produkcji liści, więc drzewa zostały wysterylizowane. Teraz cała energia drzewa koncentruje się w liściach. Spójrz, jakie są grube i szerokie. Smakują inaczej, prawda? Widzisz? Wsunął sobie liść do ust, powoli zżuł go i przełknął. Podał liść Amber, lecz ta skrzywiła się i potrząsnęła głową. A potem oboje parsknęli śmiechem.

Iskender opowiadał o każdym kamieniu i drzewie, wymyślając wszystko na poczekaniu, snując historie, aż stały się zupełnie absurdalne, a mimo to wiarygodne. Opowiadając, bacznie przyglądał się twarzy Amber, pękając ze śmiechu na widok jej otwartej w zadziwieniu buzi.

Opowiadał o Jedwabnym Szlaku, miejscach, gdzie ludzie są żółci, gdzie jedzą małpy. O wielkich mrówkach, strzeżonych przez gryfy i przekopujących ziemię w poszukiwaniu złota. O nurkach, poławiaczach pereł, którzy znajdują skarby zatopione w ciemnych, ponurych jaskiniach, o chudych nagich mężczyznach,

którzy potrafili siedzieć na łożu nabitym gwoździami, o ludziach, którzy żyli setki lat, ponieważ pili wodę ze specjalnego źródła, o innych, którzy trafili do krainy cienia, przygniecenii olbrzymią stopą, o olbrzymach i jednoroźcach, lwach i tygrysach, klejnotach zalegających wszędzie jak kurz i strzegących ich kobrach, o perfumach i jedwabiu rosnącym na drzewach.

Zaprowadził ją do pomieszczenia, gdzie przechowywano jajeczka.

-Są zbyt małe, byś mogła je dojrzeć gołym okiem, lecz zerknij przez to szkło powiększające.

Grona jajeczek, perłowoniebieskie i przejrzyste jak ćmy, przypominające ma-lutkie winogrona.

-Musimy utrzymywać nasiona... tak właśnie nazywamy jajeczka... w chłodzie, by pozostały w uśpieniu i nie wylęgły się zbyt wcześnie - wyjaśnił - bo jeśli tak się stanie, stracimy jedwab.

Na następnym piętrze ustawiono płaskie łoża dla jajeczek, z których już miały wylęgnąć się gąsienice. Wszędzie widać było małe białe gąsienice, pełzające pod przykryciem ze słomy i energicznie przeżuwające liście masywnymi szczękami.

-Muszą jeść świeżo zerwane liście dzień i noc - wyjaśnił. -Małe hultaje przez cały czas muszą jeść. Zjadają liście, które są od nich dwadzieścia razy większe. Wiesz, jak często linieją? Czterokrotnie zrzucają zewnętrzną powłokę, lecz pod spodem rośnie nowa, większa. Wiesz, ile czasu potrzeba, by gąsienica uplotła kokon? Całe trzy dni! To mnóstwo pracy.

Niektóre gąsienice, większe niż inne, zaczynały już prząść kokony, wysnuwając z dolnej wargi bliźniaczą, cienką jak pajęczyna nić. Gumowata substancja, serycyna, wiąże włókna i tworzy ściany kokonu. Gąsienice poruszają głowami z boku na bok i odkładają w ten sposób włókno w kształt ósemki, budując ścianki.



-Serycyna twardnieje i kokon nabiera kształtu orzecha ziemnego z poczwarką w środku. Po kilku tygodniach po-czwarka wydostałaby się z oprzędu jako motyl, niszcząc kokon. I właśnie tego musimy uniknąć.

W następnym pomieszczeniu kobiety o wielkich piersiach, ubrane w kolorowe, opinające ich bujne kształty bawełniane stroje wilgotne od pary, wrzucały kokony do gotującej się wody. Potomkinie Wenus z Willendorfu.

- Po co gotują kokony?

- Muszą. To rozpuszcza serycynę.

- A co to takiego serycyna?

-Substancja, która skleja jedwabną nić. Oczywiście po-czwarki wewnątrz kokonów giną podczas gotowania, nie mogą więc zniszczyć kokonów, próbując się wydostać.

Jedna z kobiet chwyciła nitkę i zaczęła ją rozwijać. Następnie przywiązała nić do czegoś w rodzaju krążka. Inna wyjmowała szczypcami martwe poczwarki, bezskrzydłe, bezokie motyle embriony. Wrzucała je po kolei do koszyka, by mogły stać się nawozem dla morw.

- Nie podoba mi się, że zabijają małe ćmy - powiedziała Amber.

- One jeszcze się nie urodziły - zapewnił ją, podnosząc koszyk z poczwarkami.

- Nie mają jeszcze duszy. To część cyklu życia, nieunikniona. Chodź, nakarmimy pawie.

Kiedy siedzieli pod morwą, czekając, aż pawie zejną ze swoich grzęd, Amber znów spytała go o przejścia. Jak dostać się do innych światów?

Opowiedział jej o dziewczynce imieniem Alicja, która wskoczyła do norki białego królika i znalazła się w dziwnym, tajemniczym świecie. I o gąsienicy, która rozmawiała z Alicją. Obrazki w książce przedstawiały zniekształcone stworzenia. Dziewczynkę o bardzo długiej szyi, brzydkiego człowieka w olbrzymim cylindrze, gąsienicę siedzącą na grzybie.

- Na Wschodzie żyje specjalny gatunek gąsienic, które palą nargile.
- Czy gąsienice miewają sny?
- Na pewno. I to jakie!
- Skąd wiesz?
- Trzeba być bardzo, bardzo starym, by to zrozumieć. Rośliny, zwierzęta, ludzie, bogowie - wszyscy śnią o tym samym.

- Co robicie, kiedy wychodzisz z wujkiem Iskenderem? - spytała Camilla, zaplatając włosy Amber na noc. - Dokąd chodzicie?

- Nigdzie. Spacerujemy. Przyglądamy się wszystkiemu.
- Na przykład czemu?
- Pomieszczeniom przedalni. Motylom, gąsienicom, dorosłym owadom i poczwarkom.

Trzeba wam było słyszeć, jak wymawia te słowa!

- Powinnaś bawić się z dziećmi w twoim wieku. Na przykład z kuzynkami. Może powinnaś pójść jutro z Osmanem polować na bażanty. Zaproponował, że cię zabierze.

- On jest paskudny. Skóra mi cierpie na jego widok. Nie chcę oglądać martwych ptaków. Chcecie, żebym bez przerwy oglądała martwe zwierzęta.

- Ale powinnaś zostawić wuja w spokoju. Jeśli zbyt zbliżasz się do starych ludzi, zaczynasz pachnieć jak oni, twoja skóra się marszczy. Oni żywią się tobą. Wysysają twoje siły życiowe. Poza tym w zagajnikach morwowych żyją czarne, śmiertelnie niebezpieczne węże. Nie podoba mi się, że znikasz na całe dni. Rozumiesz?

Amber zniknęła jednak dalej, a każdego dnia, kiedy wracała, Camilla znów ją wypytywała:

- Co jeszcze robiliście? Gdzie byliście?

-Czasem chodzimy do hiacyntowego ogrodu i wachamy wszystkie kwiaty po kolei. Czasami siedzimy nad strumieniem, patrząc, jak różne rzeczy unoszą się na wodzie: liście, robaki, gałązki, żołądź, pestki brzoskwini i takie tam. Widziałam kameleona, który zmienił kolor na fioletowy. Wyglądał jak hiacynt. Widziałam nawet, jak rodzi się wielbłąd.

- Boże! Kazał ci to oglądać?

- Wielbłądziałko wyskoczyło całe owinięte w mleczną błonę. Matka wylizała je, a ono natychmiast stanęło na czterech chwiejnych nóżkach. To było naprawdę ciekawe, *anne*. Wujek powiedział, że mogę zatrzymać wielbłądziałko.

- Postradał rozum - oświadczyła Camilla, zdesperowana. -Zdziecinniały starzec. Wie, że to śmieszne. Nie można trzymać wielbłąda w mieście!

- Powiedział, że będzie go tu dla mnie trzymał. Będę mogła się z nim bawić, gdy znowu przyjadę na plantację.

- To takie dziwaczne. Spójrz tylko, skórę masz wyschniętą jak pergamin. Zbyt dużo przesiadujesz na słońcu. Dostaniesz udaru. Spójrz na te ciemne koła pod oczami. Od dzisiaj będziesz odpoczywała po obiedzie. Każdego popołudnia. I piła rycynę. Trzy razy dziennie. Zrozumiałaś? Jutro pójdziesz z Osmanem.

Wieczorem, kiedy plantacja pogrążyła się w ciszy, przerywanej tylko pohukiwaniem sów i tajemniczą symfonią żab, Cadri i Camilla zasiedli na wschodniej werandzie, paląc papierosy.

-Zabrał ją, żeby patrzyła, jak rodzi się wielbłąd - szepnęła Camilla. - Możesz w to uwierzyć? Nie powinna oglądać takich rzeczy. Zatrują jej umysł niepotrzebnymi wyobrażeniami. Nigdy tego nie zapomni.

- Kazaliśmy jej oglądać składanie ofiary.

- To co innego. To tradycja. Ma znaczenie.

- Chcesz, żeby poszła na polowanie z Osmanem.

- To sport.

- Osman to zły chłopak. Wciąż przysparza kłopotów.

- Myślę, że jest po prostu zaniedbany. Aida nie może przeboleć, że straciła pierwsze dziecko. On potrzebuje przyjaciół. No i poczucia bezpieczeństwa.

Cadri zaciągnął się papierosem. Oczywiście, szkoda mu było marnować czas na spieranie się z Camillą.

- Jestem znużona przebywaniem w tym obcym miejscu, z twoim dziwnym wujem. Ciarki chodzą mi po skórze. Kiedy wracamy do Izmiru?

- Iskender chce, żebyśmy zostali, dopóki drzewa nie zaczną żółknąć.

- Nie możemy zostać tak długo. Nie wytrzymam tego. Nie podoba mi się to, co dzieje się z Amber. Chcę stąd wyjechać, Cadri. Natychmiast. Tak. Powiedz mu, że się rozchorowałam, albo coś wymyśl.

Amber spędzała niekończące się godziny, leżąc w łóżku, spoglądając na bursztyn i ćmę, której niemal udało się uciec, lecz tylko niemal. Do połowy nadal tkwiła w kokonie. Dziewczynka śniła o szamanach z epoki kamienia, żyjących na wybrzeżu Morza Czarnego, rzeźbiących małe, dziwaczne figurki z bursztynu o niewyrażających niczego twarzach. Iskender opowiadał jej o nich. Albo o Bursztynowej Komnacie w Carskim Siole, gdzie ściany pokryte były układanką z setek tysięcy rzeźbionych, idealnie dopasowanych kawałków bursztynu. Pewnego dnia cały ten bursztyn zniknął i nigdy go nie odnaleziono.

Następnego ranka nie chciała iść na polowanie z Osmanem. Opierała się, jakby instynkt ostrzegał ją przed czymś ponurym i tajemniczym. Osman, dziabiący wszystko strzelbą jak bagnetem, przerażał ją. Wyglądał jak zły żołnierz.

Jednak skończyło się na tym, że szła za nim, kiedy tratował łąkę, ścinając delikatny perz i dzikie hiacynty. Strzelał do śpiewających ptaków, takich jak słowiki, i do królików.

Osman był bezlitosnym żołnierzem. Gdy tylko budynki zniknęły im z oczu, zaprowadził Amber do silosu, gdzie gromadzono dodatkowy zapas kokonów. Odstawił strzelbę i pchnął Amber, ubraną w żółtą siatkową sukieneczkę, na ziemię.

-Zdejmij sukienkę - rozkazał. - Chcę zobaczyć co masz pod spodem.

Kto wie, jaki impuls kazał Iskenderowi udać się do silosu tego ranka? Wyrok losu. Pędził przez całą drogę z pawilonu, żwawy i szybki jak młody chłopak. Zmaterializował się niczym stary czarodziej, wszytkowidzący i wszytkowie-dzący. Gwałtowny jak Bóg, gdy kazał Abrahamowi poświęcić syna. Chwycił strzelbę i przegonił chłopaka, zamierzając się na niego laską - tą samą, w której przemycił kiedyś jajeczka jedwabnika. Potem pomógł wstać dziewczynce, zanim zdążyła zapłonąć wstydem, delikatny niczym archanioł.

-Tego chłopaka trzeba by wysłać do lodowych krain Karsu, tam jego miejsce. Złe jajeczko nie powinno było się wykluć - mamrotał gniewnie. - Zamknę go na czterdzieści dni i nocy w silosie.

W ciągu tych przerażających kilku chwil Amber postarzała się o całe lata. Czowała, jak siła ciężenia przygniata jej ciało. Iskender był jedynym sojusznikiem. Ujęła go za rękę i razem poszli nad sadzawkę, jej ulubione miejsce, by przyglądać się barwom odbitym od powierzchni. Godziny mijały niepostrzeżenie, a oni zatonałi spojrzeniem w swych oczach, podczas gdy każdy impuls zbliżał ich do innego świata, i trwali tak, otoczeni niewidzialną tarczą, która nie pozwalała nikomu ich dostrzec.

Wydawali ciche dźwięki, tańczyli razem, pozbawieni ograniczających ruchy ciał, rzeźbiąc doskonałe otoczenie dla swych zabaw.

Pozostali zastanawiali się, gdzie też podziewał się starzec z dziewczynką, ponieważ nigdy ich nie widywali. Cieszyli się, że patriarcha znów jest szczęśliwy, lecz więź łącząca tych dwoje stała się też przedmiotem osobliwej zawiści. W

rzeczywistości Iskender i Amber nieraz poruszali się na obrzeżu pola widzenia innych, tylko że ci inni jakoś ich nie dostrzegali. Oboje odpłynęli w niewidzialny świat jedwabiu.

-Chodźmy dziś do domu kolorów - powiedział pewnego dnia, rozradowany. - To cię rozweseli.

Z niebotycznie wysokich krokwi zwieszały się metry jedwabiu białego jak śnieg, czerwonego jak blask zachodzącego słońca, bardziej niebieskiego niż ptasie pióra, czarnego jak trzepoczący skrzydłami kruk. Żywe kolory odbijały swe przeciwieństwo jak mieniąca się tafta, kiedy materiał się poruszał, zmieniając odcień. Pięknie utkane materie, jaskrawe jak szmaragdy, jedwabne brokaty w kwietny wzór w siedmiu kolorach, błękitne i turkusowe atłasy, mieniące się materiały z wplecioną nitką o barwie krwawnika, hafty z turkusami osadzonymi w złocie. Kolory ożyły, rozpościerając się dookoła.

- Wiele barwników uzyskuje się ze skórek owoców i z owadów nadrzewnych - wyjaśniał Iskender, zagubiony pośród tej orgii kolorów. - Purpurę otrzymuję ze szkarłatników, czerwień z sumaka. Burgund z marzanny. Oranż ze złotych grzybów, kurek. Lecz z każdym barwnikiem związany jest jakiś sekret. Sekret, który znam tylko ja.

- Powiedz mi - poprosiła.

- Obserwuj mnie - odrzekł.

Zanurzyli płachtę krepdeszynu w naczyniu z gotującą się farbą. Amber namoczyła surowy jedwab w żółtym płynie. Gdy go wyjęła, miał jaskrawożółtą, kanarkową barwę. Iskender polecił, by zanurzyła go teraz w naczyniu z niebieską farbą.

Przyglądała się, jak jedwab zmienia barwę na zieloną niczym płytki Mauzoleum w Bursie czy środek oka na pawim piórze. Zanurzyła inną sztukę jedwabiu

w naczyniu z czerwoną, a potem niebieską farbą i materiał zrobił się fioletowy jak oberżyna; kolor czerwony i żółty dały razem pomarańczowy. Zapytała, czy stanie się tak za każdym razem, kiedy pomiesza kolory.

-Będziesz musiała przekonać się sama. Kolory mają swoje sekrety, wiesz o tym?

Tego samego popołudnia Cadri i Camilla zasiedli przy fontannie tak, by szum wody zagłuszył ich rozmowę, gdyż w ogrodzie pełno było krewnych.

- Dokąd oni chodzą? Co robią? Czego on chce od Amber? -męczyła Camilla Cadriego.

- Uspokój się, Camillo. On ją uwielbia. To stary człowiek. Rzeczywiście łączy ich szczególna więź. Być może Amber przypomina mu moją matkę. Kto wie? Nigdy sobie nie wybaczył, że przyczynił się do tego, co ją spotkało.

- Co masz na myśli?

- Matka miała kochanka. Wuj Iskender go przepędził.

- Nie mogę w to uwierzyć. Twoja matka wydawała się taka... co się stało z tym kochankiem?

- Nikt tak naprawdę nie wie. Prawdopodobnie zginął podczas wojny narodowowyzwoleńczej. Nigdy nie wrócił. To zniszczyło moją matkę. Miała z nim córkę. Musiała ją oddać. Mihriban i Pasza udawali, że dziewczynka jest ich, aby ocalić honor rodziny.

- Aida! Boże na wysokościach! Nigdy mi tego nie mówiłeś. Dlaczego nawet o tym nie wspomniałeś?

- Mnie też nikt nie powiedział. Ale niektóre rzeczy po prostu się wie. Wszyscy wiedzą, tylko nikt o tym nie mówi.

- Teraz to wreszcie nabrało trochę sensu. Chciałabym wiedzieć...

Szum wody wypełnił ciszę, jaka nastąpiła, kiedy siedzieli, zatopieni w myślach, wchłaniając wonny dym sobranies -papierosów ze złotymi końcówkami.



- To samolubny starzec - powiedziała po jakimś czasie Camilla.

- Jest moim wujem.

- Rozpustnik. Cztery żony. Selma miała szesnaście lat, kiedy ją wziął. Nie zapominaj o tym.

- To było dawno temu, Camillo, na miłość boską! Ludzie wcześniej się wtedy pobierali. Moja matka miała czternaście lat, gdy wyszła za ojca. A wiesz, ile miał on? Czterdzieści!

- Zboczeńcy. Nie widzisz, z jakim błyskiem w oczach ten starzec spogląda na Amber? Musimy ich rozdzielić, Cadri. To niesmaczne.

- Źle odczytujesz ścieżki ducha.

Cadri wstał, przeszedł przez okratowaną bramę ogrodu i ruszył schludną dróżką, obramowaną bladymi hortensjami, płaski i drobny niczym lalka z papieru, zgarbiony i ociążały, choć nie osiągnął jeszcze wieku średniego. Ubrany był, jak zwykle od czasów chłopięctwa, w pomięty lniany garnitur, dwubarwne buty, ciemne okulary słoneczne i kapelusz panama. Zatrzymał się na chwilę, aby oczyścić chusteczką okulary w drucianych oprawkach. Może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli wkrótce stąd wyjadą. Niepokój Camilli zaczynał udzielać się i jemu, choć z drugiej strony świadomość, że jego córka i patriarcha rodu tak bardzo się zaprzyjaźnili, sprawiała mu niekończącą się przyjemność.

Amber siedziała w pawilonie, zwanym „Cisza”, rysując budowle. Wyglądało na to, że uchwycenie przestrzeni i perspektywy przychodzi jej niezwykle łatwo. Potrafiła niebywałym sposobem przeobrazić zwyczajne linie w czystą magię. Umiała rysować budynki. Właśnie kolorowała swoje rysunki.

Cadri zawołał ją po imieniu. Namiętnie lubił panoramy, bardziej niż to, co odzwierciedlały. Amber wiedziała, że pora na codzienną lekcję przed zachodem słońca. Podbiegła do ojca i razem podeszli do skraju płaskowyżu. Cadri wskazał

widoczne za pokrytą kurzem doliną kopuły i minarety Bursy. Wyglądały stąd jak zabawki.

- Widzisz ten zielony meczet z dwoma minaretami?

- Tak.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Nie.

- Zielony Meczet. A widzisz mauzoleum tuż obok?

- Tak.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Zielone Mauzoleum.

Mauzoleum? Co to takiego? Może myszoleum? Czyżby trzymali tam myszy?

- Doskonale. Potrafisz dedukować. A teraz, widzisz miasto tam, w dole?

- Tak.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Zielone Miasto?

- Ładny przykład prostej logiki. To Bursa, zielone miasto. Było kiedyś stolicą imperium otomańskiego, najświetniejszego imperium swoich czasów. Centrum ówczesnego świata. A teraz, powiedz mi, kto zbudował meczet.

- Zielony sułtan?

- Rozumujesz prawidłowo - roześmiał się - ale nikt taki nie istniał. Uczynił to sułtan Mehmet. A był on..?

- Padyszachem?

- Dobrze. Którym z kolei?

- Siódmym - odparła Amber, zgadując.

- Był piątym padyszachem imperium otomańskiego. Został pochowany w Zielonym Mauzoleum razem z ośmioma innymi osobami. Powiadają, że jedną z nich była tajemnicza bizantyjska sułtanka. Co tam masz w ręce?

- Nic.
- No już, pokaż.
- To nic takiego.
- Pokaż mi.

Siłą otworzył jej dłoń i wyjął z niej bursztynowe jajko.

-Gdzie to znalazłaś? Amber wzruszyła ramionami.

Cadri podniósł bursztyn do światła, a potem przyjrzał mu się uważnie przez szkło powiększające. Wydawał się zaniepokojony.

-Wiesz, co to takiego?

-Bursztynowe jajko z ćmą w środku. Ale ta ćma to nie **Bombyx**.

-Kto ci to dał?

-Znalazłam je - skłamała. - Znalazłam je tam - dodała, wskazując sad.

-Czy ktoś wie, że to masz? Pokazywałaś komuś? Potrząsnęła głową.

-Nie wolno ci nikomu o tym wspomnieć - ostrzegł, wsuwając jajko do kieszeni. Wydawał się poważny i zamyślony.

- Oddaj mi je. Jest moje. Ja je znalazłam - domagała się Amber. - Oddaj jajko. Nie powinnam się z nim rozstawać.

- Jestem twoim ojcem. Przechowam je dla ciebie. Nie dopuszczę, byś je zgubiła. Poza tym...

- Ja je znalazłam. Nie zgubię go. Oddaj mi je. Oddaj mi jajko, **baba**, oddaj.

Lecz kiedy Cadri się oddalił, uświadomiła sobie, że straciła cenny dar. Isken-der ją ostrzegał. Ostrzegał, że jajko może zostać jej odebrane. Odeszła, zdruzgotana poczuciem zdrady, której nie potrafiła nazwać. Zagryzła wargi do krwi, ale nie rozplakała się.

Cadri poszedł do męskiej części domu, by porozmawiać z wujem. Gdy jedli we dwóch posiłek, powiedział Iskenderowi, że to ich ostatnia wspólna kolacja. Muszą wracać do Izmiru wcześniej, niż się spodziewali. Camilla niedomaga. Górskie powietrze jej nie służy. Wysokość powoduje w niej spadek ciśnienia, a zaw sze miała skłonność do omdleń.

- Mogę posłać po lekarza albo znachorkę.

- Obawiam się, że nie zechce dać się zbadać nikomu poza swoim stałym lekarzem. A co się tyczy znachorek, budzą w niej odrazę. Poza tym czeka na mnie mnóstwo pracy.

- Skoro tak, to trudno. Ale możecie zostawić tu małą. Górskie powietrze jej służy. Kocha jedwab. Jest tu szczęśliwa, Cadri. Zgódź się, by ona i służąca wróciły do Izmiru później.

- Nie mogę. Camilla nigdy się na to nie zgodzi. Nie lubi spuszczać jej z oczu choćby na sekundę.

- Masz upartą żonę, w dodatku niepotrzebnie zaborczą. To tylko odstraszy dziecko. Nie zapominaj, że sny sześciolatki są tak bezmierne, że mogą zawrzeć w sobie całą jej przyszłość. Określić życiową drogę. Amber ma bujną wyobraźnię. Obserwowałem ją i podejrzewam, że posiada *mana*, które pewnego dnia może uczynić z niej matkę rodu. Z drugiej strony miałem ongiś nadzieję, że będzie nią twoja matka, a potem Aida, lecz obie mnie rozczarowały. Modlę się, by Amber okazała się inna.

- Wiele spodziewasz się po tak małym dziecku.

- Z pewnością ty też to dostrzegasz.

- Tak - powiedział Cadri. - Dostrzegam.

Amber przysłuchiwała się niezrozumiałemu szmerowi głosów, ukryta za parawanem, próbując odgadnąć sens tego, co usłyszała. Co to takiego *mana*? Coś, co z czasem zamieni ją w matkę rodu. W staruchę, podobną do Mihriban, jedną z

tych pomarszczonych kobiet, wyschniętych istot, które wycofały się z życia i teraz siedzą dzień i noc na swoich krzesłach, przyglądając się zalotom gołębi i rozmyślając o aniele śmierci. Czy oni sądzą, że Amber jest jakimś starym duchem? Że jest opętana?

Cadri wrócił do swych pokoi. Amber wyszła z kryjówki i pobiegła do pokoju Iskendera.

- Moje bursztynowe jajko przepadło - powiedziała. - Zabrał mi je.

- Kto taki?

- Mój tata. Chcę je odzyskać.

- Zabrał? Nie martw się. Dostaniesz je z powrotem, dopilnuję tego.

Po zachodzie słońca, gdy Amber obserwowała, jak kozy wspinają się na zbocza góry, zauważyła, że ukryty w cieniu Cadri rozmawia z mężczyzną w chłopskim ubraniu. Gestykulowali gwałtownie, wymachując gniewnie ramionami. Ślina błyszczała, a z ich ust wypełzały jaszczurki. Poznała Murata, stróża, tego, który podciął gardło owcy i który w jej śnie ścinał szablą melony.

Cadri machnął z rezygnacją dłońmi i próbował odejść, lecz Murat zaszedł mu drogę. Dłonie znowu przecięły powietrze. Potem Cadri przez dłuższą chwilę potrząsał głową. W końcu znieruchomiał, a potem sięgnął do kieszeni. Wyjął coś zbyt małego, by można było to rozpoznać z daleka. Podał to coś Muratowi. Murat podniósł tę rzecz światła. Przez jedną dręczącą chwilę spoglądali na siebie bez słowa, a potem Murat odwrócił się i wszedł do męskiej części domu.

Tej nocy Amber leżała na łóżku, udając, że śpi, dopóki spokojne oddechy wokół nie upewniły jej, że wszyscy posnęli. Przeskoczyła chrapiącą Goncę i na drżących nogach wymknęła się bocznymi drzwiami. Gdy biegła korytarzem, czuła się tak, jakby ze ścian wysuwały się niewidzialne dłonie, próbując ją pochwycić. Noc była ciemna, niebo puste. Nie widziała dobrze, mimo to biegła dalej,

choć serce o mało nie wyskoczyło jej z drobnej piersi. Iskender czekał na nią w oranżerii.

- Nie bój się - powiedział. - Daj rękę. Nie potrzebujesz światła, by poruszać się w ciemności. Ciiii. Po prostu wsłuchaj się w odgłosy nocy. Wyciągnij przed siebie ramiona, nim zrobisz krok. Upewnij się, że zbadalaś wszystkie trzy kierunki i wiesz, co znajduje się za tobą. Oddychaj spokojnie. Wyobraź sobie to, co chciałabyś zobaczyć, a ujrzysz to naprawdę.

- Dokąd idziemy? - spytała Amber.

- To niespodzianka. Chodź za mną.

- Boję się. Nic nie widzę. Nie chcę nastąpić na wielkiego czarnego węża albo coś takiego.

- Tu nie ma węży, dziecko. Dlatego mamy tyle ptaków.

- Mama powiedziała, że są tu duże czarne węże.

- Kłamała. Nie ma węży. Niczego, czego powinnaś się obawiać. Masz, weź ten klucz. Kiedy chwyci cię strach, wydrapuj na drzewach swoje inicjały. Pisanie własnego imienia ma moc ochronną.

Zrobiła, jak jej powiedział. ASI. ASI. ASI. I tak bez końca.

- Wiesz, co znaczą twoje inicjały? Znaczą: buntownik. *Asi*. Jesteś buntowniczką, Amber?

- Nie wiem.

- Myślę, że jesteś.

Nocny spacer ciągnął się w nieskończoność. Pomimo pewności siebie Iskendera, który omijał liczne przeszkody, mocne uderzenia serca przestraszonej Amber musiały jednak zakłócić spokój nocy.

Iskender zatrzymał się nagle.

- Stoimy na skraju klifu, możesz zobaczyć je teraz w dole, w wąwozie - powiedział. - Spójrz.

Zaczęły materializować się niczym gwiazdy na wczesno-wieczornym niebie. Najpierw jedno. Potem dwa, pięć, tuzin, setki nieuchwytnych jak gwiazdy światełek. W przeciwieństwie do gwiazd poruszały się jednak po mrocznym tle, błyskając, tańcząc dookoła, znikając i pojawiając się, dopóki nie otoczyły Iskendera i Amber, jakby skubały ich cień. Sukienkę dziewczynki pokryły setki mrugających ogników.

-Są piękne - westchnęła Amber. Chwyciła jedno światełko. - Mogę je zatrzymać?

Iskender opróżnił tabakierkę i podał ją Amber.

-Jeśli chcesz, lecz rano zapewne poczujesz się rozczarowana.

Amber wetknęła zdobycz do pudełka.

-Mam jednak dla ciebie coś, co jest niezniszczalne - powiedział Iskender. - Zamknij oczy i rozewrzyj dłoń.

Zrobiła to. Lecz właśnie wtedy zaszło coś nieoczekiwanego. Iskender stracił równowagę i przedmiot, który chciał dać Amber, wypadł mu z ręki.

-Och, nie!

Zaczęli szukać bursztynowego jajka. Czołgali się i macali dookoła, lecz nie znaleźli niczego. Amber zaczęła płakać. Iskender ją pocieszał.

-No już, przestań płakać. Nie martw się. Jutro, gdy wzejdzie słońce, znajdziemy je. Nie martw się, proszę.

Wziął ją za rękę i wrócili do domu. Gdy tam dotarli, było już dobrze po północy.

Gonca czekała na nich przy bramie, trzymając latarkę. Chwyciła Amber i potrząsnęła nią.

-Gdzie byłaś, Amber?

W pokoju Cadriego i Camilli paliły się światła. Camilla leżała na łóżku, blada i bez sił, a Cadri podsuwał jej pod nos cytrynę. W końcu drgnęła kilka razy, otwo-



rzyła oczy i spojrzała na Amber oczami pełnymi łez. Opadła z powrotem na łóżko.

Cadri był zły.

-Gdzie byłaś? - zapytał. -I co tam masz?

Amber otworzyła puzderko. W środku pełzał ledwie żywy owad podobny do komara. Migotanie zniknęło. Podobnie jak światło.

Gonca dała Amber nalewkę z waleriany, po której mała przez całą noc była niczym w delirium. Duchy, dziny, straszydła, zmarli święci, zjawy tańczyły wokół niej, pojawiając się nagle niczym hologramy. Atakowały niespodziewanie, lecz ona pozostawała spokojna, mimo iż Drakula w jedwabnej pelerynie, wilkołaki i potwory Frankensteina z kwiatami w dłoniach awanturowały się, czyniąc dookoła piekło. Dobre wróżki trzymały ją za ręce, a Jedwabna Kobieta chciała schwytać złe dzieci w kokony. Olbrzymie, monstrualne poczwarki z rogami zionęły ogniem w ciemności niczym zły smok z opowieści Mihriban, ten, który strzegł źródła. Słyszała dziwne szepty, widziała światła poruszające się na polach. Cienie oraz niedające się opisać istoty tańczyły za zasłoną, łopocząc dziko na wietrze, który wirował nierówną spiralą wokół góry. Tej nocy Amber zobaczyła wszystko, co niewidzialne.

We śnie znowu pojawił się stróż. Tym razem wspinał się po drabinie do okna jej pokoju. Trzymał pusty worek.

-To dla ciebie - powiedział. - Wskakuj.

Potem jego twarz zmieniła się w twarz Osmana - taką, jaką widziała wtedy w silosie. Rzucił na marmurową podłogę bursztynowe jajko, które roztrzaskało się na tysiące kawałeczków. Ze środka wydostała się ćma i pofrunęła prosto w ogień.

Amber obudziła się i naprawdę zobaczyła Murata. Był w jej pokoju. Rodzice i Gonca zdążyli się już ubrać. Niedługo miał nadejść świt.

- Tędy - polecił Murat. - Chodźcie za mną.

Odgłos skradających się stóp, szepty, rzeczy poruszające się dookoła. Camilla opatulila Amber w coś ciepłego. Cadri wziął ją na ręce i z trudem zniósł ze schodów. Camilla i Gonca pośpieszyły za nimi.

- Dokąd jedziemy? - spytała Amber.

- Na tajemniczą wyprawę.

- Dokąd?

- Jedziemy w nocną podróż. Wiesz, co przydarzyło się Prorokowi, kiedy wyprawił się w nocną podróż? Objawił mu się anioł Gabriel na El Borak, srebrzystobiałej klaczy, która była na wpół człowiekiem, i razem pojechali poprzez barwy tęczy do Jeruzalem.

- Dlaczego wyjeżdżamy? - spytała. - Chcę zostać.

- Czasami musimy się poświęcić - powiedział Cadri z napięciem w głosie. - To tak, jak z tą owcą. To właśnie jest tego rodzaju chwila. A teraz musimy uczynić inną ofiarę. Musimy wrócić do domu, droga córko.

Gdy wyszli na dwór, Amber poczuła na skórze dotyk wilgoci. Stróż poprowadził ich wzdłuż niekończących się pawilonów. Zadźwięczało żelazne skrzydło bramy. Gdzieś na drodze parsknął koń. Odgłos podków. Cichy gwizd. A potem już tylko cisza.

## Apartamenty Przędki



*(1959-1960)*

Dla osób o wilgotnym temperamentcie, zwłaszcza kobiet, kawa jest bardzo odpowiednim napojem. Powinny pić duże ilości mocnej kawy. Nadmiar tego napoju nie zaszkodzi, o ile osoby te nie są melancholijnego usposobienia.

### **Kitib Celebi, *Równowaga prawdy* (1650)**

Niestety, fortuna Iskender Beja stopniała niczym świeca. Zbyt wiele starych jedwabników, by można było dostosować się do zmiennego niczym kameleon świata, który pozostawił go za sobą w oazie samotności. On zaś dobrowolnie porzucił świat, który nie chciał pamiętać o przeszłości, ani nie rozpoznawał swego odbicia w lustrze.

Nigdy nie wspominało o pożarze, który zabił Iskendera i zniszczył plantację. Nie mogę więc nic na ten temat powiedzieć. Wasz osąd będzie równie dobry jak mój. Cadri, najstarszy teraz mężczyzna w rodzinie, odziedziczył tytuł patriarchy rodu. Obznajomiony z produkcją jedwabiu, nie posiadał jednak, w przeciwieństwie do swych kuzynek: Aidy, Sibel i Papatyi, kobiet jedwabiu, talentu w tej dziedzinie.

Trzy siostry zaufały uprzejmości Cadriego i jego zdolnościom naukowym, jeśli nie patriarchalnym. I tak nie miały wyboru. Były kobietami, nie mogły więc same zająć się interesami. Złożyły zatem, pomimo obiekcji ze strony mężów, majątek rodziny w ręce Cadriego, obwoławszy go „poetriarchą”. Z początku miał to być żart, lecz nie minęło wiele czasu, a wszyscy niemal zapomnieli, jak brzmi jego prawdziwe imię.

Ignorując nagłą odmianę losu, członkowie rodziny żyli nadal na poziomie, do jakiego przywykli. Utrzymywali służbę, liczne domy i uczestniczyli w barwnych ceremoniach, dopóki pewnego dnia Cadri nie zebrał ich razem w pustym mieszkaniu w Ankarze, pełnym pyłu mieście pośrodku spalonych słońcem równin

Anatolii, w miejscu gdzie ongiś znajdowała się starożytna Angora (bardziej znana jako ojczyzna kudłatych kóz, z których kędzierzawego runa wyrabia się swetry, oraz kotów o różnobarwnych oczach, niebo-jących się wody i potrafiących pływać nawet w rwącym nurcie). Niegdyś kraina nomadów, rozbrzmiewająca jeszcze krwawymi wspomnieniami ofiar z ludzi, składanych, aby przywołać deszcz, dziś nowoczesne miasto, odbudowane z potrzeby znalezienia punktu podparcia dla rewolucji, miasto nowego początku, które Atatürk podniósł w jedną noc do rangi stolicy nowej Republiki Tureckiej.

-Próbowałem wiele ukryć przed wami, dopóki było to możliwe, lecz prawda wygląda tak, że rodzina tonie w długach. Jest gorzej, niż ktokolwiek mógł się obawiać - ujawnił Cadri zebrany Ipekcim. Poza siostrami i ich rodziną znajdowali się tam także kuzyni, kuzynki, ciotki i wujowie, stanowiący część klanu. - Nie miałem wyjścia, musiałem zlikwidować nasze aktywa. Prawie wszystko przepadło -letnia willa w Moda, sady figowe wzdłuż wybrzeży Morza Egejskiego, domek myśliwski w lasach pod Belgradem, willa w uzdrowisku Pamukkale, winnice, domek letniskowy na Wyspach Książęcych, nasze własne domy, a nawet plantacja jedwabiu, to znaczy to, co zostało z niej po pożarze. Wszystko należy teraz do obcych. Utrata tych miejsc złamała mi serce. Lecz nasze wspomnienia zostaną z nami na zawsze. Musicie zrozumieć: to był jedyny sposób, by spłacić długi.

W pierwszej chwili nikt nie zrozumiał powagi sytuacji, nie odniósł do siebie tego, co powiedział Cadri.

-Na szczęście pozostało trochę grosza - garstka lir doprawdy, wystarczająca, aby zbudować kamienicę, w której moglibyśmy wszyscy zamieszkać, właśnie tutaj, gdzie wasze stopy dotykają ziemi. Zaczniemy nowe życie w Ankarze. Możliwości są tu większe, szkoły dla dzieci lepsze, a mężczyźni mogą znaleźć bardziej popłatną pracę. W tym mieście wszystko jest nowe i nowoczesne. A także

zdrowe i higieniczne. Znajdziemy tu wszelkie znamiona postępu. Wiem, że w pierwszej chwili wszystko to może wydawać się wam tragedią, lecz wiercie mi, tak będzie najlepiej dla rodziny, ponieważ nie mamy wyjścia: musimy złożyć do wspólnej kasy to, co nam zostało. Pamiętajcie, kochani, katastrofy łączą ludzi.

- Stracimy twarz, gdy ludzie się dowiedzą - zaskomlała Sibel.
- Więc będziemy musieli się postarać, aby odzyskać ich szacunek - zareplikował Cadri. - Udowodnić, że na niego zasługujemy.
- Będą cieszyli się z naszego nieszczęścia, z naszej straty. Ktoś musiał rzucić na nas urok. To nie w porządku.

I właśnie w ten sposób zdecydowano, że zostanie wzniesiony -jeden z kilku budynków w imponującym rzędzie domów mniej lub bardziej do siebie podobnych, z barwionego cementu, pięciopiętrowy zmutowany potomek miejskiego funkcjonalizmu, pozbawiony duszy i pusty w środku. Niskie sufity i małe otwory okienne, by zminimalizować koszty ogrzewania. Syczące kaloryfery. Praktyczny, jak większość moich krewniaków wzniesionych po wojnie, i przeznaczony, by przetrwać nie więcej niż dziesięć, piętnaście lat, a potem się rozpaść. Nomadowie trwałość postrzegają jako zagrożenie.

Lata później, kiedy zostałem zburzony i odkopano fundamenty, robotnicy odkryli artefakty z terakoty - neolityczne garnki i dzbany, pozostałości opartej na matriarchacie cywilizacji, która istniała na tym terenie sześć tysięcy lat temu, jeszcze nim pojawili się tu Hetyci. Prawo wymaga, by antyczne przedmioty przekazywano Muzeum Etnograficznemu, lecz Cadri, przekonany, że rodzina zajmie się nimi lepiej niż rząd i ochroni je przez wywiezieniem, ukrył wszystko w przylegającej do fundamentów piwnicy na bojler. (Po latach, kiedy budynek został zburzony, nie mogli ani rozwalić, ani też usunąć piwnicy. Oczywiście to, co się w niej znajdowało, dawno zniknęło). Prawie nikt nie wiedział zatem, że poniżej, niecałe dwadzieścia metrów pod powierzchnią, leżało starożytne miasto,

dotąd nieodkryte. Pomimo nowoczesnego sztafażu miałem więc w sobie starą duszę.

Pewnego chmurnego zimowego popołudnia Cadri, jego żona i dziewczynka wysiedli z Citroena na rogu bulwaru Ataturka i wspięli się na Yuksel, ślepa uliczkę, zamkniętą dla ruchu i położoną ukośnie w stosunku do alei Megruti-yet (Konstytucji). Pośpieszyli wąskimi schodkami i, niemal bez tchu, dotarli do wejścia akurat w chwili, kiedy malarz kończył malować napis nad wejściem, głoszący: „Apartamenty Prządki”. Bardzo stosowna nazwa, choć oczywiście rodzina pogrzebała swoje zamiłowanie do przedsiębiorstwa wraz z poprzednim patriarchą.

Aby nas od siebie odróżnić, ludzie nadali poszczególnym budynkom nazwy. Wymuskany, przeładowany ozdobami dom tuż obok nosił nazwę „Boga”, „Byk”, określającą, czym zajmowała się zamieszkująca go rodzina. Wysoki budynek po drugiej stronie ulicy to „Safran” (należał do rodziny handlującej szafranem). Inni nadawali swym domostwom nazwy pochodzące od miejsc, z których się wywodzili, takich jak Vardar, Ózbek, Milas, Damaszek, Kaukaz, Cypr i inne. Były jak swego rodzaju pałace wielkich koczowniczych plemion - Tatarów, Mongołów, Hunów, Semi-tów, Seldżuków - jednym słowem, nazwy podnoszące prestiż właścicieli.

- Zasadzimy kilka akacji i śliw i postawimy huśtawki dla dzieci - zapewniał Cadri Amber, która wydawała się rozczarowana ponurym miejskim pejzażem.

- Tymczasem musisz bawić się na ulicy, kochanie, albo w domu. Teraz będziesz miała mnóstwo rówieśników. Nie jesteś już jedynym dzieckiem w rodzinie.

I właśnie wtedy na każdym z pięter otwarło się okno, wypełnione od framugi do framugi twarzami ciotek, wujów, kuzynów, matron, służ, śpiewających: „Witajcie, kochani. Witajcie wśród nas. Będziemy dzielić z wami chleb i mamy nadzieję, że wy uczynicie to samo”.



Od strony pozbawionego roślin dziedzińca, prowadzącego do betonowej klatki schodowej, dobiegła woń pieczonej oberżyny i jagnięcego gulaszu. Hol i klatkę schodową zdobiły chroniące od uroku amulety. Przed każdymi drzwiami leżały rzucone niedbale dywaniki i kilimy nadzwyczajnej wartości, zalatując stęchlizną, gdyż były narażone na działanie żywiołów, i stając się z czasem posłaniem dla włóczęgów, żebraków i Cyganów. Rodzina doszła do wniosku, że już nie potrzebuje dywanów. Ameryka wprowadziła do rozwijającej się gospodarki wykładzinę podłogową, a syntetyczne bele „Złotych Żniw” czy „Jesiennego Szeptu” zastąpiły cenne wyroby z Szirazu, Isfahanu, Hereke czy Isparty.

Osiedli w swych mieszkaniach, a tymczasem Ameryka coraz głębiej ingerowała w ich życie, uwodząc kobiety klimatyzacją i odkurzaczami. Przywlokła ze sobą także wirus Czasu, a wraz z nim przekonanie, że czas należy oszczędzać. Pierwszy przedmiot, oszczędzający czas: pralka firmy Miele dla Camilli, brzuchata i wyposażona w obrotową wyżymaczkę.

W dniu, kiedy się pojawiła, dzieci wróciły czym prędzej po lekcjach, aby zobaczyć, jak wnoszą ją na trzecie piętro wąską klatką schodową. Potem kobiety zaniedbywały miesiącami inne obowiązki, aby używać pralki Camilli, zafascynowane rapsodycznym wirowaniem, rozweselone radościami płynącymi z automatyzacji. Następnie pojawił się papier toaletowy w rolkach o barwie błota albo brudnego różu, zastępując kawałki gazet, które wcześniej pełniły tę samą rolę (stare kobiety nadal używały rąk, ale wiedziały, jak to robić) i chusteczki do nosa „Kleenex”, kuszące, aby odłożyć do szuflad pięknie haftowane chustki z najdelikatniejszego, najprzedniejszego płótna oraz jedwabiu i zastąpić je szorstką bibułą.

Cywilizacja wyposażyła też każdą rodzinę w nowoczesną łazienkę, pełną lawendowego, turkusowego czy różowego fajansu, z chromowaną armaturą, francuską toaletą oraz bidetem (używanym do prania brudnych skarpetek i bielizny,

gdyż nikomu nie udało się wpaść na to, do czego naprawdę był przeznaczony). Podłoga pokryta sztucznymi płytkami linoleum. Żadnych tulipanów. Ani drzewa życia. Koniec ze wspólnymi kąpielami, rozkosznym wdychaniem pary.

Camilla powiedziała Amber, że jest już dość duża, by nauczyła się myć sama. Wręczyła córce rękawicę kąpielową i kostkę różowego mydła „Puro”, po czym zamknęła drzwi i zostawiła ją samą, by zatroszczyła się o siebie. Amber poczuła się nic nieznacząca, skarłała, gdy tak siedziała w przypominającej trumnę olbrzymiej wannie, ślizgając się na jej wąskim dnie. Bała się, że utonie. Albo że drzwi się zatną i nie będzie mogła się wydostać. Że zostanie wessana do otworu odpływowego. Tęskniła do rąk, które gładziły ją, szorowały i myły. Brakowało jej ludzkiego ciepła. Właśnie w tej chwili kąpiel nagle stała się synonimem samotności i opuszczenia.

Kuzyni, na górze i na dole, różniący się od niej wiekiem zaledwie o rok lub dwa. Prawdziwe dzieci, z którymi trzeba sobie poradzić po tym, jak latami bawiła się z niewidzialnymi towarzyszami, zjawami i duchami zwierząt. Zdecydowanie niepożądane wtargnięcie. Nie chciała z nimi się bawić, zatoneła więc w świecie rysunku. Lecz zamiast, jak inne dziewczynki, rysować księżniczki w pięknych szatach, rysowała domy, czarujące miejsca ze szczytami, drzwiami i oknami, wiodącymi do innych wymiarów, schowanych za bluszczem i winoroślą, wieżami, kopułami i ukrytymi ogrodami. Wyrysowała każdy pokój w budynku, tworząc własną przestrzeń, zaludnioną tworamii swego umysłu, tajemniczymi istotami, zamieszkującymi istniejące tylko w jej wyobraźni pokoje. Z wyjątkiem lalek z papieru. Te były bowiem rzeczywiste.

Wędrowała z pokoju do pokoju, podążając za impulsem swych rąk, kiedy szukały barw, pędzli i pustych powierzchni. Wypełniała je wyobrażeniami, jakby głos w jej głowie uwolnił ją od ograniczeń bycia dzieckiem. Mieszała żółcie z czerwienią, błękity z czerwienią, błękity z żółciami, rozkręcając niczym ruletę

koło barw, które odsłonił przed nią Iskender. Odkryła, że przeciwstawne barwy, zmieszane ze sobą, tworzą piękne oranże, zielenie, fiolety. Kolory uzupełniające zestawiały barwy niedającej się opisać ciemności -czerwień z zielenią, żółć z fioletem, niebieski z pomarańczowym, a wszystkie tak wspaniale mroczne.

W poniedziałki, gdy reszta kobiet pielgrzymowała na targ, Amber zostawała w domu. Akwarele porozlewane wszędzie, dywan poznaczony pyłem z pastelii, węgiel drzewny rozsmarowany na żółtych ścianach, draperie w salonie ociekające terpentyną, kuchnia aż śliska od oleju lnianego, krople oleju plamiące nawet chodnik w przedpokoju.

Kiedy Camilla wróciła i zobaczyła, jak wygląda dom, zaczęła krzyczeć na Amber i zagroziła, że odbierze jej farby, jeśli coś takiego jeszcze kiedykolwiek się powtórzy.

Cadri nadal peregrynował do ponurych jedwabnych prowincji Anatolii, pracując teraz jako przedstawiciel państwowych zakładów jedwabniczych. Podczas tych podróży odwiedzał fabryki i starał się rozwiązywać odwieczne konflikty między klasą pracującą a zarządem. Wraciał ogłupiały i znerwicowany, zmuszony żyć w sposób, jakiego nigdy by świadomie nie wybrał. Przekonywał jednak sam siebie, że rodzina powinna pozostać nierozłączna, nietykalna i trwała, gdy nic innego takim nie było. Mimo to nie żądał, by jego brat, Aladdin, wytłumaczył się ze swej nieobecności, choć powinien był stanowić dlań podpórę, niejako drugi filar.

- To błąd przeznaczenia, że go tu nie ma - usprawiedliwiał brata.

- A co by było, gdybyśmy wszyscy doświadczyli takich błędów losu? - zapytywała go Camilla. - A jeśli wyroki losu chadzają stadami?

-To nieprawdopodobne - argumentował Cadri.

Lecz jeśli popatrzeć na to z dzisiejszego punktu widzenia, wszyscy żyli już wówczas w cieniu przeznaczenia.

Pewnego dnia, gdy Cadri był w podróży, Amber zauważyła, że drzwi *pensatorium* są szeroko otwarte. Weszła więc do środka i natknęła się na Camillę, forsującą za pomocą śrubokręta szafkę, w której Cadri przechowywał swoje prywatne ikony i nieszkodliwe męskie sekrety. Camilla, zaskoczona, wysunęła język niczym jaszczurka i syknęła na córkę:

- Zawsze pukaj, nim wejdiesz do czyjegoś pokoju!
- Ale to nie jest twój pokój, mamó - odparła Amber.
- Nie pyskuj matce. Nie robię nic, czego mogłabym się wstydić albo co mogłoby skrzywdzić innych. Jeśli chcesz zobaczyć gwiazdy filmowe, bądź cicho. To jak, chcesz?

Więc Amber poszła za matką do szwalni i opadła obok niej na dywan. Przytuliły się do siebie i zaczęły przerzucać strony wypełnione fotografiami gwiazd o wybrylantowanych faszystowskich fryzurach, w dopasowanych sukniach bez ramiączek, kobiet trawiących życie w atmosferze eleganckiego próżniactwa oceanicznych liniowców, kortów tenisowych i podniebnych apartamentów, z których roztaczał się widok na niedające się odczytać neony Times Square czy parcele studia Paramount.

Amber wydawała się zafascynowana podobizną kobiety, zdradzającej wyraźne podobieństwo do Camilli.

- Ach, tak, to Dolores del Rio, ulubienica twego ojca.
- Wygląda zupełnie jak ty.
- Pewnie dlatego twój ojciec ożenił się ze mną.
- Naprawdę? A kto jest twoim ulubieńcem? - spytała Amber, odwracając strony pełne mężczyzn i kobiet upozowanych w różny sposób, próbując uchwycić tajemnicę ich powabu.

W końcu dotarła do zdjęcia, przedstawiającego obnażonego do pasa mężczyznę, muskularnego, lecz o nagiej, nieowłosionej piersi - innego od tureckich

mężczyzn, których widywała na plaży. Tych o porośniętych włosami piersiach, ramionach, a nawet plecach. Twarz Camilli pojaśniała. Mężczyzna miał chustkę i kolczyk, zupełnie jak Cyganie, tłukący w miedziane naczynia pod ankarską cytadelą. W dłoni trzymał szpadę, którą dopiero co wyciągnął z pochwy, tak błyszcząca, że na jej czubku migotała gwiazda.

-Cornell Wilde - zagruchała Camilla. - On był moim idolem. Spójrz na niego. Spójrz na te rzeźbione rysy, zmysłowe usta, na ten wspaniały wąs!

Inne zdjęcie przedstawiało Cornelia pochylonego nad wilgotnymi ustami Lindy Darnell i emanującego melancholijnym pożądaniem.

- Wiesz, dałam ci imię po bohaterce książki *Na zawsze Amber*. Na jej podstawie nakręcono cudowny film z Cornel-lem. Co za mężczyzna! - (Jak na ironię lata później ten męski idol z młodzieńczych snów matki został przyjacielem Amber w prawdziwym życiu, choć wtedy był już smutnym, zmumifikowanym starszkiem, ledwie trzymającym się życia). - Widziałam ten film co najmniej dziesięć razy, wymykałam się z domu, gdy twoja babcia Esmá odbywała sjęstę -nie podobało się jej, gdy wychodziłam sama. Teściowe lubią kontrolować swe synowe. Mam nadzieję, że ty nigdy taka nie będziesz. Wymykałam się więc, gdy ona chrapała -niech będzie błogosławiona jej dusza - by spotkać się z przyjaciółkami i razem pójść na poranek w kinie „Alhambra” w Izmirze.

Coś w zdjęciu Cornelia wzbudziło tęsknotę w sercu Camilli, tym siedlisku pożądań niemożliwych do spełnienia. Nie była w tym uczuciu osamotniona - Papaty, Aida, nawet zgorzkniała Sibel także znajdowały się pod wpływem charyzmy tego idola kinowych poranków, hołubiąc w duszy marzenia o latynoskim kochanku, którego pieśni dobiegały z odbiornika marki „His Master's Voice”.

Podobnie jak ma to miejsce w przypadku wszystkich zbiorowych marzycieli, jedna z nich musiała nieuchronnie pójść za swym marzeniem. Lecz nie Camilla.

Sposób, w jaki Rodrigo zaistniał w życiu rodziny, wydaje się żywcem wyjęty z filmowego scenariusza. To, kim był, jak się ubierał, jak bardzo przypominał filmowego idola kobiet. Zaczniemy od tego, że niebezpiecznie było wpuszczać kogoś obdarzonego takim erotycznym urokiem do wewnętrznego sanktuarium. Nie ma co do tego wątpliwości. Lecz powiadają, że jeśli unikasz niebezpieczeństwa, ono i tak wśliznie ci się do łóżka. I tak właśnie się stało.

Wszystko zaczęło się podczas uroczystości obrzezania chłopców Sibel. Od tygodni w domu panowała istna orgia przygotowań, a procesje tragarzy znosiły na grzbietach olbrzymie kosze, wypełnione niczym rogi obfitości. I tak co dnia, przez kilka miesięcy. Starsze kobiety owijały grube nogi wokół niskich okrągłych stołów, zagniatając olbrzymie kręgi ciasta tak cienkiego, że było niemal przezroczyste. Nieskończone tace **borek**, bakław i ciast jogurtowych wynoszono do glinianych pieców, podobnie jak tłuste pilawy z prażonymi orzeszkami pinii i rodzynkami, stanowiące nadzienie wszelkich możliwych warzyw, skorupiaków i drobiu - **dolma** (gołąbki) z oberżyny, z zielonej dyni, winogronowych liści, karczochów. Przepiórcze **dolma**. **Dolma** z małży. I wszelkie inne, jakie tylko potraficie sobie wyobrazić.

**Gedikli** (chłopak na posyłki) Generała, Memed, przygnał ze swojej wioski stadko jagniąt, które trzymano na podwórzu. Dzieci karmiły zwierzęta kolejno, dopóki nie nadszedł czas, by je zarznąć. Gonca i jej siostry wyszorowały do czysta pokryte modnym linoleum podłogi, wyprały ręcznie każdą sztukę haftowanego lnu, wyjętą z przeżartych przez korniki szuflad, trzymaną w naftalinie i używaną tylko na specjalne okazje, odmawiając powierzenia ich świeżo nabytym prakom na korbkę, które znajdowały się już w każdym gospodarstwie.

Mężczyźni umawiali się z lalkarzami, magikami, woźnicami faetonów, którzy mieli zabawiać gości. Chłopców starannie wyszorowano, ogolono im głowy -



upřednio od-wszawione - paznokcie przycięto, ciała natarto aromatycznymi olejkami i zatrzymano w domu. Dziewczęta, czując się ignorowane, stały się zazdrosne i płaczliwe, zwłaszcza kiedy zobaczyły góry prezentów dla smarkaczy, zgromadzone u stóp łóża, na którym miało odbywać się obrzezanie.

Nie wiedziały, na czym naprawdę polega ceremonia, poza tym, że coś niemiłego dzieje się wtedy z ich „tycimi kranikami”. Przyglądały się innym chłopcom, ubranym jak dziewczynki w białe, atłasowe, haftowane sukienki, którzy po obrzezaniu spacerowali chwiejnym krokiem na ugiętych nogach i przez kilka miesięcy nie mogli grać w piłkę. Lecz wszystko to wydawało się niewielką ceną za zainteresowanie, jakie ich otaczało, i za wszelkie materialne korzyści.

- Czy ja też mogłabym zostać obrzezana? Proszę - błagała Amber Camille, wytrącona z równowagi tą jawną niesprawiedliwością.

- Oczywiście, że nie. W naszym kraju nie obrzezuje się dziewcząt.

-Dlaczego?

- Ponieważ nie ma takiej potrzeby. Nie mają, no wiesz, „organów”.

- Jakich organów?

- Nie mają ptaszka.

Amber przez chwilę rozważała słowa matki, a potem zapytała, co dokładnie dzieje się z ptaszkiem chłopców podczas obrzezania.

- Usuwają skórę.

- Ale po co?

-Bo pod nią gromadzi się brud, a w nim rozwijają się zarazki.

Wyobraziła sobie biednych kuzynów i innych chłopców ze szkoły, których drobniutkie narządy zostają obdarte ze skóry niczym węgorze na targu rybnym lub szyje kurcząt. Te narządy, które tak dumnie eksponowali, siusiając gromadnie za szopą na węgiel. Natychmiast zmieniła zdanie. Wolą zachować swe dolne wargi.



Chłopcy, którzy nie weszli jeszcze w okres dojrzewania, leżeli obok siebie na mosiężnym łóżku pod fioletową atlasową kołdrą. Białe czapeczki, z wyhaftowanym srebrną nitką napisem *Maşallah*, mającym chronić od uroku, zakrywały ich ogolone głowy, guzowate i pokryte plamami, jakby zarazili się parchem od ulicznego kota. Do obu ramion przypięto im niebieskie szklane koraliki z żółtym oczkiem, osadzonym w złotej kamei, mające chronić od uroku.

Pokój wypełniały na przemian cisza i westchnienia, zupełnie jakby pomieszczenie oddychało. Chłopcy niecierpliwili się, otoczeni publicznością, a wokół piętrzyły się prezenty - rowery, piłki, flesze, kompasy i wszelkie inne gadzety, dostępne na czarnym rynku.

Mąż Sibel, Dursun Bej, wymienił uścisk dłoni z „obrzezywaczem”. „Obrzezywacz” uniósł piękną kołdrę, strzepnął ją fachowo, odsłaniając wątle ciała chłopców, odzianych w tuniki sięgające poniżej kolan: bezwłose, chude nogi, stopy nadal brudne od czerwonej gliny, na której zbudowano Ankarę. Młodszy wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Starszy zachichotał. Goście zawtórowali mu. Ktoś zaczął ich uciszać. „Obrzezywacz” wyjął coś z torby, metalowy przyrząd, przypominający obieraczkę do ziemniaków. Słońce odbiło się od jego powierzchni, rzucając na pokój różnobarwne błyski.

Dzień był parny. Wentylator na suficie wirował leniwie, jakby silnik zaraz miał się zepsuć. Chłopcy leżeli, tonąc we własnym pocie. Zwykle o tej porze roku rodzina przebywała już w Moda, gdzie było chłodno, gdzie mieli żaglówkę i prywatną plażę. Jednak musieli pogodzić się z losem, który skazał ich na przebywanie latem w parnej Ankarze, podczas gdy ich miejsce na pięknych nadmorskich plażach zajęli nuworysze.

Przyrząd prześlizgiwał się pomiędzy osłonami niczym srebrny rybek. Coś poruszyło się w pustce. Pokój wypełnił się milczącym krzykiem. Chłopiec zacisnął

zęby, lecz nawet nie jęknął. Głęboka cisza, westchnienia i zwisająca skóra. Mężczyzna uszczypta chłopca w policzek i wszyscy zaczęli bić brawo.

- Mały bohater! - zawołał ktoś. - Brawo!

Choć chłopak najwidoczniej postanowił, że się nie rozplacze, na jego twarzy wymuszona obojętność ustąpiła na chwilę miejsca cierpieniu. Zdrada, domagająca się odpłaty. Zemsta, będąca odtąd sprawą honoru.

Aida stała obok Amber, jedną ręką ściskając bark dziewczynki, a drugą wpychając sobie do ust chusteczkę, jakby ból chłopców przepływał do jej ciała. Musiała myśleć o swoich dwóch synach. Tym straconym na zawsze oraz przysparzającym wiecznych kłopotów Osmanie, zamkniętym w domu poprawczym. Wspominała jego obrzezanie. Być może myślała: „Gdyby tylko odcięli mu wtedy penis”.

„Obrzezywacz” przetarł narzędzie spirytusem metylowym. Zanurzył je znów pod przykrycie, skąd dobiegł krzyk takiego bólu, że Aida wtuliła twarz w ramię Amber, jakby oglądała wyjątkowo przerażający film i nie mogła już dłużej znieść napięcia.

- Mamo! Gdzie moja mama? - płakał chłopiec.

-Ciiii. Wstydź się. Bądź bohaterem, jak twój brat. Jesteś teraz mężczyzną.

Płacz ustał, gdy „obrzezywacz” pokazał zebrany kolejny fragment odciętej skóry. Ludzie znowu zaczęli wiwatować. Przedstawienie skończone.

Dursun ucałował starszego chłopca w oba policzki. Mihriban tuliła młodszego tak, by inni nie mogli dostrzec, że płacze, lecz nic nie mogło złagodzić poczucia zdrady. Jego oczy umarły tego dnia, podobnie jak oczy wielu mężczyzn w tym kraju. Cena płacona za męskość.

Wśród gości rozniesiono zimne sorbety oraz prażone orzeszki, podczas gdy chłopcy oglądali prezenty, zerkając na ekran z przejrzystego płótna, oświetlony, lecz pusty. Na płótnie wymalowano filigranowy ogród pałacowy, chwiejny i

sprawiający wrażenie, jakby miał runąć, gdy tylko westchnie odaliska albo eunuch wybuchnie gniewem. Ekran znikł, czemu towarzyszyła kakofonia dziwacznych dźwięków; poczciwy, wesoły, choć gwałtowny Karagóz i nadęty, chytry Hacivat, osławione lalki teatru cieni, wyskoczyły ze swych jaskrawych papierowych okryć, obrażając się nawzajem na prawo i lewo.

Na ponurym podwórku, udekorowanym serpentynami i flagami, zebrali się mężczyźni, nadziewając bezgłowe tułowia jagniąt na różny, które wyglądały jak krucyfiksy. I właśnie wtedy pojawił się Rodrigo, odziany w czarną atłasową koszulę i czarne spodnie, z gitarą pod pachą. Mężczyźni zignorowali go, co stanowiło obrazę. Młodsze kobiety zerkwały na przybysza spod oka. Dzieci uznały, że jest podobny do Zorro.

Rodrigo nastroił gitarę i z jego ust dobiegły tony *La Palomy*, łagodne niczym prawdziwa gołębica. Drżenie jej skrzydeł pieściło nagie ramiona kobiet. Zaśpiewał jeszcze kilka piosenek, po czym zniknął. Nikt nie wiedział, kim jest ani skąd się wziął. Lecz wszyscy odnieśli to samo dziwne wrażenie, że jeszcze go zobaczą.

Zapach końskiego nawozu mieszał się z wonią pieczonego mięsa. Dzieci zapakowano do faetonów. Na kolanach Amber usiadła mała dziewczynka. Konie, odziane w haftowane okrycia, przystrojone czerwono-zielonymi chwastami i talizmanami, mającymi zapewnić powodzenie, pobiegły drobnym truchtem po kamieniach, strzelając podkowami, a dźwiękowi ich dzwoneczków towarzyszyły głuche uderzenia wielkich kotłów i wysokie zawodzenie piszczałek. Przyglądali się tańczącemu niedźwiedziowi z kagańcem na pysku. Jego właściciel, Cygan, prowadził zwierzę na linie, uderzając jednocześnie w tamburyn. *Yallah, Sülüman, yallah, yallah. Hele bak, bak, bak. Yallah, Sülüman.* Dalej, Sülüman, rusz się. No, już, spójrz tylko, tylko tu popatrz. Biedny Suluman, paskudnie pogryzio-

ny przez pchły i zmęczony, wydawał się kompletnie zobojętniały na wszystko, co działo się dookoła, lecz kiedy bat uderzył w ziemię, stanął na tylnych łapach i zaczął kołysać się z boku na bok, grając na swoim tamburynie.

- *Yallah, Sülüman, yallah, yallah!*

Suluman spróbował opaść na czworaki. Dzieci zaprotestowały głośno. Bat znowu uderzył w ziemię, zwierzę ryknęło, lecz wstało, a Cygan puścił w obieg kapelusz.

Odważniejszy z chłopców, niezainteresowany występem niedźwiedzia, ścisnął w dłoniach tranzystor, z którego dobywały się dźwięki *It's Now or Never* Elvisa, i pysznił się nowym zegarkiem, z Kaczorem Donaldem na tarczy.

Było już późne popołudnie. Bulwarem Atatürka przechadzali się elegancy młodzieńcy i ładne dziewczęta w towarzystwie rodzin, odziane w jaskrawe barwy godowe - wielkie kwiatowe wzory, wstążki i gazę.

Faeton potoczył się w dół kiepsko wybrukowanej ulicy tego nieroszczącego sobie pretensji do wyjątkowości miasta dachów z terakoty i czerwonego, jałowego pyłu. W oddali wznosił się ażurowy szkielet olbrzymiej budowli, która kiedyś stanie się Anit Kabir, Mauzoleum Atatürka.

Późnym wieczorem, gdy Gonca przyszła ułożyć Amber do snu, wyjęła zza stannika kawałek papieru.

- Potrafisz dotrzymać tajemnicy, Amber?

- Wiesz, że tak.

- Przyrzeknij mi na głowę twojej matki, ojca i wszystkich krewnych, że nigdy, przenigdy nie powiesz nikomu o tym, co zaraz ci pokażę.

- Przysięgam na głowę mojej matki, mojego ojca i wszystkich krewnych, że nie powiem nikomu o tym, co mi pokażesz.

Gonca wręczyła jej kawałek papieru.

-Przeczytaj, co tu jest napisane.

Amber spojrzała na drukowane litery na pudrowobłękitnym welinie, przesyconym zapachem fiołków.

*Piękna Gonco,*

*Jak się masz? U mnie wszystko w porządku poza tym, że nie mogę spać po nocach, gdyż myślę o Tobie, o Twoich różanych ustach, policzkach jak jabłka, migdałowych oczach...*

Amber zaczęła chichotać. Gonca klepnęła ją delikatnie po ręce i powiedziała, aby czytała dalej. List nie był podpisany, lecz dziecięca intuicja podpowiadała dziewczynce, że jego autorem musi być *gedikli* Generała, Memed, nieśmiały, różanolicy młodzian (który pomagał matce Amber, odkąd, wkrótce po przeprowadzce, Ayşe uciekła z handlarzem szmat). Ten sam, który przygnał stadko jagniąt przed ceremonią obrzezania. Tego wieczoru i wielu następnych Amber użyczała Goncy swego dzieciennego pisma, pełnego krzywych wielkich liter i błędów ortograficznych. Stała się głosem Goncy i jej sekretnej miłości. Teraz ona też miała sekret. W ten sposób nauczyła się pisać listy miłosne.

Lecz żaden sekret nie pozostaje sekretem na zawsze. Służba wojskowa Memeda zbliżała się ku końcowi, potem zaś miał wrócić do rodzinnej wioski w Cemigkezek z żoną z wielkiego miasta. Rodzina wyprawiła im wesele w Klubie Wojskowym, po którym młoda para przeniosła się do małej izdebki w piwnicy, a Memeda podniesiono do rangi opiekuna domu i nakłoniono, by zamieszkał w Ankarze. W ten sposób Gonca została przy rodzinie do samego końca, dopóki jaszczurka nie wpadła jej do szklanki.

Gdy było po wszystkim, Cadri utrzymywał, że Rodrigo to jedynie szubrawiec, utalentowany oszust, któremu oszukiwanie tak weszło w krew, że stało się jego drugą naturą. Szalbierz, który w głębi duszy do tego stopnia zidentyfikował się ze swoim wizerunkiem, że nigdy nie przyszło mu do głowy, iż ma wybór i może postępować inaczej - nawet gdy się zakochał. Iluzjonista, który nie potrafi już odróżnić własnych iluzji od rzeczywistości. Marzyciel, którego nic nie powstrzyma. Szelma, który nie zawahałby się iść na skróty przez cmentarz nocą, byle dostać się tam, gdzie chce, lecz zrobiłby to, trzymając w dłoni różę, ot tak, na wszelki wypadek.

Podczas dusznych, leniwych godzin sjeisty młodsze kobiety uciekały często do cukierni „Błękitny Anioł” po drugiej stronie ulicy. Tam, w cieniu markizy w zielono-białe pasy, zajadały ciastka z kremem, plotkując jak najęte. Uwolnione od nadzoru okrytych ciemnymi szalami matron, przydują-cych na małżeńskich tronach podczas rodzinnych uroczystości, sączyły mrożoną kawę, podawaną ze srebrną słomką, mocząc w kawie herbatniki i ciasteczka z gorzkimi migdałami i z entuzjazmem dzieląc się szeptanymi do ucha sekretami.

Choć przysięgały wierność mężom, ich libido pobudzały wyobrażenia kinowych idoli oraz ich sobowtóry, pojawiające się w najmniej spodziewanych miejscach. Czasami młode kobiety zabierały ze sobą córki, nie przejmując się tym, co przy nich mówią, sądono bowiem powszechnie, że dzieci są głuche na wszystko, czego nie powinny usłyszeć. Tymczasem dzieci, współwinne tego, co się działo, udawały, że ich tam nie ma, uznając to za najlepszy sposób poznania sekretów, których i tak nie potrafiły ogarnąć.

Kobiety gawędziły o Robertach Taylorach, których znały, o Clarkach Gable'ach i Tyrone'ach Powerach. Chichotały, pokazując sobie drugie piętro kamienicy naprzeciw, gdzie mieszkał mężczyzna podobny do Raya Millanda. Lecz żadna z nich nie obdarzała tego akurat Raya Millanda wielkim szacunkiem, ponieważ

wyglądało na to, że zamiast pracować, całymi dniami przesiaduje na balkonie w pasiastej piżamie, czytając „Ulus” („Naród”) i paląc dotowane przez państwo papierosy „Yenice”, podczas gdy jego dwie ładne siostry wychodzą wczesnie rano i wracają o zmierzchu, z cerą pobladłą od pracy w sztucznym świetle. Tego Raya Millanda nazywały leniem. Przystojny, ale leniwy. Co za okropna strata!

Tego popołudnia w „Błękitnym Aniele” Papatya, która zazwyczaj siedziała milcząca i przygaszona, wręcz promieniowała grzesznym entuzjazmem.

- Widziałam go - powiedziała. - Widziałam.

- Kogo?

- Tajemniczego mężczyznę, który śpiewał *La Palome* podczas ceremonii obrezania. Natknęłam się na niego w sklepie muzycznym. Kupował papier i trochę pogadaliśmy.

- Nie żartuj!

- Co mam powiedzieć? Jest boski. Wygląda jak Cornell Wilde, tańczy jak Carlos Gardel i śpiewa jak Mario Lanza.

- Ale kim on naprawdę jest? - spytała Aida.

- Nikt nie wie tego na pewno. Niektórzy mówią, że jest synem boliwijskiego konsula i pewnego dnia porzucił dom, nikt nie wie dlaczego, zabierając jedynie gitarę. Powiadają, że sypiał na ulicy i wystawał na rogach ulic, grając swą muzykę i zbierając datki. Prawdziwy artysta. Nie pospolity wodewilowy śpiewak, wiecie, co mam na myśli. Ani nie Cygan. Jakże elegancki i egzotyczny w stroju *gaucho*, śpiewający w języku namiętności, jak pieśniarz z *Karioki*, który zszedł z ekranu!

- A zatem jest ulicznym grajkiem? - Sibel poruszyła się, unosząc brwi.

- Już nie. Czardasz, właściciel węgierskiego klubu, odkrył go i zaangażował, by śpiewał i tańczył sambę, mambo i ka-riokę w „Circle d'Orient”.

- Nie potrzebuje do tego partnerki?



- Jak Fred i Ginger.  
- Pewnie już jakiejś szukają.  
- Fatalnie, że musiałaś przestać tańczyć, Papatyo, doskonale byś się do tego nadała - powiedziała Sibel protekcjonalnie.  
- Jak on się nazywa? - przerwała jej Aida.  
- Rodrigo. Rodrigo Cavallero.  
- Rodrigo Cavalerro - zacmokały kobiety z zachwytem. -*Vallah! Vallah!*  
Cavallero!

- Cavallero to po hiszpańsku „koń” - powiedziała Sibel.  
- „Jeździec” - poprawiła ją Camilla.  
- Ma też wiele innych nazwisk, wszystkie bardzo długie. Czardasz myśli, że to prawdziwy książę z Boliwii. Nie, z Argentyny. Nie, nie, z Chile. Och, nie wiem, może z Brazylii. Tak czy inaczej, pochodzi z jednego z tych latynoamerykańskich krajów, w których zima przypada wtedy, gdy u nas jest lato.

Przewróciła oczami.

- Właśnie dlatego mają taką gorącą krew, wiecie o tym? To bardzo prawdopodobne, że Rodrigo sypia w dzień, a czuwa w nocy.

Zrobiła minę, naśladując Andrews Sisters śpiewające *The South American Way*. Wszystkie parsknęły śmiechem, a oczy im płonęły.

- Jest jakaś madame Cavallero?  
- Nie sędzę.  
- Może udałoby się namówić Cadriego, by zabrał nas do „Circle d'Orient” dziś wieczorem. Zobaczyłybyśmy, jak Rodrigo tańczy i śpiewa.

Wszystkie przyklasnęły propozycji. Oczywiście prócz Si-bel, tej wiecznej malkontentki. W każdej rodzinie znajdzie się ktoś taki, stanowiąc jakby wyznacznik skali. Jednak zachowanie osób tego rodzaju nietrudno przewidzieć.

Amber oblizywała ubrudzone czekoladą palce i przyglądała się stopom kobiet pod stołem. Wszystkie miały na sobie nowe letnie dwubarwne pantofle, z dziurkami i bez pięt - granato-wo-białe, brązowo-białe, czarno-białe albo czerwono-białe. Nogi Sibel były już grube i proste jak pnie drzew, ze sterczącymi, ciemnymi włoskami. Tylko Aida zachowała prawdziwe kostki, a jej łydki wdzięcznie zwężyły się ku dołowi. Camilla miała najmniejsze stopy, wyglądały jak stopy Chinki, a jej buciki bez palców odsłaniały paznokcie pomalowane na opalizujący fiolet. Długie łuki podbicia Papatyi gładko przechodziły w łydki. Palce miała podkurczone niczym balerina.

-Była taka obiecująca - mówiła Aida Camilli później, kiedy wracały ramię w ramię.

Siostry czerpały wielką przyjemność z opowiadania o tym, jak wyglądało ich życie, nim Camilla dołączyła do rodziny. Upiększały każdy szczegół, a ona słuchała chciwie, z bijącym sercem, dowiadując się, czego tylko mogła, o przeszłości Cadriego.

-Jej ciało było tak przejrzyste - mówiła dalej Aida. - Naprawdę miała duszę tancerki. Posłali ją na lekcje tańca do pewnej rosyjskiej arystokratki, madame Uspieńskiej - jej mąż był swego rodzaju mistykiem. Tańczyła całą sobą, zaprzeczając prawom grawitacji, dopóki dojrzewanie nie spowodowało, że jej ciało zaczęło się zmieniać. Gdy ojciec zobaczył ją w spódniczce, z drobnymi sutkami sterczącymi od ocierania się o jedwabny stanik, uznał, że trzeba z tym skończyć, nim piersi córki urosną na tyle, że będą kołysały się jak melony.

Tak więc pewnego dnia, po próbie, rodzice zabrali Papatyę ze studia tańca i zawieźli do fotografa, który torturował biedactwo, zmuszając do przyjmowania baletowych póz -tych samych, które widziałyśmy w książce z obrazkami Cadriego, pamiętasz? Kiedy wrócili do domu, uroczyście spa

lono jej kostium i baletki w piecyku. Śmierdziało w całym domu. „Namiętności trzeba tępić, nie kultywować”, powiedział nam wtedy ojciec. Potem Papatya nigdy już nie tańczyła. Na pewno nie pozwoliłby mi uczestniczyć w konkursie piękności, gdyby wtedy żył.

Tak czy inaczej, Papatya zaczęła tyć, przesiadując wciąż w domu. Zaczęła też śpiewać, ponieważ mogła to robić w swoim pokoju, a by ją powstrzymać, musieliby chyba uciąć jej język. Dopóki głos Papatyi nie docierał na ulicę i nie przyciągał uwagi przechodniów, rodzina tolerowała jej szczebiot. Lecz cokolwiek byś zrobił, i tak nie zmienisz przeznaczenia.

Pewnego dnia młody pośrednik w handlu oliwą, imieniem Tarik, drobnokościsty z malutkim wąsikiem, który wyglądał jak przyklejony, szedł właśnie ulicą, kiedy usłyszał głos słodki niczym chałwa, dolatujący zza zamkniętych żaluzji. Brzmiał jak głos chłopca przed okresem dojrzewania. Wiesz, ten słodki głos kastrata, dziecięcy sopran. Tarik zatrzymał się, by go posłuchać, a potem, oczarowany, wracał tam co dnia. Nie udało mu się zobaczyć twarzy śpiewaczki, ale zakochał się w jej głosie. Postanowił, że kobieta zostanie jego ukochaną żoną.

I pewnego dnia na naszym progu zjawiała się swatka. Wyszłam wraz z Sibel i Papatya, by podać obowiązkową kawę po turecku, sorbety i tak dalej. Swatka spojrzała na mnie i aż jęknęła z zachwytem, gdyż sądziła, że to ja jestem przyszłą panną młodą. Kiedy wreszcie zaczęło do niej docierać, że jest nią Papatya o pyzaty policzkach, oczkach jak paciorki i muskularnych nogach tancerki - wiesz, że kocham moją siostrę, lecz nie zamierzam udawać, że jest atrakcyjna - jej entuzjizm raptownie opadł. Lecz przyrzeczenie to przyrzeczenie i Papatya wkrótce została narzeczoną Tarik Beja. Oczywiście, nigdy przedtem się nie spotkali.

W końcu Tarik zobaczył otwartą okiennicę i jego słowik pojawił się na balkonie; chłopak był tak rozczarowany, że się odwrócił i natychmiast zniknął, nie oglądając się za siebie. Wyobraź sobie, ich pierwsze spotkanie! Biedna Papatya

myślała, że narzeczony więcej nie wróci, co prawdopodobnie byłoby błogosławieństwem, lecz Tarik był na swój sposób człowiekiem honoru, wrócił więc i poślubił ją.

Papatya i Tarik wiedli życie pod tym samym dachem, ale w oddzielnych pokojach, unikając dotykania swych ciał, kontaktując się ze sobą tylko poprzez piosenki, które śpiewała. Kochała się z nim za pośrednictwem głosu, lecz nie czuła się spełniona. Nie mieli dzieci. Niektórzy twierdzili, że po piętnastu latach małżeńskiego szczęścia Papatya nadal jest dziewicą. Wolę o tym nie dyskutować, powiem tylko na koniec, że nie należy ona do osób, które by się skarżyły.

Wszystko w Tariku było oleiste: jego skóra, włosy, nawet materiał, z którego szył sobie ubrania. Oczy miał wilgotne i śliskie, o gałkach pokrytych jakby mgiełką. Nawet pachniał jak oliwki Marmara. Często wyjeżdżał w interesach, sprzedając oliwę na prowincji, a kiedy już bywał w domu, w pobliżu „Błękitnego Anioła” krążyli przez cały dzień nieskazitelnie ubrani młodzi mężczyźni w dopasowanych pastelowo błękitnych bądź różowych garniturach, kapeluszach panama, z małymi wąsikami i schludnymi fryzurami rozjaśnionymi wodą utlenioną, rozsiewający wokół siebie woń brylantyny.

- Moja mama mówi, że to chorzy ludzie - powiedziała do Amber kuzynka Maya. - Zboczeńcy.

- Lecz oni ciągle się uśmiechają - odparła Amber. - Możesz spojrzeć im w oczy. Są łagodne i odwzajemniają spojrzenie.

Nie powiedziała Mai, że widziała, jak Tarik całuje jednego ze swych wyfio-kowanych przyjaciół pod uliczną latarnią. Ujrzała to, wymknąwszy się na balkon, kiedy wszyscy poszli już spać. Całowali się tak jak w kinie: ssali nawzajem swoje wargi i wkładali dłonie do kieszeni. Nie widziała dotąd, by ktoś całował się tak w prawdziwym życiu.

- Czy ludzie całują się w usta w prawdziwym życiu? - spytała Camille.

- Tylko Amerykanie. I tylko w kinie - odparła Camilla.

Kiedy mąż wracał ze swych handlowych wypraw, oblicze Papatyi przybierało dziki, ponury wyraz, lecz kiedy przebywał daleko, była radosna niczym stokrotka (imię Papatya znaczy właśnie „stokrotka”). Otwierała wszystkie okna i drzwi i wyśpiewywała drżącym, dramatycznym sopranem miłosne piosenki, by ukryć zranione serce. Czasami dawała recitale, zapraszając najbardziej renomowanych muzyków w mieście, którzy wysypywali się z jej salonu na balkon, gdzie porozkładała poduszki i przy świetle pochodni wyśpiewywali z nostalgią i melancholią. Cała ulica wibrowała wtedy energią.

W końcu, niezdolna wstrzymać się dłużej, napisała do Rodriga, zapraszając go, by zaśpiewał podczas jednego z jej recitali. Odpisał, wyrażając zgodę.

Ten dzień nadal pozostaje żywy w pamięci wszystkich członków rodziny. Z „Błękitnego Anioła” sprowadzono słodczyce i desery o erotycznych, zmysłowych nazwach, takich jak Uda Damy, Usta Piękności, Paluszki Hanum i Kobięcy Pępek. Dostarczono też kwaśny sorbet wiśniowy i łagodniejszy, melonowy. Mont Blanc i Piramidy.

Po południu kobiety pomknęły do salonu piękności, usytuowanego dogodnie tuż za rogiem. Necati, właściciel, krążył wokół nich, prężąc się zawadiacko, grając na ich głowach niczym na klawiszach ksylofonu, przeskakując od jednej do drugiej i ani na chwilę nie zaniehbując ani też nie faworyzując żadnej z kobiet.

Powiedział, że sprowadził z Paryża nowy wzór fryzury: z jednej strony przyciętej w kształcie krótkiego pazia, z drugiej - długiej do ramion i podkręconej jak dziób karaweli. Nożyczki śmigwały w powietrzu, podcinając pasma włosów, fetor chemikaliów do trwałej ondulacji mieszał się z wonią papierosów i kawy po turecku.

Kiedy po kilku godzinach opuściły zakład, wyglądały jak zespół wokalny o identycznych fryzurach ze złotym pasmem pośrodku, sztywnymi od tuszu rzęsami i sztucznymi paznokciami, pomalowanymi na szokujący róż - najmodniejszy w tym sezonie kolor.

Rodrigo przybył punktualnie o siódmej, tuż po tym, jak zaszło słońce, lecz jeszcze nie zapadł zmrok. Ubrany w obcisły strój ze skóry rekina o barwie alg, z szokująco różowym goździkiem w klapie. Wszystkie drzwi otwały się niemal jednocześnie i na spotkanie wyszły mu kobiety o identycznych fryzurach, ubrane w nadymane spódniczki. Wyglądały jak towarzyszący artyście chórek.

Tej nocy Rodrigo śpiewał niczym ptak, upajający się własną pieśnią. Jego miękki, dźwięczny głos i szeroki repertuar latynoskich piosenek - *Luna rosa*, *Vaya eon Dios* - rozpływał się w nowych aranżacjach. Akustyka była co najmniej niewystarczająca, a uliczny szum tłumiał czystość jego śpiewu, lecz Rodrigo wiedział, jak modulować głos, by kobiety omdlewały z zachwytu.

Papatya była w najwyższej formie. Ściemniła światła, stanęła pod latarnią ubrana w trencz, otworzyła wilgotne usta i z głęboką melancholią w głosie zaśpiewała *Lili Marleen*. Przy końcu każdej strofy grupa powtarzała unisono: *Die eins Lili Marleen*.

Nie wiem, co stało się z mężczyznami tego wieczoru, ale byli gdzieś indziej, najwidoczniej odstraszył ich na wskroś kobiecy dobór repertuaru Papatyi. Tak więc Rodrigo miał kobiety wyłącznie dla siebie. Wyrwał sobie serce z piersi, śpiewał dla nich i w końcu poprosił Papatyę, by zaśpiewała z nim w duecie. Z początku się opierała, udając nieśmiałą, lecz kiedy goście nalegali, jej opór stopniał niczym krowie masło.

Ich duet przeobraził się w występ Jeanette MacDonald i Nelsona Eddy'ego, śpiewających kawalki z *Bose Marie*. Rozrzucali wokół arpeggia niczym konfetti.

*When I'm calling you-000-000-000-000-000-000...*



Po tej nocy Rodrigo stał się członkiem rodziny, wpadając o różnych porach dnia - najczęściej w porze posiłków. Można było bez trudu znaleźć go w kuchni, przygotowującego dziwną zupę z macek ośmiornicy i tajemniczych flaczków, flirtującego z siostrami Goncy, które przyglądały się mu zafascynowane, albo po drugiej stronie ulicy, w „Błękitnym Aniele”, popijającego z kobietami herbatę, opowiadającego im o egzotycznych miejscach, w których bywał - Rio de Janeiro, Maracaibo, Casablance, Veracruz, Szanghaju. Wszystkie nazwy brzmiały jak tytuły filmów, które oglądały w kinie. Żadne urodziny, obrzezanie czy wesele nie mogło się obyć bez słodkiego głosu Rodriga. Nawet w wigilię Nowego Roku wśliznął się przez komin do pokoju Mihri-ban, przebrany za Świętego Mikołaja, śpiewając *Jingle Bells*. Niestety, upadł przy tym tak niefortunnie, że złamał sobie kręgi szyjne i musiał nosić specjalny kołnierz, który, o dziwo, jeszcze przydawał mu królewskiego dostojęstwa i utrzymywał jego głowę na właściwym miejscu, gdy śpiewał: *When I fall in love-ooo-ooo-ooo-ooo-ooo-ooo...*

Podbił wszystkie kobiety z rodziny, bez względu na wiek i pozycję, od najmłodszych po matrony, starzejące się ciotki, nawet służące, które zatrzymywał w ciemności podczas nocnych eskapad, by skraść im pocałunek.

Siostra Goncy, Gül, powiedziała Camilli, że nie ma nic przeciwko temu.

-Wie, jak całować. Nie pluje ci do ust śliną jak inni ani nie wpycha języka do gardła, jakby to była ścierka. Nie obmacuje cię też we wstydlivych miejscach - tak nazywały narządy płciowe kobiety - jak inni dżentelmeni z rodziny.

-Jacy inni dżentelmeni?

-Wszyscy - odparła Gül. - Oczywiście z wyjątkiem pana Cadriego.

Nie wiedziały, że Amber podsłuchuje, leżąc bezsennie w łóżku i zastanawiając się, o co też może chodzić z tym obmacywaniem. Nie знаła jeszcze owych mrocznych uczuć, związanych z seksem, choć domyślała się, że istnieją.



Jednak pomimo tego oportunistycznego puszenia się Rodrigo żywił wobec Papatyi jeszcze innego rodzaju słabość. Czując i nieco błazeńską. Gdy Tarik wyjeżdżał, zwykł wpadać do niej, przeskakując po dwa stopnie, dzierżąc w dłoni bukiet stokrotek i pogwizdując: *Figaro, Figaro, Figaro-*.

Papatya witała go ubrana w przejrzysty kaftan i perukę Brunhildy, wymalowana i upierścieniona niczym Turandot czy Carmen. Sunęli po świeżo położonym linoleum, zawodząc szalony duet, którego kulminację stanowił striptiz z egzotycznymi sztukami odzieży porzucanymi we wszystkich pokojach, zakończony w artystycznej, wykładanej turkusowymi kafelkami łazience, gdzie przeżywali ka-tharsis, wspomagane strumieniami wody.

Drżące od namiętności pienia, dobiegające z mieszkania Papatyi, hipnotyzowały rodzinę do tego stopnia, że ignorowała ich złowróżbną niestosowność. Wszyscy wiedzieli. Mimo to milczeli, gdyż w głębi duszy cieszyli się, że Papatya znalazła wreszcie coś, co sprawia jej przyjemność. Kobiety, choć zaniepokojone, zazdrościły miłości, jaką oferował Rodrigo, pełnej kurtuazji i zabawy, nie zaznawszy jej od swoich mężów.

Tymczasem poetriarcha, raz jeszcze zanurzony w swym papierowym imperium, ubolewał nad kurczącym się majątkiem rodziny - zwłaszcza że sam posiadał tak mało talentów do zarządzania. Przygarbił się i gwałtownie łysiał, a nos sterczał mu niczym dziób. Z opuszczonymi smętnie kącikami ust wyglądał jak teatralna maska, przedstawiająca Tragedię. Za każdym razem, gdy wracał z podróży, kobiety otaczały go, proponując pantofle, zimne napoje i chłonne uszy. Camilla rozbierała męża i zaciągała do kąpieli. Pozostawali w łazience długie godziny, a ona z wolna go myła. Potem, w sypialni, przez całą noc rozmawiali przyciszonymi głosami, co brzmiało tak, jakby obracali w ustach twarde karmelki, snując tajemnicze intrygi.

Po śmierci Esmy Camilla zagarnęła jej terytorium i obszar wpływów, strzegąc ich zazdrośnie. Powodowało to jednak pewnego rodzaju niedogodność, wymagającą ciągłej troski. Kobiety istniały po to, by służyć swym mężczyznom. Była to ich jedyna szansa, by zdobyć dla siebie duszę. Nie rodziły się z duszami, lecz wiążąc się z mężczyzną, dzieliły z nim duszę i w ten sposób zapewniały sobie wstęp do *cennet*, raju. Lecz nawet w *cennet* mężczyznom usługiwały boskie hurysy. Dla kobiet nie było innego raju, tylko ten męski.

Rodrigo i Cadri zaczęli grywać razem w bezika. Obaj nauczyli się zasad tej starej dworskiej gry, przeznaczonej tylko dla mężczyzn, gdy byli jeszcze dziećmi. A zatem, pomimo iż urodzili się rozdzieleni oceanem, coś jednak ich łączyło. Tak bardzo zapamiętywali się w grze, że przypominali postaci z płócien francuskiego impresjonisty, Caillebotte'a.

Cadri potasował ciężką talię, złożoną z czterech innych i zawierającą tylko figury i blotki od siódemki do dziesiątki. Każdy z nich ciągnął po karcie. Rodrigo dostał damę, Cadri asa. Rodrigo przełożył i Cadri rozdał po dziewięć kart, trzy razy po trzy. Ułożyli karty w wachlarzyk, bardzo tym przejęci, i Rodrigo zagrał. Zrzucił dziewięć trefli, a Cadri dał mu dziewięć kar. Rodrigo wziął lewą. Dobrali kart z talii. Rodrigo wyszedł dziewięcioma kierami, Cadri wziął je dziesięcioma kartami tego samego koloru, a drewniana plansza do notowania wyników zaklekotała. Zapisał pięćdziesiąt punktów za połączenie w parę damy pik z waletem karo. Dwie damy i dwa walety z każdego koloru dawały pięćset punktów, trzy - tysiąc pięćset, a cztery - trzy tysiące, czyli bezika.

Amber przyglądała się grze, przechodząc leniwie od jednego gracza do drugiego, nanosząc punkty ojca na planszę, zerkając obu partnerom w karty. Pozwalali jej na to, nie podejrzewając, że poznaje w ten sposób zasady, dopóki nie zaczęła szpiegować na korzyść ojca.

Rodrigo był zaniepokojony. Na chwilę zapomniał, że to tylko dziecko, lecz potem znów stał się sobą.

- Oszukujesz - złajał ją. - Poza tym to gra nie dla dziewcząt. Dlaczego nie grasz w swoje gry? Idź, pobaw się papierowymi lalkami.

Więc tak zrobiła. Najbardziej satysfakcjonująca z gier. Budowała z kartonu małe pałace - podobne do tych, które oglądała podczas przedstawień kukielkowych, zdobne filigranem i arabeskami - w których odbywały się przyjęcia dla papierowych lalek, przysłanych jej przez amerykańsko--irlandzką żonę wuja Aladdina, ciotkę Sophie. Było ich tysiące: niektóre przedstawiały prawdziwych ludzi, noszących imiona Lucy i Desi, Debbie i Eddie, Fred i Ginger, Es-ther Williams i Marilyn Monroe. Były też postaci fikcyjne, takie jak dziewczyna z kreskówek, seksowna Betty Boop, i Howdy Doody. Jednak w papierowym świecie osoby mieszały się ze sobą. Amber ubierała je w najlepsze wieczorowe stroje rodem z filmów, ukazujących elegancki świat amerykańskiego Południa - *Jezebel*, *Lisie gniazdo*, *Przeminęło z wiatrem* - opowiadając sobie przy tym po cichu własne historyjki.

Wyglądało na to, że Cadri przegrywa. Poprosił Camille, by przygotowała więcej kawy. Camilla posłusznie odłożyła magazyn „Marie Claire” i rozprostowała podwinięte nogi. Rodrigo powiedział, że nie chce kawy.

- Daj spokój, kolego. Będziesz jej potrzebował, aby nie zasnąć, nim cię rozgromię - roześmiał się Cadri. - To wyborowa kawa. Przywiozłem ją z Antiochii. Etiopska. Nie ta podła mieszanka kawy z suszonym grochem, którą sprzedają wszędzie dookoła.

- Poważnie, Cadri, nie pijam kawy. Kawa to trucizna. Popelniasz samobójstwo, wypijając takie ilości.

- Daj spokój, Rodrigo! - zawołał Cadri. - Pijam kawę od niemowlęctwa. Matka powtarzała zawsze, że mam wilgotny temperament, napełniała więc moją butelkę

kawą. Mawiała, że nadmiar kawy nie czyni szkody, jeśli pijący nie jest melancholikiem.

- Co wtedy wiedziano o zdrowiu? Kawa niszczy wątrobę, podnosi ciśnienie krwi, powoduje nerwowość i histerię. Zmienia mężczyzn w impotentów, a dziewczęta w nimfomanki. Właściwie nie kawa jako taka, ale zawarty w niej składnik, zwany kofeiną.  $C_8H_{10}N_4O_2$ . Ponad pięćdziesiąt procent populacji jest uzależnione od kofeiny, ta zaś z wolna niszczy to, co jest w twoim wnętrzu, niczym szczur podskubujący ser, aż wreszcie, pewnego dnia, bum, i już po tobie. -Udał, że pada na stolik. - Rząd o tym wie, ale nikt, absolutnie nikt nic nie robi, gdyż sprzedaż kawy przynosi zbyt wielkie zyski. Prowadzi też do poważnych przestępstw. Lecz wkrótce wszystko to z hukiem się zawali. Ludzie, którzy znają prawdę, zaczną mówić i nikt nie będzie już pił kawy, gdyż zabójczy wpływ kofeiny stanie się znany na całym świecie.

- Nie spodziewałem się tak ewangelicznego wybuchu -roześmiał się Cadri. Koncentrując się na grze, położył króla pik obok damy i doliczył sobie kolejne czterdzieści punktów. Klik, klik. Teraz należało tylko skompletować at, nim zaczną napływać wysokie premie.

- Nie zamierzam owijać w bawełnę - powiedział Rodrigo. -Mam propozycję. Posłuchaj uważnie, Cadri. Wiesz, co znajduje się w ziarnku kawy?

Wyliczył związki chemiczne, kończąc tym na „K” - kofeiną.

- Istnieje sposób, by pozbyć się kofeiny, zatrzymując pełny smak kawy.

- Tak, gdzieś o tym czytałem - odparł Cadri. - Usuwają ją z kawy za pomocą jakichś chemikaliów.

- Nie o tym mówię - powiedział Rodrigo. Położył karty figurami w dół i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej niewielki skórzany woreczek i rzucił go na stół.

Amber przestała bawić się papierowymi lalkami i podbiegła, aby popatrzeć. Ziarnka kawy, bledsze niż te widywane zazwyczaj, niemal zielonkawobiałe. Cadri najwidoczniej czekał na puentę.

- To ziarna - mówił dalej Rodrigo. - Patrz, każde z nich na wagę złota. Widzisz je? Moja rodzina eksperymentowała z nimi od dziesięcioleci, krzyżując, szczepliąc, łącząc i regenerując. A wiesz, czym zaowocowały lata ciężkiej pracy?

- Czym?

- Stopniowym minimalizowaniem zawartości kofeiny, aż wreszcie wyhodowaliśmy ziarna, które nie zawierają jej w ogóle. Mutanta.

- Bardzo interesujące - zgodził się Cadri. - Ale skąd wiemy, że różnią się od innych?

Wyłożył waleta, dziesiątkę i asa pik i dopisał sobie dwieście pięćdziesiąt punktów. Tymczasem Rodrigo grał automatycznie z ręki, myślami ewidentnie przebywając gdzie indziej.

Zapytał Camille, czy mogłaby wylać kawę, którą właśnie parzy, i sporządzić nową, z ziaren, które przyniósł. Camilla nie lubiła, gdy nią komenderowano, lecz parzenie kawy należało do jej obowiązków.

Cadri z jawnym sceptycyzmem spróbował kawy Rodriga; potem upiła łyk i Camilla.

- Smakuje zupełnie tak samo - powiedziała. - Naprawdę. Nie czuję różnicy.

Cadri pokiwał głową na znak zgody.

- Ach - warknął Rodrigo - to dlatego, że oboje jesteście uzależnieni. Wasza wrażliwość uległa stepieniu i nie potraficie wyczuć różnicy, ale dla kogoś, kto nie jest nałogowcem, to istny cud. Poza tym chodzi bardziej o efekt niż o smak. Chodź, Amber, ty spróbujesz.

- Nie lubię kawy.

- Potrzebujemy dziewicy, by ją poświęcić - powiedział Rodrigo i zaśmiał się złośliwie. - To tylko eksperyment. Nasze życie zależy od twego osądu, Amber, kochanie. Jesteśmy w twoich rękach.

- Co mam zrobić? - spytała ponuro.

- Spróbuj kawy i powiedz nam, czy odczuwasz jakieś brzęczenie, jakby w twojej głowie uwięziona była pszczoła, albo czy serce bije ci szybciej.

Amber upiła niechętnie łyk, skrzywiła się, powiedziała, że nie czuje żadnego brzęczenia i że płyn smakuje okropnie. Jak woda ze ścieku.

- Próbowalas kiedyś wody ze ścieku? Daj kawie szansę - powiedział Rodrigo - to chwilę trwa, wiesz o tym? No, dalej, jeszcze jeden łyk.

- Ale ja tego nie cierpię. Mówiłam ci.

- No, *tonton* (czuły zwrot, oznaczający „mój słodki pysiu”), jeszcze tylko łyk. Dam ci zdjęcie Esther Williams w filmie *Million Dollar Mermaid*.

- Wypiję, ale z cukrem - targowała się Amber. Wrzucił kostkę do filiżanki.

- Jeszcze cztery - nalegała Amber.

Rodrigo, który wyglądał, jakby miał ochotę skrócić jej kark, wrzucił do filiżanki kolejne cztery kostki cukru i zamieszał napój.

- Spróbuj.

Amber upiła łyk, pośpiesznie zapewniła Rodriga, że nie czuje się ani trochę inaczej, po czym uciekła do salonu, gdzie Camilla przerysowywała właśnie wykrój z „Burdy”. Zamierzała uszyć sobie i córce jednakowe plażowe sukienki na paradę z okazji Dnia Dziecka. Lubiła, gdy były podobnie ubrane. Amber powróciła do swych papierowych pałaców i papierowych ludzi.

- Widzisz, nic nie poczuła. Gdyby w ziarnach była kofeina, biegałaby tu jak nakręcona. Posłuchaj, Cadri, próbuję ci powiedzieć, że mógłbyś uprawiać te ziarna tutaj i zyskać wpływ na światowy rynek - tłumaczył Rodrigo, bawiąc się

swymi ziarenkami. - Czegoś takiego nie ma nigdzie indziej. Zdajesz sobie z tego sprawę? Nigdzie. Wiesz, co to oznacza?

Cadri potrząsnął głową.

- Och, nie, Rodrigo - powiedział. - Wiele osób próbowało uprawiać kawę, od-  
kąd sprowadzono ją tu z Jemenu kilkaset lat temu, ale nikomu się to nie udało.  
Kawa rośnie dobrze jedynie w gorącym, suchym klimacie, w górzystych okoli-  
cach między zwrotnikami. U nas nie miałyby cienia szans. Nie jest tu ani dość  
wysoko, ani wystarczająco gorąco. Nie, mój panie.

- I tu właśnie się mylisz - odparł Rodrigo. - To nie są zwykłe ziarna. Mówimy  
o czymś zdecydowanie bardziej szczególnym i kapryśnym. O kawie bez kofeiny!  
Te ziarna potrzebują innej pogody, gleby, wysokości, wilgotności. Moja rodzina  
próbowała uprawiać je w Campo Santo, lecz nic z tego nie wyszło. Biedne ro-  
ślinki stały się anemiczne, wypalone i niedożywione.

Te ziarna potrzebują więcej wody. O wiele więcej. Nie lubią jednostajnej po-  
gody, stają się wtedy leniwe. Potrzebują subtropikalnego klimatu, takiego jak na  
wybrzeżu Morza Egejskiego. Dlatego tu przyjechałem. Nie sądzisz, że nie spró-  
bowałbym uprawiać ich w moim rodzinnym kraju, z moimi ludźmi, tam gdzie  
wiem, jak pozyskać kapitał, z robotnikami, których znam od podszewki i których  
językiem mówię?

-Dlaczego zwróciłeś się z tym do mnie?

- Ach, przyjacielu, mówię ci o tym, ponieważ obaj stoimy na życiowym zakrę-  
cie i wiem, że przeznaczone nam jest, hyśmy połączyli nasze środki i razem do-  
konali cudu. Wiem o tym, tak jak wiem, jak się nazywam. Nie pytaj skąd. Po  
prostu wiem. Nie myślisz chyba, iż zamierzam spędzić resztę życia jako kanarek,  
co? Zdaję też sobie sprawę, że twój wuj zmarł niedawno i teraz, kiedy zostałeś  
patriarchą, musisz troszczyć się o rodzinę. To wielka odpowiedzialność i spo-



czywa w całości na twoich barkach. Wszyscy spodziewają się, że odzyskasz dla nich szacunek i fortunę.

- Jeśli wiesz to wszystko, zapewne wiesz także, że fortuna wuja stopniała niczym świeca - powiedział Cadri oschłym tonem.

- Wiem, wiem, jednak z pewnością wystarczy zasobów, by zasiać kilka ziaren. Rozumiesz? Zwłaszcza gdyby udało ci się przekonać kobiety.

Rodrigo i Cadri siedzieli tej nocy do późna, dyskutując gorączkowo o ziarnach z kofeiną i bez kofeiny i dokonując abstrakcyjnych obliczeń, aż powietrze w pokoju, i tak parne, zgęstniało od dymu. Amber, podniecona kawą, wycinała coraz to nowe pałace z papieru i zapelniała je papierowymi lalkami, dopóki Camilla, której oczy same się zamykały, nie zaniósła jej do łóżka i nie położyła spać.

Nie jestem pewny, co wynikło najpierw, ta sprawa z Papatyą czy zdrada. Najprawdopodobniej wszystko rozegrało się równocześnie. W końcu jak rodzina mogła zaufać podejrzanemu latynoamerykańskiemu piosenkarzowi o niejasnej przeszłości? A jednak tak się stało. Ludzka potrzeba, by komuś zaufać, jest niezwykła. W życiu zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

A zatem owego wieczoru Rodrigo namówił Cadriego, ten zaś całą rodzinę, by wziąć pożyczkę pod zastaw hipoteczny na mnie i kupić za to zaniedbaną plantację cytrusów nad Morzem Śródziemnym, wzdłuż łańcucha gór Taurus (pomiędzy Antayą a Alanya), by uprawiać tam kawę bez kofeiny. Rodzina zgodziła się ochoczo, prawdę mówiąc, jak w odurzeniu -z wyjątkiem Tarika, który powiedział, że prędeż utopi swoje pieniądze w oliwie, niż je wpakuje w fałszowane ziarna kawy.

Cała ta operacja miała pozostać tajemnicą dla ludzi spoza klanu. Znali już tego rodzaju sekrety, zdarzały się przy produkcji jedwabiu.

-Musimy zachować to w absolutnej tajemnicy, żeby nikt nie przewąchał, co się święci, nie wykradł ziaren i nie założył konkurencyjnej plantacji - podkreślał Rodrigo z naciskiem. - Najlepiej będzie udawać, że zamierzacie uprawiać tam cytrusy. Zakamuflujemy plantację, sadząc bananowce i drzewka cytrynowe.

Jednak sprawy nie udało się utrzymać w całkowitej tajemnicy, a kiedy wieść się rozeszła, przyjaciele jęli ostrzegać Cadriego, by nie angażował się w tak szalone przedsięwzięcie. On jednak nie słuchał. Owładnięty obsesją w tym samym stopniu co Rodrigo, choć zwykle tak zmienny i niestały, tym razem uparł się i nie potrafił zrezygnować. Obaj z Rodrigiem jeździli często na wybrzeże i przywozili stamtąd fotografie, przedstawiające ich pośród bananowców, u stóp gór Taurus. Rodrigo kierował operacją, Cadri zaś wracał do Ankary, przywożąc optymistyczne wieści. Rośliny rosły dobrze i oczekiwano bogatych zbiorów. Gdy tylko się zakończą, ich kawa zaleje rynek. Oczywiście Cadri nie był świadomy, ile czasu potrzeba, by drzewka dojrzały.

Członkowie rodziny, dorośli i dzieci, spodziewając się, że będą mogli odzyskać dawną świetność, żyli w radosnym oczekiwaniu, dopóki pewnego fatalnego wieczoru Tarik nie wrócił niespodziewanie z podróży w interesach.

Papatyi nie było w domu. Tarik chodził od drzwi do drzwi, szukając jej, lecz nikt się nie przyznał, że wie, gdzie też może być jego żona.

-Znasz Papatyę - uspokajała go Camilla. - Czasami wychodzi pośpiewać z przyjaciółmi i zapomina o bożym świecie. Nie ma w tym nic złego, prawda?

-Jest już po północy - zaproponował Tarik. - A tak nawiasem mówiąc, co to za przyjaciele: śpiewacy tancerze, jakaś hołota?

Camilla i Cadri potrzęsnęli głowami, starając się powstrzymać ogarniającą ich panikę.

- Idę na policję - oświadczył Tarik.

- Znajdę ją - wtrącił czym prędzej Cadri. - Nie martw się, znajdę twoją żonę. Nazwisko rodziny nie powinno się znaleźć w policyjnych rejestrach. Nikomu nic do tego, co dzieje się w murach naszego domu. Musimy trzymać się razem. Sam ją znajdę.

Natychmiast pobiegł na nocny pociąg.

- Wystarczy jeden chwast, by zadusić ogród. To był jego pomysł, by przyjąć tego bękarta do rodziny - burknęła następnego dnia Sibel, kiedy kobiety siedziały w „Błękitnym Aniele”, mieszając herbatę. - Cadri namówił nas, byśmy sprzedali wszystko i kupili tę głupią plantację. I popatrzcie tylko, do czego to doprowadziło!

- *Yok, yok.* Nie, nie. Bądź obiektywna. Rodrigo przypo-chlebiał się wszystkim w rodzinie, absolutnie wszystkim, na długo przedtem, nim zaczął całować Cadriego wiesz w co - broniła męża Camilla. - Nie zaprzeczysz chyba, że i ciebie oczarował? Od razu się w nim zadurzyłaś. Na miłość boską, nie zwalaj wszystkiego na Cadriego.

- Ona ma rację. Rodrigowi trudno było się oprzeć - zauważyła omdlewającym tonem Aida. - Spójrzmy prawdzie w oczy, wyglądał zupełnie jak Cornell. I wiedział, jak traktować kobiety. Był czarujący. Utalentowany. Pięknie tańczył. Pięknie śpiewał. Nie pamiętacie, jak razem śpiewali? *When I'm calling you, ooo-ooo-ooo-ooo-ooo...*

- Kura sąsiada zawsze wygląda jak gęś - powiedziała Camilla, wzruszając ramionami. - Wiecie, że mam rację.

- Dlaczego ze wszystkich kobiet wybrał sobie akurat Pa-patyę? Nie mogę tego zrozumieć - wyzłośliwiała się znów Sibel, spoglądając na nie wielkimi, ciemnymi oczami, przypominającymi zbyt długo gotowane kasztany. - Niech jego cień nigdy nie zazna spokoju. „Kruku, kuku, powiedz kra, kra. Wskocz na tę gałąź i

rozejrzyj się dokoła. Wskoczyłem na gałąź i rozejrzałem się. Ten kruk po prostu kręci się jak głupi. Może chce mnie wystrychnąć na dudka?"

Gdy następnego ranka Cadri powrócił, wszyscy wychylali się z balkonów, paląc papierosy. Odprowadził Papatyę do jej mieszkania, jakby wiódł ją na inkwizycję, i pozostawił tam.

- Co miał ci do powiedzenia Rodrigo? - spytała Camilla, kiedy zostali sami.

- Powiedział, że właściwie jej nie zapraszał. Papatya jest już dorosła. Może myśleć samodzielnie. Przyszła z własnego wyboru.

- A dlaczego miałyby tego nie zrobić? - zapytała Camilla. -Mając męża, który znika na całe miesiące i ugania się za „stokrotkami" innego rodzaju...

Z dołu dobiegły ich gniewne wrzaski Papatyi i Tarika. Odgłos rozbijanych przedmiotów. A potem kolejnych. Scena jak z *Otella*, ta, w której bohater zarzuca Desdemonie zdradę. Wykrzyczany głośno ból Papatyi przeszył serce każdego domownika. A potem wszystko ucichło.

- On ją bije - płakała Camilla. - Cadri, powinieneś tam zajrzeć. O Boże!

- Nie histeryzuj. Nikt nie powinien wtrącać się do tego, co dzieje się między mężem a żoną.

- Jak ty to możesz znieść! On ją zabije!

Po jakimś czasie Papatya wyczołgała się z mieszkania i potykając się, ruszyła korytarzem, z posiniaczoną twarzą, spływającą z czoła strużką krwi, w podartej sukni. Zabębniła do drzwi Cadriego i Camilli.

- Wyrzucił mnie - powiedziała do Camilli. - Proszę, pozwólcie mi przespać się u was.

Cadri wyszedł do holu.

- Nie mogę, nawet gdybym chciał. To nie byłoby w porządku, Papatyo - powiedział. - Wracaj do męża i błagaj go o przebaczenie. Z czasem wszystko się ułoży.

- Jak mogłabym? Nie mogę. Spójrz na mnie. Nie ma dla mnie miejsca w tym domu.

- To twój problem.

- Ale jesteście moją rodziną!

- To nie w porządku wtrącać się do tego, co dzieje się między mężem a żoną.

Papatya chodziła od drzwi do drzwi, błagając, by ją wpuszczono. Słuchali jej, ukryci za drzwiami, lecz nikt nie otworzył, z wyjątkiem Aidy, która - nim Generał wciągnął ją do środka - wyszła i przytuliła siostrę.

- Tylko Bóg może wtrącać się między męża a żonę.

Papatya biegła w górę i w dół po schodach, płacząc rozpaczliwie. Po drugiej stronie drzwi siostry ocierały łzy papierowymi chusteczkami, lecz żadna nie ośmieliła się otworzyć. Trwali tak zawieszeni pomiędzy jawą a koszmarem, aż wreszcie o świcie usłyszeli jej głos.

Śpiewała. Stała na podwórzu i śpiewała arię umierającej Madame Butterfly, a jej głos wznosił się jeszcze wyżej niż zwykle i pewnie wyniosłby ją między nieśmiertelnych, gdyby nie wybiegła za bramę, w swej podartej sukni z białej organdy w czarne grochy, i nie zniknęła niczym błędny ognik. Wiatr wkrótce zatarł po niej wszelki ślad.

Dni, które nastąpiły potem, szybko okryły się mrokiem niepamięci, gdyż nikt nie chciał myśleć o tym, co się wydarzyło, ani tego wspominać. Aż do nocy, gdy dostarczono telegram. Domownicy spali i to Camilla pierwsza obudziła się na dźwięk uporczywego stukania do drzwi. Wkrótce wszyscy zaglądali jej przez ramię, usiłując przeczytać telegram.

RODRIGO stop PORZUCIŁ PLANTACJĘ stop PIENIĄDZE ZNIKNEŁY Z BANKU stop ZARZĄDCA. Cadri natychmiast się ubrał i pojechał na plantację.

-Nie ma wątpliwości, Papatya wróciła do Rodriga i razem ulotnili się z pieniędzmi, pewnie do jakiegoś egzotycznego miejsca, jak Hawana czy Bejrut - przewidywała Sibel. -Dokąd indziej mogłaby się udać?

Pozostali milczeli.

-Generał ma znajomości w departamencie policji - przypomniała im Aida. - Moglibyśmy... wiecie?

Jednak nasyłanie na kochanków władz byłoby zbyt podłe, poza tym groziło skandalem.

- Cadri nigdy się na to nie zgodzi - stwierdziła Camilla. -Najważniejsze to nie stracić twarzy w jeszcze większym stopniu, niż to się już stało.

Tak więc raz jeszcze Ipekçi zacisnęli zęby i trzymając uczucia na wodzy, skupili się razem w chwili kryzysu. Lecz ten raz miał być ostatni, nim wszystko znacznie się rozpadać.

Kiedy na plantację sprowadzono eksperta z departamentu rolnictwa, ten zbadał ziarna i poinformował Cadriego, że niczym nie różnią się od innych. To po prostu zwyczajna jemeńska kawa. Co zaś się tyczy zbiorów, nie ma szans, by drzewka przetrwały zimą. A nawet gdyby im się udało, potrzeba co najmniej pięciu lat, by zaczęły owocować. Najlepsze, co można zrobić, to zrehabilitować ziemię i zasadzić więcej bananowców i drzewek cytrusowych.

Kontakty Generała w departamencie policji zaowocowały informacją, że Rodrigo nie był żadnym latynoamerykańskim kochankiem, tylko egipskim kanciarzem o imieniu Raszid. Kilka dni wcześniej odpłynął frachtowcem na Cypr. I podróżował sam.

Co zatem stało się z Papatyą? Milczenie ogarnęło wszystkie gospodarstwa na całe dni. W pierwszy piątek miesiąca kobiety zebrały się na podwórzu, utworzyły krąg i zaczęły lamentować. Wysunęły języki jak węże i zawodziły. Nie były już kobietami, lecz syrenami, podobnymi ptakom stworzeniami, które były skrzy-

dłami, rozpaczliwie łkając. Mężczyzn oczywiście nie było. Jakoś nigdy nie było ich domu, kiedy kobiety ogarniało szaleństwo. Starsze niewiasty zasiadły w swych aksamitnych fotelach, licząc paciorki, szepcząc zwykłe zaklęcia, podczas gdy dzieci patrzyły na to z okien, ukryte przed wzrokiem dorosłych.

Tego wieczoru maluchy odesłano do mieszkania Mihri-ban, a starsi zamknęli się w mieszkaniu Cadriego i Camilli, gdzie krzyczeli na siebie godzinami. Wskazywali jedno na drugie palcami, które zdawały się wydłużać z każdym oskarżeniem. Nawet pluli na siebie nawzajem, a ich ślina zmieniała się w jad. Dzieci i służące przykładają ucho do podłogi w nadziei, że coś usłyszą, lecz wszystko zlewało się w zatrutą zupę z głosek.

Pozostali tam przez niekończące się godziny, wycofując się w końcu do własnych mieszkań tylko po to, by odgrodzić się od reszty. Ci, którzy mieszkali na wyższych piętrach, celowo stąpali ciężko, stukali w podłogę i przesuwali w kółko rzeczy, by dokuczyć tym z dołu. Odkurzali podłogi w środku nocy. Dzieciom pozwalano puszczać głośną muzykę, a nawet jeździć na wrotkach.

Nikt nie wspominał imienia Papatyi ani Rodriga. Skończyły się rodzinne zebrania, obrzezania, przyjęcia urodzinowe. Wspólnie spędzane święta. Nawet przestali się pozdrawiać, chyba że wpadli na siebie na korytarzu.

Dzieci przesiadywały na ulicy od świtu do zmierzchu, by uciec przed atmosferą nieufności i zatracić się w zabawie.

Oddawały się jej z gorączkowym wręcz zapalem, udając, że o niczym nie wiedzą, jednak opinie rodziców przenikały do młodych umysłów, sięgając głębiej niż same słowa.

Ich świat na pozór wydawał się zwodniczo normalny. Dziewczynki bawiły się w „piękno i brzydotę” lub grały w klasy, rysując kwadraty kolorową kredą na popękany beton chodnika okrążającego kamienicę, a potem skacząc i prze-



suwając śliskie, gładkie jak lód kamienie z kwadratu na kwadrat. Sprzeczały się o to, gdzie narysować klasy lub czy kamień nie wylądował na linii.

Chłopcy bawili się w wojnę, strzelając do siebie z palców, czemu towarzyszyły niezrozumiałe dla dziewcząt, mechaniczne odgłosy, oraz ślizgając się lub czołgając na brzuchach w pyle czy błocie. Starsi kopali piłkę; mieli łamiące się głosy, nogi mocno skrzywione z powodu zbyt wczesnego stwardnienia kości. Od czasu do czasu dziewczęta wyzywały ich, by ścigali się z nimi wokół bloku przez całą drogę do Klubu Oficerskiego. Nagrodą za wygraną były wafelki z wizerunkami gwiazd filmowych. Dziewczęta zawsze wygrywały, gdyż towarzysząca dojrzewaniu ociężałość nie spowolniła

jeszcze ich ruchów, a cienkie niczym u źrebiąt nogi poruszały się szybciej i zwinnie niż nogi chłopców.

Pewnego dnia jeden z chłopców powiedział, że już się nie bawi. Nie ma pieniędzy na wafle i kulki. Wszyscy są teraz biedni.

- To wina twego ojca - prychnęła Maya pod adresem Amber tonem, który wskazywał, że stara się podburzyć resztę.

- Nie, to nieprawda. Nie wiedział, że ziarna są fałszywe, nie wiedział.

- To wujek poetriarcha namówił wszystkich, by zaangażowali się w to szalone przedsięwzięcie - upierała się Maya, używając słów, które mogłyby wyjść z ust dorosłego. Wrogich, podobnie jak jej nastawienie.

- To nie jego wina, że Papatya uciekła z Rodrigiem albo on z naszymi pieniędzmi.

- Ciii. Nie wolno nam wymawiać ich imion. Wujek poetriarcha zrujnował rodzinę, bo ma słaby charakter.

Amber pobiegła schodami na górę. Usłyszała, jak Cadri i Camilla sprzeczały się o coś podniesionymi głosami.

-Musisz jej powiedzieć - błagała Camilla, nieświadoma obecności Amber. - Im dłużej będziemy zwlekać, tym będzie nam trudniej.

-A jeśli zapyta, dlaczego ją zostawiamy?

-Wtedy coś wymyślisz. I tak nie zrozumiałaby, jakie to wszystko skomplikowane.

Amber uświadomiła sobie, że mówią o niej. Czuła, że wkrótce wydarzy się coś strasznego. Zamierzają ją porzucić.

Poszła do swego pokoju, wyjęła wszystkie papierowe lalki i przygotowała je do wielkiego przyjęcia. O czym rozmawiali rodzice? Czego nie byłaby w stanie zrozumieć? Czy naprawdę zamierzają ją porzucić?

Podczas obiadu, podając kotlety baranie z tymiankiem i duszone pory, Camilla co rusz wymieniała z mężem żalobne spojrzenia, ale nie odezwała się ani słowem. Amber nieraz już była świadkiem podobnej sceny: działo się tak zawsze wtedy, kiedy rodzice nie mogli się dogadać, które z nich ma ją ukarać. Tymczasem Cadri wkładał sobie do ust olbrzymie kęsy, a potem głośno je żuł i chrupał, spoglądając przy tym z ukosa na córkę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zamiast tego tłumił beknięcie. A potem zaczął żuć wykałaczkę. Camilla wyszła z pokoju, by przynieść coś z kuchni. W końcu powietrze ukształtowało się w słowa i opuściło usta Cadriego.

- Przeprowadzamy się.

- Znowu?

-Musimy sprzedać „Apartamenty Prządki”, by spłacić długi.

-Dokąd pojedziemy? Wrócimy do domu w Izmirze? Cadri wyjaśnił, że jedzie na rok do Ameryki, do miejsca zwanego Ann Arbor - co brzmiało jak nazwisko gwiazdy filmowej - by zgłębiać tam stosunki na rynku pracy. To z kolei zabrzmiało, jakby miało coś wspólnego z robieniem dzieci. (Czyżby ojciec miał kochankę? Jakaś Ann Arbor?).

- Ale dlaczego? - spytała, zaintrygowana, czemuż to ojciec musi wyjechać aż tak daleko.

- Kiedy podróżowałem od fabryki do fabryki, widywałem okropne rzeczy. Robotnicy nie żyją jak ludzie. Potrzebują, by ktoś zatroszczył się o ich prawa. Zamierzam nauczyć się, jak to robić. Twoja matka dołączy do mnie za kilka tygodni.

- A co ze mną? - spytała Amber, już widząc się w roli opuszczonej sieroty, bezżeńskiej, odzianej w łachmany jak te porzucone dzieci w *Dawidzie Copperfieldzie* (a może był to *Oliver Twist*?). - Nie zabierzecie mnie ze sobą?

- Nie. Zostaniesz przez jakiś czas w Karşıyaka z rodzicami twojej matki.

- Ale ja chcę jechać z tobą i z mamą.

- Ameryka to nie jest odpowiednie miejsce, aby zabierać tam dzieci. Twoja matka i ja będziemy przez cały dzień zajęci, czeka nas ciężka praca. Nie mielibyśmy z kim cię zostawić. Nie znasz języka. Nie mogłabyś chodzić do szkoły. Byłoby ci bardzo trudno.

- I tak wolę pojechać z wami - zakwiliła płaczliwie.

- Powiedziałem ci, Amber, to nie wchodzi w grę. Poza tym nie smakowałoby ci to, co tam się jada i pija. Nie znosisz mleka. Nie lubisz marchwi. I nie jadasz cebuli, robi ci się po niej niedobrze. Czy wiesz, że w Ameryce dzieci jadają cebulę kilogramami, i to codziennie?

-Jakoś się zmuszę. Nieważne, że zrobi mi się niedobrze. Będę jadła cebulę, jeżeli będę musiała. Przyzwyczaję się - błagała. - Zrobię wszystko, co trzeba, przyrzekam.

Potrząsnął głową.

-Nie, Amber, nie ma mowy. Przestań żebrać. Nie bądź takim utrapieniem.

- Nie kochasz mnie. Nie kochasz.

- Dość tego.

-Nie kochasz mnie, poza tym to twoja wina, że ciocia Papatya uciekła, a nasza rodzina się rozpadła i jest biedna. To wszystko przez ciebie!

Stalowe łzy trysnęły z oczu Cadriego. Jego łysina poczerwieniała, a język zrobił się dziwnie siny. Sięgnął po filiżankę i rzucił nią w Amber, jakby to był ręczny granat.

Najpierw gęste fusy wylały się na pięknie wykrochmało-ną białą koszulę Cadriego, sprawiając, że do reszty stracił zimną krew. Potem filiżanka przeleciała tuż obok lewego oka Amber i trafiła w policzek, sprawiając palący ból, jakby dziewczynkę użądliła pszczoła. Policzek zaczął krwawić, a filiżanka leciała dalej, aż wyleciała za okno i spadła, uderzając w głowę przechodzącego akurat tamtędy żebraka, po czym roztrzaskała się na tysiące kawałeczków, te zaś wbiły się w chodnik, tworząc mozaikę w kształcie motyla.

I choć rodzina Ipekçi przed końcem wiosny rozproszyła się po całym świecie, a każdy podążył za swym przeznaczeniem, porzucając mnie w Ankarze, pod tym miejscem nadal znajduje się starożytne miasto, czekające, by je odkopać. Wzór motyla nie zniknął z chodnika i nadal wzbudza zainteresowanie turystów, którzy twierdzą, że jest to wizerunek jedwabnika, *Bombyx mori*. Przechodnie wymyślają historie o rodzinie prządek, która tu kiedyś mieszkała, tyle że mają na myśli inne prządki - te, które przędą opowieści.

## Turkusowy domek przy ulicy Siedmiu Bokobrodów



(1961-1962)

Ludzie rozstają się z jakiegoś powodu. Mówią, jaki to powód, dając ci szansę, byś odpowiedział. Nie uciekają ot, tak sobie. Nie, to po prostu dziecinada.

**Marcel Proust**

Weszłaś do mego wnętrza przez olbrzymie dwudzielne drzwi, tak spaczone, że nie sposób byłoby ustawić prosto obu skrzydeł. Zresztą i tak nikomu nie przyszłoby na myśl ich zamykać; górne części zawsze pozostawały otwarte, zapraszając do wnętrza wszelkiego rodzaju latające stworzenia, przede wszystkim zaś parę jakółek, które zwykły budować gniazdo nad mosiężnym żyrandolem.

Składały jaja, te jaskółki. Raz Amber znalazła jedno: pozbawioną skorupki, przejrzystą błonę ze skulonym w środku embrionem ptaka o miękkim dziobku. Pozbawionym oczu i ślepym. Kiedy z gniazdka zaczynał dobiegać świergot, Amber ustawiała skrzynki jedna na drugiej i wdrapywała się na nie, aby popatrzeć na pisklęta - brzydkie stworzonka o ślepym spojrzeniu i wiecznie otwartych dziobkach. Kilka wypadło z gniazda. Natychmiast jeden z tuzina domowych kotów pożarł je niczym przekąski. Reszta pisklaków łapczywie rzucała się na robaki, pająki i inne pełzające stworzenia, które uwijający się jak w ukropie rodzice przez cały dzień wpychali im do dziobów. Wkrótce maluchy nauczyły się fruwać z pokoju do pokoju, doprowadzając koty do szaleństwa i zmuszając je do wykonywania zabawnych akrobacji. A potem, pewnego dnia, ledwie opierzone, niczym nastolatki o sterczących włosach, wyleciały w ślad za rodzicami przez okno. Natychmiast pochłonał je rozległy błękit nieba i nigdy już nie wróciły.

Gniazdo, stanowiące stały element ornamentyki sufitu, pozostawało puste, dopóki nie zakwitły bzy. Wtedy para wracała z przedłużającej się wędrówki i zno-

wu osiedlała się nad żyrandolem - przynajmniej wszyscy zakładali, że jest to ta sama para. Powtarzały ten cykl rok po roku, lecz tego lata, gdy Cadri i Camilla wyjechali do Ameryki, gniazdo pozostało puste jeszcze długo po tym, jak przekwitły bzy. Tagpinarowie czekali i czekali na próżno. Przynoszące szczęście ja-skółki zniknęły w królestwie zapomnienia.

Lecz inne stworzenia znalazły drogę do gospodarstwa, wyczuwając, że będą tu mile widziane, i na resztę swego krótkiego żywota stały się częścią rodziny. Zwłaszcza koty. Koty, kąpiące się w fontannie - bure koty z miasta Van, uwielbiające pływać i taplać się w korycie, z którego Dudu, koza o złośliwym usposobieniu, zwykła pić wodę. Koty an-gorskie, wysyłające podwójne przesłanie za pomocą swych tajemniczych oczu, chytrze przemykające w ciemności, pozostawiające w atmosferze ślad dziwnego niepokoju. I uśmiechnięte koty z Cheshire, podobne do tego z *Alicji w Krainie Czarów*, rozciągnięte na gałęziach drzew, błyskające zębami. Koty podkradające się do słowików pośród pól maku. Bezwłose koty, nerwowo pomykające dookoła, szukające słonecznych plam, by kłaść się w nich i lizać poparzoną słońcem skórę. Czasami Amber wcierała maść z olejem wężowym w ich biedne ciała, by ulżyć im w cierpieniu. Udawała, że są jej dziećmi, ubierała je w ubranka dla lalek, małe sukienki i kapelusze. Huśtała w hamaku, śpiewając im kołysanki, które zapamiętała z czasów, kiedy mieszkali po drugiej stronie zatoki, w Smyrnie, w domu, w którym przyszła na świat. ***Dandini, dandini, danah bebek. Elleri kollari, kinali bebek.***

A potem pojawił się lis. Hamid Bej schwytał go pewnego dnia, kiedy zwierzę zeszło z gór, by dobrać się do kurczaków. Miał zabić lisicę, Hamid Bej zatrzymał ją, nazwał Szeherezadą i przyuczył do życia w domu. Choć lisica i koza nie przepadały za sobą, dzieliły jednak szopę dla kur (która wiele lat później miała stać się schronieniem Maliki). Kurczaki czuły zapach Szeherezady i trzymały się z daleka, nie dowierzały bowiem lisowi, choć po jakimś czasie powinny już były



się domyślić, że lisicy nie wolno samej opuszczać zagrody. Kurczaki są jednak z natury głupie, wiadoma sprawa.

Jestem domem rodziców Camilli, Tagpinarów, Hamida Beja i Maliki, czy też Marii, jak nazywano ją dawno temu, przed pierwszą wojną światową.

Podobnie jak większość zamieszkałych w cichych zaułkach Cordelio rodzin, Tagpinarowie spędzali czas głównie na powietrzu, w ogrodzie, w cieniu trzech płodnych drzew figowych: czerwonego, zielonego i żółtego. Po drugiej stronie muru rósł rząd oliwek z Kalamaty, tworząc krótką alejkę. Kwitnący nocą jaśmin, spleciony z granatem i winoroślą, wspinał się po ścianach, sięgając aż po znajdujący się na dachu taras, zastawiony rosnącymi bujnie roślinami w donicach, zwieszającymi się do ogrodu niczym zasłony z paciorków.

Kiedy Camilla przed wyjazdem do Ameryki przywiozła tu Amber, ostrzegła ją, by nie podchodziła zbyt blisko kamiennej studni, skąd czerpano wodę.

- Wpadały tam koty. Na dnie roją się węże. W środku mieszkają też *ocii*, straszdyła, a kiedy widzą wpatrujące się w nie dzieci, otwierają paszcze naprawdę szeroko i wsysają maluchy niczym szpik - powiedziała, wydając z siebie ssący i chlipiący odgłos.

- Nie wierzę już w straszdyła - odparła Amber, mimo to ostrzeżenie matki trzymało ją z dala od okrytej porostami studni, obudowanej kamieniami w szewronowy wzór. Tak było, dopóki po południu dziewczynka nie znalazła się sam na sam z babką.

Malika czerpała wodę, gdy nagle znieruchomiała i rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy nikt jej nie widzi. Wyjęła coś z kieszeni i wrzuciła do studni. Usłyszawszy, jak z pluskiem uderza o powierzchnię wody, zamknęła oczy; jej wargi poruszały się jak w transie, kiedy mówiła do kogoś niczym osoba pogrążona w modlitwie. Amber wkrótce odkryła, że był to codzienny rytuał. Kiedy

więc pewnego dnia znalazła się przy studni, a w pobliżu nie dostrzegła nikogo, zrobiła to samo.

Malika była skrytą, milczącą kobietą z falującymi białymi włosami, upiętymi w kok. Nigdy nie odpoczywała; jej ogorzałe, długie ramiona poruszały się bez przerwy, zamiatając, piorąc, wykręcając. Czasami wstawiała w środku nocy niczym lunatyczka i schodziła do piwnicy, gdzie wcześniej Hamid Bej i jego sufficienty przyjaciele zbierali się, by śpiewać i tańczyć, dopóki ich stopy nie odrywały się od ziemi i nie zaczęli unosić się nad podłogą niczym anioły, odziane w białe szaty i czapki w kształcie stożka. Malika siadała przy świecy, komunikując się z niewidzialnymi istotami, które przywołali mężczyźni, i przyglądając się niewidocznym w innych okolicznościach obrazom ze swej przeszłości. Czasami recytowała coś głośno albo nuciła po grecku czy włosku. Potrzebowała pociechy świętych głosów, by ulżyły jej w nieustającym bólu i smutku.

Skąd o tym wiem? Ponieważ ja również nigdy nie śpiam. Cisza nocy pozbawiona jest skrzydeł.

Na ścianie naprzeciw gniazda jaskółek wisiało zdjęcie Hamid Beja jako młodego mężczyzny, odzianego w bogato szamerowany mundur. Władczy, gwałtowny i nietykalny, był kiedyś burmistrzem Cordelio. Teraz, niedoceniany notariusz, trudniący się także w miarę potrzeby zegarmistrzostwem, zajmował skromne biuro w podcieniach domu w pobliżu miejskiej przystani. Lecz kiedy szedł ulicą, starcy nadal zdejmowali kapelusze i salutowali mu, a stare kobiety chichotały bojaźliwie, wspominając jego żółty wąs - żółty jak świeżo wyklute kurczę, powiedziałyby Maria - i jego młodoturecki fez. Jakiż był wtedy przystojny! I jaki uparty.

- Dzień dobry, panie burmistrzu. Jak się pan ma? - pozdrawiali go miejscowi.

Hamid Bej wyrównywał krok, zamykał oczy, odkłaniał się, zdejmując kapelusz z tak staroświecką godnością, jakby nadal był burmistrzem. Lecz na samą

myśl o tym, w jaki sposób stracił wszystko, natychmiast z powrotem zamykał się w sobie.

Przed wyjazdem do Ameryki Camilla starała się pocieszyć Amber, kupując nowe buty i sukienki, pasujące do jej strojów: groszki, paski, siateczki, jedwab, organdy. Czesła ją tak samo jak siebie, rozgrzewając żelazką w węglowym piecyku Maliki. Zakręcała swe bujne loki, a potem włosy Amber, czesząc ją w stylu ShMey Tempie. Prawdę mówiąc, starała się upodobnić Amber do Shirley, zaczarowanego dziecka ekranu.

Amber zdążyła już odkryć próżność, chciała być równie piękna jak matka i ciotka Aida i rozkwitała, gdy Cadri robił im zdjęcia nowym aparatem Kodaka, przysłanym przez brata Aladdina. Lecz coś zmieniło się tego lata, tuż przed wyjazdem do Ameryki. Nierozzerwalna zdawałoby się więź, łącząca dziecko z rodzicami, nieodwołalnie pękła. W oczekiwaniu nadchodzącej rozłąki Amber zamknęła się w sobie i oddaliła.

Stało się to tego dnia, kiedy wygrały konkurs mydła „Pu-ro” na najlepiej ubraną matkę i córkę. W nagrodę sfotografowano je z *pehlivanlar*, mistrzami zapasów: Amber wciśnięta pomiędzy Celala Atika i Mersinli Ahmeta, trzymająca ich kurczowo za ręce, i uśmiechnięta Camilla z tyłu. Gdy było po wszystkim, wsiadły na prom do Cordelio, a potem ruszyły na przechadzkę krętą promenadą, biegnącą wzdłuż wąskiej, błękitnej zatoki, taszcząc torby pełne mydła „Puro”, ich trofeum.

Camilla promieniała, gdy szły ulicą Siedmiu Bokobrodów, wzdłuż szeregu jaszkrawo pomalowanych domów, zajadając lukrecję i trzymając się z Amber za ręce. Mimoza wybuchała niczym miniaturowe fajerwerki, zasypując żółtym pyłem ziemię i pudrując im włosy, podczas gdy puszek mleczka, unoszony wiatrem, wirował w powietrzu. Amber kichnęła, gdyż pyłek połaskotał ją w nos.

- Na zdrowie.

I wtedy zobaczyła stojącą pod drugiej stronie ulicy dziewczynkę o skórze barwy czekolady i niezwykle bladnoróżowych wargach, identyczną jak ona, jeśli pominąć kolor skóry i oczu. Dziewczynka była bosa, a mocno kręcone włosy związane miała w warkocze, które sterczały niczym drut kolczasty. Przyglądały się sobie przez chwilę i zapewne zechciałyby bliżej się poznać, lecz Camilla ścisnęła Amber za rękę i odciągnęła.

- Kim jest ta dziewczynka? - spytała Amber.

- Mieszka w maleńkiej chatce za domem moich rodziców. Widziałaś już pewnie tę potężną ciemnoskórą kobietę, która pokrywa miedziane naczynia, by wyżywić dzieci. Ma na imię Sułtan.

- Porywa naczynia? Czy ona jest złodziejką?

- Skądże znowu, głuptasie. Pokrywa, nie porywa. Pokrywanie wyrobów z miedzi to nic innego, jak nakładanie na ich powierzchnię warstwy srebrnego metalu po to, by uzyskać tę czerwonawą patynę. Absurdalne imię dla takiej kobiety. Cóż, mała jest córką Sułtan. Chyba wołają na nią Nuria. Te biedne dzieciaki biegają boso, w łachmanach, a smarki wiszą im u nosa aż po pas. Cyganie. Znasz dzieciaka, który uderza w miedziane patelnie o piątej?

- Tego, który włóczy się po mieście, zaglądnąc w okna i prosząc panie, by dały mu słoiczki po kremie „Nivea”?

- Tak, to jej starszy brat.

- Co z nim jest nie tak?

- Okropna historia. Kiedy był mały, kilku złych chłopców zwabiło go do domu na wzgórzu.

- Tego, w którym straszy?

- Właśnie. Było to w maju, w noc święta Hidrellez, kiedy zaczyna się lato. Dziwne szepty wypełniają wówczas powietrze, a światło oddziela się od ciemno-

ści. Cóż, ci źli chłopcy zamknęli drzwi i zostawili go tam samego. Biedak bębnił w drzwi i krzyczał, by wrócili, lecz zamiast nich z klatki schodowej wyłoniły się paskudne duchy, zjawy i upiory. Chłopiec tak się przestraszył, że połknął język. Od tej pory biedactwo tylko wydaje dźwięki, nie mówi.

- Czy one były prawdziwe? - spytała Amber. - Te zjawy?

- Nie, głuptasie. Duchy nie istnieją, podobnie jak zjawy i upiory. To byli tylko źli chłopcy z prześcieradłami na głowach.

Kiedy wróciły, Camilla kazała Amber stanąć na stole z rozłożonymi ramionami i zaczęła przymierzać jej nową żółtą sukienkę z siatkowego materiału, przeznaczoną na zbliżające się święto Bajram. Amber wierciła się nerwowo. Dokuwały jej muchy. I upał.

- Stój spokojnie - poleciła Camilla z ustami pełnymi szpilek. - Nie chciałabym pokłuć cię do krwi. Stój spokojnie. Nie wierć się, dobrze?

- Nie chcę - powiedziała Amber.

- Już prawie skończyłam.

- Nie chcę - powtórzyła. - *Anne*, nie chcę nosić tej sukienki.

- Co ci się stało? Jest *çok güzel*, bardzo ładna, sama tak mówiłaś. Zupełnie taka jak moja.

- Nie chcę wyglądać jak ty, *anne*. Chcę wyglądać jak ja. Wielkie łzy trysnęły z oczu Amber. Każdy szew przybliżał rozłękę.

- Nie chcę - powtórzyła.

Zamiast wziąć córkę w ramiona, Camilla powoli zwinęła materiał w schludny tobolek, zebrała rozsypane po podłodze szpilki i wyszła z pokoju. Rzuciła się na łóżko i rozplakała. Jej córka ją opuściła.

Następnego ranka, gdy Amber otwarła swój kufer podróżny, okazało się, że jest pusty. Wszystkie jej sukienki, swetry, nawet buty, zniknęły.

- Co zrobiłaś z moimi ubraniami? Camilla pakowała się. Zignorowała córkę.

- Gdzie moje ubrania, *anne*?
- Powiedziałaś, że nie chcesz wyglądać jak ja.
- ...ale ja lubiłam moje sukienki.
- Cóż, były podobne do moich, a ponieważ powiedziałaś, że nie chcesz wyglądać jak ja, podarowałam je biednym, którzy nie mają powodu się skarżyć.

Co powiedziawszy, odpłynęła do Ameryki na pokładzie SS „Independence”. Amber i jej babka stały na nabrzeżu, machając, kiedy oświetlony niczym choinka liniowiec wypływał gładko z portu w Izmirze. Dziecko dojrzało w tym momencie swoją przyszłość. Kiedyś ona także odpłynie.

Minęło kilka dni, zanim Malika zauważyła, że Amber nie zmienia ubrań, nawet kiedy śpi. Dobrze przyjrzała się zwyczajom wnuczki, zanim zdecydowała się narzucić jej swoje.

- Dlaczego chodzisz tylko w jednej sukience, Amber? - spytała w końcu pewnego dnia.

- To moja ulubiona.

Innego wieczoru zobaczyła, że Amber pierze sukienkę i rozwiesza ją, by wyschła. Malika zostawiła dziewczynkę w spokoju, zapewne uznając, że sukienka daje jej poczucie bezpieczeństwa, tak jak niemowlętom ulubiona kołderka. Najwidoczniej miała tęskni za rodzicami. Jednak dzieciaki z sąsiedztwa wybiegały zza rogu ulicy i demonstracyjnie zaciskając na widok Amber nos, wykrzykiwały głośno: „Ueee...!”, a potem uciekały w przeciwnym kierunku, chichocząc i wołając: „Śmierząca Amber wpadła! Śmierząca Amber wpadła! Wpadła do kloaki!”

Mimo braku ubrań Amber nadal była uprzywilejowaną dziewczynką z miasta, jedyłą, która nie miała pomalowanych henną dłoni ani przekłutych uszu i nie

biegała na bosaka. Tą, której głowę ozdabiała starannie zawiązana kokarda. Tą, która czytywała książki i komiksy w porze sjesty i rysowała dziwne obrazki domów, podczas gdy reszta prażyła orzeszki i zbierała dzikie oliwki, by pomóc rodzinie.

- Amber, musisz mi powiedzieć, co stało się z resztą twoich ubrań - zapytała Malika w kilka dni później, spoglądając na pusty kufer. - Nie rozumiem tego.

Amber wzruszyła ramionami.

- Co z nimi zrobiłaś, dziecko? Gdzie je ukryłaś?

- Nigdzie.

- Więc gdzie są? Dałaś je komuś?

- Nie, nikomu ich nie dawałam. Ja nie. - Głos się jej załamał, a oczy zaszyły łzami. - Mamusia to zrobiła.

Malika wymamrotała coś niezrozumiale po grecku.

- Ale dlaczego? Co ją do tego skłoniło?

- Nie wiem.

- Twoja matka zawsze była uparta, ale tym razem posunęła się za daleko, moja mała Amber - szepnęła Malika, sepleniąc lekko jak to ona. - Chciałabym zdobyć dla ciebie nową sukienkę, lecz nie mam pieniędzy, by kupować ubrania. Widzisz, dziadek nie daje mi ani grosza. A własnych nie mam. Lecz może mogłabym spruć jedną z moich i uszyć coś dla ciebie.

Nastał środek lata. Tamaryszki tańczyły, pochwycone morską bryzą. Białe asfodele falowały niczym duchy kwiatów, a wzdłuż przybrzeżnych klifów wystrzeły z ziemi wielobarwne, jaskrawe anemony.

Gdy Amber wspięła się na skały, zobaczyła tę samą dziewczynkę o skórze koloru czekolady, którą spotkały wraz z Camillą w dzień konkursu. Dziewczynka skakała, przesuając stopą kamień, nieposkromione włosy sterczały na wszyst-



kie strony. Lecz jej twarz była czysta, jakby dopiero co wylizała ją krowa. Miała na sobie ładne buty, skarpetki i żółtą sukienkę, podobną do sukni Camilli.

Amber odwróciła wzrok, żując grudkę żywicy, która zastępowała jej gumę, i udając, że nie dotrzega dziewczynki. Lecz znajdowały się tak blisko siebie, że nie sposób było uniknąć spotkania. Nuria odwróciła się i zaczęła iść obok Amber, oddzielona od niej tylko warstwą powietrza. Szły tak przez dłuższą chwilę w absolutnym milczeniu. Gdy Amber przyspieszyła kroku, Nuria uczyniła to samo, a gdy Amber zwolniła, Nuria natychmiast poszła w jej ślady.

W końcu Amber zatrzymała się i spoglądając spod oka na Nurię, spytała:

- Czego chcesz?
- Jak masz na imię?
- Amber.
- A ja Nuria.
- Wiem.
- Mogę dostać trochę twojej gumy?
- Nie.

Nuria wzruszyła ramionami, jakby odmowa ani trochę jej nie obeszła.

- To może chciałabyś przyjść do nas prażyć orzeszki? Poprowadziła Amber w kierunku Promenady, pomiędzy karłowate, powykrzywiane drzewa o krótkich, sztywnych igłach ociekających sokiem. Upał sprawiał, że nasionka wielkości ziarenka kawy wyskakiwały z szyszek, dostarczając orzeszków o twardej skorupce, które dojrzewały w sierpniu. Większość opadła już z drzew i leżała teraz na ziemi. Dziewczynki, rywalizując ze sobą, zbierały orzechy, ukryte w pyle i igłach.

Tuż przed zachodem słońca Nuria zabrała Amber do swego *gecekond*, do „ptaków, które siedzą w nocy na grzędzie”, jednego z tych szałasów, wznoszonych przez bezdomnych w jedną noc, gdyż zgodnie z prawem władzom nie wolno było zburzyć domu, jeśli powstał w jedną noc. Trzy przypominające pąkle

pomieszczenia zesztukowano za pomocą zebranego na plaży drewna, arkuszy blachy, uzyskanych ze starych beczek po oliwie, i smołowanego papieru, a okna zrobiono z przezroczystej ceraty. Ubóstwo tego obejścia zafascynowało Amber.

Sułtan siedziała przed szafasem na skrzynce po figach, otoczona dziećmi, kurami i rozwieszoną do suszenia bielizną. Jej kołyszące się piersi, wielkie niczym wypełnione wodą balony, zwisały z ramion, przypominając swego rodzaju egzotyczny stanik.

-Nie da rady zrobić portmonetki z ucha maciory, choćbyś się nie wiem jak starała - złażała Nurię, wskazując na jej sukienkę, lepka i poplamiona pyłem oraz żywicą. - Weź trochę baraniego tłuszczu i zmyj sok z dłoni.

Sultan, olbrzymka cygańskiego pochodzenia, miała czworo dzieci. Jednak wszystko, co pozostało jej po mężu, to cienka złota bransoletka, zrobiona z jego zębów, którą bardzo sobie ceniła. Siedziała pod pergolą, rozłożywszy orzeszki na płaskiej powierzchni, a następnie za pomocą podłużnego kamienia rozgniatała ostrożnie skorupki.

Dziewczynki naśladowały ją, gdy gotowała orzeszki, rozcierała je na pastę i rozsmarowywała na wczorajszym chlebie, który dał im piekarz.

Wieczorem wrzucali szyszki do ogniska i szybko wygrzebywali je drutem, ponieważ prażenie orzeszków w skorupkach wzmaga ich bogaty aromat. Już teraz niczym piórko unosił się znad ognia i drażnił ich powonienie.

Po tym dniu Amber i Nuria stały się nierozłączne. Przebywały razem od chwili, gdy wstały, aż do wieczora, gdy siłą zaganiano je do łóżek. Amber zaczęła regularnie bywać w domu Sułtan, biorąc czynny udział w życiu rodziny. Czasami nawet siadywała z nimi wokół naczynia z mącznym klejem, przycinając i składając gazety, które zbierało młodsze rodzeństwo Nurii, a potem sklejjając z nich papierowe torby w kształcie stożka, sprzedawane sklepikarzom wzdłuż Promenady. Sułtan zbierała zielone szyszki sosny tuż przedtem, zanim dojrzały, i sprzedawała

je w sklepach z marynatami w pobliżu przystani, gdzie przyciągały przybyłą z daleka klientelę.

Jej najstarszy syn nazywał się Ümit, co znaczy „Nadzieja”, lecz dzieci nazywały go „Nivea”. Dryfował przez życie, bezcielesny i przejrzysty, wędrując od domu do domu, niespodziewanie materializując się pod czyimś oknem, gdzie uśmiechał się charakterystycznym uśmiechem szczęśliwego idioty i prosił kobiety o „Nivea”. Damy o czułych sercach bez żalu rozstawały się z pustymi słoiczkami po kremach, dając mu nie tylko pożądaną przedmiot, ale i obdarzając błogosławieństwem. Twarz chłopca jaśniała radością, a głowę otaczała aureola, gdy z naręczem słoiczków z niebieskiego szkła znikał w rogu szafasu.

- Co z nimi robisz? - spytała raz Amber, ale nie uzyskała odpowiedzi. Nivea obdarzył ją bezzębnym uśmiechem i ofiarował jeden ze słoiczków niczym cenną muszlę.

Tego lata twarz, policzki, czoło, a nawet nos dorastającego chłopca pokrył zarost i rankiem Nuria gołiła go, podczas gdy dzieciaki z sąsiedztwa przyglądały się temu zafascynowane. Jednak nie była to jedyna zmiana - w jego ciele zaczynały dochodzić do głosu także inne popędy. Podczas pełni Nivea maszerował bowiem na pole, stawał na środku, wznosił twarz do księżyca i zaczynał wyć.

Z początku ludzie z miasta widzieli w nim uosobienie szarego wilka z legend Ergenekonu, wilka wolności, świętego zwierza. Lecz w miarę jak dziwaczne zachowanie chłopca powtarzało się podczas każdej pełni, zaczęli się go obawiać, podejrzewając, że stał się wilkołakiem. Zwłaszcza że wszystkie psy z miasta zbierały się wtedy wokół niego, najwidoczniej uważając chłopca za samca numer jeden, przywódcę stada, i wyjąc wraz z nim. Sąsiedzi rozpędzali psy kijami i kamieniami, ponieważ uważali, że są to dzieci Szatana. Jednak ich religia zabraniała zabijania psów, wywieźli je więc na Psią Wyspę, gdzie włóczyły się potem stadami, wyjąc i pożerając się nawzajem.

- Nivea, Nivea, Nivea - śpiewał chłopiec na melodię *Figaro, Figaro, Figaro...*
- Przestań wyć i wabić tu te przeklęte psy, bo i ciebie wywiozą na Psią Wyspę
- napominał chłopca Hamid Bej, ten jednak tylko się uśmiechał i potakiwał.

Wreszcie Sułtan zaczęła podczas pełni związywać chłopcu ręce za plecami i zamykać go w przybudówce, która, nim wzeszło słońce, aż trzęsła się w posadach od płaczu i skomlenia. Potem Nivea siadywał przed szałasem obok Sułtan, nie robiąc nic i tylko uśmiechając się błogo. Gdy ludzie spoglądali na jego twarz, kłopoty zniknęły i przez resztę dnia wszystko szło po ich myśli.

Pewnego razu, gdy Amber przyszła, szukając Nurii, zastała szałas pusty. Chcąc odnaleźć swoje sukienki, postanowiła zakraść się do pokoju Nurii, dokąd nigdy przedtem jej nie zaproszono. Tymczasem natknęła się na pomieszczenie, gdzie leżał, śpiąc mocno, Nivea. Obok jego łóżka wznosiła się piramida słoiczeków po kremie, ułożona z matematyczną precyzją i doskonale zrównowazona. Twarz chłopca promieniała niebiańskim szczęściem. (Amber przypominała sobie tę chwilę wiele lat później, gdy układała w stos puszki po zupie Campbella w studiu Andy'ego Warhola).

Nadal przyglądała się, zafascynowana, śpiącemu, kiedy znalazła ją Nuria.

- Co ty tu robisz?
- Szukałam cię.
- Więc chodź, zabiorę cię do mojego sekretnego miejsca.

Miast zagłębić się w sosnowym lasku, jak czyniły to zazwyczaj, skierowały się w głąb łądu, gdzie zabudowa stopniowo stawała się coraz rzadsza, by wreszcie zupełnie zaniknąć.

Na łączce przy brzegu zimowego strumyka powitały ich ruiny rzymskiej świątyni. Łuki i kolumny tajemniczym sposobem nadal wznosiły się w powietrzu, choć kapitele i połamane fragmenty leżały porozrzucane dookoła. Pomiedzy ka-

mieniami rosły kępki suchej trawy i wędrowały żółwie. Nuria wskazała na łacę ziemi w kolorze miodu, gdzie tryskała woda.

-Spójrz tam - powiedziała. - Poza mną nikt o tym nie wie. Obiecuj mi na ciało twej zmarłej matki, że nikomu o tym nie powiesz.

-A po co miałabym mówić?

- Jadłaś już kiedyś ziemię? Amber potrząsnęła głową.

- Więc ci pokażę. Zrobimy sobie błotną zupę, dobrze? Nuria wykopała nieco bladego błota i nałożyła go do

puszki po oliwie, którą ze sobą przyniosła. Potem dodała wody z innej części strumyka i potrząsnęła puszką, aż wytworzyła się rzadka zawiesina. Podała puszkę Amber, lecz ta odmówiła.

-Wygląda jak siki.

Nuria wruszyła ramionami i zanurzyła palce w puszcze, a potem oblizwała je, wydając pełne zadowolenia odgłosy, jakby zlizywała czekoladowy lukier.

-Spróbuj - powiedziała. - Naprawdę. To bardzo dobre, uwierz mi.

Amber sądziła, że płyn smakuje jak piasek, lecz po chwili była w stanie wy-czuć sól.

-Teraz zdejmujemy majtki i zrobimy kupkę pod drzewem, ponieważ, tak jak to jest z robakami, kiedy jemy błoto, a potem się załatwiamy, użyźniamy glebę - pouczyła Amber. -Wracam tu zimą, zbieram odchody i sprzedaję je na opał.

I tak Nuria wprowadziła Amber w tajniki geofagii -praktyki polegającej na jedzeniu ziemi. Amber czytała o tym w magazynie „Life”. Ludzie w Afryce, zwłaszcza kobiety w ciąży, postępowali tak, ponieważ w ziemi znajdowały się potrzebne im minerały, których nie mogli uzyskać z innego źródła. Jednak niektóre niewolnice zmarły, gdy zjadły zbyt dużo.

Z początku Amber trudno było znieść smak błota, tak jak smak chałwy czy oliwek, lecz z czasem rozwinęła w sobie takie upodobanie do błotnej zupy, że

często przychodziła na wzgórze sama, bez Nurii. Czasami lepila z błota kulki wielkości chłopięcych kulek do gry, a potem przynosiła je do domu i ukrywała w starym ceglany piecu w szopie, gdzie mieszkali Szeherazada i Dudu. Lecz podła koza szybko zwietrzyła błoto, a że ona także je lubiła, wyważyła drzwiczki pieca rogami i pożarła cenne kulki.

W sekretnym miejscu Nuria zapytała Amber o „pokładanie”?

- Chcesz, żebym ci pokazała?

- Dobrze.

- Więc zdejmij majtki.

Amber niechętnie posłuchała, a potem patrzyła, jak Nuria robi to samo. Często bywała zaciekawiona, gdy razem siusiały. Nuria uklękła i wsunęła głowę pod spódniczkę Amber.

-To, co ci teraz zrobię, nazywa się „pocałunki motyla” -powiedziała, kręcąc głową między nogami Amber.

Amber zachichotała, czując dziwny dreszczyk. Jej ciało pokryło się gęsią skórą. Nagle Nuria wyjęła głowę i powiedziała:

- Teraz ty.

Amber uniosła spódniczkę Nurii i zanurzyła się w piżmowym świetle zapachu i pary. Zamrugła rzęsami i Nuria przycisnęła się do jej twarzy.

- Nie przepadam za tym - oznajmiła gwałtownie Amber, odsuwając się, lecz Nuria uśmiechała się tak słodko, że nie mogła po prostu odejść.

- W porządku, połóż się. Pokażę ci coś innego. Zadarła spódnicę aż po pas, po czym przycisnęła swój drobny seks do płci Amber i zaczęła żwawo się poruszać. Amber zdawała sobie sprawę, że robią coś zakazanego, a przyjemność, jaką odczuwała, wprawiała ją w tym większe pomieszanie.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - spytała.

- Od Sprzedawcy z Muchami, tego ze sklepu spożywczego. Czasami robi to ze mną na zapleczu i potem daje mi za darmo cukierki.

- Ueee... A jeśli ktoś będzie przechodził przez las i nas zobaczy?

Lecz pograżyła się już w rytmie przyjemności, której na-sionka pękały wewnątrz niej. Chciała, aby przyjaciółka zrobiła to znowu. Teraz miały prawdziwy sekret.

Wracały do swej kryjówki jeszcze kilka razy, ale po jakimś czasie Amber nie chciała już tego robić. Przestała nawet chodzić do Sułtan, by prażyć albo zbierać orzeszki. Nurii o wiele bardziej zależało na pokładaniu niż jej i to uzależnienie przestraszyło Amber.

Nuria skarżyła się i narzekała, gdy Amber nie chciała już bawić się z nią w sekretnym miejscu.

- Jeszcze tylko raz.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo...

- Proszę!

- Tylko jeśli oddasz mi sukienki.

Nuria nie miała nic przeciwko temu. Jej świat rządził się prostszymi prawami. Wynagradzała Amber za każde pokładanie. I tak, sztuka po sztuce, pusty kufer znowu zapełnił się sukienkami - w groszki, paski, z dziurkowanego materiału, jedwabiu i organdy. Inni zdawali się tego nie zauważać. Tylko Malika spytała, skąd wzięły się sukienki.

- Oczywiście, ze studni.

Malika uświadomiła sobie, zaskoczona, że oto inna istota stała się częścią jej prywatnego świata. Jak to się mogło stać? Czy dziecko widziało ją przy studni?



W końcu poszły na wzgórze po raz ostatni. Zdjęły bieliznę i zaczęły pocierać o siebie ciała.

- Dostałam dzisiaj moją ostatnią sukienkę. Nuria wymierzyła jej policzek.

- Jesteś chciwą dziwką.

- A ty flejtuchem.

- Jesteś niczym, zerem. Twoja babka jest *gavur* - niewierną. Rumijką. Greczynką. Nawet nie nazywa się Malika, tylko Maria, wszyscy to wiedzą!

Amber chwyciła sukienkę i zaczęła biec, lecz zatrzymała się gwałtownie. Za krzakami jakiś mężczyzna wysuwał w ich stronę tę swoją rzecz, wielką i czerwoną jak muchomor. Wyglądał, jakby chciał je ubóść. Oczy niemal wyszły mu z orbit i zezowały. Dziewczynki umknęły, przestraszone, że mężczyzna może je ścigać, ale jedynym, co je ścigało, były straszliwe, niedające się zapomnieć jęki, które brzmiały niczym ryk osła. Ahi, ahi, ahi!

Po dniu, kiedy napotkały obnażającego się mężczyznę, dziewczynki z tajemniczych powodów przestały ze sobą rozmawiać. Takie rzeczy się zdarzają. Czy stało się tak dlatego, że Amber odzyskała ostatnią sukienkę? Trudno powiedzieć. A może spowodowały to ostre słowa Nurii?

Amber uświadomiła sobie, że jest w jednej czwartej Greczynką. Mieszkańcem. Niewierną. Smutek, spowodowany rozłąką, raz jeszcze przejął jej serce chłodem. Do tej pory nigdy nie przyszło jej na myśl zapytać, dlaczego Malika mówi z innym niż oni akcentem, jakby lekko sepleniąc, ani dlaczego rozmawia z córką po grecku, kiedy są same. Dzieci przyjmują takie rzeczy w sposób naturalny. Lepiej było nie zadawać pytań, które mogłyby sprowokować dorosłych. To nie w porządku. Nic nie jest w porządku. Nic.

Nie minęło wiele czasu, a Nuria znalazła sobie nową najlepszą przyjaciółkę, a Amber zaczęła towarzyszyć dziadkowi, gdy szedł do swego biura w pobliżu Promenady.

Siadywała w zbyt mocno wyściełanym zielonym fotelu, przyglądając się, jak dziadek składa miniaturowe osie i tarcze, posługując się przy tym maleńkimi śrubokrętami i szczypczykami, a lupa wygląda jak przedłużenie jego oka. Za pomocą najdrobniejszych pincetek podnosił maleńkie rubiny, diamenty i szmaragdy, a potem umieszczał je w maciupkich dziurkach, by utrzymać razem najmniejsze z możliwych kółka, podczas gdy w tle setki kukulek wyskakiwały ze swych okienek, kukając jednocześnie i powodując taką kakofonię dźwięków, że ludzie przychodzili co godzina, by ich posłuchać - zwłaszcza w południe, kiedy towarzyszyła im miejska orkiestra dęta. To była czysta magia.

Czasami Amber siadała przy biurku Hamid Beja i bawiła się jego sfatygowaną maszyną do pisania marki „Remington”, szybko zapamiętując, do czego służą poszczególne klawisze, i pisząc listy do rodziców w Ameryce.

***Drodzy Anne i Baba!***

***Nauczyłam się pisać na maszynie. Co u Was słyszeć? U mnie wszystko w porządku. Jak Wam się podoba Ann Arbor? Tęsknię za Wami. Kiedy wracacie? Kochacie mnie?***

***Wasza oddana córka, Amber***

***PS. Odzyskałam moje sukienki!***

Nabrała takiej wprawy w pisaniu na maszynie - i to nie tylko jednym palcem, co byłoby zrozumiałe, ale wszystkimi dziesięcioma - że robiła to niczym wykwalifikowana maszynistka. Prawdę mówiąc, za każdym razem, gdy dotykała klawiszy, zdawało się, że wygrywa na nich jakieś tajemnicze, niesamowite melodie. Z początku ludzie z Cordelio jedynie przyglądali się biednej bogatej dziewczynce przy klawiaturze, lecz stopniowo ci, którzy nie umieli pisać ani czytać, zaczęli

przychodzić do niej i prosić, by napisała im listy, oferując dziesięć kuruşy za stronę normalnego listu, piętnaście za listy miłosne i dwadzieścia pięć za dotyczące interesów. I tak wychodziło to taniej niż u każdego z mężczyzn, którzy trudnili się tym przy Promenadzie.

Ludzie opowiadali jej o swych uczuciach, przelanych łzach, nadziejach, a Amber ubierała je w słowa w ten sam sposób, jak nauczyła się pisać listy miłosne dla swej niani Goncy. Kobiety wolały zwierzać się dziewczynce niż mężczyznom siedzącym przy swoich maszynach wzdłuż nabrzeża.

Gotowe listy dziadek stempłował złotą pieczęcią notariusza. Interes Hamid Beja rozkwitł tego lata. I choć on sam nigdy tego nie powiedział ani nie wyraził wprost, było jasne, że cieszy go towarzystwo Amber. Wieczorami, po opuszczeniu sklepu, szli na brzeg i kupowali ryby ze świeżego połowu, jeszcze rzucające się w blaszanych puszkach.

-Dlaczego te ryby mają zieloną krew?

-Ponieważ żyją w głębinach. Trzydzieści metrów pod powierzchnią morza czerwień zamienia się w zieleń - wyjaśniał.

W porze kolacji Hamid Bej siadał na otomanie z jedną nogą podwiniętą, a drugą skrzyżowaną, unosił w powietrze jedyne ramię - drugie stracił podczas wojny - niczym dyrygent przygotowujący się, by poprowadzić orkiestrę, po czym opuszczał nóż nagłym ruchem, najwidoczniej poddając się mocy większej niż jego własna. Następnie wbijał nóż gładko w brzuch ryby *chipura*, tam gdzie została przecięta. Z boku ryby tryskał strumyk krwi. Była zielona.

Hamid Bej oddzielał od siebie połówki ryby, starając się nie uszkodzić ości. Potem, niczym kuglarz, zamieniał nóż w widelec, który wsuwał tuż pod kręgosłup i oddzielał go od reszty jednym szybkim ruchem.

Widok pustego rękawa dziadka, nieruchomego i najczęściej wepchniętego do kieszeni kamizelki, zawsze przejmował Amber smutkiem; poza tym wciąż dręczyła ją ciekawość, jak też może wyglądać miejsce, w którym odcięto ramię.

Szkielet ryby wyskakiwał z tułowia doskonały niczym w kreskówce - pozbawiony mięsa, z nadal trzymającą się kręgosłupa głową i ogonem. Nim Hamid odłożył szkielet na inny talerz, wydobywał z głowy coś w rodzaju różowawego paciorka, znajdującego się tuż za prawym okiem.

- Perła ryby - powiedział Amber. - Masz, zjedz. Będziesz lepiej widziała. Jedną z najcenniejszych rzeczy w życiu jest umiejętność prawidłowego jedzenia ryby. Gdy skończysz, nie powinno pozostać nic poza ośmi, czystymi i nienaruszonymi.

Po kolacji Hamid Bej przynosił do pokoju Szeherzadę, zamykał wszystkie drzwi i okna i wypuszczał lisicę z klatki. Szeherzada pomykała wokół pokoju, pozostawiając na wszystkim swój zapach. Kiedy już oznaczyła, co tylko się dało, Malika karmiła ją świeżą makrelą, a potem lisica zwijała się w kłębek na chodniczku u stóp Amber i pozwalała, by dziewczynka zanurzała palce w jej wspaniałym srebrzystym futrze. Czasami trącała nosem drzwi i próbowała otworzyć je łapą, lecz nigdy się jej to nie udawało. Mimo to nie poddała się, dopóki nie straciła oczu.

Trudno powiedzieć, jak to się zaczęło, lecz jedno pozostaje faktem: koza Dudu niezbyt przejmowała się Amber. Nadal wyjadała błotne kulki, ukryte w piecu. Na widok dziewczynki atakowała, starając się ubóść ją rogami w pupę. Raz jej się udało i Amber upadła, potłukłszy się boleśnie, a terakotowy dzbanek, który właśnie niosła, rozpadł się na tysiące kawałeczków. Dziewczynka upadła twarzą pomiędzy skorupy i poraniła się. Zaprzysięgła kozie zemstę.

Tego dnia, gdy Amber wypuściła Szeherzadę z klatki -choć wiedziała, że nie powinna tego robić - Malika poszła na targ. Lisica była potulna jak szczenię,

lecz fakt, że nie siedziała w klatce, mocno przestraszył kozę. I o to Amber chodziło. Nie przewidziała jednak, że Dudu wybiegnie z turkusowego domku, kopiąc i becząc, i wystraszy na śmierć kury i koty. Biedna Szeherezada, oszalała ze strachu z powodu rozpętanego przez kozę pandemonium, zamiast pogonić za Dudu, zaczęła ścigać kota. Kot zjeżył sierść, zebrał całą złośliwość, na jaką było go stać, zasyczał i wystawiwszy pazury, zaatakował. Rozległo się pełne udęki wycie i nagle lewe oko Szeherezady rozlało się niczym ugotowane na miękko jajko, podczas gdy prawe wyskoczyło z oczodołu. Lisica warczała teraz głucho, gotowa zaatakować wszystko, co się napatoczy.

Tymczasem koza odeszła jak gdyby nigdy nic, zadowolona z siebie i bez poczucia winy. Amber wróciła i szybko zamknęła drzwi chaty. Zabrakło jej tchu w konfrontacji z moralnym dylematem: chciała przecież podręczyć kozę, nie lisicę. Biedna, biedna Szeherezada.

Gdy Hamid Bej wrócił po południu z pogrzebu, znalazł Dudu pasącą się w ogrodzie sąsiada.

-Głupia dziewczyno! - krzyknął na Amber. - Co cię podkusiło, by ją wypuścić?

Schwycił kozę i zaprowadził do szałas, lecz szybko stamtąd wyszedł.

-Gdzie jesteś, Amber?

Amber wyszła z ukrycia, a serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.

- Powiedz mi, co tu się stało.

- Nie wiem.

-Nie warto trzymać ślepego lisa - powiedział Hamid Bej. -Wiedziałaś o tym.

Jedyną ręką zdjął ze ściany pistolet z czasów służby wojskowej, wiszący obok portretu, i wrócił do szałas.

Strzał słychać było w całym Cordelio, ludzie sądzili jednak, że strzelał ktoś z trupy wodewilowej, która rozbiła obóz na łączce z tyłu ulicy Siedmiu Bokobrodów. Widać odbywała się tam próba.

Amber zabroniono wychodzić. Rankiem Malika podała jej śniadanie w domu. Amber siedziała sama przy stole, nakładając dżem i fetę na chleb. Cząsteczki tłuszczu odrywały się od dna szklanki z mlekiem i podpływały ku powierzchni, co wyglądało tak nieapetycznie, że Amber wycisnęła do mleka sok z cytryny. Mleko zwarzyło się natychmiast i ścięło.

- Spójrz - powiedziała do Maliki. - To zepsute mleko. Nie mogę go pić.

- Nie rozumiem, dlaczego się ścięło - odparła Malika swym sepleniącym akcentem, którego Amber była już teraz na wpół świadoma. - Wydołam Dudu wczesnym rankiem. Nie mam pojęcia, jak mogło ściąć się tak szybko. Nie jest nawet szczególnie gorąco.

Amber nie musiała tego dnia pić mleka. Nazajutrz zrobiła więc to samo. Malika zdawała sobie sprawę, że coś tu jest nie tak; jej wnuczka zdolna była wymyślić nie lada psotę. Jednak nie potrafiła się domyślić, o co chodzi.

- To pewnie przez Dudu - powtarzała Amber. - Ta koza jest do niczego, daje tylko zwarzone mleko.

- Bzdura - oponowała Malika. - Przedtem nigdy nie miałam z nią problemów. Poza tym mleko nie było zwarzone, gdy ją dołam. Słyszał ktokolwiek o czymś takim? Koza dająca zsiadłe mleko?

Lecz kiedy sytuacja zaczęła powtarzać się dzień po dniu, nawet Marikę naszły w końcu wątpliwości. Dojąc Dudu, zaczęła napominać kozę:

- Nie zamierzasz chyba tym razem dać mi zsiadłego mleka, co?

Dudu kopnęła ją i przewróciła wiadro, rozlewając mleko. To była ostatnia kropla.

Kiedy w następnym tygodniu zaszedł do nich domokrażny handlarz, skupujący mięczaki dla znajdującej się w nich macicy perłowej, którą ozdabiano instrumenty strunowe, odchodząc, wziął ze sobą Dudu.

Malika nabrała wody ze studni, rozwiązała kok i zaczęła myć falujące białe włosy. Pozwoliła potem Amber je uczesać i zebrać te, które wypadły, ze swej prostej, ciemnej sukienki.

- Jak masz naprawdę na imię? - wypaliła nagle Amber.

- O co ci chodzi?

- Nie musisz tego przede mną ukrywać. Wiem, że jesteś Rumijką i naprawdę masz na imię Maria.

Malika, bojaźliwa niczym sarna, zeszywniała. Wytarła dłonie w fartuch i weszła do domu.

- Okłamałaś mnie! - zawołała za nią Amber.

Gdy weszła później do wnętrza, znalazła Marię leżącą w hamaku na werandzie. Oczy miała zamknięte, ale za przymkniętymi powiekami jej gałki oczne poruszały się gwałtownie.

Podeszła do hamaka i ułożyła się obok babki. Skuliła się przy niej i przesunęła dłońmi po twarzy staruszki.

- Nie chciałam cię zdenerwować - powiedziała. Maria zagryzła wargi, starając się powstrzymać emocje.

- Chcieliśmy cię ochronić. Na wypadek, gdyby nienawiść jeszcze kiedyś wróciła. Nie chcieliśmy, byś była narażona na cierpienie. Przeżyliśmy rzeczy, których nie chcemy pamiętać. Wspominanie przywraca je do życia. O niektórych sprawach lepiej jest nie wiedzieć.

Leżały przytulone do siebie i w końcu zasnęły. Sekrety, o których mówiła babka, z pewnością związane były z tym miejscem, nie mogła zabrać ich do Stambu-



łu, gdzie jej rodzice planowali osiedlić się po powrocie z Ann Arbor. Lecz Amber nie odkryła jeszcze wszystkich tajemnic swego podwórka.

Trupa wodewilowa skończyła rozbijać namiot i nagle łączka zmieniła się w karnawał z tańczącymi niedźwiedziami, kociołkami gotowanej kukurydzy, stóskami z marynatami, huśtawkami - istna rozkosz dla dzieci z okolicy. Ludzie ściągali z całego miasta, poszukując dreszczyku w hałaśliwym tłumie. Miejscy zboczeńcy także przybyli w to miejsce, czając się za każdym rogiem, pocierając niby przypadkiem intymne części ciała w obecności zaskoczonych kobiet i szukając mrocznych zakątków, by molestować tam dzieci.

Dziewczęta ostrzeżono, by zważały na chciwe dłonie, zapuszczające się ku wstydlivym, najświętszym miejscom ich ciała. Strzeżcie się tych dużych, złych rąk. Nigdy, przenigdy nie pozwólcie, aby zakradły się do waszych intymnych miejsc. Jeden z dzieciaków twierdził, że widział, jak jakiś mężczyzna ociera się o Nurię, a potem wsuwa ręce pod jej sukienkę, udając, że obserwuje przedstawienie z miejsca na skraju namiotu, gdzie stali ludzie, którzy nie mogli pozwolić sobie na kupno biletu.

Wszystkie dzieciaki wybrały się na pierwsze przedstawienie, lecz Hamid Bej nie puścił Amber, która nadal odbywała karę za wypuszczenie Szeherezady. Leżała więc w łóżku, przysłuchując się muzyce dobiegającej z głośnika i rozprzestrzeniającej się niczym wszechmocna chmura. Słyszała, jak dwie kobiety śpiewają w duecie:

*Neredesin kizin? Buradayim  
anne. Napiyorsun kizim? Dans  
ediyorum, anne. Kiminle kizim?  
Bir Rusia, anne.*

*Gdzie jesteś, córko?  
Tutaj, matko.  
Co robisz, córko?  
Tańczę, matko.*

*Z kim, córko?*

*Z Rosjaninem, matko.*

Potem głucho uderzenie wstrząsnęło mną niczym trzęsienie ziemi. Nagły tupot nóg. Walenie w tamburyn. Była parna letnia noc. Malika spała na podłodze, zsunąwszy się z posłania na zimne płytki podłogi, a Hamid Bej pochrapywał do rytmu na swym królewskim mosiężnym łożu.

*Rusun aski baska,                      Miłość Rosjanina jest gwałtowna,*

*Rusun aski baska,                      Miłość Rosjanina jest namiętna,*

*Hey kazaska.                      Zatańczmy więc kozaka.*

*Hey kazaska                      Hej, kozaka.*

Rosjanie to źli ludzie, zawsze prowokują kłopoty, powiedział jej pewnego razu Hamid Bej. A teraz ktoś tam tańczył z Rosjaninem? Czy ona, Amber, jest złą dziewczynką? Tak, jest zła. Wszystko przez nią.

Duch Szeherezady prześladował ją we śnie. Co noc lisica przychodziła do sypialni i obwąchiwała włosy Amber, gdy ta spała. Słyszała, jak gdzieś w oddali wyje do księżycy Nivea. Tupot stóp nasilił się, jakby coraz więcej ludzi podskakiwało i wyrzucało przed siebie nogi tuż nad ziemią. Hop, hop. Kop, kop. Hop, hop.

Amber nie mogła już dłużej znieść uciążliwej duchoty wnętrza domu. Wymknęła się z pokoju i przebiegła przez pole, oświetlone jasno reflektorami. Ludzie, wysocy ludzie, zebrali się wokół namiotu, zasłaniając widok. Zakradła się więc od tyłu i przecisnęła pod ustawionymi na powietrzu ławkami.

Thusty mężczyzna z czarnym wąsem, wystrojony w turban i olbrzymie kolczyki w kształcie kół, o mało się o nią nie potknął. Pomknął ku środkowi namiotu i zawołał do megafonu:

- A teraz, panie i panowie, oto najwspanialsza, najbardziej czarująca Ukochana Strojnisia, cudowna Dziewczyna Dandysa!

Po czym z towarzyszeniem wzmagających oczekiwanie uderzeń bębna opuszczono spod dachu namiotu pulchną kobietę w skąpych atlasowych szortach i siatkowych pończochach, podtrzymywaną przez specjalną uprząż.

*Bobstiliz sendin Yanima gel-                      Jesteś moim strojnisiem, Przyszedłeś*  
*din Kalbimi deldin Askimi serdin                      do mnie, Przebiłeś moje serce I uwolniłeś*  
*moją miłość.*

Jakże umysł zdolny jest rejestrować rzeczy poza kontekstem! Straciła tak dużo na wadze, że Amber w pierwszej chwili nie wierzyła własnym oczom, jednak głos... tego głosu nie sposób było pomylić z żadnym innym. Głos Liii Mar-leen.  
*When I'm calling you 000-000-000-000-000-000...*

*Bobstilin sapkasi Ayni vapur                      Kapelusz strojnisia Jak komin statku.*  
*bacasi Bobstilin kravati 0 da va-                      Krawat strojnisia Jak statku lina.*  
*pur halati*

W pewnej chwili oczy Dziewczyny Dandysa pochwyciły spojrzenie Amber, zatoneły w nim i tak już pozostały. Jak mogła kogokolwiek dostrzec, skoro oślepiające światła świeciły jej prosto w oczy, zwłaszcza zaś małą główkę, wystającą spomiędzy stóp innych ludzi?

Wielki aplauz. Artystka wróciła za kulisy, a na widowni pojawił się znów gruby konferansjer, aby wypełnić widzom czas wulgarnymi anegdotami. Kilka tan-

czere z zespołu, ubranych w naszywane cekinami stroje kąpielowe, wykonało na scenie parę młynków. Nagle znów rozległ się dramatyczny dźwięk bębnów. A potem cymbałów. Brzęk, barn. Konferansjer zaanonsował: - Panie i panowie, zobaczcie teraz Salome, czarodziejkę z siedmioma zasłonami. Oto nadchodzi.

Na środek namiotu wyszła kobieta, owinięta w kilka warstw przejrzystego materiału, niosąc tacę z zakrwawioną głową brodatego mężczyzny. Czy głowa była prawdziwa? I czyja to mogła być głowa? Taka malutka, skurczona do rozmiarów orzecha kokosowego, zupełnie jak w filmach o życiu kanibali.

Salome wirowała i obracała się wciąż od nowa niczym derwisz, balansując położoną na głowie tacą. A potem ustawiła tacę przed konferansjerem, który zdążył już rozsiaść się na tronie, i zaczęła się kołysać. Wirowała dookoła, tańcząc powoli, bardzo powoli, jakby w sufijskim transie, który zdawał się trwać wieczność. Zasłony opadały jedna po drugiej. Barwy tęczy unosiły się w powietrzu, kiedy sięgały po nie chciwe ręce publiczności.

Amber wspomniała dzień, kiedy Iskender wyczarowywał dla niej jedwabne szale w kolorach tęczy. Czerwone, pomarańczowe, żółte, zielone, niebieskie, indygo, fioletowe.

Tancerka osiągnęła stan wewnętrznej równowagi, pozwalający poruszać się z niewymuszoną harmonią. To był taniec, lecz także walka o przetrwanie. Obnażanie się i kuszenie. Salome, nierządnicą. Salome, waleczna, pozbywała się tego, co ją chroniło, wystawiając się na śmierć.

-Rozpacza po kochanku, którego głowę podaje na tacy, makabryczny koszmar zdrady - wysyczał konferansjer.

Amber poczuła, że od wirowania i ciągłej zmiany barw kręci się jej w głowie. A gdy Salome odrzuciła wreszcie ostatnią zasłonę, podejrzania dziecka znalazły potwierdzenie. Salome i Dziewczyna Dandysa były tą samą osobą - nikim innym, tylko jej nieobliczalną ciotką, Papatyą. Potem ogłoszono przerwę i Amber

natychmiast odeszła spod sceny. Z sercem pełnym niepokoju skierowała się ku domowi. Mijała szeregi znajomych twarzy, a z tyłu, z ciemności, ścigał ją głos, wołający:

- Amber, Amber, Amber!

Zaczęła biec, ale Papatya chwyciła ją i porwała w objęcia. Zapłonęły reflektory, zalewając wszystko powodzią światła. Pole pulsowało niesamowitym blaskiem.

Dzieciaki z sąsiedztwa przyglądały się jej spod wejścia do namiotu. Amber wolałaby udawać, że nie zna tej kobiety, ale nie była w stanie się uwolnić. Papatya ścisnęła ją i całowała - policzki, oczy, każdą część jej twarzy.

- Co ty, u licha, tu robisz, cukiereczku? - spytała, a łzy popłynęły jej po policzkach.

- Moi dziadkowie Tagpinar - odparła, wskazując na mnie - mieszkają tam, w tym turkusowym domu.

Papatya odsunęła się na chwilę, a jej oczy jakby zapadły się w twarzy.

- Nie mogą mnie zobaczyć - powiedziała. - Nie powiesz im, prawda?

Amber potrząsnęła głową.

- Gdzie twoi rodzice?

- W Ameryce.

- W Ameryce? Dlaczego? I czemu nie wzięli cię ze sobą?

- Cebula - wyjaśniła Amber. - Powiedziałam im, że będę jadła cebulę, ale nie chcieli ryzykować.

- Cebula? To nie mógł być właściwy powód.

Amber zaczęła popłakiwać. Papatya ukołysała ją w ramionach.

- Ciii... To nie ma sensu - powiedziała. - Ale czy cokolwiek ma? Nie smuć się, mała Amber. Masz przed sobą długie życie. *Inşallah*, da Bóg, pewnego dnia i ty

znajdziesz swą drogę do Ameryki. Sprawy zataczają zwykle pełny krąg. No już, uspokój się.

Amber zaczęła normalnie oddychać i otarła oczy.

- Jak to się stało, że przyłączyłaś się do trupy?

- Tylko w ten sposób mogłam tańczyć - powiedziała Papatya. - Bóg umieścił mnie na tej ziemi, bym śpiewała i tańczyła. Wykonuję tylko jego wolę.

- Wrócisz? Długa cisza.

- Nie sędzę. Jestem teraz kimś innym. Nie przyjęliby mnie. Poza tym już bym tam nie pasowała.

- Sprzedali „Apartamenty Prządki” - poinformowała ją Amber. - Rodzina rozproszyła się po świecie. Moi rodzice są w Ameryce, Aida i Generał przeprowadzili się do Sztambułu. Ciotka Mihriban i matrony powróciły do tego, co ocalało ze spalonej plantacji. Tylko rodzina Sibel pozostała w Ankarze.

- To wszystko nie wydarzyło się z powodu tego, co ktokolwiek z nas zrobił - powiedziała Papatya. - Losu nie da się odwrócić. Tak po prostu miało być. Nie trzeba nikogo obwiniać.

- Wszyscy myśleli, że uciekłaś z wujkiem Rodrigiem.

- Och, nie. Nie było mi to przeznaczone. On uciekł do Egiptu razem ze swymi ziarnami kawy, by szukać tam spełnienia śmielszych marzeń. Ryba, która urywa się z haczyka, zawsze wydaje się większa.

- Ale on ukradł nasze pieniądze. I przez to musieliśmy się rozproszyć.

- Kto wie? Może sami jesteśmy sobie winni. Widzisz, nie wolno wyprzedzać mędrców ani iść za głupcem. Koło naszej fortuny obróciło się. Nie mogliśmy w żaden sposób zapobiec stracie. Byliśmy już zmęczeni tym ciężarem. Myślę, że rodzina chciała stracić majątek, by nie ponosić za niego odpowiedzialności. Czasami to przekleństwo: posiadać więcej niż dosyć.

- Salome! - zawołał ktoś od strony namiotu. - Następny akt. Wracaj.

Papatya szybko ucałowała Amber i znikła w namiocie. Dzieciaki z sąsiedztwa, Nuria i inne, przyglądały się temu z daleka. Nuria podbiegła w podskokach do Amber.

- Co ona ci powiedziała?

- Nic.

- Masz szczęście - rzekła z zazdrością i podziwem. - Dziewczyna Dandysa odezwała się do ciebie. O czym rozmawiałyście?

- Myślała, że jestem kimś innym. Inną dziewczynką.

- Pocałowała cię!

- Jestem zmęczona - odparła Amber. - Dajcie mi spokój.

- Jutro?

Amber zakradła się do domu i wsunęła do łóżka obok Maliki, która przytuliła wnuczkę przez sen. Od strony namiotu dobiegł następny duet.

*Ah, kmm, kizim,*

*Ach, córko, córko,*

*Edah kizim*

*Czupurna córko,*

*Cekilmiyor nazin*

*Nie mogę znieść twoich kapryków.*

*Seni de bir sarhos*

*Pijak chce cię poślubić.*

*istiyor*

*Ne yapam kizim?*

*Co mam robić?*

Zanim piosenka dobiegła końca, Amber dawno już spała.

*Ah, ana ana,*

*Ach, matko, matko,*

*Gozleri yana*

*Wyłakujesz sobie oczy,*

*Uziilmuyor sakin*

*Nie martw się.*

*Icer, iger sarhos olur*

*On tylko się upije,*



## *Sanhr banaA potem mnie obejmie.*

Rankiem, gdy tylko się obudziła, nazbierała do koszyka świeżych fig z ogrodu. Pobieгла z nimi do namiotu, by poszukać Papaty i dać jej owoce. Konferansjer siedział na krzeselku przed namiotem i naszywał cekiny na kostium. Bez błyszczącego stroju i makijażu wyglądał w świetle dnia staro i zwyczajnie.

- Szukam Salome.
- Salome odeszła.
- Dokąd?
- Nie wiem dokąd.
- Czy wróci?
- Tego też nie wiem.

I tak skończyło się lato. W domu czekał na Amber list z Ann Arbor. Cadri i Camilla wracali do domu.

## II

### Powrót córki marnotrawnej

Żeglowałeś z płonącym w duszy gniewem, byle dalej od ojcowskiego domu,  
poza podwójne skały mórz, a teraz zamieszkujesz obcy ląd.

**Eurypides, *Medea***

TLR

*- A po czym poznają dziewicę? - spytała.*

*- Chodzi o błonę dziewiczą. Jeśli nie krwawi, dziewczyna została zhańbiona.*

*Gdy w noc poślubną Esma nie krwawiła, jej mąż, starając się ocalić twarz, zabił koguta i rozsmarował krew ptaka na prześcieradle, które powiesił na maszcie flagi, by wszyscy sąsiedzi mogli je zobaczyć. Esma załamała się, płakała i zapewniała męża, że była niewinna i nikt przed nim jej nie dotknął. W głębi duszy nie uwierzył żonie, jednak pozostał z nią aż do śmierci. Rzadki przypadek. Określił treść ich małżeństwa. A może nawet przyczynił się do jego przedwczesnej śmierci.*

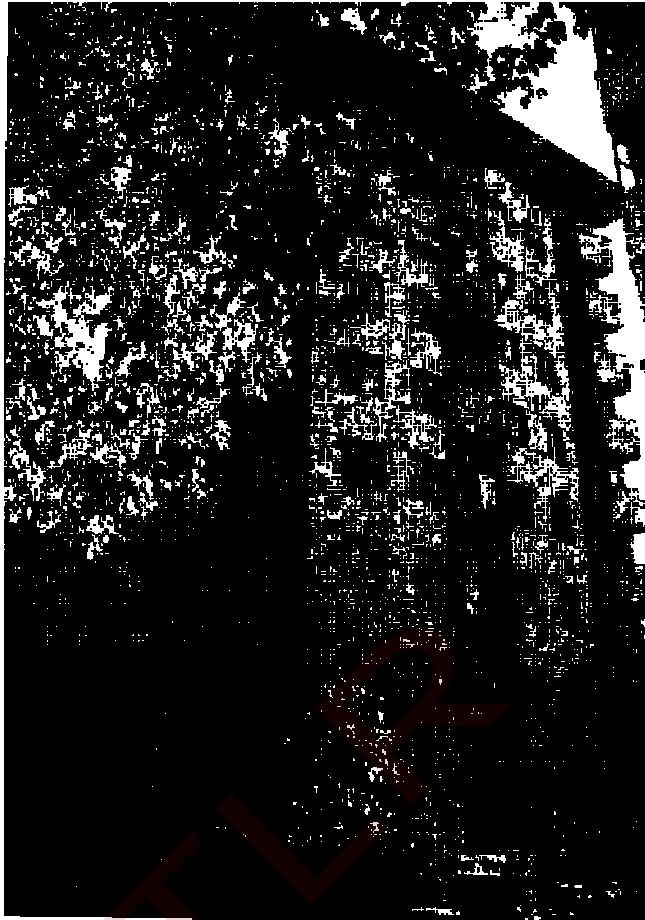
*W okresie dorastania Amber prześladowały powtarzające się koszmary na temat bólu i krwotoku, związanego z przebiciem błony dziewiczej - powiadano, że ta cienka błona osłania ujście pochwy dziewczycy tak samo, jak zasłona chroni jej twarz. Spółkowanie jest dla kobiety przekleństwem, a noc poślubna to rodzaj okaleczenia, które musi ścierpieć. Dziwne, zważywszy na to, że bóg małżeństwa, przystojny młodzian z pochodnią, też nosił imię Hymen.*

*Strach przed niemożliwym do zniesienia bólem, nie moralność, powstrzymywał ją przed oddaniem się mężczyźnie, roześmiała się więc tylko, wspominając słowa, jakimi Cadri żegnał ją, gdy odpływała do Ameryki. „Szanuj swoją cnotę”. Szanuj cnotę. Szanuj swój kąt i swego partnera, nie przechodź z rąk do rąk.*

*Sprzeniewierzyła mu się zaledwie w kilka godzin po odjeździe, wyrwała się z klatki zniewolenia. Nie ból ani krew, lecz trudne do zniesienia przekonanie, że nigdy nie wróci, aby żyć w starym kraju, stanowiły przyczynę największych cierpień. Została wygnańcem.*

*Zanim wróciła po raz pierwszy, minęło dwadzieścia pięć lat. A kiedy przybyła tam po raz ostatni, ojca nie było już wśród żywych. Odszedł przed kilkoma miesiącami.*

## Ulica Miodnej Esencji



*(1997)*

Nostalgia przemienia obiekty, zachowane we wspomnieniach, w poetyczne ideały, których przymioty rosną w naszych oczach, podczas gdy wady z czasem tracą na znaczeniu, aż w końcu zostają niemal wyparte z pamięci przez wyobraźnię.

**George Sand, *Horacy***

Spokojna niegdyś uliczka, gdzie wszyscy wszystkich znali, z szeregiem ładnych domów, szczycących się rozsiewającymi kwietne wonie ogrodami i ozdobnymi werandami, znalazła się wraz z upływem lat w samym centrum hałaśliwej metropolii. Zmieniła się tak bardzo, że Amber wręcz jej nie poznała.

Na końcowym przystanku naprzeciw meczetu, tego z niekompletnym minaretem, Camilla biegła ku nim, zadziwiająco drobniejsza, niż ją zapamiętała - rozciągnięta w poziomie, co czyniło ją podobną do postaci z *Alicji w Krainie Czarów*. Wiodła za sobą procesję kobiet, znajomych twarzy o zapomnianych imionach, rękach uniesionych ku niebu, wyśpiewujących te same strofy

- Witaj w domu, kochanie. Witaj w domu, nareszcie. Camilla pozdrowiła przybyłe głosem osoby wypalającej dwie paczki papierosów dziennie, zachowując się tak, jakby czas nie osłabił ich wzajemnej bliskości. Kogo tak obejmowała? Osiemnastoletnią zmysłową dziewczynę, która wyjechała w świat równie skwar nego dnia dwadzieścia pięć lat temu, czy światową kobietę po czterdziestce?

Puściła Amber i skupiła uwagę na Nellie. Uszczypnęła dziewczynkę lekko w policzek.

- Jesteś taka szczuplutka, miłości mego życia.

- Lecz pełna wdzięku niczym młody bażant - wtrąciła Aida, pojawiając się za Camillą, nieodmiennie olśniewająca debiutantka, ubrana w metalicznie połyskujący płaszcz z szantungu i dobrany do niego turban. Gdy przytuliła do siebie

Amber, ta poczuła pustkę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się lewa pierś ciotki.

Amber nie doszła jeszcze do siebie po nieprzyjemnym powitaniu na lotnisku, kiedy to arogancki celnik skonfiskował przywiezioną protezę, jej prezent dla Aidy. „Przedmiot nie-wymieniony w taryfie celnej”. Sto dolarów załatwiłoby sprawę, lecz odmówiła poddania się chorobie korupcji, która kiedyś wygnała ją z kraju. Niezbyt dobry początek: stanąć twarzą w twarz z przyczyną, dla której musiała kiedyś wyjechać.

Kobiety szybko zmieniły się w szlochającą masę skupionych razem ciał, pragnących maksymalnie przedłużyć smak pojednania. Ssanie, lizanie, podszczypywanie.

W czasie jej nieobecności miasto rozrosło się dziesięciokrotnie. Chłopi z odległych wiosek, zwabieni opowieściami o chodnikach ze złota, napływali niczym szarańcza. Znajdywali jedynie góry śmieci i chaty z blachy i krowich placków. Niektórzy wyjeżdżali do Niemiec, gdzie było duże zapotrzebowanie na nisko płatną pracę, inni wypełniali swoje dusze i płuca metanem. Ci, którzy wrócili, tworzyli nową warstwę społeczną. Konieczność zaspokajania niewygórowanych potrzeb tej klasy sprawiała, że eleganckie domy znikwały jeden po drugim, zastępowane szałasami ze skrzynek i pudeł.

Ulica Miodnej Esencji, stanowiąca dla Amber schronienie podczas trudnych lat dorastania, zmieniła się w jedną z tych nieokreślonych dróg, usuwających w cień wspaniałą architektoniczną przeszłość miasta. Stare łuki, kolumny, falujące miękko arabski kłóciły się ze sterczącymi w niebo prostokątnymi paskudztwami, wzniesionymi bez planu z najtańszych materiałów, przy czym nieudolność wykonawców i nastawienie na zysk sprawiała, że podczas trzęsienia ziemi budynki te mogły okazać się wręcz niebezpieczne. Kopuły i budowle dawnego mia-

sta rozpadły się i zniknęły pod ziemią, stając się materiałem badawczym dla przyszłych archeologów.

Cenne płytki pogrzebano pod betonem, gdy ludzie, oślepli na kolory, zaczęli malować miasto na szaro. A miasto oplakiwało, nieświadome, przeszłą chwałę - Bizancjum, Konstantynopol i Sambuł.

O tym właśnie Amber przekonała się w dzień powrotu. Nie pozostało zbyt wiele z tego, czego warto byłoby się trzymać. Ewentualnie morze.

Nie potrafiła odnaleźć drogi do domu. Jak mogłoby być inaczej? Wyobrazić sobie, że czarująca willa jej młodości, jeśli wolno mi tak powiedzieć, została zastąpiona przez sześć-, siedmiopiętrowe budynki, otoczone takimi samymi prostokątnymi blokami o uśmiechających się szyderczo oknach i sterczących ostro balkonach, rozprzestrzeniającymi się niczym plotka. Szereg za szeregiem.

-Gdybyś tylko wiedziała, jakim koszmarem było wybudowanie tego domu! Tu nie ma utalentowanych fachowców -skarżyła się Camilla, prowadząc Amber i Nellie schodami na górę. - Wszyscy wyjechali do Niemiec, Szwajcarii i innych miejsc w Europie w pogoni za lepszym zarobkiem. O wiele lepszym. A my musimy zadowolić się tymi, którzy zostali.

W mieszkaniu zmysł węchu Amber i Nellie natychmiast zaatakowały pomieszane zapachy kanalizacji i kulek przeciw molom. Pod stopami trzeszczały białe kryształki - Camilla rozsypała naftalinę na wszystkim, co tylko wyszło z warsztatu tkackiego, szafując nią równie hojnie jak solą dodawaną do potraw.

Amber zaczęła kaszleć. Naftalina podrażniała jej płuca, powodowała swędzenie skóry i łzawienie oczu. Czowała, że zaczyna gotować się w środku. Ruszyła do okna.

-Nie otwieraj! - krzyknęła Camilla. - Przeciąg mnie zabije. Niepotrzebne mi zapalenie płuc. Poza tym słońce zniszczy meble.



Jakie meble, miała ochotę zapytać Amber. Gdzie wspaniałe dywany babki Esmy? Szirazy, isfahany, hereke? Meble, które przywiozła swego czasu na grzbiecie muła z Macedonii? Materie, które Iskender Bej przywiózł ze swoich podróży? Jedwabie, utkane w fabryce Ipekchich?

-Nie ma przeciagu. A nawet gdyby był, nie zaszkodziłby ci nawet w połowie tak jak wdychanie naftaliny - powiedziała zamiast tego. - Na dworze jest bardzo ciepło. I ani śladu wiatru.

Camilla zaprowadziła je do sypialni, którą dzieliła z Cadrin. Amber rozpoznała bliźniacze łóżka, pokryte tapicerką „Złote Żniwa”. Rodzice kazali wykonać je na zamówienie po powrocie z Ameryki. Zupełnie jak w filmach z lat pięćdziesiątych.

-Możecie spać tutaj.

Co powiedziawszy, zaczęła zamykać okna, które pootwierała Amber. Zamknięte, otwarte. Otwarte, zamknięte. Biegała z pokoju do pokoju, jakby połknęła flakonik tabletek amfetaminy, zbierając rzeczy i nie przestając mówić.

Oczy Amber łzawiły, w gardle ją drapało. To beznadziejne, pomyślała. Rzuciła się na łóżko, ale natychmiast z niego zeskoczyła. Tu także pełno było naftalinyowych kryształków. Przywarły jej do skóry niczym ziarenka piasku.

-Dlaczego, u licha, wkładasz, mamó, truciznę pomiędzy pościel? Mole nie jedzą powłoczek z bawełny, nie wiesz o tym?

-Te jedzą. One wyjadłyby nawet włosy z twojego ucha.

-Nie chcę cię pouczać, ale naprawdę przesadzasz z tą naftaliną. Dlaczego nie używasz drewna cedrowego lub czegoś innego? Nie jest toksyczne i ładnie pachnie.

-Nie znoszę moli. Są takie żarłoczne. Zjadają wszystko.

I zawsze robią dziury tam, gdzie to najbardziej widać - nie na rękawach czy w miejscu, które można by zacerować. Miałam ulubiony sweter z zielonego kaszmiru. Pogryzły go tak, że wygląda jak koronka.

-A teraz zrobią koronkę z twoich płuc - wymamrotała Amber pod nosem.

Camilla wyszła pośpiesznie i Amber zamknęła za nią drzwi, by zyskać nieco przestrzeni. Inaczej chyba by wybuchła. To była długa podróż. Nellie odpłynęła już w sen na swoim łóżku. Wcześniej Amber niepokoiła się, jak córka zniesie tę wyprawę, wyglądało jednak na to, że przystosowała się lepiej i szybciej niż ona. Spryskała pokój wodą kolońską Camilli, ale to wcale nie pomogło, przeciwnie, zapach stał się jeszcze bardziej niezdrowy, coś jak pestycyd zaprawiony cytryną. Otworzyła drzwi na balkon, aby przewietrzyć pościel.

Hałas uliczny uderzył ją niczym obuchem, wąska uliczka pod nimi zdawała się dudnić. Zaniedbane drogi rozpadały się z braku dozoru. Góry odpadków blokowały ulice. Odcienie szarości i brązu zacieśniały krajobraz, sprawiając, że wyglądał jak na starym dagerotypie. Miasto, które niegdyś było jej, teraz zdawało się Amber obce i pogrążone w zamięcie.

Grupa pieszych czekała, aż zmienią się światła, stojąc u stóp olbrzymiego pomnika Atatürka, wskazującego palcem chłopkę, która tuliła wiecheć pszenicy, i młodego żołnierza z bagnetem.

Grupka uczennic niewiele starszych od Nellie, z głowami otulonymi szalami, przecięła ulicę, pozostawiając z tyłu Atatürka, wskazującego teraz na nie z tym samym przekonaniem na wyrzeźbionej twarzy.

- Ciekawe, co on by o tym wszystkim pomyślał - powiedziała Amber do Camilli, która wytknęła głowę przez drugie okno. - Dziewczęta w szalach. Kobiety w długich płaszczach, z zakrytymi głowami, poruszające się po ulicach niczym czarne tobołki. Trzeba zadać sobie trud, aby pamiętać, że to istoty ludzkie, obda-

rzone umysłem, duszą i ciałem. I wszyscy ci brodaci mężczyźni noszący mycki... Nie mogę uwierzyć, że to wróciło.

- To jeszcze nic. Oni są teraz wszędzie - zauważyła uszczypliwie Camilla. - Widok tych młodych dziewcząt, zakrywających ciała od stóp do głów, łamie mi serce. Nawet na uniwersytecie. Ataturk przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, co dzieje się w kraju, i to pomimo wszystkich jego wysiłków, aby podnieść status kobiety. Lecz co możemy zrobić? Jesteśmy biednym krajem.

- A co to ma wspólnego z biedą?

-Biedni ludzie potrzebują religii. Fundamentalizm to nic innego, jak odpowiedź na industrializację.

- Potrzebują marzeń.

Dzieci w czarnych mundurkach z kołnierzykami z białej piki nadbiegły w podskokach i przecięły ulicę na czerwonym świetle, wymachując tornistrami ze sztucznej skóry. Wyglądało na to, że nikt nie zwraca uwagi na kolor sygnalizacji. Zamroczeni wieśniacy wlekli się z trudem, zgięci pod ciężarem olbrzymich tobołów, mieszczących cały dorobek ich skromnego życia. Wszystko wokół zdawało się pogrążone w różnych odcieniach czerni, przeciwne elementarnym ludzkim dążeniom, iskrząc się niczym ruch w naczyniach włosowatych. Nieunikniony fatalizm miasta wyrażał się w ryku klaksonów, urywanych głosach kierowców, wymyślających sobie nawzajem i naciskających klaksony, które były niczym stado oszalałych gęsi.

W całym sąsiedztwie tylko jeden dom pozostał nietknięty: dwupiętrowa kamienica o ścianach wykładanych kamieniem i ozdobionych sztukaterią, z pasiąstą markizą nad balkonem. Rozwieszona na nim kolorowe sztuki bielizny wyglądały jak chroniące od uroku bransoletki. Dom zarośnięty pnączami w doniczkach i fuksją, opadającą niczym wodospad z każdej strony aż do zdziczałego ogrodu, pełnego kamieni, drewna i zwierzęcych szkieletów.

Amber pamiętała energicznego starszego mężczyznę, który go zbudował, jego owdowiałą siedem razy córkę i pulchne figi z ich sadu - teraz stały tam bloki - przynoszone w podarunku o porannej rosie.

- Ten dom jest tak zaniedbany i szkaradny, pełen tych wszystkich martwych rzeczy, czaszek i muszli - poskarżyła się Camilla. - Szpeci całe sąsiedztwo. Chciałabym, by go zburzono.

Lecz ciepły blask opromienił twarz Amber, gdy tylko zobaczyła dom, kulący się pomiędzy olbrzymimi blokami. Przemawiał do niej. Jego serce nadal biło. Powodowana impulsem, sfotografowała go aparatem Nellie (rytuał powtarzany odtąd codziennie, o różnych godzinach, przy różnym oświetleniu. Utrwalała jego obraz niczym Monet swoją katedrę). Musiała znaleźć sobie jakąś niegroźną obsesję, by mieć coś, na czym mogłaby się oprzeć.

- Kto tam teraz mieszka? - spytała Camille.

Sądząc po tym, jak Camilla skrzywiła usta i potrząsnęła głową, z pewnością miała na ten temat swoje zdanie.

- Podobno to jakiś artysta. Nie, archeolog czy ktoś taki. Odrzuca wszelkie propozycje, by zniszczyć tę obrzydliwość. Jego rodzice wyemigrowali swego czasu do Niemiec. On urodził się tutaj. Wygląda jak Niemiec. Jasne włosy, niebieskie oczy, wysoki. Niewierny, gdyby mnie kto spytał. Nikt nie wie o nim zbyt wiele. Poza...

- Kim?

- Nieważne.

- Podoba mi się to - powiedziała Amber. - Ostatni, który pielęgnuje marzenia z ulicy Miodnej Esencji. Pamiętasz, kiedyś wszystkie domy wyglądały tak jak ten. Pamiętasz, jak wyglądała ta willa?

- Nie bądź sentymentalna. Nasza willa była w ruinie. Wciąż tylko wyszukiwałam fachowców, by naprawili to czy owo. Przyszedł czas, by z tym skończyć. Je-

stem za stara na takie nonsensy. Nie rozumiesz? W moim wieku potrzebuje się wygod. I ludzi, którzy by się nami opiekowali.

Amber wyczuła, co się święci, i zaczerpnęła powietrza, by nie pochwycić przynęty.

- Tak - powiedziała tonem z lekka nieobecny. - Czyż wszyscy tego nie potrzebujemy? A skoro już mowa o wygodach, jak mam zapalić *chauffe bain*, by mieć ciepłą wodę?

- Nie dasz sobie rady. Ja zapalę piecyk.

Wkrótce zapach gazu zmieszał się z wonią naftaliny i wody toaletowej. Amber obchodziła właśnie mieszkanie, otwierając na powrót okna, kiedy ich uszu dobiegł odgłos cichej eksplozji.

- Do licha! - krzyknęła Camilla. - Płomyk zgasł. Ciśnienie gazu zawsze jest tu zbyt słabe.

- Nie szkodzi. Wezmę zimny prysznic. Prawdę mówiąc, to nawet lepsze w taki dzień jak ten. Bardziej odświeżające.

- Nie chciałabym, żebyś się przeziębiła. A poza tym nie posłuży ci to, skoro masz okres. Dostaniesz okropnych skurczy.

- Przywykłam do zimnych pryszniców, ożywiają mnie. Są dobre na krążenie krwi i wiele innych rzeczy.

- Cóż, i tak nic z tego. Nie ma dość wody. Nie po tej stronie bulwaru Bagdadzkiego. Woda zarezerwowana jest dla nowobogackich. Albo Arabów. Wykupują nasz kraj. Powinnaś zobaczyć, ilu ich osiedliło się w naszej pięknej Tarabii. Nazywamy ją teraz Arabią. Powinnaś zobaczyć, jak biją ich fontanny podczas gdy my nie mamy dość wody, by spłukać toaletę.

Zamiast prysznic Camilla zaproponowała więc Amber wiadro wody do mycia głowy. Zagrzała ją na piecu. Podała córce opatrzony monogramem frotowy ręcznik, obsypany naftaliną, by wytarła włosy.

Amber siedziała na stołeczku w wannie koloru lawendy, zaczerpując wody, polewając nią głowę, zbierając wodę z wanny, potem znów polewając głowę, jak zatopiona w dziwnym transie. W pustce matczynej łazienki wspominała, jak bardzo samotna się czuła, gdy po raz pierwszy zostawiono ją w łazience „Apartamentów Przodek”.

Spanie było niczym gra w chowanego.

Amber leżała rozbudzona, czekając na dźwięk syreny, zwiastujący godzinę policyjną. Ulice uciszą się wtedy, a matka pójdzie spać. Leżała na łóżku ojca - z Nellie tuż obok - przyglądając się hipnotyzującym ruchom dwóch niezbyt odległych reflektorów z latarni morskiej Leander, których blask przenikał przez koronkowe zasłony.

- Co ja tu robię? - spytała na głos.

Nellie ocknęła się z ciężkiego snu, wywołanego zmęczeniem i zmianą czasu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sama nie wiem.

-Myślałam, że chciałaś się przekonać, jak ona sobie radzi po śmierci twojego taty.

O północy rozległ się przenikliwy dźwięk syreny. Z głośnika dobiegł głos muzyczna, a potem miasto zamarło. Ulice szybko opustoszały, ucichły wszelkie dźwięki poza stukaniem podków od czasu do czasu, złowróżbnym wyciem policyjnej syreny czy urywanym szczekaniem stada psów, przemierzających opustoszałe ulice w poszukiwaniu jedzenia. Cisza wydawała się sztuczna i pełna napięcia, jakby ulice zaludnione były także innymi, niewidzialnymi dla ludzkich oczu drapieżnikami.

- Ta cisza mnie przeraża, mamusiu. - Nellie poruszyła się na łóżku. - Jest zbyt nienaturalna. Nie mogę zasnąć. Nie znoszę tej całej godziny policyjnej.

- Zaczerpnijmy trochę powietrza.

Wymknęły się na balkon, po cichu, by nie obudzić Camil-li. W otaczających je wieżowcach światła gasły jedno po drugim i wkrótce paliło się już tylko w zaczarowanym domku po drugiej stronie ulicy. Przeświecający przez chmury księżyc rzucał na okolicę sztuczny cień, podobny do scenicznego oświetlenia, przyćmionego i żółtawego w słabym świetle ulicznych lamp. Monolity z betonu, ustawione pod kątem rozwartym, czaiły się ponad nimi jak nadnaturalnej wielkości roboty budowlane - identyczne bloki, zestawione razem klocki Lego w odcieniach szarości. Dwa okna i balkon. Płótno o przytłumionych, mocno odgraniczonych półtonach - budowle, niebo, nawet drzewa.

- W tych budynkach jest coś żywego, mamo. Wyglądają jak japońskie roboty; niemal wydaje się, że zaraz zaczną maszerować, prawda? Pomaszerują, by zniszczyć miasto. Dorastanie tutaj musiało być dość trudne.

- Wtedy było tu zupełnie inaczej, zielono i mnóstwo przestrzeni. Prawie jak na wsi. Albo jak u nas w Kalifornii.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Byłam nastolatką. Kiedy rodzice wrócili z Ameryki, zbudowaliśmy dom. We wczesnych latach sześćdziesiątych, gdy moje hormony zaczynały szaleć, a piersi rozkwitać. Pamiętam jedno lato, kiedy to rozjaśniłam sobie włosy wodą utlenioną. Nastroszone i utapirowane, nadawały mi wygląd kiepskiej imitacji Brigitte Bardot, gotowej przemierzać ulice ramię w ramię z przyjaciółkami, obutymi jak ja w balet-ki, w wiecznej pogoni za przygodą.

- Twoi rodzice nie mieli nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że mieli. Kiedy Camilla zobaczyła moją miedzianą grzywę, przestraszyła się, co powiedzą sąsiedzi. Oznajmiła ojcu, że musi ze mną poroz-



mawiać. Ojciec dokończył lunch w ponurym milczeniu, żując tak głośno, że można było wyskoczyć ze skóry, a potem ze złowróbną starannością wytarł usta serwetką i poprosił, bym poszła z nim do *pensatorio*.

- Co to takiego?

- Jego pokój do rozmyślań. Zawsze taki miał. Zamknął drzwi. „Przyniosłaś nam wstyd, Amber”, powiedział. „Jak mogłaś zrobić coś takiego z włosami?!“ Odparłam, że robią to wszystkie moje koleżanki. Taka panuje akurat moda. „Nie podoba ci się?“, spytałam. Prychnął, próbując ukryć to, co naprawdę myślał, lecz w końcu zmusiłam go, by przyznał, że owszem, wyglądam w pewnym sensie atrakcyjniej, lecz nie powinnam rozjaśniać włosów, ponieważ dziewczęta z porządnych rodzin tego nie robią. „Wyglądają potem jak pospolita hołota. Rozumiesz?“ Powiedziałam mu, że matrony zawsze nakładały na włosy indygo. A Aida i Sibel farbują włosy na blond. „To co innego“, odparł. „One są kobietami. Ty jesteś dziewczynką. Poza tym twoje ciotki chodzą w tym celu do fachowca“. „To znaczy, że następnym razem ja też powinnam iść do fryzjera?“, spytałam. Posunęłam się za daleko i ojciec mnie uderzył.

- Uderzył cię? Ile miałaś lat?

- Może szesnaście. To był jedyny raz, gdy tak się zachował. Z pewnością nie chodziło tylko o włosy. To dziwne, lecz właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że pewnego dnia wyjadę, odejdę daleko stąd. Ten klaps popchnął mnie dalej, niż ojciec był w stanie sobie wyobrazić.

Zatonęły każda w swoim milczącym świecie.

- Co wtedy robiłaś, to znaczy, skąd czerpałaś rozrywkę?

- Och, byłyśmy paczką nastolatek, takich samych jak wszędzie...

Amber niemal pograżyła się w transie, przywołując dla córki świat swej młodości. Opowiedziała Nellie, jak mocno poruszał je głos Johnny'ego Mathisa, Domenica Modugno, Charles'a Aznavoura, jak szukały dla siebie wzorca, prze-

rzucając strony magazynów, opisujących życie gwiazd. Mówiła o komiksach i hollywoodzkich musicalach, o tęsknocie do świata po drugiej stronie oceanu, istniejącego jedynie w filmach i piosenkach. O tym, jak obsesyjnie naśladowały amerykańską modę dla nastolatek, rujnując się na bliźniaki ze sztucznego tworzywa, skarpetki za kostkę, klapki, buty do konnej jazdy kupowane na czarnym rynku. Podrasowane samochody i hotdogi były dla nich równie egzotyczne, jak dla innych haremy i bakława. Swetry robione przez matki na drutach nagle przestały się im podobać, ponieważ symbolizowały świat, od którego starały się uciec, nosząc krzykliwe bermudy - ten szczególnie uderzający przykład amerykańskiego złego smaku. Jednak one kochały wszystko co amerykańskie, ponieważ było amerykańskie.

Nadal przechowuję pamięć leniwych popołudni na ulicy Miodnej Esencji z czasów, gdy Amber była jeszcze nastolatką. Kobiety pochrapywały podczas sje-  
sty, mężczyźni grali w bezika w klubach, a młodzież kiwała się w takt *Wild Is the Wind* i *Nada per me*, popalając salemy i kenty, choć karton tych papierosów kosztował tyle, ile wynosiło całe ich miesięczne kieszonkowe. Jednak w tajemniczy sposób jakoś sobie radzili. Posługując się kilkoma zdaniami po angielsku, zapamiętanymi z rockandrollowych piosenek i komiksów, zaprzyjaźniali się z amerykańskimi szeregowcami, miłymi jasnowłosymi chłopcami w wojskowych butach i z bronią, żującymi „bazookę”, rzuconymi w pustkę anatolijskiej dziczy. *Give me. I love you. Want a date? Take me to the prom. Let's go to the hop. Jiminy Cricket. Holy macaroon. Hardy har har. See you later, aligator. After while, crocodile. I went digging ditches but now I dig it the most.* Udawały, że są Betty czy Veronicami, szukając dla siebie pary pośród Archiech, Reggiech i Opojów, podczas gdy ich babki, ubrane w czarne chustki i bezkształtne ciemne ubrania, przesiadywały na tarasach, pielęgnując tęsknotę za tym, co na zawsze utraciły, i przesuwając bursztynowe paciorki. Ach, dokąd zmierza ten świat?

Romanse trafiały do ich serc za pośrednictwem przemyconych egzemplarzy „True Love” czy „Photoplay”. Rozwodziły się o życiu Ricky’ego i Dave’a Nelsonów, których znały tylko ze zdobytych z drugiej ręki magazynów dla fanów, ponieważ telewizja jeszcze tu wtedy nie dotarła, i uganiały się za chłopcami, którzy ich przypominali - słońce letnich miesięcy, spędzanych na plaży, rozjaśniało nawet najciemniejsze czupryny, zwłaszcza z niewielką pomocą wody utlenionej, nadając im odcień spłowiałej miedzi. Taki sam u chłopców jak u dziewcząt.

Godziny sjesty spędzało się przed lustrem zamiast w łóżku, ostrożnie malując twarz, prasując nylonową bieliznę. Potem dziewczęta wyruszały ramię w ramię w dół ulicy Miodnej Esencji, kierując się ku bulwarowi Bagdadzkiemu, by tam wystawiać na pokaz rozkwitające piersi i opaleniznę. Czasami szły na plażę Sudiye albo do klubu „Circle d’Orient”, gdzie sączyły wiśniową fruko lub jadły posiłek, zapisywany potem na rachunek ojca. Ich oczy poszukiwały miłości. *Smoke Gets in Your Eyes* Frankiego Laine’a, zagłuszane głosem Zekiego Murena, śpiewającego *My Beautiful Magnolia*, dobiegało z głośników przez całą drogę stąd aż do Bostanci, gdzie tyle jest świateł.

Chichotały i szacowały wzrokiem chłopców, paradujących w skąpych kąpielówkach i podniecających się tak łatwo, że często jedynym ratunkiem okazywał się skok do chłodnej wody. O zmierzchu przyglądały się, jak pod odkrytymi prysznicami plażowicze zmywają z siebie piasek. Albo też jak ciemni mężczyźni w okularach przeciwsłonecznych, odziani w biel, przybijają do brzegu w łodziach, poskładanych z części przysłanych im przez krewnych z Ameryki, i zabierają na pokład starsze dziewczęta w szykownych kostiumach kąpielowych, by popłynąć z nimi na Wyspy Książęce, połyskujące w ostatnich promieniach słońca niczym rybie łuski.

-Zupełnie jak amerykańskie nastolatki w filmach z lat pięćdziesiątych - powiedziała Nellie. - Absolutnie nieziemsko.

- Absolutnie. Mieliśmy nawet dyskoteki.

Z jakim zapalem wykradały się do „Atomie Discotheque”, gdzie zamawiały cinzano z wodą sodową - nie obowiązywały ograniczenia wieku - a didżej dyszał do mikrofonu: *You Mean Everything to Me* i *Wild Is the Wind*, podczas gdy one tańczyły przytulone do chłopców albo szalały w twiście, a potem wcierały mleczko figowe w szyję, by ukryć ślady po pocałunkach.

Tuż przed zapadnięciem zmroku wracały ramię w ramię na ulicę Miodnej Esencji, z potarganymi włosami, strzegąc tajemnic, które dzieliły. Kwitnące lipy tworzyły nad ich głowami sklepienie, wydzielając zapach podobny do woni seksu, te same drzewa, które sięgają teraz skraju balkonu.

Tak było, nim wszystko straciło barwę. Wówczas domy, pomalowane na cukierkowe kolory, miały zielone okiennice i osobliwe ogródki, gdzie pomidory rosły na jednej grządce z różami, splecione ze sobą. Domy jednorodzinne, rozumiesz? A w nich rodziny epoki nuklearnej. Tureccy Ozzie i Harriet, symbole amerykańskiego stylu życia.

Lecz tylko na powierzchni. W głębi serca Turcy nadal byli nomadami, którzy od tysięcy lat żyli skupieni w plemiona, rozbijając namioty tam, dokąd zawiał ich wiatr, wkopując się w ziemię, by spać, i nie martwiąc się o to, że zapuszczą w niej korzenie. Dom był częścią ich ciała, dodatkiem, który w każdej chwili można było rozebrać i porzucić. Osiedlenie się na stałe było po prostu nie do pojęcia. Dom był czymś krótkotrwałym. Dom to stepy, pustynia, jaskinia, góry. Dom był tobą. Twoim ciałem.

Ich inwazja zatrzymała się w tym miejscu - dalej na zachód nie byli w stanie się posunąć. Ostatnie drzwi zamknęły się nieodwołalnie, a oni zostali po drugiej stronie, skazani na to, by odtąd już zawsze się do nich dobijać, błagać, by ich wpuszczono, rozpaczliwie starając się zostać częścią zachodniego świata, który jednocześnie próbowali zniszczyć.

Lecz w swej obsesji odkryli nagle, że ulegli potrzebie identyczności, naśludując formy, których nie rozumieli, stawiając domy, które do nich nie należały. Stracili pewność siebie i stali się nieprzewidywalni. Podobnie jak ich domy i święte miejsca, ukryli się za pustką pomiędzy fasadami srebrnego ekranu lub zamykali swoje kobiety za kratami haremów, za zasłonami, by ukryć wstyd, który mimo woli odczuwali. Utracili swoje dusze.

Gdy tu przybyli, tworząc zamknięte sąsiedzkie społeczności, nadal pielęgnowali wiejski styl życia. Innego nie znali. Każde osiedle rozrastało się w wioskę, nieposiadającą centralnego punktu - europejskie miasteczko nomadów, gdzie ludzie przesiadywali na werandach i balkonach, gdzie wszyscy się znali. Gdy zagrażała susza, kobiety zbierały się wokół fontann, by napełnić wodą puszki po oliwie i poplotkować. Mężczyźni przesiadywali przez cały czas w kawiarniach, paląc nargile. Nie potrafili przejść ulicy, by nie zatrzymać się przy każdym domu i rozmową nie wzmocnić łączących ich ze współmieszkańcami więzi.

Lecz w miarę najazdu barbarzyńców, żądnych złota, miasto rozrastało się wzwyż. Bliżej Boga, mawiano, lecz także bliżej Szatana. Domy znikwały. Pudełka rosły wzwyż i były coraz liczniejsze. Ludzie nad tobą, ludzie pod tobą i ludzie po obu stronach. Obcy, przybysze z innych plemion, krzyżujący się ze sobą. Spójrz na nas teraz.

Drzewa władały okolicą, gdy my, domy, znikaliśmy jeden po drugim. Lecz kiedy znalazły się w naszym cieniu, one także zaczęły tracić moc, tracić konary. Cyprysy dotrzymywały towarzystwa umarłym niczym przypominające wierzby płaczące wdowy, pogrążone w smutku. Płatan strzelały z ziemi na środku bulwaru, rosnąc na małych wysepkach gruntu, podczas gdy samochody pędziły obok nich z maksymalną prędkością. Umiłowanie drzew sprawiło niegdyś, że stały się tabu i nie wolno było ich ścinać, zwłaszcza tych bardzo starych. Tutaj drzewa są nietykalne, święte, są przodkami, których należy czcić, nie ścinać. Ich

Prorok powiedział, że posadzenie drzewa jest jak rok modlitwy. Ziemia była stworzona do kopania i stawiania budynków, lecz drzewa były domami, zamieszkiwanymi przez duchy przodków, a wyrządzenie im szkody karano śmiercią. Lecz z biegiem czasu nadciągnęły piekielne hordy, które nie rozpoznały świętych drzew i podpaliły je. Lasy płonęły nocami, przepelnione cierpieniem płonących dusz. Na miejscu, gdzie ongiś rosły, tworzyła się pustynia.

Wspominanie przeszłości sprawiło, że Amber poczuła się zagubiona i zdenerwowana. Wreszcie zreflektowała się i powiedziała do Nellie:

-Przepraszam, że zatraciłam się we wspomnieniach. Po prostu to, że tu jestem, bardzo mnie porusza.

- W porządku, mamó.

Amber wpatrywała się w krajobraz szarych sarkofagów, które dotąd zdawały się pustoszyć jej duszę. Nagle ogarnęło ją uczucie niespodziewanej ulgi. Jakby wypowiedzenie uczuć uwolniło od bólu, zapewniając chwilę wytchnienia. Jej twarz otworzyła się, a potem pociemniała.

- Nie możemy pozostać tu zbyt długo - powiedziała. - To miejsce jest jak rucho-  
me piaski. Czuję, jak mnie wciąga.

- Wyjedziemy, gdy tylko zechcesz. - Nellie pocałowała matkę na dobranoc i wróciła do łóżka.

Amber pozostała na balkonie, dopóki blady róż nie zabarwił nieba, oświetlając znikającą powoli nekropolię. Rozległo się odległe wołanie z brzucha bestii, wargi elektronicznego muezina powitały kolejny świt. **Allahuakbar**. Allah jest wielki.

Gdy tylko słońce pojawiło się za nieukończonym minaretem, jak zwykle rozległ się skrzyp kół wozów. Towarzyszyły mu dźwięczne nawoływania domokrażców, ryk klaksonów, megafony reklamujące rodzime filmy, wyświetlane w kinach na świeżym powietrzu, polityczne slogany o straszliwie natrętnych ry-mach. Ulica Miodnej Esencji raz jeszcze stała się areną głośnych deklaracji, któ-



re nie dawały ludziom spokojnie spać, wprowadzając ich bez ostrzeżenia w synkopowany wir codziennej krzątaniny.

Ulica pulsowała. Nellie zerwała się na równe nogi i stanęła pod framugą drzwi, jakby spodziewając się trzęsienia ziemi, posłuszna instynktowi, rozwiniętemu podczas lat spędzonych w San Francisco i rozbudzonemu podobnymi okolicznościami. Potem, wyglądając przez drzwi balkonowe, uśmiechnęła się z przymusem, próbując szczelniej zaciągnąć zasłony.

- Ta niesamowita cisza nie dała mi spać prawie przez całą noc, a teraz znowu to. Co się dzieje, mammo?

- To tylko uliczni handlarze, oferujący swoje towary. Jogurt, melony i przyprawy. W ten sposób reklamują różne rzeczy.

- Muszą aż tak się drzeć?

- Tworzą w ten sposób atmosferę koleżeństwa i rywalizacji. Przez swoje przyspiewki.

- Nie pojmuję tego.

Pomiędzy rosnącymi bezładnie drzewami pojawił się zielony traktor marki „John Deere”; ojciec i syn, usadowieni na stosie porów i cebuli niczym na grzędzie, zatrzymali się przed domem. W tej samej chwili zapukano do drzwi sypialni, a potem do środka weszła Camilla, nie czekając na odpowiedź.

-Do licha - powiedziała. - Wiedziałam, że ten hałas was obudzi. Postarajcie się jeszcze zasnąć. Macie, jedna para dla ciebie, druga dla Nellie.

Wepchnęła Amber w uszy woskowe zatyczki.

-Nie dostaniesz tu takich, najlepszego gatunku. Przybierają kształt, jaki tylko zechcesz. Teraz już wiesz, dlaczego proszę, żebyście przysłały mi je na każde Boże Narodzenie.

Camilla wyjrzała przez okno, nim wyszła z pokoju.

- Lepiej zbiegnę na dół i spuszczę koszyk. A wy jeszcze się prześpijcie.



- Pamiętaj, że jestem uczulona na cebulę.  
- Wezmę ją dla siebie.  
- Toczmy tę bitwę o cebulę za każdym razem, kiedy przyjeżdżam - wyjaśniła Amber córce, przewracając oczami.

- Jak można gotować, nie używając cebuli? - mówiła tymczasem Camilla. - Przecież to niemożliwe.

- Posłuchaj, to, że jestem alergiczką, wcale nie sprawia mi przyjemności. To prawdziwe utrapienie. Za każdym razem, kiedy chcę zjeść na mieście, muszę robić z siebie widowisko. Ale, do licha, jestem uczulona i na tym koniec.

- To psychosomatyczne.

- Wszystko jedno.

- Nie można gotować, nie używając cebuli. Słyszał kto o czymś takim?

- Cóż, ja musiałam się nauczyć.

Camilla opuściła koszyk z balkonu na czwartym piętrze, a syn handlarza nappełnił go porami i cebulą. Camilla wciągnęła warzywa.

Gdy wstały, poranek okazał się chłodny. Amber włożyła rozpinany sweter.

- Włożyłaś sweter na drugą stronę - roześmiała się Camilla. - Wiesz, że jeśli włożysz ubranie odwrotną stroną na wierzch, cały dzień nie będzie ci się wiodło.

- Już mi się nie wiedzie.

Potem usiadły we trójkę na balkonie, przy stole nakrytym plastikowym obrusem w szachownicę. Camilla harowała jak niewolnica przez cały ubiegły tydzień, by przygotować jedzenie na ich przyjazd. Postawiła teraz przed nimi kolorowe rzędy różnych *dolma* - faszerowanych papryk, oberżyny, pomidorów, dyń.

- Bez cebuli - powiedziała. - Naprawdę. W jedzeniu nie ma cebuli.

Amber wzięła do ust kęs, obróciła go z wolna na języku, wyczuła niemożliwą do pomylenia kruchość cebuli. Starając się, by wypadło to możliwie jak najbardziej dramatycznie, wypluła ostentacyjnie jedzenie na widelec i rozsmarowała je

na skraju talerza. Camilla i Nellie jadły w milczeniu. Potem Amber zaczęła grzebać widelcem w nadzieniu, przepatrując każdy kęs w poszukiwaniu cebuli. Wbiła wzrok w Camillę, która nie odezwała się ani słowem. Zaciśnęła tylko i wykrzywiła wargi. Amber zrobiła to samo. Camilla westchnęła głęboko i zrobiła minę osoby niezaskuszonej skrzywdzonej. Wstała i zaczęła uprzątać stół.

- Byłaś dla niej niemiła - powiedziała Nellie, gdy babka wyszła z pokoju.

- Wie, że jestem uczulona. Wie o tym przez całe moje życie. Nie zamierzam jeść cebuli i potem chorować, by sprawić jej przyjemność.

- Jesteś gościem w jej domu.

- Nie jestem już pewna, kto tu jest matką, a kto dzieckiem.

- Ja też nie.

Następnego dnia Camilla podała na obiad zraziki i **borek**.

- Bez cebuli - powiedziała. Tym razem była to prawda.

Ulicą przeszedł następny handlarz.

***Fasolkę sprzedaję,***

***Brzoskwinie,***

***Winogrona,***

***Pomidory,***

***Ostrą paprykę,***

***Oberżynę.***

Następnej nocy Amber nawiedził sen. Był tak realistyczny, że gdyby ktoś mógł przyglądać się jej, jak śpi, zobaczyłby sen wyraźnie jak film na ekranie.

***Ubrana w naszywany cekinami strój, w szerokich haremowych spodniach i z zasłoniętą twarzą, leci na zaczarowanym dywanie ponad miastem wybudowa-***

*nym w studiu filmowym Disneya. W pewnej chwili maszyna do wytwarzania wiatru zaczyna pracować ze zdwojoną mocą. Amber zsuwa się z dywanu, spada korkociągiem w dół i ląduje na polu wrzącej lawy. Cała płonie, mimo to nadal żyje. Postanawia zdjąć spaloną skórę i odrzucić ją jak wyslizgujący się z wylinki wąż. Po tym zabiegu cała jest otwartą raną i przypomina galaretę, bezbronną jak ptasie embriony w Turkusowym Domu jej dziadków. Dzwoni telefon.*

Camilla trąca Amber, podając jej słuchawkę z długim przewodem.

-Do ciebie.

-Amber, kochanie, to ja. Mogłabyś do mnie przyjechać? Proszę. - Szorstki głos Aidy wydaje się dziwnie nagły.

- Co się stało?

- Nic - odpowiada Aida. - Nic. Po prostu przyjeźdź. Odwiesza słuchawkę.

Camilla unosi stojącą na nocnej szafce szklankę z wodą, po czym potrząsa z dezaprobatą głową.

-Nie przykryłaś szklanki. Po to właśnie są serwetki. Te, które tak cię śmieszają. Nigdy nie wiadomo, co może wpaść ci do szklanki, kiedy śpisz. Ćmy, muchy, pająki. Wiesz, co znalazłam pewnego ranka w szklance twego ojca? Martwego karalucha. Ale najgorsza rzecz przytrafiła się Goncy, niech Bóg ma w opiece jej duszę.

Amber słyszała już tę historię wiele razy, mimo to postanowiła wytrwać i wysłuchać jej po raz kolejny. Dopiero co przyjechała. Wypróbowywała swoją zdolność zachowywania zimnej krwi najdłużej, jak to możliwe. Była dorosłą kobietą. Nie zamierzała dopuścić, by wszystko potoczyło się ustalonym torem.

- Gonca zawsze szykowała sobie na noc wodę do picia i nigdy jej nie przykrywała - mówiła dalej Camilla. - I pewnej nocy, plusk, jaszczurka wpadła jej do szklanki.

- A jak jaszczurka dostała się do domu? - spytała Nellie.

- Och, dzieci musiały przynieść ją z kanałów albo z jakiegoś innego miejsca.

Biedna, biedna Gonca wypić wodę przez sen i połknęła jaszczurkę, która zaczęła zjadać ją od środka.

- Powiedziano mi, że umarła na raka wątroby.

- Tak, jaszczurka dobrała się też do jej wątroby.

Amber nie chciała, aby przypominano jej o śmierci Goncy. Camilla wielce przesadziła, opowiadając o tym. Zawsze niesamowicie dramatyzowała, opisując czyjąś śmierć, choć nie opowiedziała jeszcze Amber, jak zmarł jej ojciec.

W saloniku poćwierkiwał już telewizor. Camilla nie wyłączała go przez cały dzień, dla ciepła ludzkich głosów, widoku ludzi, dotykających się i rozmawiających ze sobą. Wypełniał ciszę, nawet w nocy, gdy spała. Rozmawiała z nim, gdy była sama, i uzyskiwała odpowiedzi. Jej własna, interaktywna zabawka.

Dokument na ekranie przedstawiał potoki deszczu. Wzgórze zniszczone przez erozję. Wieśniacy w kolorowych strojach wchodzili na wzgórze, klękali na ziemi jak do muzułmańskiej modlitwy i wykonując także gesty, sadzili rośliny. Reporter na ekranie pokazywał garść pełną nasion. „Z tego wyrasta drzewo, a z drzewa cały las” - mówił z offu, podczas gdy na poklatkowych zdjęciach młode drzewka z wolna rozwijały się w dojrzałe drzewa, a wszystko to w przeciągu kilku sekund. „Drzewa są waszymi przyjaciółmi. Zasadzenie jednego znaczy więcej niż rok modlitwy. To *sevap*, dobry uczynek” - mówił dalej, po czym wręczał każdemu, kto tylko chciał zasadzić drzewo, sadzonkę i podawał mu bezpłatny numer telefonu. Bezpośrednio po tym młody Turek w wymyślnym stroju, wyglądający, jakby dopiero co opuścił salon Armaniego, wchodził do stambulskiego „Hiltona” i błyskał kartą płatniczą. Po czym na ekranie pojawiał się napis: „Niebieska karta. Sprawia, że marzenia stają się rzeczywistością”. Zmontowane ujęcia pokazywały następnie apartament w wysokościowcu, najnowszy model wyprodukowa-

nego w kraju samochodu „Renault”, mikrofalówkę firmy Arcos, tureckiego odpowiednika General Electric.

- Twoja dawna sympatia, Erol, jest teraz prezesem Arcos. Gdybyś tylko została w kraju - Camilla nigdy nie zaniechywała okazji, aby poubolewać na ten temat - mogłabyś dostać jednego z najbogatszych mężczyzn w Turcji. Tyle dobrych rodzin pragnęło cię dla swoich synów. Mogłabyś wyjść za któregoś z nich. Mogłabyś żyć jak królowa.

- Taak? I stać się bezmyślną lalką z wyższych sfer, z wieczną opalenizną, złotą biżuterią i gromadą nieprzystosowanych społecznie dzieciaków?

- Musa Kurtman bardzo cię pragnął. Powiadają, że zostanie następnym prezydentem.

- Słyszałam, że teraz jest fundamentalistą.

- To prawda. Może i dobrze, że za niego nie wyszłaś. On i jego ludzie modlą się pięć razy dziennie i noszą brody. Ale to człowiek sukcesu. Na okrągło pokazują ich w telewizji. A ta twoja koleżanka ze szkoły, Tansu, skorumpowana premier. Popatrz tylko, co z niej wyrosło. Mogłabyś mieć wszystko, czego tylko byś zapragnęła, być każdym. Nawet gwiazdą.

- A zamiast tego jesteś walczącą o byt architektką. I nadal pracujesz. W twoim wieku - powiedziała zgryźliwie Amber, naśladując głos matki. - Kismet.

Wyszła na papierosa. Pierwszego od dwudziestu lat.

- Nie powinnam była pozwolić ci jechać do Ameryki.

- Wybór nie należał do ciebie. Miałam osiemnaście lat.

Camilla zapaliła papierosa i uciekła do kuchni. Zagotowała mleko na kawę dla Amber. Marki „Starbuck”, z Kalifornii. Księżniczka wśród kaw.

- Mleko jest już pasteryzowane, mamó. Nie trzeba gotować.

- Pasteryzowane, fasteryzowane. Na jedno wychodzi. Kto wie, jakie mikroby w nim pływają. Nie rozumiesz tych rzeczy. Jesteś teraz zbyt amerykańska.

Amber naląła kawy.

- Napijesz się?

- Nie, dzięki.

- Przywiozłam też trochę bezkofeinowej. Camilla mlasnęła językiem.

- Nie, wolę neskę.

Być może widok ziaren kawy rozbudził w niej gorycz, pomyślała Amber. Sprowadził wspomnienia nieszczęsnej plantacji. Papatyi i Rodriga. Utraty wygodnego, pełnego wdzięku stylu życia. Wszystkich nieoczekiwanych kompromisów. To dziwne, że dawni mieszkańcy „Apartamentów Przędki” ulegli aż takiemu rozproszeniu - wszyscy z wyjątkiem Camilli i Aidy. Starsza generacja wymarła, dzieci rozproszyły się po świecie pod innymi nazwiskami. Ich małżonkowie są cudzoziemcami - Niemcami, Hiszpanami, Szwedami, Amerykanami, Australijczykami, Argentyńczykami. To niesamowite, że jedyna osoba z rodziny, nosząca dawne nazwisko, nie ma synów. Nie będzie komu go przekazać. Ród Ipekćich wygaśnie.

- Szkoda, że nie kupiłaś butelki whiskey w sklepie wolnoctwowym - poskarżyła się Camilla.

- Whiskey? Pijasz whiskey? To coś nowego.

- Miło mieć ją pod ręką, kiedy ktoś nas odwiedzi. Lubię częstować nią moje przyjaciółki, wolontariuszki z Czerwonego Krzyża i Towarzystwa do Walki z Rakiem.

- Pytałam, co mam ci przywieźć, i powiedziałaś: zatyczki do uszu, witaminy i nici dentystyczne. To wszystko. To nie w porządku z twojej strony: kazać mi się domyślać i czuć się winną, jeśli coś nie przyjdzie mi na myśl.

- Przepraszam.

Camilla wróciła do oglądania telewizji. Amber spacerowała wzdłuż holu, popijając kawę.

- Czego życzyła sobie Aida?
- Nie wiem. Mówiła tak, jakby miała za sobą złą noc. Prosiła, bym do niej przyszła.
- Dopiero co przyjechałaś, Amber. Nie daj się wciągnąć. Ona zawsze macha ogonem niczym suka, gdy czegoś chce. Stara kokota. To wręcz nie do wiary.
- Co to takiego kokota?
- Kokietka. Ach, doprowadza mnie do szału. Wygląda jak kiełbaska wylewająca się z osłonki, a te jej piersi - to, co z nich zostało - odsłonięte i wyskakujące ze stanika. I te włosy, ufarbowane na wściekle rudo, niczym u jakiejś dziwki. Że nie wspomnę o sztucznych rzęsach, zawsze w połowie odklejonych, opadających jej z powiek. Albo o przetykanych srebrem sprzączkach u butów z delikatnymi obcasikami w stylu Ludwika XV których nie wstydzisz się nosić nawet w biały dzień. Mogłabym tak wymieniać bez końca. Kobieta powinna zachowywać się stosownie do wieku. Co ona sobie wyobraża? Że nadal jest naiwnym dziewczęciem w konkursie piękności? Czy znajduje przyjemność w uwodzeniu chłopców o połowę od niej młodszych, bo przypominają jej to, co utraciła?
- Jakich chłopców? - spytała Amber. - To brzmi ciekawie.
- Nie będę plotkować.
- To nie fair. Sama zaczęłaś. Teraz jestem ciekawa. No, mów.
- Cóż, obiecaj na moje martwe ciało, że nie powiesz o tym nikomu, zwłaszcza jej. Obiecujesz?
- Dotknij mego serca.
- Cóż, kilka miesięcy temu wdała się w romans z sąsiadem, mieszkającym w szkaradnym domu, który tak ci się podoba, tym z kośćmi i różnymi rzeczami - tym, który stale fotografujesz.
- Naprawdę? Kim on jest? Co o nim wiesz?



- Ludzie mówią, że jego rodzice wyjechali do Niemiec jako robotnicy i dorobili się tam pieniędzy, wytwarzając szpikulce do szaszłyków i kebabów, tygielki *cezve*, samowary, młynki do kawy, tego rodzaju rzeczy. Kiedy wrócili, kupili dom od córki staruszka i stali się ludźmi szanowanymi.

- Gdzie są teraz?

- Och, to okropna historia. Jechali do Ankary, gdy wpadła na nich ciężarówka pełna nitrogliceryny. Stopili się jak świece, mąż i żona w jednej chwili zamienili się w parę. Nie został nawet ślad ich szkieletów - powiedziała Camil-la z pewnością siebie osoby, która widziała wszystko na własne oczy. - Niech Bóg ma w opiece ich dusze. Potem Teoman, tak ma na imię ten chłopak, wrócił z Niemiec, gdzie studiował archeologię, ornitologię czy coś takiego, i wprowadził się do tego domu. Złożono mu wiele ofert, by zgodził się zamienić dom na apartamentowiec taki jak nasz, ale wszystkie odrzucił. Powiedział, że lubił mieszkać tu z rodzicami, kiedy był dzieckiem. Jak dokonywałyby się postępy, gdyby wszyscy myśleli tak jak on? Poza tym jest uparty jak osioł. Nie pozostała w nim ani kropla tureckości - giaur, jak ty. Niebieskie oczy, wysoki, musi mieć w sobie albańską krew, może macedońską - nawet mówi z akcentem.

- Wygląda na to, że dużo o nim wiesz. Jak zetknął się z Aida?

- Aida jest bezwstydną. Mogłaby być niemal jego babką, a ludzie widzieli ich, jak szli po bulwarze Bagdadzkim, trzymając się za ręce, i jedli melbę z jednego pucharka w „Di-van Café”. Uwierzyłybyś w to? A sąsiedzi... znasz te siostry, stare panny... twierdzą, że przychodzi do niej w nocy. Takie rzeczy tu się po prostu nie zdarzają. Wstyd. Wielki wstyd. *Çok ayip. Çok. Çok.*

- Daj spokój, mamó. Ona jest wdową. Czuje się samotna - powiedziała Amber, dyskretnie wyciskając cytrynę do mleka (stara sztuczka). - Dopiero co amputowano jej pierś. Co może zaszkodzić trochę towarzystwa? Jeśli to ją uszczęśliwia, dlaczego nie miałaby się zabawić? Życie jest krótkie.

- Wszystkie jesteśmy wdowami - odpaliła Camilla. - Ale bez naszych obyczajów byłybyśmy jak nagie.

- Więc?

- Tak się po prostu nie robi.

Gotowane mleko ścięło się od cytryny. Amber naląła sobie nową filiżankę kawy i dodała do niej świeżego, pasteryzowanego mleka. Po czym schroniła się w łazience, by zaznać choć chwili samotności. Było to jedyne miejsce, gdzie wolno jej było zamknąć drzwi i w spokoju dojść do siebie.

Okna apartamentu Aidy wychodziły na wschodni róg ulicy Miodnej Esencji - bliźniak syjamski domu Camilli. Kiedy otworzyła drzwi, oczy miała podpuchnięte, jakby przez całą noc zmagająca się z bezsennością. Z nieumalowanymi brwiami, bez sztucznych rzęs jej twarz wydawała się nieumalowana niczym twarz obcej istoty. Piers miała z jednej strony zapadniętą; nie dostała jeszcze protezy - tej, którą Amber będzie i tak w końcu musiała wykupić, acz niechętnie, od skorumpowanego urzędnika celnego.

Aida, ubrana w pikowany szlafrok w kolorze fuksji, przemierzyła z trudem korytarz i wtoczyła się do sypialni, gdzie padła na łóżko, przybierając pozę znużonej odaliski, która najlepsze lata ma już za sobą.

- Czy kiedykolwiek kogoś kochałaś, Amber? - spytała.

- Obudziłaś mnie o siódmej rano, by zadać to pytanie?

- Obudziłam cię, ponieważ w moim sercu panuje ciemność.

Amber dotknęła policzka Aidy.

-Przykro mi - powiedziała. - Oczywiście, że byłam zakochana.

- Kochałaś ojca Nellie?

- Och, to skomplikowana historia.

-Czy mamy coś lepszego do roboty, by wypełnić sobie dzień?

- Nie chciałabym znowu do tego wracać.

- Napiałabyś się jeszcze herbaty?

- Nie, dzięki.

-Założę się, że miałabyś ochotę na trochę *salepu*. Napój z korzenia storczyka dobrze ci zrobi. Nie wstawaj.

Amber zaczęła nerwowo rozglądać się po pokoju. W końcu skupiła wzrok na szklanej kasetce, zawierającej chusteczkę z monogramem „KA”, trofeum królowej piękności. Wyblakły bukiet suszonych róż wydzieliał zapach octu. W kasetce znajdowała się też fotografia ślubna Aidy, w mieniącej się atłasowej sukni, ze sterczącym brzuchem. Camil-la powiedziała Amber, że Aida była w ciąży, wychodząc za męża, lecz poroniła, gdy wyjechali do Niemiec, gdzie porucznik został wysłany jako attache wojskowy.

Nad lustrem widać było dwóch mężczyzn ujętych w ramki: jej męża, Generała, i Atatürka - oczywiście portrety wielkiego człowieka zdobiły każdy porządny dom w kraju i każde biuro, lecz rzadko sypialnię.

- Te badawcze, skupione spojrzenia. Nie czujesz się pod presją, gdy ci faceci przypatrują ci się w dzień i w nocy? -spytała Amber, sącząc cynamonowy *salep*.

- Ani trochę. Kobiety rezerwują intymność dla luster. Rozmawiamy z naszym odbiciem. Być może jest to jedyne miejsce, gdzie mówimy prawdę. Lecz ci mężczyźni nie mogą widzieć mego odbicia, więc jak mogliby wywierać na mnie presję? To, że widzą, jak wykonuję wokół siebie drobne zabiegi, przynosi mi pociechę, rozumiesz?

Amber skinęła głową, chociaż nie była do końca pewna, co Aida miała na myśli.

- Byłaś młoda, kiedy straciłaś ojca Nellie. Jak to się stało, że nigdy ponownie nie wyszłaś za męża? - dopytywała się Aida. - Tak mało wiemy o twoim życiu.

- Ty sama byłaś jeszcze ładna, gdy zmarł Generał. Jak to się stało, że i ty nie wyszłaś za mąż?

- Nie mogłam. W tamtych czasach ukamienowano by wdowę, która by choć spojrzała na innego mężczyznę - nie tak jak tam, gdzie mieszkasz. Tam możecie wychodzić za mąż i sto razy. Zgadza się? Jak Elizabeth Taylor.

Toaletkę i krzesła spowijały spódniczki z mory, a na lakierowanej powierzchni mebla tłoczyły się buteleczki zwietrzałych perfum. Amber podniosła niebieski flakonik z czarnym kotem.

- Chat Noir. Dżiny w butelkach perfum. - Uśmiechnęła się.

- Co masz na myśli?

- Moja pierwsza lekcja próżności. Pamiętasz?

- Słabo. Przypomnij mi.

- Gościliśmy na plantacji wuja Iskendera. Tuż przed pożarem. Miałam zaledwie siedem lat. Nakryłaś mnie przed swoją toaletką, wymazaną kosmetykami i zlaną perfumami.

Moment, o którym mówiła Amber, zatarł się w pamięci Aidy. Nie potrafiła go sobie przypomnieć.

- O tak, pamiętam - skłamała jednak. Amber sięgnęła do torebki.

-Ja nie zapomniałam - powiedziała, wyjmując powoli pudełeczko, owinięte w używany wcześniej ozdobny papier i obwiązane wstążką.

Aida przeniosła spojrzenie z rąk Amber na jej twarz, a potem z powrotem na ręce. Zastygły na wargach uśmiech zdradzał, że serce, ukryte pod blizną, gdzie kiedyś była jej pierś, bije gorączkowo. Półksiężyc i gwiazda zniknęły razem z pierśią.

- Drobnny prezent.

Aida z namaszczeniem umieściła pudełeczko na tacy, zdobnej deseniem z opalizujących motyli skrzydeł: niebieskich, zielonych i złotych, którą Generał

przywiózł z wojny koreańskiej. Gdy odwijała papier z zachłanną ciekawością dziecka, rzucającego się na bożonarodzeniowe podarki, na tacę potoczyły się ma-lutkie fiolki, wypełnione przejrzystym płynem.

Podnosiła po kolei każdą z nich i odsuwała na odległość ramienia, by przeczytać etykiety. (Aidzie nigdy nawet nie przyszło na myśl, by sprawić sobie okulary do czytania).

-Poison, Opium, Obsession, Shocking, Temptation - odczytywała śpiewnie. - I Shalimar!

-No i perfumy Elizabeth Taylor. Black Pearls.

-Nie przepadam za nimi, lecz Shalimar to zawsze był mój ulubiony zapach. Generał przywoził mi z Paryża olbrzymie butle tych perfum, kiedy był tam do-radcą wojskowym. To był mój zapach. Wszyscy wiedzieli, że się zbliżam, jesz-cze zanim mnie zobaczyli. Od wieków nie miałam okazji choćby się nimi skro-pić! Tutaj nie można ich kupić, wiesz o tym? Och, Amber, jesteś aniołem!

Zwilżyła czubek palca wskazującego perfumami i dotknęła nim skóry za uszami, na wewnętrznej stronie nadgarstków, a potem w miejscu, gdzie spotyka-ją się dwie żyły, tworząc kształt litery „Y”.

- Tu właśnie mężczyzna powinien całować kobietę. Lubimy być tu całowane, prawda?

- Owszem - zaśmiała się Amber. - Tak, słyszałam tę historię wiele razy, w wie-lu wersjach. Lecz nigdy od ciebie.

- Właśnie w ten sposób uwiódł mnie Generał... to znaczy, wtedy porucznik. Całując to miejsce.

Porcelanowe baletnice w ciasno zasnurowanych gorsetach kręciły piruety wokół poruszającej się tacy. Pozytywka z klonu, inkrustowana kwiatami: cyno-browymi i czarnymi jak heban, wygrywała *Twinkle, Twinkle Little Star*. Inna, pokryta taj skim jedwabiem, grała Marsylianę.

Atatürk i nieco mniejszy Generał przyglądali się temu spod krzaczastych brwi - jeszcze jedno, co mieli ze sobą wspólnego. Amber wzięła do rąk fotografię, przedstawiającą Aidę, Papatyę i Sibel w rozkwicie dojrzewania, ubrane identycznie w marynarskie mundurki, ustawione jak dziewczęta z chóru. Inne zdjęcie ukazywało dziewczęta ubrane w klasyczne ludowe stroje: szerokie spodnie, kamizelki, szale. Niedająca się pogodzić kulturowa dwoistość.

- Śliczne jedwabne księżniczki - powiedziała Amber, zamyślona. - I wspaniała królowa piękności...

- Tak. Cóż za chlubny dzień dla rodziny! Jestem pewna, że o tym słyszałaś. Chodź tu i usiądź obok mnie. Opowiedz mi swoją wersję.

- ***Bir varmış, bir yokmuş*** - zaczęła Amber. - Był sobie raz fabrykant jedwabiu z trzema córkami. Jedna była zimna, lecz przebiegła, druga potrafiła śpiewać jak słowik, a trzecia odznaczała się taką urodą, że nawet hurysy w rajskim ogrodzie nie mogły się z nią równać. Była piękniejsza niż księżyc, dlatego nazwali ją Aidą, Królową Księżycy. Gdy Aida podrosła i stała się kobietą, rodzina, zauroczona jej pięknnością, poświęcała wszystkie siły, by tworzyć wspaniałe stroje, które podkreślałyby jej urodę. Świat, wraz ze wszystkim, co mógł zaoferować, leżał u stóp Aidy. Starający się o jej rękę kawalerowie przybywali z najdalszych stron królestwa. Odznaczała się bowiem tym rodzajem magii, który sprawiał, że ludzie chcieli budować dla niej pałace. Wspiąć się na górę Ararat. Zabić olbrzyma. Pokonać smoka. Rozpocząć wojnę. Lecieć na Księżyc. Wszystko, co nieosiągalne. Mogła zostać królową - nie królową piękności, ale prawdziwą. Wielu arabskich książąt i emirów zostawiało podarki na progu jej domu. Wielu generałów przynosiło trofea. Prawdę mówiąc, nawet wielkiego przywódcę Atatürka tak oczarowała uroda Aidy, że osobiście wręczył jej koronę.

Słuchając, ciotka utkwiała spojrzenie w twarze mężczyzn na portretach, a przez zmniejszone do wielkości główki od szpilki źrenice mogły przeniknąć tylko jej wspomnienia.

- Nasza rodzina była niepewna swej przeszłości, a bez niej, Amber, czuli się niedookreśleni. Wymyślili więc dobrą historię, aby nią błyszczeć. Mieć coś, co mogliby przekazywać innym. By nikt się nie dowiedział, jacy jesteśmy mierni i pospolici.

- Chcesz mi powiedzieć, że to się nigdy nie zdarzyło?

- Nie w ten sposób, jak sobie to wszyscy wyobrażają.

- Nie poznałaś Atatürka?

- Oczywiście, że poznałam. Przyszedł na konkurs piękności. Nie widziałam przedtem mężczyzny tak silnego, władczego, charyzmatycznego, przystojnego. Oddałabym cały świat, by zostać jego niewolnicą. Lecz on mógł mnie tylko ukoronować. To wszystko. Po prostu.

- Wszystko? Nie wierzę w to.

- Wierz sobie, w co chcesz.

- Nigdy z nim nie wychodziłaś? Cmoknęła językiem, co miało znaczyć: „Nie”.

- Nigdy nie jechałaś jego daimlerem? - Amber widziała limuzynę w Anit Kabir, teraz już ukończonym Mauzoleum Atatürka. Patrzyła na nią, fantazjując na temat Aidy i Atatürka, baraszkujących na tylnym siedzeniu. - Nie kochałaś się z nim?

Aida cmoknęła językiem raz jeszcze.

- Nie wierzę w to.

- Dopóki nie umrę, prawda będzie wyglądała właśnie tak. Amber wskazała portrety na ścianie.

- Wiesz, oni słuchają i znają prawdę.

- Tak, a ja jestem już zmęczona graniem przed nimi. Powiem ci więc, co się wydarzyło. Oczywiście, tańczyłam z nim. I mnóstwo razy wyjeżdżałam jego da-



imlarem, lecz nie z nim. Zawsze z twoim wujem, Generałem. Był wtedy kierowcą Atatürka, miał więc dostęp do jego samochodu.

- Cóż, to ci dopiero rewelacja! Nie wiem, w co wierzyć.

- Czy to ma znaczenie? Nie, nie ma. Każdy postrzega rzeczy na swój własny sposób. Inaczej wymyśla starą historię. Prawda nie musi pasować ani do mojej, ani do ich wersji, prawda? Zapomnij o wszystkich tych bzdurach i kontynuuj swoją opowieść, dobrze?

- Mijały lata i kismet doprowadził Aidę do podeszłego wieku, kiedy to bezpowrotnie straciła urodę. Straciła włosy, skórę, straciła nawet jedną ze swoich piersi. Popadła w obsesję na punkcie odzyskania młodości, nieustannie poszukując leczniczych napojów, które wygładziłyby jej skórę, mikstur, które pomogłyby pozbyć się zmarszczek, nawet przystojnych młodzieńców, tak młodych, że mogliby być jej wnukami, by schlebiali próżności.

- *Aman, aman!* Boże, zlituj się! Co słyszałaś?

- Że masz kochanka.

To naprawdę wzburzyło Aidę.

-Te dziwki nie mogą znieść światła w cudzych oczach -złościła się. - Rozkoszują się cierpieniem, czują się dotknięte, gdy komuś sprzyja los. Niech Allah sprawi, by zakrztusiły się swoimi osądami. Niech Szatan przeklnie ich języki, by nie mogły więcej mówić.

Nagle zalała się łzami.

-Gdyby tylko wiedziały! Gdyby wiedziały, jak bardzo cierpiałam - łkała. - Amber, mój śnie, nie masz pojęcia, przez co my tu musimy przechodzić. Szczęście staje się źródłem zawiści. Nieszczęście to powód do świętowania. Tu zazdrości się bliźnim szczęścia, a celebruje zły los. Ludzie zachowują się tak, jakby umieszczono ich na świecie po to, by uprzykrzali innym życie, jakby nie było ono i bez tego dość ciężkie. Powiedz mi. Jak możemy przetrwać bez współczu-

cia? Musimy nosić te głupie talizmany, ponieważ za każdym oknem czyha ktoś, kto próbuje rzucić na nas zły urok. Jednak talizmany zbyt nie pomagają, prawda? Masz szczęście, że nie zostałeś w kraju, że nie musisz teraz gnić tutaj i cuchnąć niby siemię lniane jak reszta z nas. Allah był po twojej stronie. Żałuję, że nie zrobiłam tego co ty. Żałuję, że nie uciekłam, póki mogłam to zrobić.

Ten nagły wybuch, to całe gadanie o Allahu sprawiło, że Amber poczuła się nieswojo.

- Każde miejsce zmusza nas do stawienia czoła specyficznym wyzwaniom - powiedziała.

- Nie takim jak te. Tam gdzie mieszkasz, kobiety w moim wieku mogą przyjaźnić się z młodymi mężczyznami. Prawda?

- Taa, jednak ludzie nadal uważają to za dość... wyjątkowe.

- I co z tego? Komu przeszkadza, że jest się wyjątkowym? Czyż nie byłam wyjątkowa, ale straciłam wszystkie możliwości, udając, że jest inaczej? A ty? Czy nie dlatego stąd wyjechałaś? By znaleźć miejsce, gdzie mogłabyś być inna niż wszyscy? Tego nie da się ukrywać zbyt długo, czyż nie? Prawda zawsze wychodzi na jaw. Tak jak teraz. Usiłuję powstrzymać ten proces, a to mnie niszczy. Mam w nosie, co sobie myślą ludzie o umysłowości pająka, ich usta powinny zostać wypchane pieprzem cayenne i zaszyte. Oczy wydłubane za to, że we wszystkim dopatrują się zła. Ich seks obrzezany...

- A tak nawiasem mówiąc, kim on jest? - przerwała jej Amber.

- To najśłodszy chłopak na świecie.

- Jesteś w nim zakochana?

- Zakochana? Zakochana? Ludzie po prostu by tego nie zrozumieli. Co oni wiedzą o miłości? Znasz te dwie stare panny z pierwszego piętra? Siostry, jak mi się zdaje. Niezłe z nich dziwaczki. Myślę, że ojciec je pieprzył i że robiły to ze sobą. Te wściekłe suki chowają się za okiennicami i przez cały dzień wszystkich

szpiegują. Widzą, same nie będąc widziane. Przyglądają się chłopcom i dziewczętom, flirtującym niewinnie, tak samo jak w czasach twojej młodości. Zastawiają pułapki, rozpuszczają plotki. Niszczą ludziom życie. Słyszałam, iż rozpowiadają w okolicy, że prowadzę tutaj dom schadzek czy coś podobnego. Rzeczmo widziały, jak mężczyźni wchodzą do mnie i wychodzą. A ja chcę tylko trochę prywatności. Jędze. Pewnego dnia Allah ześle z nieba deszcz kamieni, by je ukarać. Przekonasz się. Oby uschły im języki, a kruki wydziobały oczy.

- Powiedz mi, co naprawdę się dzieje.

Aida usiadła przy toalecie i zaczęła energicznie szczotkować włosy rzeźbioną szczotką z kości słoniowej, którą Iskender przywiózł jej swego czasu z wyprawy na Jedwabny Szlak.

- Ludzie zaczęli gadać, musieliśmy więc przestać się widywać. Zamiast tego pisywaliśmy do siebie listy i rozmawialiśmy szeptem przez telefon, chociaż z mojego okna widać jego mieszkanie. Widywałam, jak układa rzeczy na werandzie - co dzień inny kwiat, by coś mi powiedzieć. Kwiaty przemawiają własnym językiem, wiesz o tym - bratki oznaczają, że ktoś czule o tobie myśli; fioletowy orlik to postanowienie; czerwone maki - pocieszenie; konwalie - powrót szczęścia; dzięgiel - natchnienie. Ale jak długo tak można?

- Dlaczego tak się przejmujesz plotkami? Na miłość boską, jesteś już dorosła.

- Umówiliśmy się w ostatni wtorek wieczorem. Nie chciał wejść frontowymi drzwiami z uwagi na siostry, więc co mu pozostało? Wspiał się na mój balkon po wistarii niczym jakiś Romeo. Mógł spaść, rozbić sobie głowę, złamać kręgosłup, prawda? Mimo to ryzykował życie, drogi chłopiec. Jednak stare panny i tak go dostrzegły. Po jakimś czasie do drzwi zaczęła dobijać się policja. Powiedziałam mu, by ukrył się w szafie. Spytałam policjantów, czego sobie życzą. Powiedzieli, że ktoś im doniósł, iż w moim mieszkaniu przebywa mężczyzna. Powiedziałam im więc nonszalancko, by sami sprawdzili. Zadziałało bez pudła. Myślę, że ta

szafa ma w sobie coś zaczarowanego - tak długo należała do naszej babki Esmy. Jak ona by cię uwielbiała! Życie jest okrutne. Tak czy inaczej, poszli sobie, zbytnio się nie rozglądając. Wiedziałam jednak, że nie zrezygnowali i że będą mieli dom na oku przez całą noc. Jak miałam go wypuścić?

- Czy mogą przeszukiwać mieszkanie bez nakazu?

- Mogą robić, co tylko zechcą. Przetrzytałam go więc w słynnej szafie przez noc i cały następny dzień, bojąc się odezwać choć słowem, poruszając się ostrożnie, by trzeszcząca podłoga nie wzbudziła podejrzeń sióstr. Cały ten czas spędziłyśmy, bojąc się panicznie, że spotka nas niesława. Następnego dnia, tuż przed świtem, ześliznął się po winorośli. Tym razem nikt go nie zobaczył.

Otarła oczy.

- Po tym, co się wydarzyło, musieliśmy sobie przysiąc, że już się nie zobaczymy. Jaki mamy wybór?

- Może mogłabym coś zorganizować. Mogłybyśmy pójść gdzieś razem, a on by do nas dołączył.

- **Yok.** Nie ma sensu igrać z ogniem i wciągać w to jeszcze ciebie. On jest w moim sercu, a ja w jego. Tylko to się liczy. Tak wiele już straciłam.

Wskazała na brakującą pierś.

- Czasami czuję się, jakbym nadal ją miała. Co jeszcze miałabym karmić? Zapal mi papierosa, dobrze? Zwykle nie palę - nie dlatego, że boję się raka, ale z powodu przykrego zapachu. Lecz teraz mam ochotę zapalić i ani trochę nie obchodzi mnie, jak będę pachniała, ponieważ i tak nikt nie zbliży się na tyle, by to poczuć.

Amber wyjęła z kryształowego pojemnika papierosa ze złotym ustnikiem, zapaliła go stołową zapalniczką od kompletu i podała Aidzie.

- Przeszłaś kiedyś operację plastyczną, Amber? Najwidoczniej próbowała zmienić temat, przeskakując z jednego na drugi niczym motyl.

- O czym ty mówisz?
- Dałaś sobie podciągnąć twarz?
- Nie, a powinnam?
- Musi być w twoim wyglądzie coś, co niezbyt ci się podoba. Wszyscy mamy coś, czego nie potrafimy tolerować.
- Cóż, prawdopodobnie wolałabym mieć prostszy nos, ostrzej zarysowaną linię szczęki. Może też większy biust, smuklejsze uda, mniejszy tyłek. Pewnie, mnóstwo rzeczy. Ale co z tego? Rozmawiamy teraz o tobie i...
- Zmień je. Jeśli nie podoba ci się coś w sobie i da się temu zaradzić, zrób to. Inaczej będziesz czuła się paskudnie każdego ranka, gdy tylko dojrzysz swe odbicie w lustrze. Niektóre kobiety uważają, że muszą cierpieć przez całe życie, obciążone bagażem swych niedoskonałości, braków, wad. Lecz po co cierpieć? I tak jesteśmy ofiarami własnej chemii, co dzień starzejąc się komórka po komórce. Kobiecie, która najlepsze lata ma już za sobą, nic nie pozostaje. Traci blask, zapach, pożądanie.
- Starość może być najlepszym okresem w życiu, jeśli tylko się z nią pogodzisz i będziesz starzała się z wdziękiem -powiedziała Amber ciotce.
- Może tam, skąd przyjechałaś. O tym kraju nie da się tego powiedzieć. Jesteś młodą kobietą albo starą wiedźmą. Nic pośrodku. Tak czy inaczej, ja już podjęłam decyzję. Kiedyś rzucałam zaklęcia, by odpędzić Azraela, ducha śmierci. Parę razy już mi się objawił, wiesz o tym? Teraz żałuję czasami, że nie pojawia się częściej. Miałabym kogoś, z kim mogłabym się zmierzyć. W każdym razie odłożyłam trochę pieniędzy i zamierzam zrobić sobie lifting twarzy i jedną z tych rzeczy, kiedy to odsysa się tłuszcz z ramion i ud. Podobno można nawet odessać tłuszcz z tyłka i wstrzyknąć sobie w piersi.

Aida podwinęła rękaw, błyskając tłuszczem zwisającym spod ramienia. Przesadzała.

-I to! Nawet galaretka tak się nie trzęsie. Te zwały baraniego tłuszczu. Ta skóra jak u słonia. Znak firmowy starej baby.

-Gdzie chcesz to zrobić? - dopytywała się Amber.

- W Bursie. Lekarz, którego wybrałam, ma w mieście dom. Zajmuje się tobą i możesz tam zostać, dopóki nie jest po wszystkim. Bardzo, bardzo prywatnie. Piosenkarz Zeki Muren podciągał sobie tam twarz. Tansu jeździ do niego na zastrzyki z kolagenu czy coś takiego. I poprzednia żona prezydenta. Pamiętasz, miała nogi jak u słonia, a on je wysmuklił i teraz ma kostki.

- Lecz z tego, co słyszałam, to nie zawsze skutkuje - argumentowała Amber. - Słyszysz się tyle okropnych historii. A kiedy już raz zrobisz coś takiego, musisz robić to stale. Potem nadchodzi czas, kiedy skóra nie daje się już bardziej naciągnąć, wiesz o tym?

- Kogo to obchodzi? - Aida wzruszyła ramionami. - Do tego czasu prawdopodobnie i tak zamienię się w kompost. Kogo to obchodzi?

-Mnie i, zapewne, jego.

Aidzie znów łzy napłynęły do oczu. Amber wstała i podała ciotce chusteczkę. Nagle jej uwagę zwróciła fotografia w kolorze sepii, wykonana w Isfahanie, a ukazująca Iskendera, obejmującego ramieniem niskiego ciemnego mężczyznę. Podpis z tyłu, złożony ręką jej ojca, Cadriego, głosił: Iskender i Pierre Loti. Loti? Sławny francuski pisarz? Na innej fotografii młody Iskender ze swymi siostrami, Esmą i Mihriban, siedział gdzieś na polu, uśmiechając się niewinnie. Jak młodą mieli skórę...

Naprzeciw łóżka Aidy stała słynna szafa, w której Sulejman przybył pewnej nocy, by zalecać się do Esmy - tej nocy, kiedy poczęta została Aida. Szafa także zdawała się czuwać i obserwować.

- Dobrze znałaś moją babkę Esmę? - spytała Amber.

- Znałam ją dobrze i kochałam. Bardziej niż rodziców.

- Z pewnością musiałaś coś wyczuwać.

Aida spojrzała na nią, aby upewnić się, że mówią o tym samym.

- Tak - powiedziała. - Każde dziecko fantazjuje, że jego rodzice nie są nimi naprawdę. Lecz w moim przypadku okazało się, że tak jest w rzeczywistości... Cadri powiedział mi wszystko, nim umarł.

- Opowiedział ci o twoim ojcu?

- Powiedział, że był ich nauczycielem. Zginął na wojnie.

- Tak wszyscy sądzili - wtrąciła Amber.

- Próbujesz coś mi powiedzieć?

- Pytałaś mnie przedtem, czy kiedykolwiek kogoś kochałam. Wygląda na to, że porafię kochać jedynie starszych mężczyzn, tak jak ty młodych. Iskender, Sulejman...

- Kim jest Sulejman?

- To twój ojciec.

- Mówisz tak, jakbyś go znała - zauważyła Aida, zdezorientowana.

- Bo znałam. W końcu lat siedemdziesiątych mieszkaliśmy z Samem w Greenwich Village. Pewnego dnia na progu naszego mieszkania stanął facet w typie starego światowca, jacy przychodzili do kiosku po drugiej stronie ulicy, by kupować tam kremówki.

W dłoni trzymał podkładkę z moim zdjęciem, wyciętym z magazynu architektonicznego, któremu udzieliłam wywiadu, kiedy dostałam nagrodę. Rozumiesz? Zapytał, czy jestem spokrewniona z rodziną Ipekçich, która zajmowała się produkcją jedwabiu, a ja przytaknęłam. Powiedział, że dawno temu przyjaźnił się z moją babką i że jestem do niej bardzo podobna. Znał też mego ojca, kiedy był jeszcze chłopcem. Zaprosiłam go do środka.

Działo się to w lipcu i mimo że w mieszkaniu pracował wentylator, było gorąco jak w piekle. Poczęstowałam gościa lemoniadą, którą dopiero co przyrządzi-



łam, a on w dowód wdzięczności wyjął z kieszeni mały pojemnik secretu i psiknął nim w powietrze, by je odświeżyć. I tak zaczęła się nasza przyjaźń. Od sekretu.

Był uderzająco przystojnym mężczyzną, choć zmarszczki wskazywały, że wiele przeszedł. Utykał też mocno na jedną nogę. Długie włosy związywał w kucyk, a jego ubrania, choć workowate, wyglądały tak, jak wyglądają ubrania dobrej jakości, gdy są znoszone. Wiesz, patyna, rocznik, *shibui* -dyskretna elegancja.

Powiedział, że nazywa się Sulejman. Jego spojrzenie wędrowało z wolna po studiu, wstążkach filmu, zwieszających się z sufitu, przepelniających kosz na śmieci, po stole, na którym piętrzyły się rolki i pokręta, makiety osiedli z marzeń i plany. Sprawdził fotografie na ścianach, ostro zarysowane, kontrastowe, szokująco mocne w wyrazie pejzaże Nowego Jorku, wiszące tuż obok sepiowych duchów naszych zapomnianych przodków. Jego spojrzenie zatrzymało się na podobnie mojej babki, ubranej w ciemny czarczak i zasłonę.

„Esma była mniej więcej w twoim wieku, gdy wykonano tę fotografię. Znałaś ją?” - zapytał.

Zdumiał mnie rzeczowy ton tego pytania. Wyjaśniłam, że babka zmarła tej nocy, gdy przyszłam na świat.

„Zawsze ją kochałem - powiedział załamującym się głosem. - Nawet gdy mnie zdradziła”.

A potem opowiedział mi o ich sekretnej miłości, nocnych wizytach w domu w Smyrnie, poezji, którą wspólnie recytowali, o tym, jak ukrył się w twojej szafie, o nocy dwóch księżyców. Bardzo pragnął ją poślubić, lecz Esma nie złamałaby świętości swego wdowieństwa. A potem wuj Iskender zwietrzył, co się dzieje, i wtrącił się, aby ocalić honor rodziny.

Amber umilkła na chwilę i spojrzała na Aidę, rozgryzającą energicznie pestki dyni.

- Mów dalej.

- Mniej więcej w tym czasie wybuchła wojna i Sulejman, wbrew swemu rozoznaniu i przekonaniom, zaciągnął się do wojska. Dostał się do niewoli i był torturowany, jak wielu innych. Spędził rok w samotności i kompletnych ciemnościach, czasami tylko, gdy przynoszono mu jedzenie, mrok rozjaśniał promień światła. Dostawał jedynie chleb i wodę, od czasu do czasu garść oliwek.

„Kiedy wróciłem do Izmiru - opowiadał dalej - natychmiast poszedłem zobaczyć się z twoją babką, zdecydowany zaryzykować, nawet gdyby miała mnie za to spotkać kara. Już i tak często byłem karany. Gdy miałem zapukać do drzwi, natknąłem się na ulicy na człowieka, który robił kiedyś interesy z twoim wujem Iskenderem. Paskudny typ, wyglądał zupełnie jak fretka. Nawet wołali na niego Fretka.

Powiedział mi, że jest teraz szczęśliwym mężem Esmy. Nie uwierzyłem i poszedłem za nim. Zatrzymał się przy straganie z **boza**, kupił dzbanek napoju, minął obsydianową skałę i zapukał do drzwi. Zobaczyłem, że jakaś kobieta otwiera i wpuszcza go. Uznałem wówczas, że musiał mówić prawdę”.

„Ale nie mówił - zaproponowałam. - Moja babka nigdy ponownie nie wyszła za mąż. Pamiętam faceta, na którego wołali Fretka. Cuchnął tak okropnie, że w końcu wygnano go z miasta”.

Staruszek nagle umilkł. A potem przeprosił i szybko wyszedł. Uświadomiłam sobie dlaczego, gdy potknął się w korytarzu prowadzącym do schodów i usłyszałam, że ryczy niczym ranny lew. Cały dom drżał od jego gniewu, dopóki nie rozległ się dźwięk syren.

Nim wyszedł, zostawił wizytówkę, znałam więc jego adres. Wieczorem opowiedziałam o wizycie Samowi.

„Jak on, u licha, trafił do Nowego Jorku?” - dopytywał się Sam, ale ja też nie miałam o tym pojęcia.

W następnym tygodniu przypadało Święto Dziękczynienia. Wujek Aladdin, jego żona Sophie i ich dwie córki, Kit-ty i Gypsy, zaprosili nas do siebie do Massachusetts. Poprosiłam Sulejmana, by wybrał się z nami, ale nie powiedziałam, dokąd jedziemy. Chciałam sprawić mu niespodziankę.

Nie potrafię opowiedzieć ci, jakie to było poruszające, kiedy Aladdin i Sulejman się spotkali i natychmiast rozpoznali, jakby coś zaskoczyło im w umyśle.

„Kolumb nie odkrył Ameryki” - powiedział Sulejman.

„Żyli tam już ludzie” - odparł Aladdin.

Objęli się, podczas gdy my gapiliśmy się na nich, zdumieni.

Od tego czasu Sulejman odwiedzał mnie regularnie w każdą środę po południu. Gdy Sam pracował w rzeźni, by nas utrzymać, Sulejman i ja siadywaliśmy naprzeciw siebie na sofach w stylu Ludwika XV, jedna z nich należała kiedyś do mej babki, a druga do wuja Iskendera - były to jedyne meble, jakie zabrałam ze sobą do Ameryki. Piliśmy herbatę. Opowiadałam mu, jak Esmę dała mi na drugie imię Sulejman. I o moich wakacjach u Iskendera tuż przed jego śmiercią.

On zaś opowiedział mi, jak uwierzywszy, że Esmę wyszła za Fretkę, poddał się losowi i niemal zmarzł w śniegu, jak został uratowany i jak po tym, gdy stróże rozgrzali mu krew gorącym napitkiem, wałęsał się bez celu po nabrzeżu, aż wreszcie wsiadł na frachtowiec, który zabrał go do Nowego Jorku.

Kiedy już tam się znalazł, postanowił zostać. Zaczął pracować jako składacz, wynalazł specjalną formę typografii, co zapewniło mu bogactwo, lecz nigdy więcej się nie zakochał.

Opowiadałam mu o naszej rodzinie, o pożarze na plantacji, o konkursie piękności, „Apartamentach Prządek”, jednym słowem, o wydarzeniach z życia naszej rodziny, które biedaka ominęły - o wszystkim, co tylko przyszło mi na myśl. Z każdą kolejną historią bardziej się ze sobą zżywaliśmy. Wkrótce zaczęliśmy zwracać się do niego „dziadku”. A potem, pewnego dnia, wybraliśmy się na spa-

cer do Central Parku. Był wczesnowiosenny dzień. Żonkile w pełnym rozkwicie. Ptaki i motyle uwijające się dokoła. Nagle na ramieniu Sulejmana przysiadł sówlik, a potem odleciał. Sulejman pobiegł za ptakiem rącho jak chłopak. Próbowałam go powstrzymać, ale biegł o wiele szybciej niż ja. Zanim go dogoniłam, było za późno. Jego serce przestało bić. Z czubków palców wyrosły róże.

Wujek Aladdin i ja skremowaliśmy zwłoki. Przywiozłam tu ze sobą jego prochy. Pomyślałam, że pojedę do Izmiru, gdzie kiedyś stał stary dom - jestem pewna, że dawno go zburzyli, ale to nic - i rozsypię je pod krzakiem Adonisa, jeśli nadal tam jest. Daj mi znać, gdybyś chciała ich dotknąć. W końcu był twoim ojcem.

Aida poprosiła Amber, aby towarzyszyła jej do Bursy. Wszystkim innym, nawet Camilli, powiedziała, że wybiera się tam, by poddać się operacji usunięcia macicy. Jednak Camilla, przebiegła jak lis, zwęszyła, że coś tu nie gra.

- Po co jechać aż do Bursy - dopytywała się - kiedy mamy tu najlepszych lekarzy? Doktor Eliksir babrał się w jej intymnych częściach ciała przez pół wieku. Na miłość boską, z pewnością poradziłby sobie i tym razem.

- Doktor Eliksir pewnie już nie żyje. To znaczy, kiedy ostatni raz go widziałam, trząśł się, jakby cierpiał na chorobę Parkinsona, a było to ładnych kilka lat temu. Poza tym Aida nie jedzie tam na operację macicy, ale by podciągnąć sobie twarz. I ani słowa o tym nikomu!

- Niech mnie, jeśli powiem. Sprawí sobie nową skórę, dosłownie i w przenośni - dodała po francusku i potrząsnęła głową. - Tsk, tsk, tsk - zasmoktała. - Czy nowa skóra może ukryć prawdziwe blizny?

- Masz rację, ale to poprawi jej samopoczucie. Była ostatnio strasznie przygnębiona, wiedziałas o tym? Potrzebuje trochę otuchy.

- Wiem. Odkąd odjęli jej pierś, nie jest już tą samą osobą. Biedactwo. Przestała powtarzać w kółko: „Nigdy się nie urodziłam i nigdy nie umrę”. Jedź z nią, na pewno zechce mieć przy sobie kogoś życzliwego. Osman, ten jej synalek kryminalista, nadal przebywa w zakładzie dla obłąkanych w Bakirkoy. A ona nie ma nikogo innego. Jedź, potrzyмай ją za rękę.

Amber chciała płynąć do Bursy promem, jak kiedyś w dzieciństwie, lecz Aida powiedziała: - Nie bądź niemądra. Te promy przewożą teraz tylko *kurban*, jagnięta przeznaczone na ofiary, i bydło na rzeź. Chcesz, żebyśmy wylądowały w rzeźni? - zapytała, parszając śmiechem. Zaraźliwym jak zawsze. Oblepiającym człowieka niczym druga skóra.

Pojechały więc autobusem - który miał być klimatyzowany, lecz nie był - i wysiadły w centrum Bursy, skonfundowane i przerażone. Cóż za brutalne przywitanie z Azją! -pomyślała Amber, gdy chmury zanieczyszczeń okryły mrokiem jej serce. Ani śladu jedwabiu na Koza Han, jedwabnym rynku, choć była akurat pora zbiorów, ani śladu koszyków z kokonami. Zamiast tego szeregi sklepików z kebabami wzdłuż głównej ulicy, wąsaty mężczyzna z zakrzywioną szablą, obracający zwierzęce tusze ociekające tłuszczem, odkrawający cienkie jak papier plastry mięsa. Szpikulce z nabitymi na nie pomidorami, papryką, plasterkami cebuli, ułożone w doskonale zrównoważone piramidy, zdobiły każdą wystawę. Zapach świeżo upieczonej pity. Piosenki dobiegające z głośników, ustawionych przy otwartych oknach. I muchy, wszędzie muchy.

Dom doktora od podciągania twarzy znajdował się w dzielnicy zwanej Konik Polny, w pobliżu gorących źródeł, „Wygląda jak nielegalna klinika aborcyjna w Cleveland” -powiedziała Amber Camilli po powrocie. Budynek z betonu i kamienia, z podłogami zakrytymi sztuczną murawą, częściowo zabity deskami, aby

wyglądał na niezamieszkanie. U wejścia zalatywało nielegalną działalnością i psującym się mięsem. Amber od początku miała złe przeczucia. Zastanawiała się, czy skalpele są czyste i czy mają tu pojęcie o anestezjologii. Czy to w ogóle są lekarze? Czy wiedzą, co robić, jeśli coś pójdzie nie tak? Czy są ubezpieczeni?

- Więc tu zamierzasz spędzić następne kilka tygodni?

-Wiem, co myślisz, ale to tylko przykrywka, aby uniknąć zbyt wysokich podatków. Powiedzieli, że w środku jest całkiem ładnie. Kiedy stąd wyjdę, będziesz mi zazdrościła -powiedziała Aida kokieteryjnie - bo będę wyglądała jak twoja siostra.

- Nie musisz tego robić. I tak wyglądasz jak moja siostra.

Kobieta w białej chustce otworzyła drzwi. Aida podała jej nazwisko.

-A co z nią? - spytała kobieta, ewidentnie mając na myśli Amber.

- To moja bratanica. Odwiozła mnie tutaj.

-Na pewno nie chcesz, żebym została? - spytała Amber. -Chętnie to zrobię, wiesz o tym.

- Jestem pewna.

-Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń na moją komórkę. A gdybyś chciała, żebym przyjechała i zabrała cię stąd, tylko daj mi znać. Przyjadę o każdej porze. Będę bardzo za tobą tęskniła. Powodzenia!

Aida uniosła sweter i błysnęła amuletami od uroku.

-Nie martw się - powiedziała. - Jak widzisz, dobrze się zabezpieczyłam.

Amber objęła ciotkę i poczuła wałki tłuszczu, płaską nieobecność piersi. Będzie musiała wydostać protezę z cła, pomyślała, nawet gdybym musiała ulec tutaj obyczajom i dać łapówkę. Drzwi zamknęły się za Aida, pozostawiając uczucie dziwnej pustki.

Ponieważ autobus powrotny odjeżdżał dopiero późnym wieczorem, Amber postanowiła uciec od zatłoczonego do szaleństwa śródmieścia. Tak, był tam Zielo-

ny Meczet i Zielone Mauzoleum, lecz możliwość zerknięcia na ośnieżony szczyt góry Olimp, sady brzoskwiniowe i zachłyśnięcia się zapachem kwitnących hiacyntów o wiele bardziej ją kusila.

Powiedziała taksówkarzowi, że chce jechać na plantację Ipekchich. Spojrzał na nią, zaintrygowany, ale nic nie powiedział. Prowadził taksówkę po brukowanej drodze niczym kamikadze i palił jak smok. Z głośników dobiegał turecki rap - brzmiało to niczym chór szczekających psów. Amber spróbowała zapiąć pas, ale niczego takiego nie znalazła.

- Skąd pani przyjechała? - zapytał taksówkarz.
- Z Ameryki.
- Dallas? - Wymówił to jak „dull-uss”.
- Nie, z Kalifornii.
- Niedobrze dla pani. Dallas jest bardzo piękne.
- Był pan tam?
- Bywam tam każdego piątku o ósmej. Każdego piątkowego wieczoru - odparł.
- Nie opuściłem dotąd żadnego.
- Ile czasu zabierze nam dojazd na plantację?
- Piętnaście, dwadzieścia minut.
- Kiedyś jechało się pięć godzin powozikiem, wspinając się mozolnie na zbocze góry Olimp.
- Była tam pani już wcześniej?
- Tak, byłam.

Chciało jej się pić. Zatrzymali się przy kawiarni, w cieniu starego płatanu. Amber zamówiła *gaseuse*.

- Sostro, ten napój znikł na dobre, zanim zostałem poczęty - powiedział jej zniecierpliwiony kelner. - Mamy dobrą pepsi i seven-up. Mamy dietetyczną colę. Nawet snapple.



Bocian poruszył się na dachu starej szkoły. Przed nimi roztaczała się szeroka panorama; szczyt minaretu, inkrustowany szmaragdowymi płytkami, wylaniał się z chmury smogu. Mały ptak drapieżny spłynął z góry i wylądował na pobliskim cyprysie. Spostrzegła, że to kobuz.

Nagle znów usłyszała głos Cadriego, powtarzającego z wolna swój katechizm, jakby siedział naprzeciw niej.

„Wiesz, jak nazywają ten budynek?”

„Zielonym Minaretem”.

„A ten obok?”

„Nie widzę”.

„Zielonym Myszoleum. A miasto poniżej?”

Miasto poniżej: zabudowane gęsto, acz bez jednolitego planu, szare, niedopuszczające światła, spowite brązowym dymem unoszącym się z fabryk jedwabiu; miasto, spaczone przez trzęsienia ziemi i sadystyczne rządy sułtanów, nadal nazywano zielonym, choć nic tu nie było zielone, z wyjątkiem szczytu minaretu. Meczet i Mauzoleum nie były już widoczne ze zbocza góry, gdyż zasłaniał je wachlarz domów mieszkalnych.

Kierowca, nabuzowany po wypiciu olbrzymiej butli ciepłej coli, brał zakręty w szaleńczym tempie, przeciskając się pomiędzy ciężarówkami, wylądowanymi po brzegi skrzyniami pełnymi brzoskwiń, kóz i kurczaków. Przemykał obok jak błyskawica, bardziej bezwzględny, nieuprzejmy i niebezpiecznie spragniony rywalizacji tu niż w Stambule. Stary traktor, przewożący rodzinę z licznym potomstwem, spowalniał ruch. Amber skurczyła się, ściśnięta między napierającymi z obu stron samochodami, wdychając wstrętą woń spalonej gumy. Wyminęła ich ciężarówka, nie czekając swojej kolejki, i zepchnęła na bok taksówkę.

Taksówkarz zatrzymał samochód. Wystawił przez okno ramię obraźliwym gestem.

- *Ayt!* - wrzasnął na kierowcę ciężarówki. - Skretyniały niedźwiedź!

Nazwanie kogoś niedźwiedziem stanowiło najokropniejszą obelgę.

- Skurwysyn! - odciął się kierowca.

- Osioł, syn osła!

- Bydlak!

- Pieprz swoją mamuszkę!

Odgłos wściekłego naciskania na klaksony. Kierowcy wyczołgujący się ze swoich samochodów. Włączający się do kłótni, biorący stronę jednego z kierowców.

- Proszę, jedźmy już - błagała Amber.

Po chwili znów wspinali się mozolnie na zbocze. Ruch zmalął. Taksówka skręciła w bitą drogę i zatrzymała się.

- Jesteśmy, *abla*, starsza siostró - powiedział taksówkarz, wskazując chatę z żuźlowych bloków. - Plantacja Ipekçich.

- A gdzie reszta? Potrząsnął głową.

- Nie wiem, o czym pani mówi. To jest stara plantacja Ipekçich. Czy to tu miałem panią zawieźć?

Ani śladu żywopłotów z białego oleandru, pawilonów z kolosalnymi łukami i kolumnami, ocienionych przez libańskie cedry, otoczonych sadzawkami i fontannami. Ani śladu zwęglenia po pożarze. Wszystko znikło, ukryte pod dywanem ostów i dzikich hiacyntów. Pozostała jedynie skromna chata z bloków żuźlowych, zaniedbana, niemal ukryta pośród chwastów. Wybijały, niepielegnowany ogród warzywny. Olbrzymie oberżyny i dynie. Tu i ówdzie ostały się jeszcze drzewa morwowe. Nie miały jednak liści - rodziły teraz owoce, podłużne białe jagody. Jedwabników także nie było.

Ogień strawił plantację niedługo po ich wyjeździe. Cadri i Camilla skłamali Amber, lecz ona i tak wiedziała, że stało się coś okropnego. Całe to zamieszanie,

szepty. Czują, że zaszło coś niewyobrażalnego. A potem Cadri nagle wrócił na plantację. Nie przestawała dopytywać się o Iskendera. Cadri powiedział, że wszystko z nim w porządku, trochę tylko niedomaga. W końcu jest już bardzo stary.

Znalazła notkę pośmiertną Iskendera w gazecie, wyłożonej w toalecie publicznej łaźni. Poznała go na zdjęciu i wykorzystała niewielką jeszcze umiejętność czytania, by dowiedzieć się, co napisano pod fotografią. Nawet to nie przekonało jej do końca. Iskender był większy niż życie. Był istotą mityczną, nieśmiertelną.

Lecz potem wpadła w szal malowania zaklęć i malowała je na wszystkim; na ścianach w swoim pokoju, na zasłonach i meblach. Wszędzie znajdowały się czerwone napisy. Co noc leżała, wyobrażając sobie, że zasłony rozsuwają się i do pokoju wchodzi Iskender, otoczony chmurą świetlików.

Gdy stała teraz na skraju parowu, spoglądając na otacza" jące ją dzikie pustkowie, uświadomiła sobie z niepokojącą pewnością, że Iskender, fabryka jedwabiu, plantacja istniały tylko po to, by przydać barw jej dzieciństwu, pokazać jej kolory miłości i bólu, nietrwałe, ale na długo pozostające w pamięci. „Sny i marzenia siedmiolatki są tak bezmierne, że mogą zawrzeć w sobie całą jej przyszłość i określić drogę życiową” - usłyszała znów słowa Iskendera. Któż mógłby wiedzieć to na pewno?

Wokół niej walały się gliniane skorupy, a potłuczone kawałki starego szkła polyskiwały, mieniając się barwami tęczy. Gnijące stare szmaty, zardzewiałe kawałki metalu, dziura w ziemi. Idź za białym królikiem. Gąsienica paląca nargile. „Czy gąsienice miewają sny? Tak, i to jakie!” Poruszyła śmieci stopą, aż ułożyły się w półkole. Zobaczyła coś, co z początku wydało jej się denkiem brązowej butelki, tak jednak doskonałym w kształcie, że podniosła je i wytarła z pyłu. Splunęła, by lepiej oczyścić znalezisko. Bursztynowe jajko! A w środku ćma, próbująca wydostać się na wolność. *Bombyx mori*. Zgubiła je w noc świetlików. Zamknęła

jajko w dłoni i przycisnęła do serca. Teraz już nie pozwoli go sobie odebrać. Nikomu.

Aida wróciła na ulicę Miodnej Esencji po dwóch tygodniach, po czym zamknęła się w swoim mieszkaniu, odmawiając zobaczenia się czy choćby porozmawiania z kimkolwiek z rodziny. Gdy Amber przyszła, by dać jej protezę, którą wykupiła w końcu z cła, nikt nie odpowiedział na dzwonek.

Usłyszała grający w środku telewizor. Zadzwoiła więc ponownie. Nadal bez rezultatu. Zaczęła dobijać się do drzwi, wołając Aidę. Nadal nic.

- Wpuść mnie albo wezwę straż i spróbuję wspiąć się do ciebie przez balkon. Mówię poważnie. Jeśli skrećę kark, to będzie wyłącznie twoja wina. Pozwę cię i wyduszę z ciebie miliony. No już, nie bądź tchórzem, otwórz, proszę!

Wreszcie Aida otworzyła. Ubrana w żółty aksamitny szlafrok, z okularami Myszki Miki zasłaniającymi oczy i włosami ukrytymi pod złotym turbanem, wyglądała jak żywcem wyjęta z kiepskiego hollywoodzkiego filmu. Nie odezwała się słowem, lecz wprowadziła Amber do pokoju. Zaciskając usta niczym człowiek słoń, odezwała się dziecinnym głosem, gdyż tylko tak mogła teraz mówić.

- Wiem, że umierasz z chęci, by to zobaczyć - powiedziała - byś mogła mi powiedzieć, że miałas rację. Przecież mnie ostrzegałaś.

- Na miłość boską, ciociu, przyszłam tylko sprawdzić, jak się czujesz.

- Cóż, patrz, skoro chcesz.

Dramatycznym gestem zdjęła okulary. Wyglądała jak ofiara eksperymentu medycznego, który się nie powiódł, jak odbicie w lustrze gabinetu śmiechu. Skórę miała pofałdowaną niczym u przedwcześnie urodzonego dziecka, które udusiło się w płynach matki. Głębokie linie wokół oczu nadawały jej wygląd narze-

czonej Fu Manchu, a kącki ust unosiły się w wiecznym uśmiechu klauna - wypisz, wymaluj Jack Nicholson w *Batmanie*. Nie mogła swobodnie poruszać szczęką, a usta otwierała jedynie na tyle, by wypuścić kółka papierosowego dymu i słowa. Dolna część ramion, skąd usunięto tłuszcz, pokryta bliznami, wyglądała jak po źle przeprowadzonym cesarskim cięciu.

Amber nie mogła sobie wyobrazić większej tragedii dla ciotki, która nawet postarzawszy się i utraciwszy rodzinę i pierś, zachowała ów tak charakterystyczny dla niej, niewinny wdzięk.

- Musisz pozwać tego sukinsyna - powiedziała Amber.

- Myślisz, że chcę, by ludzie dowiedzieli się, że zrobiłam sobie lifting i że się nie udał? Wezmą mnie za idiotkę. Będą przeżuwali to jak gumę i podawali z ust do ust. Po co mi pieniądze, gdy nie mam już twarzy?

- Nie zamierzasz chyba ukrywać się tutaj przez resztę życia? Aida opuściła głowę i przez dłuższą chwilę milczała.

- Nikt nie zobaczy mnie w takim stanie, Amber - powiedziała, ocierając łzy. - Nie wyjdę z domu. Nie wyjdę.

- Dobrze już, dobrze - powiedziała Amber. - Nie musisz. Utuliła ciotkę w ramionach, jak tuliłaby dziecko.

- Przyniosłam ci prezent.

Wręczanie protezy jako prezentu w takiej chwili wydało się Amber dość nie stosowne, lecz przecież po to tu przyszła.

Aida otworzyła pudełko, gdzie spoczywała proteza, ułożona na podstawce z zagłębieniem w kształcie piersi. Wyjęła ją, ścisnęła i roześmiała się gardłowo, chrapliwie.

- Biedna Aida - powiedziała Camilla, gdy później Amber opowiedziała jej o tym, co zobaczyła. - Muszę częściej ją odwiedzać. Zaniosę jej duże pudełko pi-stacjowego rachatu-kum z „Divan Café”. To jej ulubione. Powinno podnieść ją choć trochę na duchu, nie sądzisz?

Lecz Aida odmówiła zobaczenia się z Camillą czy kimkolwiek innym, z wyjątkiem Amber i żony dozorca, która robiła jej zakupy i sprzątała. Zamknęła się w swoim mieszkaniu, nieobecna dla świata. A przynajmniej tak sądzili.

-Co z twoim młodzieńcem? Kontaktujecie się ze sobą? -spytała Amber, nie mogąc oprzeć się ciekawości.

Obserwowała co dzień niezwykły domek w nadziei, że zdoła kogoś dostrzec. Nie udało jej się zobaczyć nikogo, choć była pewna, że ktoś tam mieszka. Co wieczór w domku płonęły światła, a każdego ranka na balkonie pojawiał się inny kwiat. Amber zaglądała do książki, opisującej język kwiatów, próbując odczytać przesłanie.

- Nie mogę znieść myśli, że mógłby zobaczyć mnie w takim stanie. - Aida powróciła do oglądania tureckiego sitcomu i pogryzania pestek dyni. - Chciałam być dla niego piękna.

- Biedna Aida. - Camilla potrząsnęła głową, słuchając Amber. Pożywiały się kupnymi kebabami, podczas gdy Nel-lie siedziała w saloniku przed telewizorem.

- Co za koszmarny pech! To Szatan podkusił ją, by zmieniała sobie twarz, jestem tego pewna. Ale dlaczego musiała go posłuchać? To zawsze była największa słabość Aidy. Jej próżność, jej zguba.

Był rzeński letni wieczór. Amber czuła się dziwnie niespokojna.

-Hej, dziewczyny, nie poszłybyście pospacerować ze mną po bulwarze? Postawię wam lody - zaproponowała, pragnąc za wszelką cenę pozbyć się uczucia klaustrofobii.

Camilla powiedziała, że jest zbyt zmęczona. Nellie wolała oglądać turecką MTV

- Pójdę do spożywczego i kupię trochę czekolady.

- Jadasz zbyt dużo czekolady, Amber. Dostaniesz trądziku. A twojej wątrobie z pewnością też to nie służy. Czekolada sprawia, że wątroba robi się gorąca. I przyprawia cię o migrenę.

- Za to poprawia nastrój. - Amber uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

- Mamusiu, kup mi któryś z tych pistacjowych batoników, dobrze?! - zawołała za nią Nellie, przekrzykując podróbkę Madonny, wyśpiewującą po turecku *Material Girl*.

Ulica Miodnej Esencji była jak na tę porę dnia niezwykle wyludniona i ponura. Zza szyb poblyskiwały jaskrawymi barwami ekrany telewizorów, na szczycie nieukończonego minaretu muezin wyśpiewywał modlitwę.

Ktoś śledził Amber. Ulica była dobrze oświetlona. Ludzie nadal siedzieli na balkonach - niektórzy jedli tam kolację. Nie miała przy sobie nic poza kluczami i paroma lirami.

Kroki z tyłu przyśpieszyły i zrównały się z nią. Odwróciła się zaróżowiona, z bijącym mocno sercem, i zatrzymała. Spojrzała na mężczyznę zniechęcająco, gotowa wykrzyknąć mu w twarz coś nieprzyzwoitego, gdy podchwyciła jego spojrzenie. Nie miał złych zamiarów. Skłonił się jej z przeproszającą miną.

-Nie chciałem być natrętny - powiedział z lekkim obcym akcentem. - Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem, ale nie miałem innego wyjścia. Otóż próbuję skontaktować się z pani ciotką. Bez powodzenia. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani oddać jej tę wiadomość osobiście.

Odnaczał się opanowaniem wiktoriańskiego dżentelmena, podobnie się też wysławiał. Nie mógłby bardziej różnić się od wizerunku żigolaka, jaki odmalo-



wała przed nią Camilla. Wysoki i nie tak już młody. Błękitne jak morze oczy. Grymas napięcia na czole. Rzeczowy, o ciepłym, łagodnym głosie.

Amber wzięła liścik i odeszła bez słowa. Wyczuwała utkwione w nią spojrzenia przyczajonych za żaluzjami sióstr. Gdy szła po schodach, zza drzwi mieszkania Aidy dobiegł ją hałas i odgłosy pogawędki. Musiały dochodzić z telewizora, jednak nierówne brzmienie sprawiało, że wydawały się bardzo realne.

Zamiast Aidy drzwi otworzyła obca kobieta, wyglądająca jak stwór z innej planety. Gdy zobaczyła Amber, skuliła się niczym wampir na widok krzyża. Wzdłuż linii jej włosów przebiegała głęboka, obramowująca twarz blizna.

-Ktoś tu jest, Aido. Kto to taki?

-Moja bratanica. Jedyne osoba, która mnie ogląda poza wami. Wejdz, Amber, przyłącz się do nas. No, chodź, nie bój się.

W słabo oświetlonym salonie Aidy zasiadało siedem innych, poważnie oszpeconych kobiet, ubranych w spłowiałe szmaty, z głowami zakrytymi jak u ortodoksyjnych muzul-manek - doprawdy dziwne towarzystwo jak na Aidę.

- Najpierw muszę zadzwonić do mamy, wiesz, jak się denerwuje, kiedy się spóźniam - wymówiła się Amber.

- Więc zadzwoń.

- Jestem u Aidy - oznajmiła Amber do telefonu.

- Powiedziałaś, że idziesz do sklepu po czekoladę.

- Taki miałam zamiar, ale wstąpiłam po drodze do Aidy.

- Obiecałaś Nellie pistacjowy batonik.

- Sama mi mówiłaś, że Aida mnie potrzebuje. Niedługo wrócę.

- Byle niezbyt późno. Z pewnością nie chciałybyś, by przyłapano cię na nieprzestrzeganiu godziny policyjnej. Poza tym chciałybym wcześniej się położyć.

- Nie przejmuj się, mam klucz.

Kobiety piły kawę z malutkich sewrskich filiżanek Aidy. Aida wypila ostatni łyk. Odwróciła filiżankę, postawiła na spodku, a potem obróciła trzy razy, nim ustawiła spodek na skraju stołu. Na chwilę przyłączyła się do rozmowy, sprawdzając od czasu do czasu, czy dno spodeczka wystygło. W końcu wręczyła filiżankę kobiecie, która otworzyła drzwi. Kobieta uniosła filiżankę i przez chwilę wpatrywała się w jej zawartość.

- Ciemność, mnóstwo ciemności - powiedziała, zwracając się do Aidy. - Twoje serce okrywa czerń. Martwisz się o kogoś. Młodego mężczyznę. Nie kochanka. Krewnego. Syna? Widzę, że zawisł nad nim czarny ptak. Ale spójrz na to, spójrz na tę chmurę, unoszącą się nad twoją głową. Uniesie się i rozwieje, ot tak, a ty wzlecisz w niebo, beztroska. Spójrz na te skrzydła. Widzisz, jak się unosisz?

Nagle Amber olśniło. Syna? Z pewnością Aida nie martwiła się o Osmana, zidiociałego psychopatę i pedofila, zamkniętego w jakimś zakładzie, lecz... nie kochanek, syn? Czyj syn? Może wcale nie poroniła. Może urodziła w Niemczech dziecko, ale musiała je oddać. Ale dlaczego? Nagle fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować.

Aida nadal wpatrywała się w fusy, tymczasem kobieta o słabym głosiku zaczęła czytać na głos gazetę. Pozostałe przysłuchiwały się. Z początku brzmiało to jak poezja - ton głosu czytającej sugerował, że właśnie tak jest - lecz potem słowa ułożyły się w opowieść o mężczyźnie, który ugotował i zjadł swoje trzy żony. Kiedy kobieta skończyła artykuł, pozostałe westchnęły i potrząsnęły głowami. Inna zaczęła czytać: „Głuchoniemy epileptyk utonął w prymitywnej toalecie”. Czytały najokropniejsze historie i śmiały się z najsmutniejszych, najokrutniejszych zdarzeń.

- Co to za impreza? - spytała Amber kobietę, która otworzyła jej drzwi.

- Impreza antydepresyjna - odparła kobieta. - Nie widać? Próbujemy wymyślić najbardziej przygnębiające rzeczy. Znosi to nasze cierpienie, sprawia, że czujemy się lepiej mimo tego, co nas spotkało.

Kobieta siedząca obok szepnęła:

- Wolimy ciemność. Jesteśmy kobietami z cienia. To jest stowarzyszenie kobiet z cienia. My wszystkie przetrwałyśmy i zawsze spadniemy jak kot na cztery łapy.

Istna Noc Walpurgii. Amber czuła zew podziemnego królestwa ludzkiej niedoskonałości i nieszczęścia, zapraszającego ją do swych katakumb. Nagle uznała, że musi czym prędzej stamtąd wyjść.

Aida pobiegła za nią.

- Wychodzisz?

- Carnilla mnie potrzebuje.

- Ona cię zawsze potrzebuje - odparła Aida. - Cóż, daj jej to, czego chce. To twoja matka, masz ją tylko jedną. W końcu co masz do stracenia?

Potem Amber podała jej liścik. Aida natychmiast rozpoznała pismo. Uśmiechnęła się z fałszywą brawurą.

- To, co pochodzi od losu, powinno do losu wrócić. Powiedz mu, że serca zrobione są z kryształu, a kiedy ten raz pęknie, nie da się go posklejać - zaćwierkała głosem człowieka-słonia.

Tego wieczoru wszystko zdawało się dziać według z góry określonego planu. Cały świat poruszał się płynnie niczym pole magnetyczne, ulegając sile wzajemnego przyciągania i odpychania. Żadnej grawitacji. I tylko jedna wola.

Gdy Amber wracała ulicą Miodnej Esencji, pod sklepieniem słodko pachnących lip, poczuła przemożną potrzebę, by przesycone wonią lipowego kwiecica powietrze wypełniło jej ciało barwami i rozprzestrzeniło się na wszystko, co ją

otacza. Pochłoneńo jej ból. Ból Aidy. Camilli. Marii. A także Nellie, która już ho-  
łubiła własne, odziedziczone po nich cierpienie.

- Jeśli się teraz rozpadnę, kto mnie pozbiera? - spytała na głos. - Nie ma nikogo  
takiego. Matki ani ojca. Kochanka. Bliskiego przyjaciela. Terapeuty. Duchowego  
przewodnika. Nic. Nikogo.

To wszystko tu jest, odpowiedział głos wewnątrz jej umysłu. Wszystko.

Spojrzała na apartamentowiec ze swymi lokalami mieszkalnymi, licznymi  
barbecue, pachnącymi baraniną i rybą, dźwiękami orientalnej muzyki. Z okna  
saloniku Camilli barwne rozbłyski telewizyjnego ekranu mrugały niczym sy-  
gnały z innego świata.

I tak nikt nie zobaczyłby, jak wchodzę, pomyślała. Każdy zatracił się już we  
własnym świecie. Mogłabym spokojnie wśliznąć się do sypialni, a potem udać,  
że śpię. Ale wyczułyby mnie, a ja nie zniosłabym teraz przebywania w ich po-  
bliżu. Poza tym nie mam pistacjowego batonika.

Sklep był już zamknięty.

Okrzyżyła blok kilka razy, a potem skierowała się w stronę bulwaru Bagdadz-  
kiego. Tam na pewno znajdzie otwarty sklep. Przespaceruje się. Popatrzy na wa-  
łęsające się w poszukiwaniu rozrywki dzieciaki. Poogląda wystawy. Wypije  
cappuccino w „Divan Café”. Lecz najpierw musi jeszcze gdzieś wstąpić.

Dom z zieloną markizą, widziany z bliska, wydał jej się jeszcze bardziej uro-  
czy. W środku paliły się światła. Amber zadzwoniła do drzwi, upewniwszy się,  
że nikt jej nie widzi. Nikt nie zareagował, zadzwoniła więc ponownie. Wejście  
było tak słabo oświetlone, że kiedy w końcu drzwi się otwarły, nie potrafiła roz-  
różnić rysów stojącego za nimi mężczyzny.

- Doręczyłam wiadomość - powiedziała.

- Przeczytała ją?

-Tak. Prosiła, aby przekazać panu, że „to, co pochodzi od losu, powinno do niego wrócić” i że „serca zrobione są z kryształu, a kiedy ten raz pęknie, nie da się go posklejać”.

-Nie chciałem jej skrzywdzić - powiedział.

-Proszę posłuchać. Domyśliłam się, kim pan może być. Pańskiego pokrewieństwa z Aida, i w ogóle. Nie musimy przed sobą udawać.

Skinął głową, jakby tego właśnie się spodziewał.

- Wcześniej czy później ktoś musiał sobie to wszystko poukładać. Każdy sekret w końcu się wyda. Prawdę mówiąc, cieszę się, że ktoś wie. Ktoś taki jak pani. Napije się pani filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję. Idę na bulwar, muszę tam coś kupić. Robi się późno.

-Proszę na mnie zaczekać.

Kiedy wszedł do wnętrza po marynarke, Amber zauważyła, że ściany obwieszane są malowanymi miniaturami. Istne klejnociki, obfitujące w szczegóły akwarelki, doskonale oddające kształty i światło. Namalowane w tonacji mrocznego rozmarzenia. Szczególnej melancholii.

- Są twoje? Skinął głową.

- Sądziałam, że jesteś archeologiem.

- Bo jestem.

-Są naprawdę piękne. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli dotrzemy osobno do końca ulicy Miodnej Esencji. Jeśli zobaczą nas razem, zaczną się plotki. Może spotkamy się przed wejściem do sklepu z kebabami Kenana?

Ruszyli osobno równoległymi ulicami, zmierzając do tego samego celu - ulicy, którą jeździł minibus - a zbiorcze taksówki, zwane tutaj *dolmuş*, pełne pasażerów, gnały obok z morderczą szybkością i piskiem opon. *Dolmuş* znaczy dosłownie „wypełniony”, w tym wypadku samochód: wypełniony po dach ludźmi.

Spotkali się przy knajpce z kebabami i szli obok siebie w milczeniu, dopóki mężczyzna nie dostrzegł przerwy w ruchu. Ujął wtedy Amber pod ramię i wskoczyli razem na jezdnię, umykając przed fanatykami jazdy na motocyklu. Skręcili w lewo, w ulicę Kurczaki Nie Biegają, prowadzącą do oddalonej o trzy pierzeje „Cyber Cafe”, a stamtąd podążyli dalej krętymi ulicami z wielkimi dziurami w ziemi, wykopanymi pod fundamenty, a potem porzuconymi niczym puste groby. Z ulicy Czarnego Piekła skręcili w lewo, w ulicę Abrahama, minęli targ warzywny z pustymi o tej porze straganami, by potem skręcić w prawo i dojść aż do tunelu pod stacją kolejową. Nagle powitał ich warkot i szum eleganckiego bulwaru z jego butikami, sklepami z materiałami do projektowania wnętrz we włoskim stylu, kafejkami na wolnym powietrzu, klubami i dyskotekami. Dobrze ubrane towarzystwo spacerowało tu dniem i nocą, mijając ulice, przy których stały puste domy, i dochodząc aż do nabrzeża.

Nie zamienili jeszcze ani słowa, lecz szli obok siebie tak blisko, że Amber czuła na piersi dotyk jego ramienia. Wydawało się to zupełnie naturalne, jakby znali się przez całe życie.

-Kiedyś były tu plaże. Co się z nimi stało? - spytała, spoglądając wzdłuż długiego pasa gruntu.

-Zamknęli wszystkie plaże wzdłuż morza Marmara. Z powodu ropy wyciekającej z tankowców, które przyplływają z Morza Czarnego. Morze Marmara jest już martwe, Egejskie także, a pływanie w nich - niebezpieczne.

Zaprowadziła go do starego domu Ipekcich w pobliżu linii wody, mającego własną plażę. Wiodąca do niej żelazna brama przetrwała, podobnie jak aleja wysokich palm. Jedno i drugie niezniszczalne. Lecz zamiast stojących nad wodą domów zobaczyli autostradę, plusk fal zaś zastąpiły przyplwy i odpływy ruchu ulicznego.

-Byłeś tu już kiedyś? Przyprowadziła cię tutaj? - spytała Amber.

-Nie. Gdzie jesteśmy?

-Kiedyś stał tu letni dom, należący do rodziny mojej babki. Gdy byłam małą, przyjeżdżaliśmy tu każdego lata. Wszyscy Ipekci. Mieliśmy też kilka innych domów i plantacje.

Zmęczeni spacerem, przysiedli na falochronie, zwracając twarze w stronę morza Marmara. Wiatr wzmógł się wyraźnie. Mężczyzna przysunął się do niej i objął ramieniem, by uchronić przed chłodem. Wtuliła się w niego. Przywarli do siebie niczym rozbitkowie, którzy doświadczyli czegoś niewyobrażalnego. Więzy puszczały jedne po drugich, dopóki nie opadły zupełnie. Lęk, niczym deszczowe chmury, przypląwał i odpływał, pozostawiając ich lekkimi i oczyszczonymi ze zła.

Koniec z lękiem, wątpliwościami, strachem przed konsekwencjami. Jego uprzejmość wypełniała jej ciało, każde dotknięcie odmykało skręcony łańcuch bólu. Nie naruszył jej prywatności. Być może dlatego zaufała mu tak od razu. Nie narzucał swojej woli. Był jej krewnym. Kuzynem.

Bała się pozwolić, by dotknął jej sekretów, jej oddechu, głosu, oczu pustych od kłamstw. Bała się, że dotyk może obudzić pamięć przeszłych zdrad, których się wobec niej dopuszczono. Bała się go dotknąć. Tej nocy nie byli ludźmi, lecz istotami od nich potężniejszymi, nieznającymi cierpienia, niemającymi wspomnień.

Na stacji po drugiej stronie ulicy zatrzymał się pociąg. Ludzie wchodzili i wychodzili z wagonów, lecz zdawali się nie zauważać ich obecności. Było tak jak wtedy z Iskenderem, stali się niewidzialni, jakby osłonił ich ochronny kokon. Zapewne pozostałoby tam, jak długo by się dało, lecz dźwięk syren, obwieszczających godzinę policyjną, przywołał ich do rzeczywistości.

Kiedy wrócili na ulice, zasłona się uniosła. Oto ulica Miodnej Esencji, zagubiona w świecie interpretacji. Teoman wyjeżdżał następnego dnia, by przyłączyć



się do ekipy archeologów pracujących w Afrodisias. Przyrzekli sobie, że pozostaną w kontakcie, i rozstali się.

Amber nie chciała zasnąć tej nocy. Obawiając się, że straci ów dzień; wspominała wszystkie te chwile, gdy sen zaprowadził ją do królestwa zapomnienia.

Co stanie się z nami, co z naszą potrzebą powtarzalności, przedłużania, rozwiązywania?

Kiedy skradała się na palcach do sypialni, którą dzieliła z Nellie, zobaczyła, że w pokoju Camilli pali się, jak zwykle, światło. Camilla cierpiała na bezsenność i długo w nocy czytała. Często przez całą noc. Mawiała, że starzy ludzie nie potrzebują tyle snu co młodzi.

Drzwi do pokoju matki zastała uchylone, mogła więc zerknąć do środka, sama nie będąc widziana. Camilla rozbierała się, mamrocząc coś do siebie. Nie potrafi przestać mówić, pomyślała Amber. To przymus wewnętrzny. Jej głos zawsze wybijał się ponad inne, a teraz rozmawia sama ze sobą. Biedna, samotna kobieta.

Zaczęła słuchać. Ponieważ docierał do niej jedynie pomruk, nie słyszała wszystkich słów, rozróżniła jednakże imię Nellie, swoje, ojca, Marii, Aidy i wówczas uświadomiła sobie, że Camilla modli się na głos do jakiegoś wyimaginowanego boga -to musiał być bóg, gdyż Camilla dawno już zapomniała o boginiach swego dzieciństwa. Choć pochodziła z regionu nad Morzem Egejskim, dostosowała się do panujących zwyczajów. Nazywała swego boga Allanem, lecz nie był to Allah muzułmanów, ale jej własny. Na wpół katolicki, na wpół sunnicko-muzułmański, a po większej części pogański.

Tej nocy Amber przysłuchiwała się, jak Camilla dziękuje swemu bogu za otrzymane łaski, jak prosi go o pomoc i o to, by starczyło jej sił na przeprowadzenie wszystkiego, co sobie zamierzyła, nim spotka się ze swym partnerem, Cadrim. Modliła się za wszystkich. Kiedy skończyła, potarła jak dziecko twarz rękami i szepnęła: „Amen”.

Była tylko w bieliźnie, luźnych bawełnianych majtkach, sięgających do talii, i ocieplanej koszulce bez rękawów. Lubiła ciepło. Stała zwrócona plecami do Amber, zaskoczona tym, jak młode pozostało ciało jej matki - żadnego cellulitis, obwisłych fałd, skrzywienia kręgosłupa. Miała doskonałą sylwetkę, dużą głowę i krótki tors, lecz wszystko to płaskie i pozbawione seksu niczym u nagiej lalki. Wciągnęła przez głowę spłowiałą flanelową koszulę i zgasiła światło.

To moja matka. Moja matka Camilla. To jest kobieta. Jedynie kobieta. Samotna kobieta. Nie ta, uwieczniona na moich fotografiach. Nie postać z moich opowieści. To jest moja matka. Nie moja matka, tak podobna do Dolores del Rio, ale ta biedna kobieta. Przypominająca gnoma. Nie moja piękna matka. Moja matka w krepdeszynie. Nie moja pistacjowa matka. Nie ta, która rozumie język kwiatów. I czytuje *Na zawsze Amber*.

To moja matka, musiała to sobie przypomnieć, kobieta, która mnie urodziła, wychowała. Kobieta, która rozsunęła nogi i wypchnęła mnie na świat. Młoda żona, walcząca z Czerwoną Kobieta. Której piersi ssalam. Jej skóra straciła bezpowrotnie jędrność, a zęby całe są z plastiku i można je wyjąć. Pachnie jak stara kobieta - pomimo wody koloń-skiej, a może właśnie dlatego, że jej używa. Nieodmiennie jest to woda o zapachu cytrynowego kwiecia. Spoglądając na miniaturową postać Camilli, jej zamkniętą w sobie twarz o rysach tak podobnych do moich, dostrzegam jak w lustrze własną starość. Przebaczam jej wszystko. Nawet to niekończące się gadanie. Przebaczam.

Przytłaczający ją dotąd ciężar nagle znikł i Amber poczuła ulgę. Nie dźwigała już niczego, nie podlegała prawu ciężenia. Znow żyła. Lekka i oczyszczona.

## Turkusowy domek



*(1997)*

Gdy byłam dzieckiem, moja babka miała na poddaszu ołtarz, przystrojony ikonami Jezusa, Maryi i innych świętych, a ja bawiłam się nimi, ponieważ nie miałam lalek - opowiadała Amber Camilla, kiedy siedziały na kanapie, popijając herbatę. - Mój ojciec mieszkał w kufrze tuż obok świętych. Raz na jakiś czas otwierałam kufer, wyjmowałam fotografię mężczyzny, ubranego w mundur królewskiego adiutanta z naszywanymi klejnotami epoletami i wymyślnym fezem, tak uderzająco przystojnego, tak nieskończenie bardziej charyzmatycznego niż którykolwiek spośród żołnierzy, maszerujących ulicami Bornovy z rytmicznym szuraniem piętami i ciężkim stukotem obcasów. Szur, stuk, szur, stuk. Szur, stuk. Dzień i noc. Gdy inne dzieci opowiadały o swoich ojcach i pytały o mojego, prowadziłam je na poddasze, otwierałam kufer i z dumą wyjmowałam z niego fotografię. Gdy czułam się samotna, rozmawiałam z nim. Całowałam go. Wyobrażałam sobie ciepło inne od kobiecego - jedyne, jakiego zaznałam.

Wróciła Nellie, przynosząc trochę ciasta z rodzynekami, które Camilla upiekła tego ranka. Przyłączyła się do matki i babki. Aż do tego dnia Camilla nawet nie napomknęła o swoim dzieciństwie. Lecz tego ranka, jakby wyczuwając, że córka złagodniała i przebaczyła jej, wyjawiała wreszcie swój sekret, opowiadając głosem pozbawionym emocji:

- Byłam jeszcze prawie niemowlęciem, kiedy mój ojciec zniknął w zawierusze wojny wyzwolenczej, zostawiając matce jedynie swój złoty zegarek. Matka, która dla ojca zmieniła wyznanie z ortodoksyjnego grekokatolicyzmu na islam i imię z Maria na Malika, uciekła do swojej matki do Bornovy na śliczne, zielone przedmieścia Smyrny, oazy europejskiej arystokracji - Giraudów, Whithallów, Pattersonów, La Fontaine'ów, Belhomme'ów, Hochpiedów, Burkardów, Grimanich - wszystkich tych bogatych Rumów.

Świadomość obfitości jedwabiu i przypraw, przywożonych przez karawany wielbłądów Jedwabnym Szlakiem do portu w Smyrnie, wabiła emigrantów do

Bornovy już od XVI wieku. Niektórzy osiedlali się tutaj, aby zbudować w Smyrnie, tym małym pępku Europy, kolej. (Stacje kolejowe w tym regionie nadal przypominają angielskie stacyjki z czasów wiktoriańskich). Europejczycy zawładnęli torami, samochodami, skrzyniami pełnymi fig, wszelkiego gatunku rodzynków, lukrecji, oliwy, a potem także dywanów i minerałów. Izolowali swoją własność, zakładając w pobliżu każdej ze stacji kolonię chrześcijan. Bornova stała się azylem dla każdego prześladowanego europejskiego arystokraty, nawet dla tych ocalałych z piekła rewolucji francuskiej. Nic dziwnego, że nazwali główną aleję, ocienioną starymi platanami, Champs des Exilées, bulwarem Wygnańców.

W Bornovie często zdarzały się ulewy, a wtedy spadający z nieba kaskadami deszcz sprawiał, że jezioro Tantalus występowało z brzegów, a rwące potoki czerwonawej wody, niosącej olbrzymie głazy, przelewały się przez wioskę. Z tyłu, za wioską, widniały zalesione stoki Manisy, wstawionej legendą o Tantalu i Niobe, oraz ośnieżony szczyt góry Nif, wznoszący się ponad równiną Smyrny.

Ludzie z Bornovy żyli w swego rodzaju zaczarowanym mikrokosmosie, otoczeni zadbanymi ogrodami, o które troszczyli się przeważnie brytyjscy i francuscy ogrodnicy, gdzie woda wypływała z paszczy zabytkowych bizantyjskich i rzymskich lwów, gdzie greckie urny i naczynia z terakoty obramowywały kamienne alejki, gdzie drzewka cytrynowe i palmy z Basry ocieniały altanki. Z bogato zdobionych balkonów o kruszejących balustradach, przywodzących na myśl Prowansję, opadały kaskadami żółte róże, a pośród zagajników kolcowoju kwitły róże azjatyckie. Wisteria oplatała pergole i ściany domów; ołownica płożyła się wzdłuż drewnianych balkonów, a jaskrawoczerwona szałwia i wonny tymianek wyrastały pośrodku zwirowanych ścieżek. Wszędzie widać było fontanny, tryskające źródlaną wodą, wyrzeźbieni zaś w marmurze Murzyni kontemplowali urodę basenów, pełnych starych karp.

Herb Grimanych, wryty w owalu nad białą ogrodową bramą, przedstawiał gałązkę oliwną - testament ukazujący źródło rodzinnej fortuny - podczas gdy należące do nich gaje oliwne rozpościerały się olbrzymią falą szarości wzdłuż wybrzeży Morza Egejskiego.

- Nie byliśmy Grekami. Byliśmy Rumami, chrześcijańskimi poddanymi imperium otomańskiego. Rumowie przyjęli grecki jako własny język, lecz moi dziadkowie byli Wenecja-nami: Armani, Grimani, czy jak tam na nich wołano.

- Armani! Tak nazywa się słynny włoski projektant mody! - zawołała Nellie, znajdując wreszcie coś, co mogła odnieść do znanego sobie świata. - Myślisz, że możemy być spokrewnieni?

- To możliwe. - Camilla wzruszyła ramionami. - Kto wie? Mamy krewnych w każdym zakątku świata. Tak czy inaczej, właśnie szalała wojna. Straciliśmy nasz kraj na rzecz aliantów, którzy kroili go, jakby był jakimś królikiem doświadczalnym, dzieląc na sektory i pożerając nas. Więc Atatürk i buntownicy rozpoczęli przeciw nim wojnę, wiesz, wojnę wyzwolenczą, Gallipoli i tak dalej... To wtedy musiałam wraz z matką uciekać z Izmiru do Bornovy, gdzie odebrano jej wszystko, co miała.

Babka była wdową z dwiema niezamężnymi córkami. Dwaj jej synowie walczyli na froncie. W domu nie było innych mężczyzn. Przestała odzywać się do mojej matki, kiedy ta wyszła za Turka, ale jak nie miałyśmy dokąd pójść, przyjęła nas z otwartymi ramionami. To wtedy po raz pierwszy babka mnie ujrzała. Nazwała mnie Lulu.

Dzień i noc dokoła słyhać było jedynie skrzypienie wozów, stukot końskich podków. Zawsze byłam ciekawska, toteż pewnego razu wyjrzałam przez ogrodową bramę i zobaczyłam konwój wozów, wypełnionych mężczyznami w greckich mundurach, leżącymi jeden na drugim, krwawiącymi i obandażowanymi, brudnymi i zmęczonymi. Kierowali się w stronę Champs des Exilées. Wbiegłam

do środka, bojąc się, że mogę zostać porwana - w tych czasach wcale nie tak rzadko zdarzało się, że dziewczynki znikają bez śladu - i rzuciłam się w ramiona matki.

Następnego ranka obudziły nas wystrzały i huk dział. Prawdziwe święto dla dezertersów i szabrowników, gdyż pobita grecka armia wycofywała się w kierunku Morza Egejskiego. Maszerowali śmiało ulicami, strzelając w powietrze i tłukąc wystawy. Późno po południu dotarli do dzielnicy rezydencji.

Usłyszałam, jak matka krzyczy:

„Już tutaj są!”

Chwyciły mnie wraz z ciotką Anną i pośpieszyliśmy do szpitala francuskiego, próbując uniknąć przelatujących w powietrzu kul. Na drodze leżał w kałuży krwi martwy koń, z szeroko otwartym pyskiem i oczami, zupełnie jak z okropnego fresku Picassa, *Guernica*. Inny koń biegł jak szalony ulicami, płonąc żywcem. Te obrazy na zawsze wryły mi się w pamięć.

Ogród szpitala francuskiego pełen był płaczących ludzi: umierających, rannych, napastowanych, ograbionych. Strzały nie milkły przez całą noc. Rankiem zapadła wreszcie ciężka, ołowiana cisza. Odeszli.

Wróciłyśmy do domu jedynie po to, by odkryć, że drzwi i okna pięknego budynku zostały rozbite, a cała posiadłość obrabowana i zniszczona. W środku wszystko porozbijane. Zabrudzone kałem. W powietrzu unosił się ohydny fetor. Smród nienawiści. Odgłos płaczu ludzi, próbujących dojść do siebie po tej nie-ludzkiej napaści. Chór łez.

Nasi angielscy sąsiedzi, Whithallowie, przyjęli nas do siebie. Służby dyplomatyczne wywiesiły przed domami swych pracowników flagi, co zapewniło im nieetykalność. Lecz nie byliśmy jedynymi ludźmi, którym zniszczono tej nocy domy i dusze. Chociaż sąsiedzi mieli wielkie serca, w tamtych czasach niełatwo było



wyżywić tak wiele osób, wiesz? A jednak okazali się dobrymi, szczodrymi ludźmi, mimo że, jako Brytyjczycy, byli naszymi wrogami.

Stłoczyliśmy się wszyscy w wielkim salonie, dzieląc się ugotowaną w kociołku kaszą pszeniczną, **bulgur**, dopóki zza ośnieżonych szczytów góry Nif o stromo opadających stokach nie wyłonił się olbrzymi obłok czarnokarmazynowego dymu. Ktoś powiedział: „Spójrzcie, Smyrna płonie!” Ponad ogrodem, za morzem drzew oliwnych, ujrzałam trzy wysokie słupy dymu, poprzecinane jezorami pomarańczowego płomienia, powiewające na wietrze niczym sztandary, rozsnuwające się wzdłuż stoków. Tak właśnie zobaczyłam wielki pożar Smyrny. Zemsta Greków, powiedziano nam, choć Grecy twierdzili, że to Turcy podpaliłi ormiańskie i rumijskie dzielnice swego miasta. Wlali do zatoki benzynę i podpaliłi łodzie, zabijając przy okazji większość ryb i delfinów. Miasto, liczące cztery tysiące lat, zniszczono ot, tak sobie. Na ładzie i pod nim.

Camilla zdawała się wyczerpana historią, którą opowiedziała, mimo to jej oczy płonęły. Nie wyglądało na to, by zamierzała porzucić wątek. Amber i Nellie przysłuchiwały się jej chciwie.

- Kiedy już upewniłiśmy się, że żołnierze i szabrownicy opuścili Bornowę, wróciliłiśmy do naszego domu; kobiety chwyciły za młotki, gwoździe i piły, choć nie wiedziały nic o stolarce, delikatne, wypiełgnowane kobiety o wypiełgnowanych dłoniach. Lecz wszystkie miały w sobie zakorzeniony głęboko instynkt budowy gniazda i były zdecydowane wprowadzić się z powrotem do swego domu.

Na jakiś czas wszystko się uspokoiło. Pewnego dnia bawiłam się w ogródku, gdy zdałam sobie sprawę, że zza bramy przygląda mi się mężczyzna, ubrany w podarty mundur khaki. Mężczyzna o zapadniętych policzkach, znużonym spojrzeniu i na dodatek jednoręki. Kiedy napotkał spojrzenie moich oczu, otworzył furtkę i wszedł. „Jak się nazywasz?” - spytał.

Bałam się, że jeśli nie odpowiem, zrobi mi krzywdę, powiedziałam więc nieśmiało: „Lulu”. Tak mnie wtedy nazywano. Lulu to moje prawdziwe imię.

-Dlaczego je zmienili?

-Nie chcieli, bym miała kłopoty. Mężczyzna pochwycił mnie swym jedynym ramieniem. Krzyknęłam. Powiedział: „Jestem twoim ojcem, Lulu. Nie bój się”. Spojrzałam na jego pusty rękaw. Odparłam, że mój ojciec mieszka w kufrze, nie ma brody, ma za to ładne ubrania i obie ręce.

Matka usłyszała, że krzyczę, i wybiegła z domu. „Hamid Bej!” - zawołała, odwróciła się i otarła oczy. W tamtych czasach pary nie obejmowały się w miejscu publicznym, wiesz o tym? Stali więc tak, oddaleni od siebie i powściągliwi, podczas gdy reszta rodziny gromadziła się wokół mężczyzny, przebranego za mego ojca.

Kiedy już doprowadził się nieco do porządku, chciał, abym usiadła mu na kolanach. Uciekłam. „Wracaj, malutka, jestem twoim ojcem!” - krzyknął za mną. Pobieglam na poddasze, wyjęłam z kufra zdjęcie mego ojca i pokazałam mu. „Jesteś oszustem! - zawołałam. - To jest mój ojciec. Ten przystojny mężczyzna. Nie włączęga, taki jak ty. Odejdź i zostaw nas w spokoju”.

Ogolił się i włożył elegancki szlafrok. Gdy zobaczyłam jego twarz, odnalazłam w niej podobieństwo do mężczyzny na zdjęciu, mimo to miesiącami nie pozwalałam mu się do mnie zbliżyć. Czułam się zdradzona przez wszystkich i znajdowałam pociechę tylko w rozmowach ze swym ojcem z kufra. Mimo to jednoręki nieznajomy, tak dalece nawykły do spania na stromych wzgórzach, iż dotyk miękkiego łóżka sprawiał mu ból, budził moją ciekawość. Miesiącami sypiał wprost na twardej drewnianej podłodze, przykrywając się jedynie wojskowym płaszczem. Wszyscy wokół mówili, że wojna go zahartowała.

Przyzwyczajenie się do obecności ojca zajęło mi ponad rok. Dopiero wtedy byłam w stanie mówić do niego **baba**, tatusiu. Przyglądałam mu się, gdy wstawał o

świcie, wychodził na patio i zwracał się na wschód. Widziałam, jak przyklęka i dotyka czołem ziemi. Na długo przedtem, nim zdałam sobie sprawę, co właściwie robię, postępowałam tak samo. Tylko w ten sposób mogłam nawiązać z nim jakąś więź. Mimo to za każdym razem zakradałam się potem na poddasze, aby pobawić się ikonami Maryi i Jezusa.

Obaj bracia matki zginęli podczas wojny, ale ponieważ rodzina była rumijska, dwie niezameżne siostry, Anna i Elpi-da, zostały deportowane do Grecji, podobnie jak inni Ru-mowie. Nazwano to wymianą etniczną. Babka wkrótce umarła z rozpaczy. Zostawili swój dobytek: ziemię, zastęp powozów i całą resztę, mojej matce, lecz ojciec nie chciał mieć z tym nic wspólnego. „Złe pieniądze - mawiał. - To niedobrze czerpać korzyść z cudzego nieszczęścia”.

Matka i ja zaniósłszyśmy paczki żywnościowe do doku w Smyrnie. Zraziki, jajka na twardo, paszteciki *borek* i temu podobne. Nadal widzę matkę, dławiącą się emocjami, i ciotki, machające nam na pożegnanie. Musiały wtedy dobiegać dwudziestki. Nigdy więcej o nich nie usłyszeliśmy. Kto wie, co im się przydarzyło? Podejrzewam, że listy ginęły w drodze. Ciekawe, jak udało się ciotkom przetrwać. Z tego, co wiem, musimy mieć w Grecji krewnych. Cóż, wszystko wam opowiedziałam. Jesteście teraz zadowolone?

- Nie mam pojęcia, dlaczego dusiłaś to w sobie przez tyle lat - odparła Amber.  
- To taka przygnębiająca historia. Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie chciałaś mi jej opowiedzieć, nie chciałaś, bym wiedziała. Gdybyś to zrobiła, o wiele lepiej rozumiałabym niektóre sprawy.

- Nie byliśmy w stanie znieść myśli, że moglibyśmy przechodzić przez to jeszcze raz. Nie rozumiesz? Chcieliśmy ukryć nasze pochodzenie na wypadek, gdyby znowu nastąpił kryzys. Za każdym razem, kiedy na Cyprze budzi się wrogość, a Grecy i Turcy przybierają wojownicze pozy, obracają się przeciwko nam, Rumom. Poza tym nie chciałam narażać cię na przejawy ludzkiej podłości w szkole,

dyskryminację i tak dalej. Nie chciałam sprowadzić nienawiści na rodzinę twego ojca. Jeśli nie znasz prawdy, nie musisz kłamać. Rozumiesz teraz?

- Nadal mnie chronisz - odparła Amber.

- Próbuję. Jestem twoją matką.

-Myślisz, że to dla mnie lepiej, żyć w nieprawdziwym świecie? Zaprzeczać samej sobie?

- Nie bądź niewdzięczna.

-Chciałabym sama podejmować decyzje co do tego, jak mam się czuć.

Camilla zacisnęła wargi i wyszła z pokoju. Amber przewróciła oczami.

-Zraniłaś jej uczucia. Zaraz po tym, jak opowiedziała ci tę smutną historię. Zawsze powtarzasz, bym zważała na uczucia innych, a sama byłaś taka... to nie w porządku -złajęła ją Nellie. - Nie czujesz, że coś się przypala?

Wbiegły do kuchni.

-Musaka jest już gotowa. Siadajcie do stołu. Co będziesz piła, coca-cole czy piwo? - zapytała Camilla rzeczowo, jakby nic się nie wydarzyło.

Amber i Nellie wymienili spojrzenia.

Camilla nałożyła im na talerze kopczyk oberżyny.

-Jesteś uparta, Amber - powiedziała, starając się powstrzymać łzy. - Odziedziczyłaś to po mnie. A ja po swojej matce. Chyba wszystkie mamy to we krwi. Lecz później konsekwencje tego cię dopadną, przekonasz się. - Sięgnęła do kieszeni fartucha i podała Amber oficjalnie wyglądający list. - Prosiłaś, bym powiedziała ci prawdę. Oto prawda.

List, napisany po turecku, pełen był prawniczego żargonu, z którego Amber niewiele mogła zrozumieć. Zrozumiała jednak, iż władze zamierzają zburzyć dom Marii w Cor-delio, aby poszerzyć ulicę. Przejmowali jej nieruchomość, ją zaś eksmitowali.

-To, co dają w zamian, nie wystarczyłoby, aby wyżywić przez tydzień cygańską rodzinę - powiedziała Camilla.

- Mogą tak postąpić?

- Władze mogą robić, co tylko zechcą. Lecz moja biedna matka nie ma nic więcej poza tą małą chatką. Kiedyś trzymała tam kury, pamiętasz? Nie ma dokąd pójść.

- Na miłość boską, ona ma sto lat! Czy nie powinna tak czy inaczej z kimś mieszkać?

- Nie ma nikogo takiego. Wszyscy wymarli. Mój ojciec. Moi bracia. Poza mną nie ma nikogo, kto mógłby się nią zaopiekować. Będzie musiała zamieszkać tu ze mną. Tylko że ona tego nie chce. Próbowaliśmy namówić ją już wcześniej, lecz ona i twój ojciec, niech będzie błogosławiona jego dusza, niezbyt zgadzali się ze sobą. Poza tym jest za bardzo przywiązana do swego domu. Nie odejdzie stamtąd. To złamałoby jej serce.

- Więc co masz zamiar zrobić?

- Nie mogę nic zrobić. Nie mogę zmusić się, by przekazać matce tę wiadomość. To jedyne, co jej pozostawiono. Malutki szałas. Jak gdyby nie dość ją wymęczyli, zabierając dom, aby postawić tę okropną elektrownię. Nasza rodzina nie ma szczęścia, ja ci to mówię. Jak ja mam się nią zająć? Sama jestem już stara.

- Nie możesz umieścić jej w domu opieki albo w jakimś podobnym miejscu? Nie ma tu takich placówek?

- Pewnie, mamy tu kilka domów spokojnej starości, czemu nie? Ale nie przyjmą tam kogoś tak starego, nawet jeśli jest zdrowy.

- A co ty na to, aby wynająć dziewczynę ze wsi? Opiekunkę.

- *Yok.* To melodia przeszłości. Takich dziewcząt już nie ma. Nie takich, jak była niegdyś Gonca, jej siostry i im podobne. One należały do rodziny. Teraz wiejskie dziewczęta są płocze. Flirtują z chłopcami na ulicach. Można nawet zo-

baczyć, jak siedzą na ławkach w parku i całują się. Żadna z nich nie podjęłaby się takiego zajęcia. Poza tym, jak wiesz, nie zniosłabym obecności obcej osoby w domu. One szperają ci w szufladach. Podśłuchują pod drzwiami. W końcu okradają cię i szuuuu! Już ich nie ma. Wiesz, że nigdy nie lubiłam mieć w domu słuchających. Dziękuję ci, moja córko, ale nie.

- Musi być coś, co mogłabyś zrobić - upierała się Amber. - Co robią inni, kiedy nie są w stanie zaopiekować się swoimi staruszkami?

- Nie mogę nic zrobić - powiedziała Camilla. - Myślałam już o wszystkim. Przez całe życie opiekowałam się innymi, a teraz, kiedy wreszcie miałabym szansę odpocząć... nie mogę jej zostawić. Taki mój los. Ty nie pomożesz mi wybrnąć z tej sytuacji. Nikt mi nie pomoże. Jestem całkiem sama.

- Czego się po mnie spodziewasz?

- Chciałabym, byś odwiedziła babkę i przekazała jej nowiny. Ciebie posłucha prędzej niż mnie. Zawsze tak było, choć nie wiem czemu. Przecież byłam dobrą córką. Poza tym może już nigdy jej nie zobaczysz. Kto wie, kiedy znów tu przyjedziesz, o ile w ogóle...

- Gdy chciałam odwiedzić ją poprzednim razem, powiedziałaś, że nawet mnie nie pozna.

- Cofam to. Pamięć ma lepszą niż my obie razem wzięte. Pamięta wszystko, co wydarzyło się w przeszłości. Może nawet zbyt wiele.

- Powiedziałaś, że ona nie mówi.

- To prawda.

- O co tu chodzi? Nie może mówić czy nie chce?

- Cóż, pewnego dnia po prostu przestała się odzywać. Pojechałyśmy na **bo-stan**, miejscową farmę, kupić trochę oberżyny i ostrej papryki. Nagle zobaczyłam, że zmierza w kierunku studni, którą władze planowały zamknąć, ponieważ, jak utrzymywali urzędnicy, została zarażona malarią. **Bostanci**, właściciel, nie

pozwolił im na to, ponieważ wierzył, że w studni mieszka duch, który potrzebuje słońca. Gdyby mnie kto pytał, w tej studni mieszkały przede wszystkim żmije i inne gady. Całe miliony węży, które w tych stronach nadal poświęcone są Wielkiej Matce, dlatego nikt ich nie zabija.

Pozwolili mu nakryć studnię siecią, ale sąsiedzi i tak uznali ją za przeklętą. Nikt nie ośmielał się podejść bliżej. Nikt. Patrząc, a tu matka zbliża się do studni, krzyczę więc:

„Zatrzymaj się, mamó! Dokąd idziesz?!” A ona kroczy śmiało dalej, jakby w ogóle mnie nie słyszała. Tymczasem słuch ma bardzo dobry, wiesz o tym? Słyszy nawet to, co dzieje się daleko, słyszy szepty ludzi w oddalonych pomieszczeniach. Ale nie słyszy mnie i dalej zmierza w stronę studni. Powtarzam, aby się zatrzymała, bo studnia jest przeklęta, lecz ona nie zwraca na mnie uwagi. Rzucam więc worek z oberżyną, pędzę za nią i chwytam za ramię. Spogląda na mnie i choć nic nie mówi, w jej spojrzeniu czai się szaleństwo. „Co się stało, mamó? - pytam. - Dlaczego masz taką pochmurną minę?” A ona nadal się nie odzywa, jakby sparaliżowało jej język.

Od tego dnia nie powiedziała do mnie ani słowa. A było to ponad rok temu. Słyszy i rozumie, co się do niej mówi, lecz nigdy nie odpowiada. Twój ojciec zwykł był mawiać, że ona nie mówi, ponieważ ja mówię tak dużo. Ja zaś twierdzę, że ona nie odzywa się, ponieważ jest uparta jak muł. Tak to właśnie wygląda. Ostrzegam cię. Nie spodziewaj się, że sobie z nią porozmawiasz. Jest jak muszla perłopława z ukrytym w niej pasożytem. Ale co można na to poradzić? Jeśli rozbijesz muszlę, perłopław zginie.

Amber i Nellie zgodziły się pojechać do Cordelio, przekazać Marii nowiny i przywieźć ją do domu. Camilla martwiła się, że Maria może odmówić opuszczenia chatki i władze będą zmuszone usunąć ją stamtąd siłą. Nie była dobrej myśli.



Powiedziała, że potrzebują cudu. Ostrzegła też Amber co do innych dziwacznych zwyczajów jej babki.

-Matka wszędzie nosi ze sobą torbę z napisem „Singapurskie Linie Lotnicze”, przewieszoną przez ramię. Nikt nie wie, gdzie ją znalazła, lecz torba stała się świątynią jej duszy. Nosi w niej wycofane z obiegu pieniądze, które krewni musieli zakopać dawno temu. Właściciel sklepu spożywczego powiedział mi, że przynosi mu te pieniądze i usiłuje nimi płacić. On nie ma serca wyjaśnić jej, że nie są dobre, bierze je więc i daje w zamian towar. Potem ja wysyłam mu pieniądze, by pokryć jej wydatki.

- Co jeszcze ma w tej torbie? - spytała Amber.

- Kieszonkowy zegarek mego ojca. Co kilka minut wpada w panikę i nakręca go, popychając przy tym wskazówki. Potem jest zła, ponieważ nie przychodzi nigdzie na czas. Muszę więc przestawiać zegarek na właściwą godzinę, lecz ona znowu to robi. Już nie wiem ile razy widziałam, jak rozrzuca wszędzie zawartość torby, kiedy nie może znaleźć zegarka. Mówię ci o tym, żebyś wiedziała, czego się spodziewać.

Amber otworzyła drewnianą furtkę, prowadzącą do ogrodu pełnego bujnej roślinności. Pnącza wiły się w blasku słońca; dzwonkowate kwiaty trąby korzenioczepnej, powoje i hibiskus dyndały na swych wiotkich łodyżkach. Nellie podążyła za matką dróżką wykładaną kamiennymi płytami. Obie ciągnęły walizki na kółkach.

Przy wejściu zauważyły świeżo zerwane białe gardenie. Nieskazitelne, acz zmysłowe w swej miłosnej krasie, unosiły się na wodzie w glinianej misie. Amber dotknęła nosa, zamykając ich woń w nozdrzach, by odurzenie potrwało choć chwilę dłużej. Upajała się wdzięcznością, jaką odczuwała wobec bóstw za to, że

stworzyły taką biel i taką szlachetność duszy, która nakazała umieścić piękno u wejścia do tego skromnego sanktuarium. Podziękowała za możliwość wążania gardenii, za całą tę piękną chwilę.

A potem to dostrzegła. Milczący, niemal podświadomy ruch pod płatkami, wzbudzający na wodzie drobne zmarszczki. Nie powietrze. Nie wiatr. Inne życie roilo się pod spodem, siłą wydostając się na powierzchnię, gdy pozbawione świadomości, czarne, wrzecionowate zastępy ruchliwych larw moskitów walczyły, by stać się dorosłymi pasożytami. Woda służyła insektom i kwiatom.

-Zwodnicza fasada piękna - powiedziała Nellie, dumna z obserwacji i doboru słów. - Lecz nie pozwolisz chyba, aby zepsuło nam to dzień, prawda, mamusiu?

Amber otrząsnęła się z zamyślenia i uśmiechnęła.

-Nie, zwłaszcza że jesteś przy mnie, by nadać sprawom właściwy bieg.

Drzwi i okna zastały otwarte, jednak w domu nie było nikogo. Wewnątrz życie ograniczone do absolutnego minimum i prostoty - kilim spłowieły tak bardzo, że przybrał barwę błota, materac przykryty białą pikową kapą, mały stół i krzesło w rogu, piecyk na węgiel, pomalowany niebieską farbą. Pęki ziół zwisały z niskiego sufitu, a koszyk dojrzałych fig ozdobił stół.

Zdjęcie Hamid Beja, wystrojonego we wspaniałą fez z chwastem i dystynkcje oficerskie, w owalnej ramce - boleśnie młodego, choć już o stanowczym wyrazie twarzy, przystojnego, jak to tylko możliwe. Nie tego starca, którego pamiętała, przesiadującego naprzeciw niej i reperującego zegarki.

- To ten, którego Camilla znalazła w kufrze - powiedziała Amber. - Jej prawdziwy ojciec.

Na zdjęciu nie widać było pustego rękawa, wetkniętego na stałe do kieszeni. Gdy je robiono, miał jeszcze obie ręce.

Wyszły tylnymi drzwiami. Nellie ścisnęła dłoń Amber i wskazała na wewnętrzny mur, pomalowany z jednej strony ochrą, otaczający ogród i przecho-

dzący w turkus, jakby komuś w połowie zabrakło farby. Super. Szybko wyjęła polaroid.

Poszły wzdłuż przedpotopowej winorośli, wspinającej się na drzewa, omijając ciemne skurczone pączki, rozsypane na ziemi i plamiące ją na kolor burgunda. Trafiły na małe podwórko, gdzie na nisko rozwieszonych sznurach do bielizny suszyły się tytoniowe liście.

Maria, nawet ubrana w długą czarną suknię i szal, niemal zupełnie zlewa się z krajobrazem, naśladowując jego barwy niczym kameleon. Zwrócona do nich tyłem, z torbą Singapurskich Linii Lotniczych przewieszoną przez ramię, stoi, wpatrując się w pokrytą mchem i porostami studnię, zdobioną starożytnym wzorem w jodełkę.

Nagle podnosi kamień. Wypowiada życzenie. Wrzuca kamień do studni. Słyszą głucho echo. Amber czeka, co będzie dalej, lecz Maria po prostu stoi. Zupełnie tak samo, jak stała tamtego dnia, gdy po raz pierwszy zobaczyła ją przy studni. Zanim sama wypowiedziała życzenie.

Pomimo iż Maria ma sto lat, osteoporoza nie skrzywiła jej kości. Stoi wyprostowana i władcza, absolutnie nieruchoma, duchem przebywająca gdzieś indziej, skupiona na podtrzymaniu więzi z czymś, co znajduje się w studni. Cokolwiek to jest, Amber umiera z chęci, by to zobaczyć.

Podchodzi nieco bliżej, lecz Maria, nadal nieświadoma ich obecności, nie przerywa medytacji. Jej twarz to starożytna mapa linii na pomarszczonej jak u żółwia skórze, na prawym zaś policzku widnieje duże znamię przypominające kostkę czekolady. Amber wyobrażała sobie, że ta mapa stanowi rodzaj klucza, pozwalającego odczytać życie Marii.

Już miała oddalić się po cichu, by uszanować chwilę prywatności, i zaczekać w chacie, gdy Maria odwróciła z wolna głowę i utkwiała wzrok w Amber. Wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, skupiając wzrok, przywykając do obecności

drugiej istoty ludzkiej, a potem oceniając jej związek z własnym życiem. Nie śpieszyła się, przeobrażenie odbywało się tak łagodnie, że było prawie niedostrzegalne. To Amber nie mogła dłużej znieść intensywności tej chwili; ktoś musiał coś powiedzieć, i to szybko. Ponieważ Maria już nie mówiła, ciężar przerwania ciszy spoczywał na barkach Amber. Co by tu powiedzieć? Witaj, babciu. Poznajesz mnie? A może: cześć, jak się masz? Czyż to nie piękny dzień? Powiedzieć ważne, znaczące słowa. Nie do zapomnienia. Powiedzieć co?

Zamiast słów nadeszła jej własna cisza. Amber i jej babka oczyszczały się nawzajem spojrzeniem, aż powietrze wokół nich stało się tak lekkie, że uczyniło je to bezcielesnymi. Niebieskawa aura otoczyła ciało Marii. Jej rysy zaczęły drżeć i zacierać się, subtelne zmiany koloru skóry Amber błyskały tysiącem twarzy. Kobiety małpy, czarownice, dziecienniałe stare wiedźmy, zmysłowe syreny, kobiece Buddy, przedpotopowe staruchy, królowe, małe dziewczynki, dziewice, dziwne zwierzęta, prehistoryczne kobiece bóstwa i wszystko inne między nimi.

Amber upodabniała się do każdej postaci, której odbiciem się stawała, rozpadając się chwilami z niepewności, jak daleko może odejść, błyskając uśmiechem, by uniknąć konfrontacji z brzydotą, lub odwracając się, by przerwać więź. Chwilami miała chęć się roześmiać, by dać upust napięciu. Łzy napłynęły jej do oczu nie dlatego, że chciały popłynąć, ale ponieważ tak wiele warstw przejrzystości w paradoksalny sposób zatarało kontury obrazu. Mogła jedynie wzdychać, jakby walczyła o oddech. Chwilami wydawało się, że stopy Marii odrywają się od ziemi; jeszcze trochę, a zaczęłyby lewitować jak kobiety na obrazach Chagalla.

Amber poznawała tajemnicę. Nie miała pojęcia, gdzie leży źródło żywotności starej kobiety, lecz obserwowała, jak wznosi się i opada niczym fale. Wyobraziła sobie, że Maria może być świętą. Lecz skoro tak, to co z Camillą i z nią? A jeśli świętość jest dziedziczna? Czy mogła odziedziczyć ten dar i przekazać go swojej córce?

Lecz w chwili, gdy jej ego niemal oddzieliło się od ciała, falowanie zaczęło ustawać. Twarz Marii stała się wyraźnie widoczna i taka już pozostała. Wyglądała zwyczajnie - stuletnia kobieta, starożytny artefakt pełen wspomnień radości i strachu, pokryty zawiłą siecią zmarszczek, ze znamieniem w kształcie kawałka czekolady na policzku.

-Poznajesz mnie? - przemówiła Amber cicho, starając się nie wzbudzić głosem czujności Marii.

Maria zachowała się, jakby nie usłyszała słów Amber. Odwróciła się do Nellie i czas jakiś badała dziewczynkę spojrzeniem, tak jak przed chwilą wnuczkę, a potem wróciła do rzeczywistości.

- Żółte jak u świeżo wyklutego kurczaka - powiedziała.

- Co takiego? - spytała Amber, zaskoczona, że staruszka się odezwała.

- Jej włosy. Są jak piórka świeżo wyklutego kurczaka -powtórzyła Maria.

- Ona mówi! - zawołała Nellie.

- A zatem z twoim językiem wszystko w porządku - powiedziała Amber nieco zgryźliwie, obejmując wątle ciało Marii, drobnej jak ona sama, skurczonej pod brzemieniem lat. Objęła ją nie ciasnym, duszącym uściskiem, lecz niemal zespalając się z nią wraz z każdym wdechem i wydechem. Gdy Maria weszła w pole jej energii, Amber dostrzegła niezauważalny niemal ruch skóry babki, słabiotkie drżenie komórek, niczym u małego zwierzątka, wiewiórki czy królika. Jej wąsiki, jej intensywne węszenie, krótki oddech, niespokojne bicie serca.

Nellie stała o kilka kroków za nimi, milcząca i nieporuszona. Nagle dźwięk przypominający intensywne łopotanie skrzydeł rozproszył ich uwagę. Maria i Amber odsunęły się od siebie.

-Spójrz! - krzyknęła Nellie, poruszona do granic, wskazując na istną powódź karmazynowych kwiatów bugenwil-li, pokrywających kamienny mur.

Stadko kolibrów, liczące nawet setki ptaków, opadło na kwiaty z trzepotem zmysłowego szału, jak gdyby w ezoterycznym tańcu godowym - to ścigając się nawzajem, to współzawodnicząc ze sobą w wyścigu do wnętrza kwiatu, to spadając nagle w dół tak nisko, że omal nie wplątały się we włosy kobiet.

- Ćwir, ćwir, ależ słodki ze mnie ptaszek - zaśmiała się Nellie. - Nie widziałam dotąd tak malutkich. Są niemal jak ćmy.

- ...ale te same cętkowane oczy - powiedziała Maria.

- Ptaki?

- Dziewczynka.

- Witaj, *anne-anne-anne!* - zawołała przypoohlebnie Nellie. *Anne* znaczy matka. Wypowiedziane dwa razy: babka, trzy: prababka. Tyle wiedziała ze swego samouczka dla podróżujących po Turcji. Sfotografowała ptaki polaroidem, a potem podała zdjęcie Marii. Maria spojrzała na fotografię, próbując doszukać się sensu w tych dziwnych czarach.

- Zrób nam też jedno czy dwa - poprosiła Amber, otaczając Marię ramieniem i przytulając policzek do jej policzka.

- Uśmiechnijcie się - powiedziała Nellie, pstrykając. Maria skuliła się, gdy usłyszała trzask migawki, zdjęta obawą, że ukradziono jej duszę. Bo tak właśnie było.

Fotografia stoi teraz na toalecie Amber, pomiędzy flakonikami perfum, ustawiona na odziedziczonej po Aidzie tacy zdobionej tysiącem barwnych motyli skrzydeł, tej samej, którą General przywiózł kiedyś z Korei razem z innymi rodzinnymi pamiątkami, także należącymi do dziedzictwa. Spogląda na twarz Marii, pomarszczoną jak orzech włoski, doszukując się coraz większego podobieństwa pomiędzy sobą a nią, zastanawiając się, czy pożyje dość długo, aby mieć tyle zmarszczek co ona, i kiedy na jej policzku pojawi się znamię w kształcie kawałka czekolady.

- W naszej rodzinie kobiety zawsze późno przechodziły menopauzę. Ja miałam prawie sześćdziesiąt lat. Mężczyźni umierali, ale kobiety dożywały bardzo późnego wieku - powiedziała jej pewnego razu Camilla. - Jednak musimy zapracować na swoje zmarszczki. Maria wypracowała ich tyle, że starczyłoby na tysiąc żywotów.

Tej nocy spały na podłodze z płytek o wytartym wzorze, na tym samym wąskim materacu, na którym sypiała w dzieciństwie Amber. Tyle że prześcieradła i powłoczki uszyte były z płótna najlepszej jakości, obramowanego własnoręcznie wykonaną koronką. Przed nocą Maria wymknęła się do ogrodu, skąd powróciła, niosąc koszyk pełen rozkwitających nocą płatków jaśminu, którymi wypchała potem poduszki.

Maria nalegała, by wzięły jedyną w domu moskitierę, i Nellie zapaliła paskudnie woniejącą zieloną spirale przeciw komarom. Amber i Nellie leżały na boku bez przykrycia, ich oddechy skraplały się, a jaśmin pochłaniał wilgoć. Próbując pozostawić między swymi ciałami nieco przestrzeni, ześliznęły się na chłodne płytki podłogi.

Z początku panował spokój, gdyż Moskity nie lubią światła dziennego. O zachodzie jednakże wynurzyły się ze swych kryjówek, szukając krwi. Około północy, kiedy spirala wypaliła się i został z niej jedynie mały kopczyk popiołu, zaczęły nadciągać rojami niczym małe tornada. Przez całą noc zza moskitiery dobiegało gniewne bzyczenie. Na zewnątrz powietrze wibrowało od innych owadów i nocnych stworzeń, poświstywania małych żab, a wszystko to brzmiało tak, jakby ktoś rozwijał nić z milionów szpulek.

Niewyraźna wizja nie pozwalała Amber zasnąć. Nie powiedziała o tym, nie wspomniała ani słówkiem, lecz wyglądało na to, że nie przyjechała tu tylko, aby



odwiedzić Marię. Miała do spełnienia swego rodzaju misję, trudną i niepokojącą. Była emisariuszem Camilli. To zapadała w sen, to znów budziła się, mokra od wilgoci; obrazy i słowa ze snu, rozwlekłe i teatralne, mieszały się w jedno z dziwnym bzydze-niem podnieconych bliskością łupu owadów.

W pewnej chwili wstała i wymknęła się na dwór, zanim moskity zdołały jej dopaść. Lecz one i tak ją znalazły. Zaatakowały najpierw twarz, a potem pierś. Biegła do ogrodu, oganiając się przed nimi, jak tylko mogła.

Na zewnątrz cykady pocierały jak obłąkane skrzydełkami w godowym szaleństwie. Zaczynały cykać, a potem, jakby na tajemniczy znak, przestawały, oddając głos żabom.

Milczące owady, skradające się na wysokich odnóżach pająki, olbrzymie i fantastyczne, w tygrysie paski, tańczące na niewidocznych niciach. Przecinające się sieci tworzyły u wejścia do szopy istny baldachim. Amber trysnęła na nie wodą, aby przepłoszyć pająki i uniknąć pogryzienia, a potem szybko wyskoczyła na zewnątrz.

Blade światło sączyło się z gazowej lampy wypełnionej ćmami, oświetlając nierzadym reflektorem kwiaty karmazynowe-go hibiskusa w pełnym rozkwicie. Dziwaczne odwrócone lilie otwierały kielichy - wszystko płodne, pyszniące się swoją płcią.

Uwagę Amber przyciągnął jasny przedmiot, znajdujący się tuż obok misy z gardeniami i larwami moskitów. Moneta stukurusowa. Krawędzie płatków zwijały się i pokrywały plamami, woda burzyła się, a czarne konary wydawały groźniejsze i bardziej natarczywe. Wyjęła gardenie i wylała wodę na ziemię, zdecydowana zniszczyć pasożyty, nim się wylęgą. Ziemia natychmiast wchłonęła wodę. Potknęła się o coś, czego nie była w stanie dostrzec, a potem napełniła misę świeżą wodą ze stojącego na patiu terakotowego dzbanka i wrzuciła do niej gardenie.

Wewnątrz armia moskitów bzyczała teraz wokół głowy Marii. Amber zapaliła kolejną brzydko pachnącą spiralę. Jej zapach odstraszył chwilowo owady, lecz nie minie wiele czasu, a wróca.

Potem Maria krzyknęła, zakwiliła i Amber pomyślała, że przemawia w obcych językach, lecz rozróżniła słowa, będące mieszanką greckiego, włoskiego i francuskiego. Nieskładnie wypowiedane zaklęcia. Biedna kobieta, bez wątpienia uwięziona w pułapce koszmaru.

- Nie powinniśmy jej obudzić? - spytała Nellie.

- Niedobrze jest budzić kogoś, kogo męczy koszmar, bo ten może nigdy nie zniknąć.

Obserwowały Marię, dopóki nie zaczęła normalnie oddychać. Potem to Nellie musiała wyjść na dwór. Wróciła niemal natychmiast, zdyszana, i przytuliła się do matki.

Amber odsunęła córkę.

- Za gorąco na pieszczoty, kochanie.

- Na dworze jest mężczyzna - szepnęła Nellie.

- Nikt nie mógłby przejść przez furtkę. Jest zamknięta.

- Ale on tam jest, mamusiu.

Amber, choć zaniepokojona, starała się uspokoić córkę.

-Ciii. Leż spokojnie i udawaj, że śpisz. Jeśli pomyśli, że nie zdajesz sobie sprawy z jego obecności, może zostawi cię w spokoju. Wasze spojrzenia nie powinny się spotkać, to niebezpieczne.

Zatem leżały obok siebie z zamkniętymi oczami, wstrzymując oddech, nasłuchując, dopóki nie wypaliła się spirala i moskity nie powróciły. Lecz mężczyzna nie pokazał się.

- Jak on wyglądał?

- Wysoki, stał tuż za drzwiami, obok misy z gardeniami; miał tylko jedno ramię. Był naprawdę przerażający. Stał tak blisko, że niemal na niego wpadłam. To naprawdę dziwne. Jakbym wpadła na niego, ale nic nie poczuła. Jakby nie było tam nikogo, tylko pusta nicość. Zniknął. Rozejrzałam się dookoła, ale w ogrodzie nikogo nie było. Wbiegłam więc do środka, gdyż bałam się, że może wrócić. Ale nie wrócił.

- Miał tylko jedno ramię?

- Tak, jestem pewna.

Być może Nellie zbyt przejęła się opowieściami Camil-li o pradziadku z jednym ramieniem, pomyślała Amber. Nie zamierzała jednak nic mówić. Jeszcze nie teraz.

Kiedy odgłosy nocnych stworzeń ucichły, kobiety obudziły się. Na dworze wyraźnie pochłodziło. Dwa andaluzyjskie kurczaki dziobały na podwórku ziarno. Owady o twardych pancerzykach leżały na grzbiecie na ziemi, przebierając w powietrzu nogami. Pręgowany kot tarzał się po żwirze, drapiąc grzbiet.

Maria była już na patiu. Wyciskała mleczny płyn z woreczka na ser, zawieszono go w altanie, odsączając serwatkę z jogurtu, aby nie skwaśniał w upale.

- Wiesz co? - zapytała Nellie.

- Co takiego?

- Wiesz, kogo mi ona przypomina?

- Kogo?

- Yodę. Wiesz, tego z *Gwiezdných wojen*.

- Taa.

Amber zapatrzyła się na wiązkę krzyżujących się linii sieci wysokiego napięcia za kamiennym murem, w miejscu gdzie kiedyś stał dom jej dziadków. Zdumie-

wały ją zmienne koleje losu Marii, jej życie, ograniczone teraz do tego szalasu dla kur, pełne dramatycznych zwrotów, podobnie jak jej własne. Jak mam przekazać jej nowiny? Jak mam powiedzieć, że za kilka tygodni buldożery zniszczą jej dom, jej ogród, jej studnię?

Maria naląła herbatę do małych filiżanek. Dłonie miała zadziwiająco pewne jak na osobę w tak podeszłym wieku. Melasa, *tahini* i konfitura z płatków róży w magiczny sposób pojawiły się na stole. I, oczywiście, figi.

- Miałaś dobre sny? - spytała.

- Nellie śniła o jednorękim mężczyźnie.

- Niech będzie błogosławiona jej dusza. On nawiedza także moje sny, przez cały czas - stwierdziła Maria rzeczowo.

Ustawiła na stole misę wiśni, a potem wzięła spinkę do włosów i zaczęła usuwać nią pestki. Sok tryskający z wiśni pozostawiał plamy koloru na jej białym fartuchu. Obrywała ogonki wyschłymi palcami i zawzięcie wkłuwała w owoce spinkę. Amber zaczęła jej pomagać. Kury dziobały pestki. Nellie fotografowała wszystko dookoła.

- Nie czujesz się tu zbyt samotna, wyobcowana? - spytała Amber Marię.

- Mam siebie do towarzystwa.

- Dlaczego nie chcesz zamieszkać z matką w Stambule? Ona jest taka samotna.

- Może chce wrócić z tobą do Stanów?

- Nie powiedziałam tego. Powiedziałam, że czuje się samotna. Chciałaby, byś zamieszkała z nią w Stambule. Nie nawykła do tego, by być samą. Jesteś jej jedyną bliską krewną.

- Wyjechałaby z tobą, gdyby nie ja, wiem o tym.

- Nie zostawiłaby cię, *anne-anne*. Nawet by jej to nie przyszło do głowy. Chce zostać w swoim domu. I chce, żebyś z nią zamieszkała.

-Już raz to zrobiłam.

-To było, zanim umarł mój ojciec. Teraz wszystko wyglądałoby inaczej. Tylko wy dwie, matka i córka...

Maria jakby zapadła się w sobie. Mrok przesłonił jej spojrzenie.

-Jestem starą kobietą - powiedziała. - To jest mój dom. (Niech będzie błogosławiona jej dusza). Nigdzie się stąd nie ruszę. Nie opuściłabym go, nawet gdyby dawano mi tyle złota, ile ważę. Nawet gdyby wybudowano mi seraj. Ale nie przejmuj się mną. Camilla może z tobą wyjechać, jeśli tylko chce.

- To nie w porządku. Ona nigdy tego nie robi.

-Camilla zawsze robi to, co chce. Jest uparta jak muł. Poza tym to pleciuga.

-Ona cię nie zostawi!

Maria zasypała wiśnie cukrem, te zaś puściły krwistoczerwony sok.

-Camilla może z tobą wyjechać, jeśli chce. Nie dbam o to. Przekaż jej, że to powiedziałam. Ja nie mogę wyjechać! Nie mogę opuścić tego miejsca. Jak mogłabym? Pomyśl, kto by go karmił, gdybym wyjechała?

-Możesz zabrać kota ze sobą, jeśli chcesz.

- Nie chodzi o kota - mówiła dalej Maria, zniecierpliwiona. - Ale o Hamid Beja.

- Wiedziałam, że to był on! - zawołała Nellie. - To jego widziałam w nocy.

- Tak, wychodzi nocą, gdy wszyscy śpią. Wychodzi, zjada to, co mu naszykuje, a potem kładzie monetę stukuruşową obok misy z gardeniami i znika. Każdej nocy zdarza się to samo. Zastanawiam się, skąd bierze pieniądze - nigdy nie myślałam, że duchy posługują się walutą - ale on, jak widać, troszczy się o to, bym miała z czego żyć. Nigdy tak naprawdę go nie widziałam, wiecie o tym? No, może raz. Właściwie nie mogę powiedzieć, że go widziałam, raczej wyczułam zapach nagromadzonego w stodole siana - tak pachniał, gdy wrócił z wojny po raz pierwszy.

Tego dnia, gdy przyszli Grecy, mocno padało. Nad Zatoką Smyrneńską pojawił się cyklon. Gdyby nie on, pewnie zabiliby więcej ludzi. Lecz cyklon zniszczył wiele ich statków. Nadeszli z cyklonem, odeszli z ogniem.

Gdy Hamid nie zgodził się z nimi współpracować, aresztowali go i zaczęli torturować, ponieważ pracował w wywiadzie. Tygodniami przetrzymywali go w ciemnej piwnicy i głodzili. Żywił się karaluchami i mrówkami, pił własną krew, aby ugasić pragnienie. Jednak pewnego dnia udało mu się zbiec, by zobaczyć się ze mną i z Camillą i dać nam jedyny cenny przedmiot, jaki mu pozostał - złoty kieszonkowy zegarek, który ukrył pomiędzy krokwiemi.

Uciekł do Anatolii, zostawiając mnie samą w tym piekielnym mieście. Zabrali mu wszystko: kapelusz, nawet buty. Musiał podróżować przez długi łańcuch anatolijskich miast. Najpierw dotarł do Alaşehir i Salihli, przedarłszy się przez góry pełne uzbrojonych band. Niektórzy z tych ludzi byli nacjonalistami, inni rebeliantami. Włączył się do wojny wyzwoleniczej jako cywil i nadal pracował dla tajnych służb, wspierając kampanię narodową Atatürka. Przez trzy lata przemierzał kraj na piechotę, docierając do Nazilli, Mula, Antalyi, Adany i Mersin, za co przyznano mu purpurowy medal. Wielka ofiara, a w zamian jedynie parszywy kawałek metalu.

Camilla była jeszcze malutka, miała zaledwie roczek. Turcy wyrzucili nas z domu, gdyż byłam Rumijką. Nie mogłyśmy pojawić się na ulicy. Grecy włączyli się ze strzelbami i bagnietami, gotowi w każdej chwili zaatakować. Nie miałyśmy niczego oprócz jego zegarka, który musiałam zastawić.

Tak więc byłyśmy zmuszone zamieszkać w Bornovie, z moją rodziną, składającą się z dwóch moich sióstr, Anny i Elpidy, oraz matki, próbującej samotnie wychować dzieci. Ojciec nie żył. Moich dwóch braci, czternastoletniego Stefana i szesnastoletniego Giorgia, wcielono przymusowo do armii. Ponieważ nie pozostał nikt, kto mógłby zająć się prowadzeniem rodzinnego interesu, zaczęłam naj-

mować się do pracy jako szwaczka, by wspomóc rodzinę. Szylałam dla ludzi, którzy przedtem byli przyjaciółmi rodziny, a nawet dla tych, którzy dla nas pracowali. Ponieważ jednak Hamid pracował w wywiadzie, znajdowałam się pod ciągłą obserwacją, a to utrudniało zdobycie zamówień. Nie mogliśmy nawet do siebie pisywać. Musiałam ukryć jego fotografię w skrzyni.

Gdy wrócił, pachniał zupełnie inaczej niż przedtem. Teraz zalaływo od niego ziemią, krwią i sianem. Ten zapach pozostał z nim aż do końca. Ten sam, który dolatuje ze studni. Patrzyłam, stojąc nieruchomo na progu, rozpaczliwie pragnąc wyjść i go zobaczyć, dotknąć, by przekonać się, że jest prawdziwy, zapytać, czy może mówić, czułam jednak, że to by go zdenerwowało i jakoś by mnie ukarał. Powstrzymałam się zatem. Stałam spokojnie, dopóki nie wszedł do studni i nie zniknął z widoku.

Następnego ranka zajrzałam do studni. Zrobiłam to w porze, gdy słońce świeci najjaśniej i można wyraźnie dostrzec powierzchnię wody. Nic, nawet pyłka kurzu. Woda jak lustro. Wiedziałam, że studnia jest o wiele głębsza, niż można zobaczyć z góry, lecz jeśli on opuścił się aż tak głęboko, znaczyło to, że nie jest człowiekiem, inaczej waga jego ciała sprawiłaby, że unosiłby się na powierzchni. Tymczasem na wodzie nic nie pływało, nawet komar.

Od tego czasu wyglądam go każdej nocy. Gdy księżyc jest w pełni, nie śpię. Siadam w obrośniętej winoroślą altance, czekając, by wrócił, lecz wicie, on nigdy nie przychodzi, gdy czuwam. Siedzę w ciemności, walcząc z sennością, ale zawsze przegrywam. A kiedy nie mogę już utrzymać głowy prosto na szyi, wlokę się z powrotem do chaty i padam na materac. Raz czy dwa zdarzyło mi się nawet przysnąć na ławce, a kiedy się obudziłam, powyginana niczym świąteczny rogalik, był już świt. Czasami chyba śniło mi się, że go widzę, choć pewnie tylko to sobie wyobraziłam. To musiał być cień drzewa lub coś innego, powiększonego, gdyż księżyc świecił pod dziwnym kątem, a ja dośniłam sobie resztę. Choć przy-



sięgłabym, że nie spałam. Nie powiedziałam o tym nikomu, nawet Camilli, ponieważ ludzie mogliby pomyśleć, że miewam przywidzenia i że jestem zbyt stara, by mieszkać samotnie, a wtedy wysłaliby mnie do jakiegoś miejsca i zamknęli ze zdziecinniałymi starymi ludźmi, którzy nie potrafią trafić sobie łyżką do ust. Jestem szczęśliwa, żyjąc tu samotnie.

- Wspomniałaś o tym komuś?

- Tak, gdy już nie mogłam się powstrzymać, powiedziałam Gülistan Hanum. Wiesz, to moja najbliższa sąsiadka -ta, której syn się jąka. Cóż, nie potrafiłam utrzymać języka za zębami. Wyjaśniła, że nie ma w tym niczego dziwnego, jej matka także ma ducha w studni. Co noc, gdy wszyscy zasną, zostawia dla niego jedzenie. W nocy duch przychodzi i zjada. Nagle wszystko w ogrodzie jej matki zaczęło rosnać jak szalone, a owoce i warzywa były tak dorodne, że przyjechali ludzie z gazety i sfotografowali je. Miała jabłka ogromne niczym melony. Pomidory wielkości dyni. Niezapominajki jak piwonie.

Zostawiłam więc tej nocy dla niego trochę jedzenia. Obok misy z magnoliami, by żadne stworzenie tego nie ukradło. Położyłam się i czekałam, starając się nie ruszać. Nie chciałam, by wiedział, że czekam. Następnego ranka jedzenia nie było, znalazłam za to coś innego - w misie leżała moneta. Sto kuruşy. Następnej nocy zrobiłam to samo: zostawiłam dla niego jedzenie, a rankiem znalazłam następną monetę.

Od tego czasu przychodzi co noc, a ja co noc wystawiam jedzenie. Zanoszę monetę do sklepu i kupuję dla niego rzeczy do jedzenia. Lubi czekoladę, a jeszcze bardziej prażone ziarna włoskiego grochu z białymi rodzynkami i pulchne suszone figi ze Smyrny. Winogrona sułtańskie i kalamatas. Czasami rozcinam figi i wkładam do środka orzechy laskowe. Uwielbia to. Sprawia też, że w moim ogrodzie wszystko bujnie rośnie. Spójrzcie na ten krzew jaśminu, na bu-genwillę. Pamiętasz, Amber, gdy mieszkaliśmy w dużym domu, były tu tylko splątane,

wrzecionowate chwasty. Spójrz teraz! Powiedz mi, widziałaś gdzieś takie rośliny? Nie, dziecko. Nie opuszczę mego domu, aby zamieszkać z córką.

Maria chwyciła misę z wiśniami i wyszła pośpiesznie z pokoju, upewniwszy się, że torba Singapurskich Linii Lotniczych nadal spoczywa bezpiecznie na jej barku. Podeszła do studni i pograżyła się w milczeniu, zupełnie jak poprzedniego dnia. Amber miała nadzieję, że babka zapomni, iż będzie mogła wrócić do swego miejsca wewnątrz studni, skąd pochodziły jej marzenia.

Zabrała Nellie na długi spacer w poszukiwaniu śladów przeszłości. Łąka za domem, gdzie kiedyś trupa wodewilowa rozbiła namiot i gdzie po raz ostatni widziała swą nieszczęsną ciotkę Papatyę. Nikt odtąd o niej nie słyszał.

Teraz tłoczyły się tu domki dla średnio zamożnych; chałupa, w której mieszkała kiedyś rodzina Nuri, dawno zniknęła. Lecz pinie miały się dobrze i nadal obramowywały z dwóch stron ulicę prowadzącą do Cordone, ich orzeszki zaś, przez nikogo niezbrane, zaścielały ziemię. Amber pokazała Nellie, jak rozłupać skorupkę i wyjeść orzech.

- Jadłaś kiedyś pył?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Czy kiedy byłaś mała, próbowałaś jeść ziemię?
- Dlaczego miałabym to robić?
- Nieważne.

Po południu wybrały się do Izmiru. „Pozwiedzać”, jak powiedziały Marii. Gdy Amber obejmowała Marię na pożegnanie, staruszka była nieobecna duchem, a z jej ciała emanowała szarość, kolor rezygnacji. Pachniała rozkładem. Amber trzymała ją, próbując tchnąć w jej ciało nieco własnej żywotności, lecz stara kobieta zamknęła się w sobie, niezdolna przyjąć dar.

Niebo zaciągnęło się chmurami, jakby zaraz miał spaść deszcz. Z dystansu Maria wyglądała jak trup, starucha na obrazie Muncha, odziana w długą czarną

suknię i szal. Z terakotowym dzbankiem na wodę w dłoni. Jak nakazuje obyczaj, wylała nieco wody w ślad za gośćmi, by mieli dobrą podróż, płynną i niezakłóconą jak strumień wody. Lecz woda wiła się pomiędzy szczelinami w kamiennych płytach, tworząc małe strumyki, i z sykiem parowała.

Maria machała dłonią i ramionami niczym kukielka na sznurku. Amber i Nellie minęły róg ulicy i poszły w kierunku przystani promów. Przeszły kawałek i, zlane potem, zatrzymały się przy starej ulicznej fontannie, by zmoczyć w niej chusteczki.

- Słyszałaś to? - spytała Amber.

- Taa, brzmiało jak jej głos, masz rację.

- Wracam. Nie ma co dłużej tego odwlekać. Muszę jej powiedzieć.

Maria nadal stała w miejscu, w którym ją zostawiły.

- Ona i tak mnie opuści - powiedziała. - Wiem o tym. Jeśli nie pojedzie z tobą, zostawi mnie w jednym z tych miejsc, gdzie trzymają zgrzybiałych staruszków.

- Wymyślasz nie wiadomo co.

- Nie chcę, aby mnie porzucono.

- Nie musisz martwić się o to, *anne-anne*.

- Wszystko tutaj to i tak tylko marny pył, nic więcej. Czy ma znaczenie? Nie. Nie chcę zostać porzucona. Powiedz jej, powiedz Camilli, że przyjadę z nią zamieszkać. On mnie tam znajdzie, jeśli będzie chciał. Skoro jest duchem, może pójść wszędzie. Całe życie czekałam na niego.

Tak więc Amber i Nellie zostały kilka dni dłużej, by pomóc Marii się spakować. Przed wyjazdem chciała jeszcze uhonorować studnię. Sama nigdy dotąd tego nie robiła, ale widziała, jak robiła to jej matka i inne kobiety w Bornovie, wiele razy w środку lata.

- Musimy zerwać każdy płatek z każdej kwitnącej rośliny w ogrodzie. Jaśmin, magnolia, granaty, każdy kwiat z krzaka bugenwilli. Zerwać wszystko, co kolo-

rowe, aż zostanie tylko zieleń. Zerwać i zmieszać ze sobą, tak by nie dało się odróżnić zapachu gardenii od róży. Zerwać, a potem sprasować tak, by nie można było odróżnić irysa od goździka. W ten sposób stworzymy wyobrażenie ofiary.

Pracowały przez cały dzień. Długo po tym, jak słońce stanęło w zenicie. Maria chciała, by zrywały kwiaty rękami, nie ścinały ich nożycami.

- W ten sposób odchodzą od gałązki w sposób naturalny - powiedziała.

Niektóre kwiaty łatwo było zerwać, inne opierały się, gdy odrywano je od gałązek, musiały więc skręcać je i ciągnąć, kalecząc rośliny. To była przemoc. Za każdym razem słyszały, jak kwiaty płaczą, czuły bicie własnych serc. Zerwały wszystko, aż wreszcie pozostała tylko zieleń, i włożyły kwiaty do singapurskiej torby, by je tam ubić.

- Ogród nigdy nie był tak pusty - oświadczyła Maria. - Nawet gdy byłam chora i nie mogłam zajmować się roślinami, które zdziczały. Kiedy ostatni raz zrywałam kwiaty, pozostawiłam trochę dla ptaków i pszczół, by rośliny mogły zakwitnąć. Nasiona potrzebują kolorów, inaczej nie wzejdą. Bez kolorów umieramy.

- Wiem.

Późnym popołudniem mogły już wyczuć zapach fermentujących kwiatów, słodki i octowy. O zachodzie przyleciały kolibry i podfrunęły do bugenwilli, nie tyle zwabione widokiem barwnych kwiatów, ile z przyzwyczajenia. Ćwierkały, furkotały, buczały pomiędzy pędami winorośli, szukając innych źródeł nektaru, który wykarmił pokolenia przedstawicieli ich gatunku. Ośmieliły się nawet nurkować na ślepo w nieistniejące kielichy kwiatów. Z początku popiskiwały jak rozgniewane myszy, potem całe stado pograżyło się w żałobnej symfonii. Czuły, że rośliny nie będą już kwitły, że w ogrodzie nie zostało ani trochę słodyczy. Czuły, że utraciły swoją fontannę życia, i to na dobre. Źródło pokarmu wyschło. Nim nadszedł zmierzch, wszystkie zginęły z wyczerpania.

## Dom w Izmirze



*(1997)*

Dokądkolwiek mogłyby zaprowadzić mnie w przyszłości zmienne koleje losu, to miejsce pozostanie, dopóki nie umrę, moją duchową ojczyzną, domem, do którego się wraca nie dla pewności, że będzie się mile widzianym, ani dlatego, iż każdy omszały głaz i każda jarzębina dodają nam otuchy niczym znajoma twarz.

**Gavin Maxwell, *Krąg Jasnej Wody***

W opłakanym stanie, zaniedbany, z drewnianą fasadą przegniłą ze starości, delikatnymi ozdobami doszczętnie stoczonymi przez korniki, spoczywałem na łożu śmierci od bardzo, bardzo dawna. Blady i łuszczący się, zniszczony przez żywioły. Okratowane balkony zwisały pod niebezpiecznym kątem z głównej fasady, a rdza zniszczyła kanalizację. Niektóre okna były wyłamane, inne zabite deskami jak podczas pierwszej wojny. Pozbawiony uwagi i szacunku przez tak długi czas, kruchy i ledwie się trzymający, niemal straciłem nadzieję, że kiedyś zostanę wskrzeszony.

Urzędnik, który kilka miesięcy temu przyszedł mnie obejrzyć, stwierdził, że jestem niebezpieczny i kwalifikuję się do rozbiórki, jednak ostatni właściciel, kombinator handlujący na czarnym rynku, przekupił go, by trzymał język za zębami, gdyż postanowił mnie korzystnie sprzedać.

Tego popołudnia, kiedy zostałem oklejony ogłoszeniami: NA SPRZEDAŻ, przechodnie potrząsali z niedowierzaniem głowami lub śmiali się z mojego stanu. Lecz nagle... cóż za nieoczekiwana zmiana! Coś takiego zdarza się tylko raz w życiu. Jak wtedy, gdy zjawiała się tu Esmá.

Dwie kobiety przeszły przez jezdnię i zaczęły mi się przyglądać - jedna miała, powiedziałbym, około czterdziestki, druga była od niej młodsza o więcej niż połowę. Starsza wydawała się dziwnie znajoma - było coś w sposobie, w jaki przechylała głowę lekko na prawo, no i te dziwne nakrapiane oczy. Gdyby nie

współczesny strój i krótkie włosy, byłyby żywym odbiciem Esmy z okresu tuż przed śmiercią.

Stały tam, gapiąc się na mnie, mrużąc oczy w głębokim skupieniu. Mogłem czytać z ruchu ich warg.

- To ten dom, Nellie. Uwierzysz, urodziłam się w nim - powiedziała starsza, a ja o mało nie wyskoczyłem ze skóry. Mam ponad sto lat, lecz przez cały ten czas przyszło tutaj na świat tylko jedno dziecko - dziwne, zważywszy na to, ile przewinęło się tu kobiet w wieku rozrodczym. Miało na imię Amber. Wrażliwa mała dziewczynka. To by wyjaśniało niesamowite podobieństwo do Esmy. Ale dlaczego wróciła?

- Jakie to smutne - odparła Nellie. - Wygląda, jakby nikt go nie kochał.

- Biedactwo. Wydaje się zupełnie opuszczony. Nie sądzę, by ktoś tu ostatnio mieszkał.

Podeszły do mnie z boku, minęły chwiejącą się bramę i poszły wąską ścieżką prowadzącą ku przystani.

- Miałam zaledwie pięć lat, gdy się stąd wyprowadziliśmy, lecz ten dom nadal mi się śni - wyjaśniła Amber.

- To tak jak ze mną. Nadal śni mi się dom, w którym mieszkaliśmy w Vermont.

Nagle coś poruszyło się we mnie, coś rozsunęło żaluzje na piętrze, wyrzało.

Krzew Adonisa nadal tam stał, mocno wrośnięty w ziemię. Amber opowiedziała Nellie starą legendę. Spostrzegły słowika siedzącego na gałęzi, śpiewającego radosną, powitalną pieśń. To był miły dzień.

Spędziły na przystani całe popołudnie, spoglądając ponad wodami zatoki na promenadę w Cordelio, przyglądając się ruchowi na wodzie. Całymi godzinami nie odzywały się do siebie. Obserwowały właśnie, jak ostatni promień słońca tonie w Morzu Egejskim, gdy nagle Nellie dotknęła ramienia matki.



-Musimy już iść - powiedziała. - Robi się ciemno. Prababcia będzie się martwić.

Amber wstała i pozwoliła, by Nellie wyprowadziła ją za bramę, choć czuła, że nie ma ochoty stąd odchodzić. Przeszły przez jezdnię, kierując się w stronę przystani promowej.

Słowik fruwał rozpaczliwie po ogrodzie, przeskakując z gałęzi na gałąź i przywołując kobiety pieśnią. „Wracaj. Wracaj, serce mej radości!” Oczywiście nikt poza mną nie potrafił zrozumieć słów, z wyjątkiem być może dżinów, które zaczynały poruszać się z ledwie powściąganą ciekawością.

Słowik zeskoczył z krzaku Adonisa i przeleciał przez ulicę - co stanowiło tabu, gdyż duchy przywiązane są do swych domostw i mogą przebywać jedynie na ściśle wyznaczonym terytorium. Niebezpiecznie jest się oddalać, niebezpiecznie dla duchów domowych i zewnętrznych mieszać się ze sobą. Wojna pomiędzy duchami to hazard najgorszego rodzaju.

Słowik wylądował na ramieniu Amber.

-Jaki słodki ptaszek! - zawołała Nellie śpiewnie. - Patrz, wygląda, jakby chciał nam coś powiedzieć.

Nagle ptak odfrunął, przysiadł na portyku i zaczął śpiewać.

-Brzmi zupełnie jak stara kołysanka, którą często słyszałam, gdy tu mieszkaliśmy. *Dandini, dandini, danah bebek* - zanuciła Amber.

-To niesamowite.

Nagle Amber, kierowana nagłym postanowieniem, przebiegła ulicę i zatrzymała się przed znakiem na frontowych drzwiach.

-Dokąd idziesz, mamó?! - zawołała Nellie, doganiając matkę. - Co tu jest napisane? Przeznaczony do rozbiórki?

- NA SPRZEDAŻ. Tu jest napisane: NA SPRZEDAŻ. Nellie natychmiast pojęła, o czym myśli matka.

- Boże - powiedziała. - Kto by kupił taką ruinę?

-Chciałabym zobaczyć, jaki jest w środku. Konstrukcja wygląda na solidną i piękną.

Wśliznęły się przez boczne drzwi, kołyszące się smętnie na jednym zawiasie, podczas gdy ludzie z ulicy zerkali na nie podejrzliwie, powstrzymując się od nawiązania kontaktu wzrokowego, starając się nie ujawniać swej obecności, jakby otuliła ich niewidzialna, sekretna zasłona.

Tylne okna były zabite deskami, lecz jedno z drzwi prowadzących do piwnicy ustąpiły. Wewnątrz przywitały je wybrzuszone ściany, połamane deski podłogi, wybite okna. Smród kociego moczu, gdyż dom stanowił najwidoczniej kryjówkę przybłąd z sąsiedztwa - smukłych kocurów z wielkimi jądrami, dyndającymi z boku na bok, ciężarnych kotek, pozostawiających ślad swego zapachu na słupkach balustrady. Świeży miot ślepych, czarnych jak diabli, piszczących kociąt.

-To zadziwiające - powiedziała Amber. - W tej kulturze kastrowano swego czasu mężczyzn, robiąc z nich eunuchów, ale nie pomyślano o tym, by zrobić to samo z kotami. Wszystkie te biedne kocięta, które widzimy na rogach ulic, przytulone do siebie na ruchliwych skrzyżowaniach. Zawsze napęnia mnie to smutkiem.

Otwierały drzwi do różnych części piwnicy.

-W tym małym lochu rodzice zamykali mnie, kiedy nie chciałam jeść posiłku. Wtedy gdy decydowali jeszcze matka i ojciec, czego mają pragnąć ich dzieci. Nie ma czegoś takiego jak pusty pokój, wiesz o tym?

Zaczęły wspinać się po nierównych stopniach, ale drzwi prowadzące na wyższe kondygnacje były na głucho zamknięte. Wróciły więc na ulicę.

Drżącymi niczym u staruszki rękami zapisała Amber numer, widniejący na ogłoszeniu o sprzedaży.

-Kiedy wracamy do San Francisco? - spytała Nellie.

- Kiedy nadejdzie właściwy czas - odparła Amber. - Jutro chciałabym wrócić tu z pośrednikiem i zajrzeć do środka.

- Nie myślisz chyba o tym, o czym, jak się obawiam, myślisz?

- Być może myślę. Nie wiem, co będę teraz robić, kiedy ty wyjedziesz do college'u. Nie mogę żyć tak jak przedtem, próbując zapełnić pustkę. A czy wspominałam ci, że moja babka Esmá zapłaciła za ten dom dwudziestopięciokaratowym szafirem?

- Teraz pewnie mogłabyś dostać go za parę adidasów.

- Daj spokój, nie psuj zabawy.

Tego, co zdarzyło się tej nocy, nie sposób opisać. Dżiny wyszły z każdej szczeliny, każdej szpary. Duchy, syreny, urojone postaci, wszyscy, nawet Czerwona Kobieta, strzelająca kośćmi. Ożyły wszystkie miotły i szmaty. Z szaleńczym zapalem myły, szorowały, odkurzały i polerowały, naprawiały i odnawiały wszystko w domu. Wlały we mnie nowe życie. Napoiły mnie sokiem życia i nim nastał świt, cały błyszczałem czystością.

Przybyli dziesięć po dziesiątej rano: Amber, Nellie i ostatni właściciel - mężczyzna o nazwisku Firuzi. Zdjął oszalowanie z głównego wejścia i wprowadził kobiety do środka.

- To dziwne - powiedział. - Jakoś tu teraz inaczej. Być może dżiny trudziły się przez całą noc, czyszcząc i sprzątajac - dodał, ryknawszy demonicznym śmiechem.

- W środku dom nie wygląda tak, jak go zapamiętałam - powiedziała Amber Nellie. - Ten, który pojawia się w moich snach, jest większy. Ale o wiele bledszy.

- Zawsze powtarzałaś, że dom nie jest domem, dopóki się w nim nie zamieszka.

Amber krążyła po pokojach niczym zjawą. Miała na sobie sukienkę z gnecio-nej bawełny, bardzo praktyczną w podróży. Nellie podążała w ślad za nią, stawiając długie kroki. Wysoka młoda kobieta, smukła, z długimi jasnymi włosami. Nic w niej nie przypominało żadnej z kobiet Ipekcich, może z wyjątkiem oczu, ich znaku firmowego.

-Sufity wydają się o wiele niższe, pokoje mniejsze - mówiła dalej Amber. - Pamięć płata figle. Lecz miałam rację co do światła. Absolutnie. Spójrz, jak przenika pomiędzy wysoką fasadą a obsydianem, padając na wyszczerbione płytki kuchennej podłogi z białego marmuru. Jakby odbijało cienie wspomnień.

W *hamam* deszczówka, wpadająca przez dziurę w sklepieniu, utworzyła na podłodze kałużę. Przez mgnienie oka

Amber wydawało się, że widzi w niej znaną z fotografii twarz Esmę. Lecz kiedy zamrugnęła, twarz znikła. Wspomniała, co poprzedniego dnia skłoniło ją do powrotu. Słowik, wyśpiewujący melodię starej kołysanki.

- Czy w domu są duchy? - spytała.

- Nie. Mieszkałem tu przez lata i nic. To normalny dom.

- Wymaga mnóstwa pracy. Nie dbano o niego należycie.

- To stary dom, proszę pani. Nie budujemy domów, które miałyby przetrwać więcej niż dziesięć lat, a ten stoi tu już od ponad stu. Mówi to pani coś?

- Co stało się z czwartym i piątym piętrem? - spytała Amber.

- On nigdy nie miał więcej niż trzy piętra.

Jak to zatem możliwe, że moi rodzice zajmowali piąte piętro z wyjściem na taras na dachu, z którego zrzucałam różne rzeczy na ulicę po to tylko, aby zobaczyć, gdzie spadną? - zastanawiała się Amber. Nie sprzeczała się jednak z mężczyzną. Nie chciała, by znał historię jej życia.

Po kilku godzinach dobito targu. Obyło się bez agenta nieruchomości, notariuszy, taksatorów. Łysiejący mężczyzna z wydatnym brzuszkiem wziął poświadczony notarialnie papiery. Amber odliczyła dziesięć miliardów lir w banknotach tysiãclirowych - w przybliŹeniu siedem tysiãcy dolarów - część kwoty, którą otrzymała jako nagrodę za zwycięstwo w konkursie architektonicznym. Stosy banknotów upchano w walizeczce, zupełnie jak w kinie. Uścisnęli sobie dłonie, po czym mężczyzna wyszedł.

- Zwariowałaś, mamó - powiedziała Nellie. - Pomyśl, co mogłybyśmy zrobić z tymi pieniędzmi.

- Niewysoka cena za tak dobrą historię. - Amber się uśmiechnęła. - A z tym domem wiąŹe się tyle opowieści. To moja przeszłość, Nellie. OkaŹ jej szacunek.

Kiedy zostały same, Amber wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer. „Halo” Camilli ciągnęło się niczym toffi, wypowiedziane niemożliwym do zapomnienia głosem, schrypniętym z powodu wieku i papierosów.

- Cześć, mamó.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś wcześniej?

- Byłyśmy dosyć zajęte.

- Miałyście wrócić wczoraj.

- Wiem, ale nie zgadniesz, co się zdarzyło.

- Co takiego? Czy z moją matką wszystko w porządku?

- Nic jej nie jest. Chodzi o mnie. Cóż, kupiłam dom.

- O czym ty mówisz?

- Dom w Izmirze, ten, w którym mieszkaliśmy, kiedy się urodziłam. Wiesz, ten w Karatag. Kupiłam go za pieniądze z nagrody.

- Co takiego zrobiłaś?

- Kupiłam dom w Smyrnie.

Camilla wydała szereg niezrozumiałych dźwięków.

- Zwariowałaś? Jeśli chcesz mieć w tym kraju własne miejsce, kup sobie miłe nowe mieszkanie, nie ruinę. Bóg jeden wie, że tych mieliśmy już dosyć. Oprzytomniej, nim będzie za późno, Amber.

- Już jest za późno. Zapłaciłam i podpisałam dokumenty. Nie chcę miłego nowego mieszkania. Chcę mieć dom, w którym się urodziłam. Z czasem go odnowię. W końcu nie na darmo zostałam architektem.

- Chcesz nieustannych kłopotów? No to je masz. Ten dom zawali się i pogrzebie cię pomiędzy piętami. Staniesz się zwłokami w jego cysternach. Że nie wspomnę o duchach...

- Jakich znów duchach? Zawsze powtarzałaś mi, że duchy nie istnieją. Gdy byłam dzieckiem i widywałam różne rzeczy. Myślałam, że nie wierzysz w to, co niewidzialne.

- Może i nie wierzyłam, ale w tym domu dzieją się dziwne rzeczy. Wszyscy twierdzili, że tam są duchy.

- Umieram z niecierpliwości, by je zobaczyć.

Camilla milczała przez dłuższą chwilę, a potem zapytała:

- Rozmawiałaś z moją matką o eksmisji?

- Jest nieszczęśliwa, ale zgodziła się zamieszkać z tobą.

- Ona ci to powiedziała?

- Tak, mówi całkiem dobrze.

-Nie mogę w to uwierzyć! Nie odezwała się do mnie od ponad roku!

-Cóż, powiedziałaś, że musiałyby zdarzyć się cud. I pewnie tak właśnie się stało. Nawet nie musiałam mówić jej prawdy. Sama postanowiła, że przyjedzie do Stambułu i zamieszka z tobą.

Po drugiej stronie Camilla zaczęła szlochać.

- Wszystko w porządku, mamo. Jestem pewna, że teraz już będzie z tobą rozmawiać.

- Nie dlatego płaczę. Chodzi o coś innego. Coś okropnego.
- O co? Co się stało?
- Aida.
- Co z nią? Powiedz.
- Mówimy wszystkim, że miała atak serca, ale tak naprawdę rzuciła się z balkonu. Siedem pięter w dół.
- O mój Boże! Wyskoczyła?
- Spadła na neon nad butikiem i została porażona prądem.

Przez dłuższą chwilę milczały. Na zewnątrz słowik, przysiadłszy na krzaku Adonisa, wyśpiewywał żałobną pieśń.

- Była trzeźwa? - spytała Amber.
- Nie wiemy. Może coś, co zażyła, pchnęło ją do tego kroku. Przy jej łóżku znaleziono mnóstwo różnych pigułek. Przygotowywała się, aby odebrać sobie życie, nie ma co do tego wątpliwości. W całym mieszkaniu porozmieszczała notatki, opisujące, co zrobić z rzeczami po jej śmierci, kto ma je wziąć i tak dalej. Najwidoczniej planowała to od jakiegoś czasu, nie mogąc pogodzić się z udręką starzenia się. Nie zniosłaby własnej brzydoty. Nie Aida. Nie, ona nie zginęła w wyniku upadku. Umarła z miłości, *chagrin d'amour*. Jak twoja babka Esma.

- Nie sądzę. Nie zrobiłaby tego w ten sposób. Nie Aida. Są pewni, że nie ma żadnych podejrzanych okoliczności?

- Absolutnie. Co za masakra! Trudno ją było poznać.
- Aida, którą znałyśmy, wzięłaby słodkie różowe pigułki albo wypija herbatkę z cykuty. Ubrałaby się w coś seksownego i upozowała na łóżku, pokrytym kwiatami i innymi pięknymi rzeczami. Nie rozbiłaby się na miazgę, spadając na beton.

- Tak by było, zanim straciła twarz. Wiesz, jak bardzo nienawidziła tego, co się z nią stało po operacji. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny. Widziałaś ją i sama



mi o tym opowiadałaś. Prawdę mówiąc, nienawidziła swej twarzy tak bardzo, że musiała oblać ją witriolem, zanim wyskoczyła. Gdy ją znaleźli, w ogóle nie miała twarzy. To błogosławieństwo, że nie ma u nas zwyczaju wystawiania zmarłych jak w Ameryce. Żaden fachowiec od upiększania nie poskładałby jej z powrotem.

Camilla nie przestawała szlochać. Amber poczuła na ramieniu pocieszający dotyk. Nie mogła płakać. Łzy nie chciały płynąć.

- Kiedy pogrzeb? - spytała.

- Pochowaliśmy ją wczoraj - westchnęła Camilla. - Szef sił zbrojnych przysłał olbrzymi wieniec z mieczyków. I inni ważni generałowie. Premier. Attache wojskowi obcych państw. Wszyscy przyszli na pogrzeb. Nie widziałam dotąd tak wielu wieńców. Można by pomyśleć, że umarł ktoś z rodziny królewskiej. Pochowaliśmy ją na nowym cmentarzu, samą. Wiesz, Generał spoczywa na starym, tam gdzie leży twój ojciec, ale rodzinna plotka głosi, że Aida została tam kiedyś oszukana, gdy poszła go odwiedzić. Powiedziała wtedy: „Jeśli potrafią okantować żywego, pomyśl tylko, co mogą zrobić ze zmarłym. Nie dopuszczę do tego, by wykopali mnie i ukradli mi zęby”. Kupiła więc sobie miejsce na nowym cmentarzu, w miłej, czystej części miasta, gdzie trawnik jest jak sztuczna darni, wiecznie zielony. Są tam też strażnicy, którzy pilnują ludzi i podlewają kwiaty. I mnóstwo miejsca pomiędzy grobami.

- Czy ktoś powiadomił Teomana?

- Nie, wyjechał do Afrodias na wykopaliska. Nie mogliśmy się z nim skontaktować.

- Muszę go odnaleźć. Będzie załamany. Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie od razu? Gdy to się stało?

- Po co? Grzebiemy naszych zmarłych natychmiast, jak zapewne pamiętasz. Poza tym nie chciałam psuć ci wycieczki. Masz dość kłopotów z moją matką.

Aha, Aida uwzględniła cię w testamencie. Zostawiła ci siedem miliardów lir i trochę rzeczy.

Tydzień później Amber i Nellie leżały wyczerpane czyszczeniem i szorowaniem. Rzeczy Aidy przywieziono w wielkiej skrzyni. Trzeba było czterech mężczyzn, by wnieść ją do pokoju, który należał kiedyś do Esmy, a potem stał się pokojem dziecięcym Amber.

Wewnątrz skrzyni była szafa Sulejmana - raz jeszcze trafiająca do tego pokoju. W środku znajdowały się pudełka po butach, starannie oznaczone. Jedno zawierało długą treskę. Inne medalion Esmy z fotografią Sulejmana; następne laskę z kości słoniowej, w której Iskender przemycił kiedyś *Bombyx mori*, ćmę jedwabnika; jeszcze inne tacę w motyle, przywieziona przez Generała z Korei. Na jednym z pudeł napisano imię Nellie. W środku znajdowała się sukienka Aidy z *crêpe d'amour* ze sławną plamą.

Amber przeglądała zawartość pudeł, odkrywając historię rodziny. Zdjęcia Cadriego i Aladdina, zrobione podczas uroczystości obrzezania, wspaniała Aida w swych słynnych kostiumach - z których większość znajdowała się teraz w muzeum miejskim - plantacja na górze Olimp. Dom w Moda. „Apartamenty Prządek”. Wycieczki na wieś - zdjęcia ze służbą, mułami, wielbłędami, bawołami wodnymi. Przyjęcia podczas polowań. Jagnięta na roznach. Tańczące niedźwiedzie. Zaręczyny, śluby, obrzezania. Okruchy wspomnień.

W jednym z pudeł znajdowały się zdjęcia Aidy i Generała. Inne oznaczono: Atatürk. Jego chusteczka z monogramem - ta, którą dał Aidzie, by miała czym otrzeć łzy wzruszenia - w jedwabnej saszetce. Zdjęcia z konkursu piękności i koronacji. Berło i korona. Finalistki z Atatürkiem. Aida w płaszczu z karakułów, siedząca na masce daimlera. Aida w stroju jeździeckim, obok konia wyścigowe-

go Ata-türka. Mała dziewczynka, wręczająca Aidzie bukiet, podczas gdy Atatürk stoi z tyłu. Aida tańcząca z Atatürkiem.

Hoża, pulchna, promienna Aida z nieskazitelną skórą i twarzą niczym jabłuszko, w śliskiej atlasowej sukni bez rękawów, z opadającymi ramionami, wąskiej w biodrach, z kloszową spódnicą, dokładnie taką, jaką nosiłaby Jean Harlow, chyba w brzoskwiowym kolorze, mimo iż fotografia była czarno-biała. On zaś, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu, prezentował klasyczny profil, wpatrując się w promieniejącą Aidę. (W tle, ledwie rozpoznawalny, porucznik, syn fryzjera, jego już wówczas krzaczaste brwi, ostro zarysowane niczym w arabskiej ósemce, za zasłoną dymu z cygara -obsesyjnie zakochany w kobiecie i do końca lojalny wobec swego generała).

W pamięci Amber błysnęło wiele twarzy Aidy - śmiejącej się i flirtującej kokieteryjnie. Jej głos, płynny niczym strumyk. Jednak najbardziej żywy spośród obrazów ukazywał ją taką, jaką zobaczyła podczas swej ostatniej wizyty przy ulicy Miodnej Esencji. Camilla powiedziała, że pamięta się jedynie twarze zmarłych. Nie takie, jakie oglądaliśmy, kiedy ci ludzie jeszcze żyli, byli młodzi i atrakcyjni. Dlatego lepiej nie spoglądać na martwe twarze.

Słodki pocałunek Azraela wylądował na igrekoszałtnej żyle Aidy. Żeby nie wiem co, śmierć irysa nigdy nie bywa piękna.

Amber otworzyła następną kopertę. Jej serce zaczęło bić tak szybko, że ciało nie mogło za nim nadążyć. Zmusiła się, by oddychać wolniej.

Nellie znalazła ją w tym stanie najwyższego podekscytowania.

- Co się stało? Dobrze się czujesz, mamó?

- Nellie - powiedziała - przygotuj mi kąpiel, proszę.

- Nie ma ciepłej wody.

-Wykąpię się w zimnej. Dobrze mi to zrobi. Muszę się ochłodzić.

Amber znalazła w pudełku stosik listów, napisanych na pięknym welinie, teraz już lekko podniszczonym, noszących ważny podpis - odręczne pismo człowieka, który uratował kraj. Bohatera nad bohaterami. Przystojnego mężczyzny z jasnym wąsem. Listy, o których istnieniu nikt nie wiedział. Narodowe skarby.

Wyjrzała przez okno i doświadczyła szeregu wizji. Oto basen Morza Egejskiego nabrzmiała historią. Krzew Adonisa z wyrytymi jej inicjałami. ASI. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła bursztynowe jajko. Ze skały wynurzyła się dłoń, trzymająca złoty kokon. Ćma jedwabnika. *Bombyx mori*. Zastanawiała się, czy te same duchy nadal nawiedzają tamto miejsce, egzystując w innym wymiarze jako dzieci, czy też, jak ona, dojrzały i są teraz dorosłymi. Czy dzieci nadal czekają ukryte w bocianich gniazdach. Słyszała słowika, śpiewającego tę samą starą kołysankę. *Dandini, dandini, danah bebek.*

Spojrzała na morze i przywołała pierwsze wspomnienie jego falowania, przypływów i odpływów. Po tym nie mogła już żyć, dopóki nie odnalazła tego samego rytmu. Rola błękitu w uzdrawianiu duszy i bezmiar błękitu. Pomyślała, jakie to dziwne, że siedzi tutaj, w swym pierwszym pokoju. W pokoju, gdzie Sulejman i Esma kochali się. Gdzie zostały poczęte dzieci. Gdzie umarła Esma. Gdzie Cadri i Camilla przymilali się do niej. Ayşe i Gonca. W pokoju, który był jej pokojem dziecięcym. Tutaj, w pomieszczeniu z wyblakłymi, podartymi tapetami we wzór z kamelii na niebieskozielonym tle, tak starymi, że nie sposób było poznać, jakie to kwiaty.

Drzwi otwarte na ściany, puste płótno bez obrazu, tylko twarze niewidzialnych ludzi, szepczących, śmiejących się, przeklinających, odbijające sny w snach. Zjawy, kołysanki syren, postaci z książek i filmów zdawały potykać się ze sobą niczym w turnieju. W mrocznych korytarzach, w piwnicy, na poddaszu niekończąca się procesja cieni przechodziła z pokoju do pokoju, mieszając się i materia-

lizując wszędzie. Wypełniały tłumnie jej zmysły i wystarczyło jedynie wyciągnąć rękę, aby ich dotknąć.

Dlaczego mnie kupiła? Co zamierza ze mną zrobić? Jako architekt musi mieć w głowie jakąś wizję. Plany. Czy zburzy mnie do fundamentów i odbuduje? Przebuduje wnętrze, by było bardziej nowoczesne? Albo spróbuje odrestaurować takim, jakim mnie kiedyś wzniesiono? Czy mogłaby znowu stać się częścią mojego życia? Nie znałem jeszcze odpowiedzi na żadne z tych pytań. Lecz czułem, że przeznaczenie będzie tu miało wiele do powiedzenia. Być może, jak mawiają, miała wypisane na czole, że się tu zjawi.

-Bez względu na to, jak bardzo byśmy się starali, nie możemy uciec, kiedy dopada nas zmiana - wymamrotała Amber pod nosem.

Wszystko wokół ulegało zmianie, by mogło wypełnić się jej przeznaczenie. Postanowiła skoczyć, nie wiedząc, czy potrafi latać.

-Posiadam dom, w którym się urodziłam - powiedziała na głos, jakby chciała uczynić ten fakt bardziej realnym. -Rozpadającą się ruinę, która powinna zostać rozebrana. Mimo to spróbuję go odnowić. Ciekawe, jak wyglądałoby moje życie, gdybym tu została? Cenię sobie życie w innym kraju, budowałam je ponad dwadzieścia lat. Historie, które stworzyłam. Wszystkie moje pozostałe domy, przyjaciół, kochanków. Moje *curriculum vitae*. Rysunki - namacalny dowód mej egzystencji. Język? Jak by to było, porzucić dotychczasowy styl życia, swoje miejsce i przenieść się do innego -pośrodku spraw, jak w tym przypadku - nie z powodu wymagających tego okoliczności, ale z własnego wyboru? Pamiętam, jak przemierzałam mroczne ścieżki duszy, gdy Su-lejman rozmawiał ze mną o przeistoczeniu. Opisywał je jako całkowite pozostawienie za sobą dotychczasowego życia i obudzenie się do nowego. Wydawało się to całkiem niezłym pomysłem, dopóki nie powiedział, że haczyk polega na tym, iż nie pamięta się nic z poprzedniego wcielenia. Zaczynamy w całkowitej nieświadomości.

Oczywiście Nellie byłaby przypomnieniem, jak zawsze zresztą. Towarzyszyła Amber podczas tej drogi powrotnej, dotrzymywała towarzystwa, przypominając jej o tym, kim jest: osobą, której ukształtowanie zajęło lata, i chroniąc ją przed zbląkaniem. Teraz czuła się zakorzeniona, miała swoje miejsce. Przeszłość, którą sama wybrała. Nellie mogłaby wyjechać, Amber dałaby sobie radę sama.

„Zawsze lubiłam twoje towarzystwo, lecz może już pora, byś poszła własną drogą. Poza tym mój prawdziwy dom jest teraz także w Kalifornii. Tu jest moja duchowa ojczyzna”.

No i Camilla - po tym, co przydarzyło się Aidzie, nigdy nie opuściłaby ulicy Miodnej Esencji.

„Moje rośliny, moje rośliny - powtarzałyby. - Po prostu nie mogę zostawić ich na łasce losu. Rozumiesz to, prawda, Amber?”

„Tak, rozumiem, mamó”.

„No i nie mogę zostawić też Marii”.

„Tak, oczywiście”.

„Będzie mieszkała teraz ze mną. Muszę się nią zaopiekować, to mój obowiązek”.

A Maria? Nie sprawiało jej zbyt dużej różnicy, czy przeniesie się do Stambułu, aby zamieszkać z córką, do Ameryki czy na księżyc. Amber zaproponowała jej, by zamieszkała tutaj, lecz Maria odmówiła - zbyt wiele wspomnień. „To dom Ipekchich, nie Taşpınarów” - powiedziała. Nic nie zastąpi turkusowego domku, studni i ducha męża, który co noc zostawiał jej monety przy gardeniach. Maria, która żyła w czasie minionym ze swymi duchami i każdego dnia wkraczała do ich królestwa, która nigdy na dobre nie zadomowiła się w tym stuleciu. Powracająca stale do czasu, który istniał tylko w jej pamięci.

Spytała Amber, jak to jest lecieć samolotem.

„Czy bardzo trzęsie? Czy lot jest niespokojny?”

„Nie - odparła Amber. - W ogóle nie trzęsie. Nawet nie wiesz, że się poruszasz. To bardzo spokojna jazda. Jak pływanie łódką w pogodny dzień, tyle że nie po wodzie, lecz po niebie. Wyglądasz przez okno i widzisz chmury poniżej. A potem otwierają się drzwi i jesteś w innym miejscu, daleko stąd”.

„Tak właśnie musi czuć się człowiek, kiedy umiera”.

- Twoja kąpiel jest już gotowa! - zawołała Nellie. - Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Możesz dostać zapalenia płuc.

- Mówisz zupełnie jak moja matka. - Amber się uśmiechnęła.

- Cóż, jesteśmy przecież spokrewnione.

Amber zasiadła przed zniszczonym marmurowym zlewem i polała sobie ramiona zimną wodą z dzbanka. Natychmiast dostała gęsiej skórki. Jaka jestem szczęśliwa, że mam wybór, pomyślała. Jaka szczęśliwa.

Głos muezina wzniósł się w powietrze. Słowik zaśpiewał powitalną pieśń. Ulicą przejechał autobus.



## *Podziękowania*

W części Turcji, w której się wychowałam, ptaki uważano za duchy. Rodzice powiedzieli mi, że moja babka po śmierci stała się słowikiem.

Kilka lat temu, w bożonarodzeniowy poranek, weszłam do mej pracowni, aby napisać coś nowego. Przez dłuższy czas wpatrywałam się w pustą, białą kartkę. Nic nie przychodziło mi do głowy. Nie miałam nic do powiedzenia, jakby „ptak zjadł mi język”. Wyglądałam przez olbrzymie okno na falujące wzgórza, porośnięte starymi dębami, gdy nagle, znikąd, pojawił się ptak, frunąc prosto na mnie. Uderzył w szybę i padł martwy.

Gdy go znalazłam, był jeszcze ciepły, mały sokół, w którym rozpoznałam kobuza, gatunek raczej niewystępujący w północnej Kalifornii, gdzie mieszkam. Mój dom nie leży też na szlaku ich migracji.

Śmierć ptaka wyzwoliła we mnie silne emocje i rozplakałam się. Spojrzałam po raz kolejny na biały, pusty papier i nagle słowa i opowieści ożyły, napłynęły z nadzwyczajną łatwością. Pozostałam w tym pokoju przez tydzień, pisząc bez ustanku. Gdy pierwszego dnia nowego roku wreszcie stamtąd wyszłam, miałam zapisanych kilka notatników, szkic powieści.

Pomiędzy czekającymi na mnie listami był też list od mojej matki, mieszkającej w Ankarze. Napisała, że to najtrudniejszy list w jej życiu. Ojciec zmarł nie-

spodziewanie na atak serca w Boże Narodzenie po południu. Siedział przy biurku, pisząc do mnie list. Matka wolała napisać mi o tym niż zadzwonić, opóźniając w ten sposób smutek i żal.

Ojciec zmarł, gdy kobuz uderzył w moje okno. Kto wie, czy był to czysty przypadek, albo czym właściwie jest przypadek?

Schowałam notatniki do szuflady, gdzie pozostały nietknięte przez siedem lat. Gdy w końcu zebrałam się na odwagę, by je przeczytać, na ich podstawie powstało *Siedem domów*.

Żałuję, że nie mogę podzielić się tą książką z ojcem. Ale, być może, gdyby żył, nigdy nie zostałyby napisane. Każda książka stanowi efekt współpracy, a za tę chciałabym podziękować moim babkom, Marii i Zehrze, dziadkowi Hami-dowi, wujowi Aladdinowi, cioci Ayhan i, oczywiście, moim rodzicom, Sadriemu i Yumniye, za to, że dali mi tworzywo, bym mogła snuć opowieści.

Dziękuję także pisarkom i przyjaciółkom, które nie szczędziły mi zachęty - Suzanne Lipsett, Vicky Doubleday, Nancy Van Norman Baer, Joan Baribault, Isabel Allende, Alice Walker, Susan Griffin, Kathryn Neville, Fatemie Mernissi, Angie Thieriot, Carol Tarłów, Tracy Bernstein, moim agentkom Bonnie Nadeli i Jane Judd, mojemu wydawcy Judith Curr i redaktorce Rosemary Ahern, jak również wielu innym miłym osobom, które działają poza sceną, a ich nazwiska pozostają nieznane.

Dziękuję Joshowi i Patty za to, że są w moim życiu, i jak zwykle Robertowi, który nadal podsycy płomień, pisuje miłosne liściki i robi kawę.

## *Słowniczek postaci i terminów nieobjaśnionych w tekście*

*(od Tłumacza)*

Araba - wóz, powóz, pojazd, fura, ekwipaż.

Attar Fariduddin - wybitny perski mistyk i poeta, autor *Języka ptaków* i *Księgi tajemnic*.

Bezik (fr. *bezique*) - gra w karty z początku XIX wieku, podobna do mariasza, grupa kart w tej grze: dama pik i walet karo. Bezoar - kosztowny lek, wprowadzony przez Arabów, wyrabiany z kulistych tworów (również zwanych bezoarami), powstałych w przedżołądkach niektórych zwierząt, głównie kóz bezoarowych.

Boz Kurt (Szary Wilk) - postać z wierzeń ludów tureckich, mityczny przodek Czyngis-chana, opiekun plemion i ludów tureckich.

Hamam - łaźnia.

Harem - tu: część domu przeznaczona dla kobiet.

Katib Celebi (1609-1657) - wybitna postać w dziejach nauki tureckiej, uczonec, geograf, bibliograf, polihistor, encyklopedysta, autor szeregu dzieł o wielkiej wartości naukowej, m.in. *Obrazu świata*.

Kismet - dola, los, przeznaczenie; fortuna, szczęście. Lira - jednostka monetarna w Turcji, składa się ze stu *kuruşy*. MłodoTurcy - uczestnicy politycznego ruchu w imperium oto-mańskim końca XIX i początku XX wieku. Ich celem było zjednoczenie wielonarodowego państwa, przeprowadzenie reform politycznych na wzór europejski i modernizacja kraju. Po ustąpieniu ostatniego sułtana Mehmeda V przejęli władzę. W trakcie ich rządów doszło do pogorszenia sytuacji wewnętrznej w kraju, co zaowocowało krwawymi represjami wobec ludności greckiej i ormiańskiej. Przystąpienie przez Turcję do I wojny światowej po stro-

nie państw centralnych spowodowało, iż rządy młodo Turków zakończyły się klęską i rozpadem imperium otomańskiego.

Ramadan - dziewiąty miesiąc kalendarza muzułmańskiego, miesiąc postu; wg tradycji Allah miał wtedy zesłać na ziemię Koran.

Seraj (tur. *saray*) - pałac, dwór.

Siedmiu Śpiących z Efezu - słynna legenda z pierwszych wieków chrześcijaństwa, rozpowszechniona w różnych wersjach, w tym muzułmańskiej, wywodząca się z Syrii V-VI wieku. Siedmiu młodych chrześcijan z Efezu, uchodząc przed prześladowaniami ze strony rzymskiego cesarza Decjusza, schroniło się w jaskini pod miastem. Zasnęli tam i obudzili się z woli bożej trzysta lat później, za panowania Teodozjusza II.

Święta muzułmańskie:

**Ceker Bayram** (Kucük Bayram) - Bajram Cukrowy, trzydniowe święto obchodzone w Turcji na zakończenie ramadanu; dzieci zostają wtedy obdarowane słodyczami, a dorośli składają sobie wizyty i świętują.

**Kurban Bayram** (Büyük Bayram) - Święto Ofiary, obchodzone dziesiątego dnia dwunastego miesiąca kalendarza muzułmańskiego na pamiątkę dnia, w którym Bóg wezwał Abrahama, by złożył w ofierze syna Ismaila (Izaaka). Składa się wówczas ofiary, głównie z barana. Największe święto islamu.